DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.



Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom XI.

LWÓW,

Nakład i druk E. Winiarza.


BIBLIOTHECA JAGELLONICA

SPIS RZECZY

zawartych w tomie XI.

I. Żywoty świętych, legendy i rozmaite historye święte:

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historji polskiej:

III. Wiersze:

IV. Piękne przykłady:

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki:

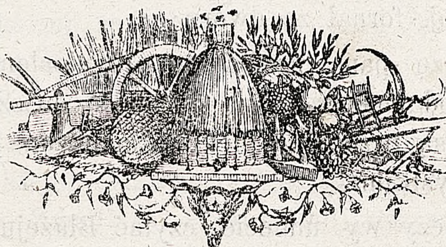
VI. Różności:

VII. Zdania moralne, przypowieści.

Tom XI. Nr. 1.
1. lipca 1864.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zlr. w. a., półrocznie 1 zlr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O Żmudzi i Żmudzinach,

co także niegdyś należeli do Polski.

W wiosce Zakopanej, gdzie to jest tyle żelaza sławnego na kraj nasz cały, znajduje się porządna szkoła. Do tej szkoły nie chodzą jeno dzieciaki, ale kiedy niedziela lub świątek jaki, to zaglądnie tam niejeden gospodarz, niejeden parobczak, dziewuchy także nie od tego, aby wstąpiły do szkolnej izby, a i wójt sam, co jest człek bardzo zacny i rozumny, często tam zachadza. Wtedy to zasiędą sobie ci ludkowie i gwarzą z panem profesorem o rzeczach naucznych i niejeden więcej na tem skorzysta, niż gdyby był hulał gdzieś u żyda.

Otoż pewnej niedzieli zgromadzili się tak gospodarze, parobcy i dziewczęta do izby szkolnej, gdzie także i wójt i pan profesor już byli. A było to właśnie po nieszporach. Jedni siedzieli na ławkach, drudzy stali i gwarzyli, a inni znowu koło okna skupili się razem i oglądali z wielką ciekawością jakąś xiążeczkę.

— A cóż tam za taką ciekawą xiążkę macie, co się jej tak bardzo przypatrujecie? — zapytał profesor.

Na to Błażej, fornal ze dworu:

— Ot, proszę pana profesora, przyniosłem xiążkę, com jej wypożyczył od naszego pana dziedzica do czytania! Ale że to w tej xiążce są przeróżne pięknie malowane obrazki, więc je pokazuję wszystkim.

— A cóż, czy wy umiecie czytać Błażeju? — zagadnął profesor.

— A jużci, że tam trochę umię czytać, ale tylko z drukowanego, com się wyuczył od organisty nieboszczyka, kiedym jeszcze był mały.

— No i widzicie, jak się wam to przydało — odrzekł profesor.

— Ależ proszę pana profesora — zagadnął Błażej — bądźcie też tak dobrzy opowiedzcie nam o tych tu ludziach co tu na ostatnim obrazku w xiążce tak szumnie są wymalowani; przecież też jeździłem z moim panem nie mało po świecie; byłem ci i w Warszawie, i w Krakowie, i we Lwowie, poznałem przeróżnych ludzi w rozmaitych strojach, ale takich jak tu na obrazku jeszcze nie widziałem, a muszą oni być pewnie Polacy jak my wszyscy, kiedy w polskiej xiążce stoją wymalowani.

Profesor wziął xiążkę od Błażeja, oglądnął ją na chwilę, pokiwał głową i rzekł:

— Błażeju! to ta xiążka dużo warta, ma ona kilkanaście pięknych obrazków, na których stoją wymalowani Krakowiacy w swych prześlicznych strojach polskich, ba! są ci tu jeszcze i Mazurzy, i Górale tacy jak wy, i Rusini a nawet i Litwini i Żmudzini!

— Aha! właśnie mi też tu chodzi o tych panów Żmudzinów wymalowanych — przerwał Błażej — i czy oni są także Polakami?

— A tyś jak myślał — odrzekł profesor — Żmudzini to nasi bracia, a choć tu niby są wymalowani w pańskich kapotach, to nie są oni ci tam żadni panowie, ale prości chłopi obywatele, jak my tu. Noszą się Żmudzini, jak tu widzicie,

z pańska, bo są bogaci, pracowici i trzeźwi, to też mają za co sobie sprawić takie paradne stroje.

— A w której to stronie leży kraj Żmudzinów? — zagadnął Jędrek z Krzeptówki.

-- Kraj Żmudzinów — odparł profesor — to jest Żmudź, leży het, het, tam na północno-zachodniej stronie nad samem morzem Bałtyckiem. Dawno, a bardzo dawno już temu, nie należała jeszcze Żmudź do Polski, lud wszystek tam zostawał w pogaństwie, i dopiero kiedy się xiążę Jagiełło, pan całej Żmudzi i drugiego kraju jeszcze, co się zwie Litwą, ochrzcił i z królową polską Jadwigą ożenił, Żmudzini i Litwini wiarę chrześcjańską przyjęli i odtąd złączyli się z Polską w jedno ciało, jeden naród z nami tworzyli, i razem z nami przechodzili różne przygody dobre i złe A i dziś chociaż Moskale Żmudź zabrali, Żmudzin nie Moskalem ale Polakiem się mianuje, polskich ma dziedziców i polskich xięży!

— Teraz — mówił dalej profesor — posłuchajcie jeno, a opowiem wam o tym kraju Żmudzi i jego narodzie.

Jeszcze za pogańskich czasów siedzieli sobie spokojnie Żmudzini we wielkich, niedostępnych puszczach i gęstych lasach. Polowali oni na zwierzęta i żywili się ich mięsem, a ze skór ich mieli ciepłą okrywkę na zimę; uprawiali oni także i rolę, chowali bydełko jak my, a pod staremi dębami czcili swych bogów, bo byli jeszcze poganami, i ani pomyśleli kiedy, że przyjdzie im z czasem bronić krwawo swej ojczyzny.

Mieli Żmudzini swoją osobną wiarę i mnóstwo bożków pogańskich. Tak jak my chrześcjanie zbieramy się teraz do kościoła na mszą świętą, tak oni niegdyś zbierali się do lasu na miejsce wolne, które było bogom poświęcone i takie miejsce nazywało się święte albo Romowe. Takie zaś Romowe było zawsze tam, gdzie były duże dęby. Otoż w miejscu świętem pod dębami palił się ogień święty, ale ten ogień nigdy nie gasł, bo go pilnowały dziewice niewinne zwane kapłankami, i dokładały drzewa doń. I widzicie, w takich to miejscach świętych ofiarowano bożkom zwierzęta i przeróżne inne rzeczy. Umarł ci kiedy rycerz jaki, co był tęgim wojakiem, to jego ciało ubierano w zbroję żelazną, przywiązywano mu i szablę i włócznię,

a przy nim stawiano konia najlepszego, psy, sokołą, słowem przy nim były wszystkie te rzeczy, które ów nieboszczyk lubiał za życia, potem go spalono, a popiół i kostki z niego zebrano pięknie i w trumienkę złożono, która to trumienka była z gliny, a była podobną do garnka.

Długo sobie żyli Żmudzini spokojnie, aż oto ni ztąd ni zowąd Krzyżacy niemieccy napadli na ich kraj i wywabili ich samych z lasów do długich i strasznych z sobą wojen.

Musicie wiedzieć moiściewy, że owych Krzyżaków niemieckich nie było dawniej ani słychać w Polsce, ale byli oni w Azyi, w innej części świata, w ziemi świętej, gdzie nasz Pan Jezus nauczał i był umęczony, i tam prowadzili wojnę świętą czyli krzyżową z poganami, aby z ich rąk grób Chrystusa Pana odebrać. Otoż na tej to wojnie potworzyły się różne bractwa czyli zakony, dla obrony pielgrzymów, co święte miejsca zwiedzali i dla niesienia pomocy chorym i rannym. A kiedy się owa wojna skończyła w ziemi świętej, to wtedy wszystkie te zakony wróciły ztamtąd do Francyi i do Niemiec, bo z tych krajów pochodziły najwięcej. Ci zakonnicy, albo inaczej bracia szpitalni, chodzili w żelaznej zbroi, mieli długie miecze, na sobie nosili długie białe płaszcze szerokie, a że na tych płaszczach mieli krzyże z czarnego sukna przeto nazywali się Krzyżakami, a w rzemiośle wojennem byli dobrze wyćwiczeni; żon nie mieli, a żyli jak zakonnicy, tylko wojowali i modlili się.

Takich to więc Krzyżaków sprowadził z niemieckiego kraju na granice naszej ojczyzny jeden polski xiążę na Mazowszu, co się zwał Konrad, i dał im ziemię Chełmińską w darowiźnie, a ci mu zaś za to przyrzekli, że będą razem z nim wojować i nawracać do wiary chrześcjańskiej Prusaków dawnych, co byli wówczas poganami jeszcze. Owi Krzyżacy byli to strasznie chciwi i łakomi, a zdradzieccy i chytrzy ludzie co niemiara, dybali tylko na cudze jak nieprzymierzając kruki na ścierwo, słowa Konradowi nie dotrzymali, a z samymi potem nawet Polakami krwawe wojny prowadzili, i nie mało też złego sprowadzili nam na naszą ojczyznę kochaną. Za to też mój miły Boże wykropił ich siarczyście nasz król Łokietek, a potem zbił pod Grunwaldem na miazgę nasz polski król Jagiełło!

Najprzód zwrócili owi Krzyżacy swoją zbójecką rękę na Prusaków dawnych, co byli sąsiadami Żmudzinów. Kraj pruski zniszczyli do szczętu, a samych Prusaków, co aż nie miło powiedzieć, wyniszczyli i na ich ojcowiznę sprowadzili z niemieckich krajów obcych kolonistów, i tym przybłędom podawali zrabowaną ziemię.

Ale nie dosyć było jeszcze Krzyżakom kraju pruskiego, przeszli oni i do Żmudzi i dalejże Żmudzinów z ich ojczyzny rugować, wolność i mienie im odbierać. Ale nie na tem się kończyło, bo oni przytem palili całe wioski i miasta, a samych ludzi tam mordowali bez miłosierdzia, a kto przypadkiem przy życiu został, to go brali w sromotną niewolę i pędzili do chrztu het za lasy i za rzekę Niemen aż do miasta Malborga. W tem mieście Malborgu to było dzieci żmudzkich w niewoli tak dużo, że ani byłbyś ich mógł policzyć, a kiedy ojciec lub matka z własnem dzieckiem widzieć się chcieli, to musieli się gwałtem przódy ochrzcić i drogo opłacić tym okrutnym niemieckim mnichom.

Co już prawdą a Bogiem, to taka napaść ni ztąd ni zowąd oburzyła na piękne Żmudzinów i nie dali oni sobie napluć w kaszę, ale każdy, czy to pan, czy gospodarz ze wsi, czy jaki mieszczanin brał za topor, cepy lub pikę, a ciął jak gniew Boży tych wrogów i bronił do upadłego ojczyzny od ich plądrowania. Udało się czasem Żmudzinom pobić nieprzyjaciela, to już wtenczas w kraju była niesłychana radość, a udało się im przytem złapać samego Krzyżaka, to ci go zaraz żywcem razem i z koniem i całym rysztunkiem spalili na ofiarę bożkowi wojny, co się im jednak nie chwali.

Ale choć to Żmudzini bili się zacięcie, jak lwy jakie, nie zdołali przecież Krzyżaków zupełnie pokonać; dwieście lat wojowali oni z nimi i nieraz jęczeli w niewoli krzyżackiej i w ucisku najstraszliwszym, bo Krzyżak nie żartował, a był ci srogi, dumny, łakomy i rozpustny. Xięża niemieccy co do zawojowanej Żmudzi poszli chrzcić i wiary świętej nauczać, byli także chciwi i zabierali Żmudzinom wełnę i mleko. Za te zdzierstwa, krzywdy i gwałty różne, ile razy Żmudzini ochrzczeni powstali, tyle razy kościoły i klasztory zburzyli, a xięży wy-

mordowali, sami zaś wracali do swej pogańskiej wiary. A Krzyżaków tam tak znienawidzono, iż ich inaczej nie nazywano tylko psami, a kiedy Żmudzin zmarł, to krewni grzebiąc go mówili:

— Idź nieboże z nędzy tego świata na lepszy, gdzie drapieżni Krzyżacy nad tobą panować nie będą, ale ty nad nimi!

I Bóg tam wie, kiedyby się był ucisk krzyżacki w tym kraju skończył, gdyby Litwini nie byli podali ręki swym braciom Żmudzinom, którzy razem z nimi mieli tę samą pogańską wiarę, te same prawie obyczaje, tych samych kapłanów i xiążąt, i także prawie tych samych wrogów.

Już co prawda, najlepiej się Żmudzinom wtenczas dopiero działo, kiedy xiążę Jagiełło, jak już wiecie, pan całej Litwy i Żmudzi przyjął chrzest święty, ożenił się z królową polską Jadwigą i został potem królem polskim, a swoje dwa kraje przyłączył do Polski. Żmudzini i Litwini widząc, że ich sam pan łaskawy i rozumny został katolikiem i monarchą Polski, także zaraz przyjęli wiarę katolicką bez uporu wielkiego i namowy. A więc widzicie teraz, że nie Krzyżacy niemieccy zaprowadzili wiarę chrześcjańską na Żmudzi, ale nasz wspaniały król Jagiełło, i jego żona Jadwiga.

Odtąd już moiściewy, Żmudzini, Litwini i Polacy tworzyli jeden wielki kraj, kochali się jak bracia, jak dzieci jednej matki, razem wrogów gromili, a wara było wtedy zaczepiać komu Polskę, bo aniby się był spodział, kiedyby po skórze mógł był oberwać. Król Jagiełło, jak już wiecie, pomścił się na Krzyżakach, za ich gwałty czynione na Żmudzi, bo ich na głowę pobił z pomocą Polaków pod Grunwaldem. Od tego czasu ustały krzyżackie okropności na Żmudzi, ale lud tamtejszy jeszcze dzisiaj opowiada sobie o niesłychanej niewoli krzyżackiej i przeklina swych dawnych wrogów.

— A teraz proszę pana profesora, co porabiają Żmudzini? — zapytał jakiś ciekawy parobczak.

— Ot biedują jak i my — odpowiedział pan profesor — bo im pod Moskalem nie dobrze się dzieje. Wprawdzieć chleba im nie skąpo i dobytek jaki taki — ale to od Pana Boga nie od ludzi. Żmudź moiściewy, to kraj płaski, równy, nie ma gór,

grunta posiada urodzajne, dużo lasów i wody. A trzeba wam wiedzieć, że lasy i wody to wielkie dobrodziejstwa dla ludzi; bo lasy dostarczają drzewa na budulec, na opał i sprzedaż, wody dostarczają ryb, a rzekami można spławiać do obcych krajów wszystko co ziemia posiada, i zboże, i drzewo, i sól, i inne przeróżne płody krajowe, za co nie mały grosz się dostaje.

Na Żmudzi, kochani bracia, panuje ostra zima, ale Żmudzini nie wiele sobie ta i z niej robią, skoro mają dostatek drzewa na ogień, wełniaste owce na kożuchy, a oprócz tego lisy, wilczury i skóry niedźwiedzie na lepszy okrywek. Ziemia żmudzka jest urodzajna; na niej sieją piękną pszenicę i żyto, len i konopie prześliczne Len żmudzki, moiściewy mili, to słynie na cały świat; ale bo też to len nie taki jak u nas, jeno prześliczny, a na dwa łokcie aż wysoki, a biały jak śnieg i miękutki jakby jaki najdelikatniejszy jedwab. Otoż ten len na Żmudzi tak się rodzi obficie, że nawet nie uwierzysz, jeżeli własnemi oczy temu się nie przypatrzysz. Żmudzini na galarach ów swój len przecudny spławiają rzekami do Prus na sprzedaż, ba! nawet ci go i na okrętach, het, het, do dalekich krajów za morze posyłają, i za niego spory zbierają grosz. Prócz tego każdy chłopek na Żmudzi ma dużą pasiekę przy domku swym, za miód też drogo mu płacą, bo miód tam jest taki wyśmienity, jakiego indziej nie znajdziesz, a wosk jak kreda bielutki. Po nad morzem jest tam ziemia trochę nieurodzajna, ale pracowity Żmudzin zwozi na nią porost z morza i nim rolę przewybornie uprawia, a praca ta jego stokrotny plon mu przynosi. Pod miastem Połągą zaś wyrzuca morze w jesieni rok rocznie na brzeg tak zwany bursztyn, który się tam wcale nie zmarnuje, bo go Żmudzini zbierają jakby jakie złoto i drogo sprzedają. Czasem można znaleźć tak wielką bryłę tego bursztynu, że za nią i kilkaset reńskich dostaniesz od jakiego kupca.

— Proszę pana profesora — przerwał Tomasz Wala — a jak to ten bursztyn wygląda i zkąd on się w morzu bierze?

— Ten bursztyn — rzekł profesor — moiściewy, wygląda żółtawo, a jest twardy jak kamień, a podobny z koloru najbardziej do miodu lub żywicy na trześniach czyli drzewach ja-

godowych, którą to żywicę wy nieraz smołą nazywacie. Owoż taki bursztyn, to pochodzi co prawda od niepamiętnych czasów jeszcze. Uczeni ludzie powiadają, że tam, gdzie dziś jest morze Bałtyckie były kiedyś ogromne lasy świerkowe i jodłowe, które woda zalała i zamuliła, i oto na tych to zamulonych lasach utworzyło się morze. Lasy owe zamulone z czasem skamieniały, a żywica drzewna, jaką po dziś dzień widzimy z naszych świerków i jodeł płynącą, stwardniała w kamień, a teraz woda z morza na brzeg ją wyrzuca, a ludzie takową zbierają lub sieciami poławiają jak ryby. Ta więc skamieniała żywica nazywa się bursztyn, z którego toczą się treski przepyszne do cybuchów i korale, co je kobiety noszą na Żmudzi jako najpiękniejszą ozdobę na szyi.

Pan profesor skończył a ludzie rozeszli się do domów, a radzi byli bardzo, że się czegoś o braciach Żmudzinach dowiedzieli.

W. Michna z Zakopanego.

Spiewka o Janku Bziku szwargotniku

czyli

Wyszedł Polakiem — a wrócił cudakiem.

Póki Janek siedział w domu
To przyłożyć go do rany,
Bo był chłopak zawołany
I nie sprzykrzył się nikomu!

Poszedł potem na żołnierza
Widział wiele obcych krajów,
Naniósł do dom złych zwyczajów —
Ani z mięsa ani z pierza.

Bo jak do dom już powrócił,
Przekabacił sobie głowę,
Zbisurmanił sobie mowę
I ojcowski strój zarzucił.

I nie nosił już sukmany
Ani pasa z gwoździkami,
Ani czapki z pióreczkami,
Jeno jakieś tam łachmany!

Ni niemieckie, ni frajcuzkie,
Ni to chłopskie, ni to pańskie,
Ni żydowskie, ni chrześcjańskie,
Ni to ruskie, ni to pruskie.

I nie inak z mową było,
Bo szwargotał jak straszydło,
Że aż słuchać człeku brzydło,
Aż się ucho plugawiło!

Zamiast czapki włożył *mice*,
A za żupan *kabat* stary,
Pludrów wązkich miał dwie pary,
A na nogach miał *trzewice!*

Nie w kalecie lecz w *brucaku*
Nosił ogień i krzesiwo,
A wyglądał jako żywo,
Jak bezroga w starym saku!

Matka już się zwała *muter*,
Ojca w *fatra* przeszachrował,
Buty *wiksem* już *pucował* —
Chleb się *brot* zwał, masło *buter!*...

Dał podwórzu imię *hofu*,
A onucy nazwał *fecy*,
Gdy mu ojciec zlatał plecy,
To dał kijom nazwę *sztrofu!*

Mówił *sem* i *teremtete*,
Zamiast koło mówił *kole*,
Feldem przezwał polskie pole,
A Małgosię nazwał *Grete!*

Myślał, że tem świat omami,
I że ujdzie za mądrala,
Ale śmieli się z drągala
Strasznie nawet Niemcy sami.

Zwał go głupim szwargotnikiem
Każdy dzieciak we wsi mały,
Dziewki kochać go nie chciały,
Natrącały Jankiem Bzikiem.

Ojciec, matka, kum, bratanek —
Wszyscy Janka zwali gapem
Bo ni kozą ni to capem —
Był ten głupi urwis Janek!

Pókiś wojak po wojacku
Nosić musisz ubior inny,
Wszak tyś temu nie jest winny,
Ale wróć-że po swojacku!

Na co obcej mowy tobie:
Niemiec mówi po niemiecku,
Turek sobie po turecku,
A po polsku Polak sobie.

Dobrze to pójść w inne kraje,
Dobrze zajrzeć w cudze miasta,
Bo nauka ztąd przyrasta —
I nikt za to nie połaje!

Lecz już kiedyś między swemi,
To bądź takim, jakim byłeś,
Bo Polakiem się zrodziłeś
I na polskiej umrzesz ziemi!

Wojtek ze Smolnicy.

Krzyż w lesie.

Na św. Stanisława tego roku jechałem na odpust do wsi Wojutycz. Ale jechać drogą to jest opętane 2 mile, a kto zaś wie drogę przez środek lasu, to się więcej jak o milę drogi skróci. Ja też przyjechawszy pod las na rozstajną drogę kazałem memu furmanowi stanąć i zaczekać, aż kto nadejdzie. W tem nadesłał mi Bóg jakiegoś staruszka, który co jeno skręcał do lasu, a ja prosto palę do niego:

— Pochwalony Jezus Chrystus! mój dobry panie ojcze i staruszku, siadajcie na wóz ze mną to razem pojedziemy przez las — wy pewnie znacie tu wszystkie ścieżki, to mi też pokażecie drogę do Wojutycz, bo ja tam pędzę z wiatrem na odpust a tu już słonko kawałek na dzień wybiegło!

Staruszek mię powitał pięknie, zdjął kapeluszynę słomianą i okopciałą, wsiadł na przodzie i obrócił się do mnie twarzą, abyśmy sobie mogli o czemś dobrem pogadać i jeden drugiego pouczyć, boć to każdy ma swój rozum i może dużo dobrego wiedzieć, jak jeno zechce.

I tak opowiedział mi staruszek o swojem gospodarstwie, o kilkorgu dzieciach, ba nawet o wnuczkach, bo jak mówił, to miał już obłożone 88 roczków i pamiętał jeszcze ostatniego króla polskiego w Warszawie, dokąd jego ojciec furmanił nie raz z panią i panem za polskich czasów.

I tak rozgadał się starowina siwiutki jak mąka pytlowana, a ja nauczyłem się nie jednej ciekawości i historyi od niego. Jechaliśmy tak lasem zwolna po korzeniach i wyrąbiskach pomiędzy drzewa, a staruszek wołał to wiśta to hetta, to od siebie to k' sobie, aż przyjechaliśmy w jedno miejsce, gdzie między dębami stał krzyż gdzie na nim było rubryką wypisane: „Tu gałąź dębowa zabiła do razu na śmierć walka Dudę — przechodniu Wieczny odpoczynek i paciorek.“

Ja ten napis odczytałem bez myłki i głośno, a staruszek westchnął strasznie, kiedy ja skończyłem to czytanie.

To też zaraz pytałem staruszka:

— Mój panie ojcze i staruszku! co wy tak wzdychacie? Możeście znali tego nieboraka Walka, którego gałęź ubiła i za jego duszę mówicie paciorek?

Na to staruszek rozpłakał się i gadał:

— O jegomość! jegomość! tu się stała straszna sprawiedliwość Boska z tym Walkiem, choć on nie zawinił, jeno ojciec jego, jak tam ludziska rozmaicie opowiadają o tem.

A ja przysiadłem się do staruszka, nadstawiłem dobrze uszy, bo wóz terkotał i konie pukały kopytami i mówię mu:

— To mi też bądźcie łaskawi opowiedzieć historyę, bo ja ciekawy do takich rzeczy, a co jeno gdzie zasłyszę i zobaczę to znowu sprawiedliwie i sumiennie opiszę i dam do druku, aby też i drudzy o tem wiedzieli.

Starowina wypatrzył się na mnie, i rzekł:

— No! toć mi to nic nie szkodzi, że ja jegomości opowiem, bo co prawda to nie grzech! a choćby tam kto i czytał o tem, to ja sprawiedliwie opowiadam, jak to się stało.

I mówił mi tak dalej:

— Tu za lasem w prawo, jak się droga skręca do miasta, stoi do dziś chałupa na wygonie — to leśniczowka pana Stadnickiego, a tu był dawniej jakiś pan Wincenty za leśniczego. A był to człowiek ostry bo ostry, ale sprawiedliwy, że nikogo na mak ziarnka nie ukrzywdził i nikomu nic złego na jedną okruszynkę nie zrobił. Jak cię złapał w lesie na kradzieży po raz pierwszy, to ci nagadał, i natrąbił w uszy, a wszystko tak, jak z ewanielii xiądz opowiada, i puścił cię. Ale jak cię dostał na drugi raz w lesie przy patykach, to ci zabrał siekierę, pogroził i puścił na sucho. Jeno trzeci i czwarty raz jak cię bratku dostał w swoje ręce, to ci kości aż trzeszczały i wtedy miałeś za swoje co dźwigać. Jużci to było sprawiedliwie: bo poco załazić komu w szkodę, poco trapić leśniczego, kiedy on nie żałował nikomu, kto go poprosił i on sam do pana napisał za kim o jaki patyk, a nie minęło go, jak niebo każdego pobożnego, i dostał jak wartał czego i był wysłużny i uczynny każdemu. I pan Stadnicki dobry ale i ten pan Wincenty był także uczciwy i byłby grzech mówić co złego naprzeciwko nich.

A ja poderwałem staruszka:

— No! to może się co złego stało temu panu Stadnickiemu, albo temu panu Wincentemu?

A staruszek na to kiwnął głową i gadał:

— O! co pan Stadnicki, to on zdrów jak ryba, ale ten biedaczysko Wincenty został tu zabity.

Na to gadanie, aż mi się zimno zrobiło i pytam:

— A jakto? to go zabiła gałęź? ale przecie stoi rubryką napisane na krzyżu, że to zabiło Walka, a nie Wincentego? a może który z nich narobił jakie grzechy tutaj i Bóg pokarał jednego i drugiego za to?

A staruszek jął opowiadać tak:

— Ten pan Wincenty nieboszczyk nie zrobił nic złego nikomu. On złapał jakie 20 razy w lesie ojca tego Walka Dudy — a był do tego bednarz na całą wieś, jak go rzadko znaleść takiego, toż ten głuptak łaził po nocach z siekierką albo z nożem wielkim i krajał patyki i robił szkodę nie lada po lesie

— raz sobie zajechał z wózkiem na dwóch kołach i nałamał i naciął młode dąbki aż żal gadać o tem — a wtedy łap go pan Wincenty jak swego i tak z wózkiem zaprowadził do dworu, a było wtedy jakie 3 kopy dębiny młodej na tym wózku.

— No! cóż mu sam pan powiedział? zapytałem.

— A coby! mówił staruszek, nagadał się, aż mu łzy z ócz szły, a potem oddali złodzieja do kryminału, ale on tam nie długo jakoś siedział w kryminale bo go sam pan i ten Wincenty wyprosili. Ale to był Juda nie katolik ten stary Duda — tać on tak się rozjadł na pana i na tego Wincentego, że jak wrócił z kryminału, to poszedł w las i tam w nocy zabił tego leśniczego.

— A bójcie się Boga; zawołałem, a cóżto za człowiek nieczłowiek! ale czy to jeno prawda, że ten Duda stary zrobił to, czy byli świadkowie na to? bo to mój panie ojcze nie trza zmyślać na nikogo nic złego, a Bóg przykazuje: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu“ — a coś nie widział i nie słyszał dobrze, to nie gadaj i nie przyczyniaj i nie przekręcaj ani literki w słowie, a broń Boże przeciągać na to.

A stary gadał mi dalej:

— Toć ja nie gadam, mój jegomość, żem widział, ale cała gromada gada do dziś. A co ludzie gadają, to i wygadają i wtedy wychodzi złe na sam wierzch, jak oliwa. Bo widzi jegomość! nie było w całej gromadzie despetnika i zbijacza takiego jak stary Duda, a syn Walek podawał się także do ojca, jak kurcze idzie za kurą i razem jedno kwokają, a znowu stało się to zaraz w drugą noc, jak Duda przyszedł z kryminału, i mówią ludzie, że widzieli wtedy Dudę z siekierką, jak się kręcił po polu.

A ja poderwałem w gadaniu i pytam:

— No! to musiał być znowu drugi raz w kryminale ten Duda, a może tam gnije do dziś?

A staruszek mi gada kręcąc głową:

— Ta, gdzie tam jegomość dojdzie kto końca z wykrętami ludzkiemi! gdzie tam dziś szukać prawdy, chyba w niebie u Boga! Toć i tak się porobiło nijako z Dudą, porwali go do aresztu, zwoływali gromadę do becyrku, ale cóż?

kiedy nikt dokumentnie nie widział tego, toć trzymali Dudę w areszcie, aż tam gdzieś skapał, bo przyszło pismo do gromady, że umarł i żeby za trumnę jego zapłacić jeszcze. Któż to może teraz wiedzieć gdzie prawda?

A ja na to odrzekłem:

— No! widzicie mój staruszku, to trzeba takie rzeczy, których ludzie nie wiedzą dokumentnie, zostawić samemu Bogu do sądu sprawiedliwego, on to sam zrobi jak się patrzy, bo on zna nasze myśli, słowa i uczynki wszystkie, i zrobi swoje jak czas przyjdzie na to, a znowu nie powinniśmy wygadywać na kogo tego, czego nie wiemy, ani sądzić bez dowodów, bo lepiej żeby 99 żyło choćby i zawinili, jak nie ma na to dowodów i sam pan Bóg ich trzyma przy życiu, niż żeby jeden między nimi zginął albo cierpiał niewinnie przez ludzi grzesznych.

A staruszek gadał mi:

— To prawdę jegomość gadają, ale niechno jegomość posłuchają co się stało z tym Walkiem Dudą. On został na ojcowiźnie, a wtedy pan Stadnicki wyprzedał dęby żydom aż do Gdańska na jakieś tam belki i na promy, co to po morzu pływają. I ten Walek chodził do lasu na zarobek i ścinał dęby. Otoż raz przyniosła mu jego baba śniadanie do lasu, on nieboraczysko zjadł i zostawił sobie resztę w garneczkach na południe, a baba odeszła. Koło wieczora miał już iść do domu, ale postawił garneczki na ziemię i zaczął ścinać jeszcze jednego dęba, bo to brał szóstkę od dęba, i dąb bęc na ziemię, połamał drzewa i gałęzie, aż strach boży, ale jeden konar zawiesił się na gałęzi drugiego dęba i tam sobie wisiał. Niech sobie wisi! pomyślał Walek i zaczął się zabierać do domu, nałożył sobie fajkę i zapalił, wziął garneczki i kij do ręki i kilka obręczy na ramię i idzie. Ale nie wie grzeszny człowiek, co mu z góry przeznaczono, a kara boska znajdzie zawsze każdego, choć Bóg wysoko od nas, prędzej czy później zginiesz biedaku, jak rybka w suchym przetaku, kiedy cię Bóg sprawiedliwy złapie do siatki, jak ptaszka do klatki.

Na to gadanie zdjął staruszek kapeluszynę, patrzył się w niebo wysokie, płakał, a potem tak dalej opowiadał:

— I widzi jegomość, Walek sobie idzie prosto, aż stanął w tem miejscu gdzie ten konar wisiał na gałęzi, a wtedy chciał Bóg i konar spadł na samą głowę Walkowi i zabił go do razu jak muchę marną, ani dygnął, ani się ruszył na miejscu, jeno mu się krew ciurkiem puściła uszami i nosem, i tak zginął marnie. Widzi jegomość, że to cud boży, bo tamtędy przeszło pierwej coś z 8 chłopów naprzód Walka, a konar spadł dopiero prościutko w sam środek głowy Walkowi i jeno jego samego zabił, a drugim świsnął koło uszu i ani tknął drugich gałązką. Ba! ale co jeszcze? może jakie 50 kroków dalej miał tam zabić ojciec tego Walka owego leśniczego Wincentego. No! czyżto nie palec boży oczywisty? Ta to podziw na cały świat!

Ja zadumałem się strasznie na to i gadam:

— To prawda, mój staruszku, że to podziw na cały świat, aby z ostatniego dęba konar, co go Walek nieboszczyk ściął już na wychodzie samym i wrócił się jeszcze do roboty i postawił garneczki na ziemi, aby taki konar zaczepił się na drugim dębie i tam w górze czekał wyraźnie aż na Walka, jak on tam przyjdzie i dopiero wtedy spadł prosto na niego i zabił go, to oczywista jakaś kara boska i dziwna śmierć. Ha! jeżli to prawda, że ojciec Walka zabił tego leśniczego i pierwej kradł patyki z cudzego lasu, to macie dowód sprawiedliwości boskiej, że Bóg karze i dzieci za grzechy ojców, jeżli dzieci złe i nie naprawią krzywdy i szkody, jaką porobili ich ojcowie, albo jeżli dzieci grzeszą dalej i robią tak, jak ich ojcowie robili. Wiecie mój staruszku, że krew niewinna woła o zemstę do nieba, jak ty kogo kamienujesz, to ciebie Bóg sam ukamienuje, jak ty kogo siekierą mordujesz, to ciebie Bóg lada suchym listkiem i patyczkiem na prostej drodze zabije później, jak ty kogo zagryziesz, to ciebie Bóg twojem sumieniem zagryzie, a krzywda i szkoda cudza wylezie tobie i twoim dzieciom kiedyś uszami i gębą, a kradziony chleb struje ciebie i twoje dzieci, jeżli go nie wrócisz skrzywdzonemu. A co tobie ujdzie bez kary na tym świecie, to ci nie ujdzie na tamtym, bo z jednym złym włoskiem nie zajdziesz do nieba, jeżli go nie wyrwiesz sam za życia, to ci go tam Bóg wyrwie choćbyś

krzyczał na gwałt. A mówi jeden święty: „że dopóty nie będzie grzech odpuszczony, dopóki wziątek nie będzie wrócony.“

Ale zapytałem:

— A któż to postawił krzyż w lesie?

— To zrobiła gromada — odrzeknie staruszek — pan podarował dąbka, a cieśla Szymek Wrona wyciosał i rubryką wypisał, a xiądz miał mszę św. za pana Wincentego i ojca i Walka Dudę, i poświęcił krzyż, a gromada postawiła pono na tem samem miejscu, gdzie zginął Walek nieboszczyk.

— No! to teraz wiem wszystko, odrzekłem, a my mój staruszku zmówmy paciorek za tych biedaków, i nie sądźmy ich na ziemi, kiedy oni już stanęli na sądzie bożym. Niech im tam pan Jezus miłosierny wybaczy wszystko!

I zmówiliśmy paciorek i 3 razy „wieczne odpoczywanie,“ wtedy staruszek wyskoczył z wozu na ziemię, pożegnaliśmy się jak katolicy i Polacy bracia, on poszedł z Bogiem w swoję stronę, a ja odjechałem na odpust, tam opowiadałem ludziom to wszystko, a teraz podaję to samo do Dzwonka, aby wszyscy o tem wiedzieli i strzegli się podobnych grzechów.

Xiądz Wojciech z Medyki.

RÓŻNOŚCI.

Burze i ulewy. Ze wszystkich stron piszą nam tu do Lwowa o okrutnych burzach i ulewach, co wiele bardzo zniszczenia narobiły po polach. Gdzieniegdzie to i chaty burza poszkadzała, a wody tak wylały, że mosty i groble pozrywały a nawet całe domostwa z sobą poniosły. W cyrkule samborskim, stryjskim, przemyskim, stanisławowskim i w wielu jeszcze innych okolicach straszne burze poniszczyły pola, a wody także bardzo wiele biednym ludziom poczyniły szkody. O piorunach, co uderzyły w domostwa także bardzo dużo piszą, w Samborze na przykład uderzył piorun w sam kościół farny, ale Bogu dzięki żadnej nie zrobił szkody. W powiecie słotwińskim, w cyrkule stanisławowskim, oberwała się chmura i okrutna była ulewa, tak że rzeka Bystrzyca zalała około ośm wsi i dużo spustoszenia sprawiła.

Bratobójstwo. Sądzono tu we Lwowie w sądzie kryminalnym wielkich bardzo zbrodniarzy. Pewien wieśniak z Krowicy w cyrkule żółkiewskim imieniem Grzegorz Jaremus

wraz z synem swoim Janem zamordował swego własnego brata. Aż strach, pomyśleć, że się znalazł taki człowiek, co jak ów Kain okrutnik zabił własnego brata!... Syn tego strasznego złoczyńcy, Jan, co ma dopiero lat 23, pomagał swemu ojcu w zamordowaniu swego stryja. Owoż teraz sąd lwowski sądził ojca i syna za ich okropną zbrodnię i skazał ich na śmierć przez powieszenie. Tak to się strasznie przydarza na świecie, jeżeli ludzie zapomną o Bogu!...

Pożary. Dnia 1 czerwca zgorzało w Tokach, w obwodzie sanockim, 14 chałup; dnia 4 b. m. w Samborze 24 domów, a przytem zginęło 15 sztuk bydła; w Korolówce, obwodzie czortkowskim, 10 chałup; dnia 6 b. m. w Beremianach, obwodzie czortkowskim, stajnie dworskie z 42 sztukami bydła. W Worobiówce, obwodzie tarnopolskim, w końcu maja dwa były pożary przez podpalenie.

Djabeł i grzesznik. Anzelm św. razu pewnego ujrzał, jak dziecię z ptaszkiem igrało, nitką go za nogę uwiązawszy; co ptaszek wzlecieć chce, to ono pacholę go do siebie potargnie i ciągnie. Kazał święty biskup urwać nitkę: ptaszyna zaraz wysoko wzleci i po powietrzu swobodnie buja, a dziecina płakać poczęła. „Tak, powiada św. biskup, człowiek gdy w grzechu leży, od czarta za nogę uwiązany jest, iż choć chce co dobrego czynić, czart mu nie dopuszcza, ale go do siebie targa i w większe błoto grzechu wlecze: aż za łaską Bożą i wielką pilnością własną grzeszny człowiek nić onę, to jest zły nałóg ku czarta zmartwieniu przerwać i gwałt sobie zadać musi, toż dopiero i wolnym być i w pokucie dobrze czynić może.“

Zdania moralne.

Dusza i sława nie mogą być pogrzebione.

Cnota i prawda w ręku jest Boskiem.

Człowiek sprawiedliwy słońcem jest pomiędzy ludźmi.

Nauka matką jest wszelkiej pociechy, ale do nabycia jej trzeba wiele pracy i cierpliwości; — jest każdemu przydatna, ale nie łatwa; lecz za to choć cię wszystko opuści, nauka nigdy.

Jest, jak to mówią, w naszym kraju z Bożej łaski *żyto do chleba, len do płótna*, *owce do sukna*, *stada do koni*, *kruszce do broni*, — lecz z tego wszystkiego trzeba użytkować pracą ciągłą, ustawiczną; trzeba gospodarzyć, grosz zatrzymać, nie tak jak to mówią: *co zarobili to i strawili.*

Do pracy człowiek się rodzi,
Praca ozdobą człowieka,
Po pracy spoczynek czeka,
Wesołość trudy nagrodzi.

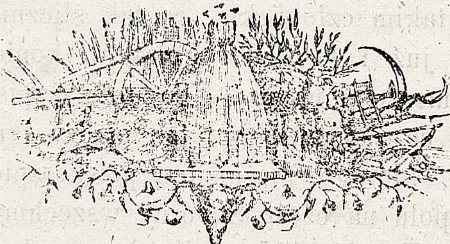
Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom XI. Nr. 2.
11. lipca 1864.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK
PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Franciszek Karpiński.

Każdy z was, kochani bracia, zna pewno na pamięć owe piękne pieśni nabożne, któremi pobożni Polacy chwalą Pana Boga wstając ze snu i zasypiając, a z których się jedna zaczyna: *Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze,* a druga zaś wieczorna: *Wszystkie nasze dzienne sprawy — przyjm litośnie Boże prawy....*

A gdybym was zapytał moi ludkowie, kto to te pieśni nabożne tak pięknie na chwałę Bożą ułożył, czy wiedzielibyście, co na to odpowiedzieć?....

No już to co prawda to nie grzech; nie każdy z was mógłby na to jak przynależy dać odpowiedź, boć to i trudno aby człek od pługa i roli wiedział jak się patrzy o wszystkiem. Ale przecież i niejeden kmiotek, jeżeli mu się trafiło nauczyć się czego za młodu a potem w święto i niedzielę do jakiej xiążki zaglądnął, nie dałby się powstydzić i powiedziałby zaraz, że te pieśni ułożył pewien rodak nasz zacny, co się nazywał Franciszek Karpiński.

Ktoby tak odpowiedział, miałby prawdę świętą, bo nie kto inny, jeno ten Franciszek Karpiński takie piękne pieśni nabożne ułożył. Zaś o takim człowieku, co tak ślicznie oddał chwałę Panu Bogu, to już i każdemu Polakowi koniecznie wiedzieć wszystko dokumentnie należy. To też wypisujemy wam tu w Dzwoneczku, co za jeden był ten mądry i nabożny Franciszek Karpiński, którego pieśni lud polski spiewa w kościele, w chacie i na polu na cześć Stwórcy wszechmocnego.

Franciszek Karpiński urodził się w roku 1741 w Hołoskowie między ruskimi góralami, co to mieszkają w kołomyjskim cyrkule. A już to w sam dzień urodzenia Pan Bóg uchronił małego Franciszka od niebezpieczeństwa i zachował go prawie cudem na świecie. Bo to musicie wiedzieć kochani ludkowie, że w tych górach kołomyjskich to huk było rabusiów, czyli jak ich tam zwali opryszków. Hersztem tych opryszków był jeden okrutnie odważny chłop, co się zwał Dobosz i napadał z swoimi kamratami na wsie i miasta, rabując wszystko, co się dało.

Otoż na kilka godzin przed urodzeniem Franciszka przyjechał sąsiad do jego ojca i z wielkim strachem mu mówi:

— Wiesz co kochany sąsiedzie, zbój Dobosz ma napaść dziś w nocy na twój dom, uciekaj tedy póki możesz!...

Okrutnie się przeraził ojciec Franciszka i nie myśląc długo zabrał co mógł i wyniósł się z domu. Ale żony to już nie mógł wziąć, bo była bardzo słabą, więc polecił ją Panu Bogu i to dziecko, które na świat wydać miała. Mamce zaś co była przy chorej nakazał, aby dla Dobosza i innych rabusiów przygotowała gorzałki, chleba, masła i innego jadła, i raczyła ich po ludzku a prosiła, aby matce i dziecku nic złego nie zrobili.

Zaledwie ojciec uciekł do lasu przed zbójcami, kiedy żona jego powiła syna Franciszka. Dopiero godzinę całą było na świecie małe dziecię, kiedy naraz z wrzaskiem i trzaskiem napadli na dom rabusie. Gdy wskoczyli do izby, nie zastali nikogo jeno matkę i mamkę, która na ręku nowonarodzone dziecię piastowała. Matka na widok rabusiów z fuzjami i nożami zemdlała, ale mamka za to nie odeszła od rozumu, jeno trzymając maleńkiego Franciszka na ręku, rzekła do samego najstarszego zbójcy Dobosza:

— Oto godzina dopiero minęła, jak to dziecię się narodziło, miej pamięć na Boga, na tę matkę jeszcze cierpiacą i nie rób tu żadnej przykrości, kiedy cię jak dobrego gościa przyjmujemy!

Zmiękczyło się serce rozbójnika i nakazał swym towarzyszom, aby broń Boże nic złego nie robili w domu. Potem zasiadł do stołu, co go mamka gorzałką, chlebem i serem zastawiła, i jadł spokojnie wraz z innymi. Kiedy już odchodził, to wyjął z torby trzy czerwone złote i dał je mamce, mówiąc:

— No już to ja także człowiek a nie żadny zwierz dziki i nic wam złego nie zrobię. A proszę was pięknie, dajcie temu dziecku na moją pamiątkę imię Ołeksa, bo ja się także tak po ruskim chrzcie nazywam!

Potem zawołał na innych zbójów i wyszedł z domu po ludzku. Kiedy ojciec wrócił do domu, bardzo się dziwował nad tym przytrafunkiem i dziękował Panu Bogu, że mu żonę i dziecko uratował. Zaś nie nazwał synka na chrzcie św. tak jak chciał ów Dobosz, jeno dał mu imię Franciszek.

Od tego czasu chował się mały Franciszek w zdrowiu, a gdy wyrósł w lata, to się bardzo dobrze uczył i tyle rozumu okazywał, że zaraz przewidzieć można było, że z niego będzie kiedyś bardzo mądry i sławny człowiek. Skoro już doszedł jakich lat dwadzieścia, już począł prześliczne składać spiewanki, że aż ludzi za serce chwytało. Bo to już Pan Bóg dał mu taką władzę, że co jeno chciał, to tak zaraz wierszami do składu ułożył, że się i odsłuchać nie było można.

A już to najpiękniejsze pieśni układał Franciszek Karpiński na chwałę Bożą, a potem zaś pisał spiewki piękne o was, kochani kmiotkowie, i o ziemi swojej rodzinnej, bo po Bogu to ludek wiejski i ojczyznę kochał najbardziej ten zacny pisarz i pobożny Polak.

A przytem wszystkiem był ten Franciszek Karpiński bardzo dobrym i serdecznym młodzieńcem, i choć go Pan Bóg takim rozumem obdarował, to był zawsze cichym i skromnym, jak na każdego uczciwego człowieka przystało. Zaś ojca swego kochał bardzo i był mu posłusznym zawsze i we wszystkiem,

i nigdy ani jednego słówka złego nie odmruknął na jego rozkaz, jak to nieraz inni czynią.

Nie potrzeba więcej, jeno jeden wypadek wam opowiedzieć, a zobaczycie, jak ten sławny wierszopis Franciszek Karpiński szanował swego ojca.

Kiedy już Franciszek był męczczyzną pod wąsem i wszystkie szkoły co do jednej pokończył, przyjechał był do domu odwidzić swego ojca, co już był stary bardzo. Otoż kiedy raz tak rozmawia z swym ojcem, przystąpił tenże do niego i aby wypróbować pokorę swego syna, uderzył go nagle w twarz. No i cóż wy na to? Czy myślicie, że Karpiński rozgniewał się na ojca choć go niewinnie tak ciężko pokarał?... Toć pewnie, że lada inny chłopczysko byłby tak zrobił i możeby nawet ojcu jakie złe słowo odpowiedział, ale Karpiński takie miał pokorne serce dla ojca, że ani słówka nie powiedział, jeno zniósł krzywdę w milczeniu, spuścił oczy na dół, czekał co dalej będzie i nie pytał się nawet, za co go ojciec tak pokarał!...

Kiedy ojciec zobaczył tę pokorę swego syna, bo jak wam już powiedziałem, chciał jeno wypróbować jego serce, zarazci przyskoczy do niego i począł go ściskać i całować z wielką miłością.

Aż się rozpłakał starowina, że ma takiego dobrego syna i zawołał z płaczem:

— Synu mój! Ja zwyczajnie prosty człowiek, a ty już filozof, próbowałem cię tylko, jak też przyjmiesz karę od twego ojca! Ale kiedyś ty skromny i pokorny, kiedy mnie w starości mojej szanujesz: (tu ukląkł stary ojciec na środku izby i podniósł ręce do góry) Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba, pobłogosław to dziecię moje, niech żyje długo zdrowo i szczęśliwie!...

Upadł do nóg Franciszek ojcu, a ten mówi dalej do niego:

— Synu mój! Szanuj ludzi a będziesz szanowany! Ten policzek, który odebrałeś od ojca, niech będzie ostatni, który ci w życiu był dany!

Otoż widzicie, kochani ludkowie, błogosławieństwo ojcowskie nie poszło w las. Bóg był łaskaw na Franciszka i pomagał mu przez życie całe. Im starszym był Karpiński, tem piękniejsze układał pieśni i wiersze, a nie zadługo to w całej

Polsce już nic innego nie spiewają ludzie, jeno jego piosneczki. Jak Polska szeroka i długa, tak już wychwalają wszyscy tego Karpińskiego, co takie piękne pieśni pisze!

Niebawem to i sam król polski, Stanisław August, co panował jeszcze w owym czasie, rady sobie dać nie może, jeno chce widzieć tego człowieka, co umie tak pięknie wiersze składać. Przywołał więc do siebie do Warszawy Karpińskiego i pokochał go bardzo, i tak go poważał jak swego starszego brata. Panowie wielcy też to samo, jeden przeganiał drugiego, aby jeno ugościć mógł takiego sławnego Polaka.

Ale Karpiński nie był wcale pysznym na swój rozum i łaski królewskie, jeno zawsze był pokornym jak dawniej. A co więcej nawet sprzykrzyło mu się życie pańskie i wszystkie uciechy miejskie, i aż mu serce pukało za wsią i za ludkiem polskim, co go to ukochał całą duszą!...

Więc też i długo nie chciał być w Warszawie, jeno mówił:

— Dobrze mi tu u was, ale lepiej mi w domku wiejskim i przy chłopkach poczciwych! Już ja tu w Warszawie długo nie wytrzymam, jeno wrócić muszę na wieś!...

I jak powiedział tak zrobił, wrócił pod strzechę ojcowską i tam żył nabożnie i mnóstwo jeszcze pięknych spiewanek ułożył, a gdy umarł, to znajomi jego tak po nim płakali, jakby po najbliższym jakim krewniaku.

Podumka nad pługiem.

Pługu mój drogi, pługu poczciwy!
Gdy prujesz ostrem żelazem,
Tę ziemię moją, te moje niwy,
Smutnym i wesół zarazem!...

Pługu mój drogi, pługu mój stary!
Nie jeden rok ty na świecie,
Tyś z siwym włosem moim do pary,
Obu nas starość już gniecie!...

Tobą to swoje krajał zagony
Jeszcze mój ojciec sędziwy —

A gdy mu na śmierć jęknęły dzwony,
Tyś został! pługu poczciwy!...

Kiedy przy ojca płakałem zgonie
Rzekł patrząc na mnie z tęsknotą:
„Masz pług ten stary i zdrowe dłonie,
„Nie będziesz synu sierotą!...

„Pracuj tym pługiem na polskiej roli
„Jak wszyscy polscy oracze,
„Bo serce ojca w grobie zaboli,
„Jeśli uczynisz inaczej...“

Owoż pracuję aż do starości
Wraz z tobą pługu mój stary!
I póki w grobie nie złożę kości
Dotrzymam tobie ja wiary!...

Orzem już długo tę rolę czarną
A skąpe było nam żniwo,
Nie jedno poszło w życiu nam marno,
I dola poszła nam krzywo!

Oj! choćbyś zorał i Polskę całą,
Nie znajdziesz bracie ty doli!
Dużo krwi znajdziesz — kości nie mało,
Aż serce ciężko zaboli!...

Nie długo tobą, pługu ojcowski!
Orać ja będę znękany,
Będziesz — gdy stanę już przed sąd boski,
Sierotą pługu kochany!

Gdy mi powieka przed śmiercią zwiśnie,
Twe mi żelazo zaświeci,
I stara szabla nad łożem błyśnie,
Oboje polskie to dzieci!...

Życie przebiegło jak senna mara,
Drżącemi żegnam was słowy:
„Bywaj mi zdrowa ty szablo stara,
„Pługu kochany bądź zdrowy!....“

W. z S.

Bartek hajduk
i jego przygody między Turkami.

Opowiedział Wojtek ze Smolnicy.

Już temu nie zadługo 300 lat będzie, kiedy pan Hieronim Łaski zebrał sobie nie małą garść wojaków, aby pójść na pomoc xięciu, czyli jak go zwano inaczej, hospodarowi wołoskiemu Radule przeciw Turkom. Bo trzeba wam wiedzieć, że ten hospodar Raduła w wielkich był kłopotach, bo go Turcy zewsząd najeżdżali. Mnóstwo tam było pogan, a Raduła nie miał tyle wojska, aby się opędzić od tego plugastwa.

Żal się owo zrobiło panu wojewodzicowi Hieronimowi Łaskiemu biednego hospodara Raduły, a że za dawnych czasów panowie polscy nie żałowali ani krwi ani mienia, byle tylko stanąć w obronie świętej wiary chrześcjańskiej, więc też pan Łaski nie namyślał się długo, ale razu pewnego sprosiwszy sąsiadów i zgromadziwszy swoje sługi, zawołał:

— Panowie bracia! Kto mój przyjaciel i dobry katolik, niechajże ima za szablę, siada na konia i hejże za mną do Wołoszy na brodacza Turka!...

Sąsiedzi duchem się zgodzili a i słudzy wierni skoczyliby byli w ogień za swoim panem, więc ni ztąd ni zowąd zebrała się nie mała kupka i nuż za panem Łaskim na wojenkę!

Zaś między sługami pana Łaskiego znajdował się i hajduk Bartek. Skoro zobaczył, że się wszyscy zbierają na wojnę, takci i jemu markotno było zostać w domu, więc siadł tam na jakąś szkapinę, przypasał jakieś pordzewiałe szablisko, i pojechał za innymi. A był Bartek chłop jak Barabasz, wysoki jak jodła, a silny, że aż strach zbierał. Że zaś nie miał ani zbroi jak się patrzy, ani też nie znał się należycie na wojackiem rzemiośle, to go nie mogli postawić między prawdziwych wojaków, jeno kazali mu jechać z innymi hajdukami przy wozach i pilnować je od napaści.

Nie zadługo wojsko pana Łaskiego stanęło na ziemi wołoskiej, a w sam czas właśnie przybyło, bo wojska tureckiego

huk się już nazbierało. Okrutnie się rozradował hospodar Raduła, kiedy ujrzał, że mu tyle chwatów przybyło, i myślał, że Turków rozpędzi na cztery wiatry, ale mu snać palec Boży sądził inaczej...

Bo to gdziekolwiek było spojrzeć, wszędzie Turków jak maku. Zaś sam hospodar Raduła maluczko miał wojska, a i naszych było dziesięć razy mniej niż pogan. Rozpoczęła się bitka, nasi wywijali szablami jak wrzecionem, i gdzie tylko zabłysnął pałasz polski, zaraz się potoczył jeden łeb turecki na ziemię. Narąbali się tam Polacy pogaństwa jak kapusty, ale cóż kiedy tam tego niedowiarstwa była moc nieprzebrana! Dużo się krwi chrześcjańskiej polało, tureckiej jeszcze więcej napiła się ziemia — ale koniec końców Chrześcjanie nie mogli sobie dać rady i Turcy wygrali.

Kiedy już poganie ujrzeli, że wojsko chrześcjańskie cofa się z pola, zarazci rzucili się na wozy, aby je wraz z wszystkiemi pakunkami zrabować. Bartek hajduk, który stał przy wozach i przypatrywał się bitwie z daleka, bo choć go dłoń świerzbiała, nie mógł odstąpić z warty — zobaczył naraz, że ni ztąd ni zowąd czarna ćma pogan wali się ku niemu obcesem.

Pomiarkował, że źle, ale nie stracił jeszcze głowy, jeno przeżegnawszy się znakiem krzyża świętego chwycił za swoją szablinę, aby przynajmniej z bronią w ręku, po polsku oddać ducha Bogu

Ale to wszystko było już za późno. Nim Bartek zdołał zawinąć swą szablą, już go kilku Turków powaliło na ziemię jak barana, odebrali mu broń i popędzili razem z innymi niewolnikami do swego obozu.

Okrutny strach przejął Bartka i aż mu zęby jak szyba zadzwoniły. Myślał na pewno, że i godziny nie minie a Turcy go powieszą na pierwszym lepszym haku, albo w najlepszym razie przykują łańcuchem do swoich czółen, aby w głodzie i chłodzie aż do śmierci robił przy wiośle, jak to inni niewolnicy chrześcjańscy czynić musieli. Przypomniały mu się wszystkie straszne historye, które mu opowiadali doma ludzie o niewoli tureckiej i aż mu czupryna od zgrozy kolcem się najeżyła na głowie.

Wlecze się tedy za Turkami Bartek jak na szubienicę, a co krok postąpi to jeden pacierz zaczyna, a żadnego skończyć nie może, bo mu zęby kłapią od wielkiego strachu, jak bocianowi...

Nasprowadzali poganie jeńców ze wszystkich stron ilość ogromną, a wszystkich ustawili w jedną kupę. I Bartka zawlekli do tej gromady poganie, pilnując dobrze aby żaden z pojmanych Chrześcjan nie uciekł. Bartek rozgląda się do koła siebie i widzi, że tuż obok niego jeszcze mnóstwo innych jest jeńców, ale cóż kiedy on ze wszystkich był najwyższy i prawie o całą głowę sterczał po nad całą gromadę!

Jeszcze większy strach zebrał Bartka, kiedy ujrzał, że jego głowę najbardziej widno z tłumu i myśli sobie:

— O na Jezusa! A cóż ja pocznę nieszczęśliwy! Moja głowa sterczy do góry, jak arbuz na tyce, toć jak przyjdzie starszy pogański, to najpierwej zobaczy moją głowę i ściąć każe jak makówkę!...

I frasując się tak o siebie przykucznął Bartek na kolana, aby głowę schował między innych. Ale co Bartek przycupnie na kolana, to janczary tureckie zaraz go pod żebra, aby wstał, bo myśleli, że chce uciekać.

Trzęsie się Bartek jak liść na drzewie i pacierze odmawia, i zębami dzwoni jak na nieszpory, i sam siebie przeklina że taki wielki urosł. Kurczy szyję jak gęś, aż kark mu trzeszczy, a głowa jak sterczy tak sterczy!...

Aż tu nareszcie ruch się zrobił wielki między poganami, rozstępują się wszyscy do koła, bo sam najstarszy jenerał turecki, co go to zwano b a s z a, idzie oglądać połapanych Chrześcjan.

Skostniał Bartek cały i już choćby chciał nie mógł skurczyć szyji, bo mu tak od wielkiego przerażenia stwardła jak kołek dębowy!... Tymczasem starszy turecki popatrzył na niewolników, i ledwo okiem po nich przebiegł, zaraz mu wpadła w oczy głowa Bartka!..

Zaraz zobaczył Bartek, że basza pogański w niego wprost patrzy, i tak mu się czarno w oczach zrobiło, jak w nocy na nowiu.

— O Jezu Nazareński! przepadłem! — szepnął sam do siebie.

Zaś basza wskazał na Bartka palcem, a Bartkowi zdawało się, że ktoś mu szpikulcem rozpalonym pod sam nos zajechał!...

— Wyprowadzić tu naprzód tego wysokiego drągala! — zawołał basza pokazując ręką na Bartka.

— Już po mnie! — zawołał w okrutnym frasunku Bartek i aż się zatoczył na nogach.

Poskoczyli tureccy żołnierze i wywlekli Bartka przed samego baszę. Basza coś zaszwargotał po pogańsku i machnął ręką tylko, a żołnierze porwali dalej biednego Bartka za sobą.

— Pewnie na szubienicę! — woła przestraszony Bartek — a bodajżeś pękł ty pogański synu!

I począł się Bartek okrutnie szarpać z Turkami i ani rusz nie chce iść z nimi, bo myśli, że tam już hak czeka na niego pewnikiem. Turcy się szamotają i z wielką biedą ciągną Bartka z sobą, bo to był chłop okropnie silny i duży, aż w końcu zawlekli go przed jakąś budę..

Jak Bartek zobaczył budę, tak zaczął wrzeszczeć na całe gardło:

— A łotry! a psiawiary! a bezbożniki pogańskie! To wy mnie chcecie zamotłoszyć gdzieś w jakiejś jamie?... Kiedy mnie już jak zbója powiesić macie, to wieszajcież mnie na czystem polu, abym widział słonko Boże i niebo szerokie!...

Ale Bartek swoje a Turki swoje. Zanim się spojrzał, już go zawlekli do budy, posadzili go na stołek jakiś, trzymając go co siły, bo chłop się rwie jak wilk na wszystkie strony.

— Co to będzie? Co to będzie? — mruczy Bartek i szarpie się z całej mocy, ale go Turki jak obcęgami ułapili.

Aż tu naraz wychodzi jakiś czarny jak djabeł człowiek, murzyn pono i trzyma w ręku jakiś nóż błyszczący.

— A toć kat pewnie! — zawołał Bartek i patrzy już białkiem tylko na czarnego oczajduszę.

Potem zamknął oczy i gotów był na śmierć pewną...

Naraz usłyszał coś zimnego na brodzie, a potem jakieś struganie, jakby brzytwą. Roztwiera więc Bartek oczy pomału i patrzy co z nim robią?... Aż oczom swoim nie chciał uwierzyć,

kiedy zobaczył, że ten czarny człowiek mydłem go pomazał i brzytwą goli!...

Rozdziawił Bartek gębę z zdziwienia, jak wrota od stodoły i już ani rusz nie wie co ma sobie myśleć. Zaś potem mówi sam do siebie:

— A to cud jakiś boski! Poszaleli poganie czy co! Ha, co prawda, to prawda, lepiej że mnie ogolą, niż aby mi łeb ścięli albo powiesili!

I już ani słówka nie mówi dalej, jeno siedzi cicho i cierpi wszystko, co z nim wyrabiają Turcy. Tymczasem czarny cerulik turecki już go tak czysto ogolił, że mu broda świeciła się jak ohyblowana, a wtedy przyskoczyli Turcy do Bartka i poczynają ściągać z niego wszystek przyodziewek jedno po drugiem, a tak prędko, że się Bartkowi aż w głowie tumaniło...

Gdy go już rozebrali do gołego, wtedy go ciągną do izby drugiej, i tam rzucają go w wielką beczkę z ciepłą wodą, i nuż go dopiero i mydlić i parzyć i myć i szurować, że mało biednemu Bartkowi skóra nie zlazła z ciała jak łupina z gotowanych ziemniaków.

Gdy go już Turcy umyli jak się patrzy, wtedy zaczęli go czesać i smarować pachnącym olejem, a potem ubrali go w piękne suknie i wyprowadzili z budy.

Co się zaś stało dalej z Bartkiem hajdukiem, to już znowu aż w drugim numerku Dzwonka wam opowiem.

Pogadanka o tytoniu.

Siedział sobie na ławeczce przed domem pod starą lipą Szymon organista, co był człek bardzo zacny i rozumny i dziatki wiejskie uczył w szkole. A był to wieczór letni, piękniutki i ciepły że aż miło, więc też Szymon nie kwapił się do snu, jeno siedział ta patrzył na czyste niebo, na którem się już gwiazdy pokazywać zaczynały.

Kiedy tak siedzi i duma, nadchodzi naraz Tomasz Wiorek, co miał pole daleko za wsią i dla tego późno powracał do domu. Tomasz zobaczywszy przed chatą organistę uchylił kapelusza i rzekł:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! — odpowiada organista — a zkąd to tak późno Tomaszu?

— A z pola — mówi Tomasz.

Zaś organista:

— Toć jeśli wam nie pilno, to siądźcie trochę, a pogadamy sobie, bo wieczór piękny, że człeku aż spać żal, choć się napracował.

Usłuchał Tomasz, siadł na ławeczce pod lipą i rzecze:

— Prawdę macie, ot chyba zakurzę sobie lulkę, ta pogawędzę z wami, panie Szymonie.

Wyjął więc Tomasz paczkę tytoniu a zdziwował się bardzo, że już go bardzo mało było i ledwie czem fajkę nałożyć starczyło, zamyślał się i mówi:

— Ot trzeba jutro znowu tytoniu kupić, także wydatek, bo grosz do grosza, to się zbierze suma. Ciekawym też, kto to kurzenie tego tytoniu wymyślił i zkąd też ten tytoń wziął się u nas, że go ludzie nie wiem dla jakiej przyczyny tyle kurzą?

A organista na to:

— Toć to nie jedną setkę lat żyli ludzie na ziemi, a nie znali jako żywo co to jest tytoń, a po narodzeniu naszego Zbawiciela Chrystusa to już dobrych półtora tysiąca lat było minęło, kiedy dopiero ludzie znaleźli tytoń.

— Hm! — powie Tomasz — a czegóżby to ludzie nie wynaleźli. Ja ciekaw jeno gdzie oni tytoń odkryli?

— No to ja wam opowiem Tomaszu — odpowie organista — jeżeli jeno posłuchać zechcecie. Już temu za jakie kilka dziesiątek roczków 400 lat minie, kiedy cudzoziemcy, a już to najbardziej Hiszpanie i Portugalczycy, co to w dalekim bardzo kraju na południe mieszkają, wybrali się na morze i szukali gdzie jakiegoś nieznanego jeszcze kawałka ziemi. A już to najsławniejszy między tymi Hiszpanami, co na okrętach po morzu pływali i nieznanych krajów szukali, był Kolumb niejaki, co póty szukał i szukał, aż póki całej części świata nie znalazł, o której jeszcze ludzie tak nic nie wiedzieli jak tabaka w rogu. Zaś tę nową część świata nazwali Ameryką. Otoż

w tych odkrytych krajach moc była rzeczy, co ich ludzie jeszcze nie widzieli i dopiero potem zwozili na okrętach.

— Aha! — mówi Tomasz — toć pewnie i tytoń tam znaleźli!

— A jużci że tak — mówi Szymon — wtedy to tam na tych wyspach rozmaitych, co na nich dzikie ludzie mieszkali, znaleźli tytoń, akuratnie tak jak ziemniaki.

— To ziemniaki także z Ameryki? — pyta Tomasz.

— A nie inaczej jeno tak — odpowiedział Szymon.

Na to Tomasz:

— No żeć tam ziemniaki znaleźli, to mieli rozum, bo to pożywienie dobre dla ludzi, i nie tak ci trudno było spenetrować, na co się ono przyda, ale co tytoń, toć jak mi Bóg miły nie wiem, zkąd się go ludziska chwycili?

— A bo widzicie — rzecze Szymon — kiedy do Ameryki Hiszpanie zapłynęli, to zastali tam dzikich ludzi, a oni sobie już kurzyli na piękne ten tytoń, a tak zwijali liście, gdyby cygara, co to w mieście ludzie palą!

— No i patrzajcie — zawołał Tomasz — i to od nich nauczyli się inni ludzie kurzyć tytoń!

— A tak — odpowiedział Szymon — jak Hiszpanie zobaczyli ten tytoń, co go kurzą tamci ludzie, więc im się zaraz to spodobało, boć tak to już na świecie, że wszystko co nowe, to podoba się ludziom. Zarazci tedy nawieźli tego ziela tytoniowego do swoich krajów i rozsyłali po całym świecie.

— A jakżeż oni tytoń zwozili, czy w liściach?

— Z początku to w liściach tylko, a potem to i nasiona sprowadzali sobie i siali po polach.

— I przyjmowało się to na obcej ziemi? — pytał Tomasz.

— A czemu nie — odpowiedział Szymon — tytoń to jest taka roślina, co bardzo łatwo przyjmuje się i rośnie na każdym gruncie. Zaś póki jeszcze zielona, to nie ma ani zapachu ani smaku, i dopiero gdy zeschnie to się robi taka ostra.

— No proszę was — pyta się dalej Tomasz — czy prędko się też ludzie przyzwyczaili kurzyć, boć to także kawałeczek sztuki, i pamiętam co mi się bywało nazawracała głowa, kiedym młodym chłopakiem jeszcze próbował nauczyć się lulkę kurzyć?

— Ano! — mówi Szymon — jakoś się wprawił świat cały do tego tytoniu, choć gorzki i ostry i kurzyli potem młodzi i starzy na piękne. Zrazu to królowie i biskupi strasznie się gniewali na ten tytoń i surowo zakazywali go palić. Xięża to nawet w kościołach ludowi zakazywali, aby fajki nie kurzyli, ani nie zażywali tabaki, co także robi się z tytoniu.

— A czemuż to tak? — pytał Tomasz.

— Trzeba wam bowiem wiedzieć — odpowiedział Szymon — że zielsko to zrazu bardzo nieprzyjemnem było ludziom, a choć jaki taki kurzył, to drugi się srożył na to. Bo też i tytoń ma w sobie bardzo wielką truciznę, co się nazywa Nikotyn.

— Oj, oj! — woła Tomasz — truciznę! ano patrzcie! — i wyciągnął prędko fajeczkę z zębów.

— No no — mówi Szymon — nie strachajcie się bardzo, bo to tej trucizny w tytoniu bardzo mało, i trzebaby dopiero maszyną dusić z jaki cetnar tytoniu, aby z niego trochę tej trucizny wydusić. Zaś w jednej lulce to jej nie ma i odrobinki. A taka to trucizna straszna, że jakbyś umoczył w nią igłę i przyłożył do języka, to ci zaraz zczernieje i stwardnieje jak kołek.

— No to przecież to źle kurzyć tytoń! — mówi Tomasz.

Zaś Szymon:

— A jużci, że robi lepiej, kto go nie pali, ale kto się już wzwyczaił, to mu i nic nie szkodzi, i lepiej nawet, żeby kurzył fajkę, niż aby zalewał pałkę gorzałką, co to jest trucizną najstraszniejszą. Kto już długo pali tytoń, to temu już nie łatwo porzucić lulkę, a w smutku i utrapieniu jakiem, to zdaje mu się, że lżej będzie, kiedy ma w zębach cybuszek. A Rusini to mają takie przysłowie, że jak kto jedzie w drogę, to powinien zakurzyć lulkę, aby żonie nie było markotno.

— A czemu to tytoniu sadzić nie wolno tak w ogrodzie jak inne ziele? — pyta dalej Tomasz.

— Bo widzicie — odpowiedział Szymon — jak już ludzie mocno poczęli kurzyć tytoń, to każdy monarcha aby mieć zysk, wydał zaraz takie prawo, że nikomu nie wolno sadzić i przedawać tytoniu, jeno jemu, tak samo, jak na przykład sól. Takie prawo to się nazywa monopol. Dawniej to na Węgrzech siali tytoń, ale teraz to i tam już nie wolno.

— Ale bo tego tytoniu, to jest moc gatunków — mówi Tomasz — a nieraz to i bardzo dużo kosztują pieniędzy.

— A nie inaczej — odpowiedział Tomasz — są tańsze i droższe gatunki, a już to najlepszy i najdroższy tytoń jest turecki prawdziwy, co taki żółciutki jak szafran, a cieniuchny i długi, jak włosy u białogłowy. Także i cygara są rozmaite, a nie jedne z nich to takie długie i grube, gdyby dobry sworzeń i moc pieniędzy kosztują. Po miastach to panowie na ulicach nie kurzą lulki jeno takie cygara.

— Tożto dopiero marny wydatek! — mówi Tomasz — tak z dymem puszczać grube pieniądze, co innego, kiedy człek sobie pali po trosze i za tanie pieniądze.

— Na tem to wszystko polega — odpowiedział Szymon — aby być zawsze umiarkowanym i niczego nad miarę nie używać. Kto dużo bardzo pali, to mu i na kieszeni i na zdrowiu szkodzi, ale kto w samą miarę, to nie ma się co i swarzyć o to. Zaś niech Bóg broni, aby dzieci paliły tytoń, jak to nieraz bywa, że młodzi chłopacy, co mają jeszcze mleko pod nosem, już ćmią tytoń i kurzą jak z komina. Dla młodych tytoń jest trucizną, a kto nie ma wąsa, temu i lulka nie do twarzy.

— Złote słowa mówicie Szymonie — rzecze Tomasz — ale ot i fajeczka mi już zgasła, a czas do domu. Dziękuję wam żeście mi o tym tytoniu trochę rozpowiedzieli. Teraz to już i drugich mógłbym pouczyć.

Tomasz wstał z ławy i odchodząc rzekł do Szymona:

— Nocujcież zdrowi!

— Panu Bogu oddaję! — odpowiedział Szymon — i poszedł każdy do swej chaty.

RADY GOSPODARSKIE.

Jak robić należy, aby się drzewka owocowe na złym gruncie przyjmowały?

Często dają się słyszeć skargi, że się młode drzewa owocowe nie przyjmują, a to z powodu, że im grunt nie odpowiada, osobliwie jeśli ten grunt jest taki, że jeno z wierzchu cienki płat dobrej ziemi się znajduje, a zaraz pod spodem ka-

mień lub piasek; przez co zasadzone młode drzewka wkrótce chorować zaczynają, i po nie długim czasie zupełnie niszczeją.

Ażeby tak się nie działo, kopali ludzie przy szczepieniu drzewek dosyć głębokie i obszerne doły, które dobrą ziemią napełniali, ale doświadczenia okazały, że i to nic a nic nie pomagało. Teraz to radzą płytkie sadzenie drzew, które już dawniej jeden xiądz w Bawaryi podług własnych doświadczeń wypróbował.

Miał ten xiądz zły bardzo grunt w sadzie, bo z wierzchu to jeno taka szmatka, jak gdyby dłoń, dobrego była gruntu a pod spodem, to już jeno czysty kamień i piasek, a potem woda. Oto cóż zrobił?...

W miejscu, gdzie miało być drzewo wsadzone, wbijał on mocny pal, zbierał ziemię wierzchnią i nasypywał ziemi lepszej; potem na południe od pala sadził drzewko, korzenie ściągał i ziemią dostatecznie zasypywał. Wszystkie tak sadzone drzewka ślicznie się rozwijały i rosły, i dużo piękniejsze były od drzew, według dawnego sposobu szczepionych.

Dobrą byłoby rzeczą przy takiem płytkiem sadzeniu drzew, ziemię po nad korzeniami w pierwszych latach liściem obkładać, któreby z początku za gorące promienie słońca i wysuszające zawiewy wiatru wstrzymywały, z czasem zaś urodzajność ziemi zwiększyły. Liście te można jeszcze gałązkami, a w zimie nawet nawozem okryć: Chociażby grunt urodzajnym był, to należy przecież nie głębokie lecz płytkie doły kopać, coby podobne były do miski. Wtedy korzenie nie będą wrastać w niższą, nieurodzajną warstwę ziemi, lecz będą się rozpościerać wzdłuż właśnie dobrej i pożywnej dla siebie warstwy; ponieważ zaś dostateczne i zdrowe znajdą pożywienie i cieplej im będzie niż wtenczas, gdyby głębiej leżały, więc drzewka duchem się przyjmą.

RÓŻNOŚCI.

Przedaje skórę, a niedźwiedź w lesie. Pewien kuśnierz potrzebował niedźwiedziej skóry.

— Nie turbuj się — mówili mu dwaj sąsiedzi — wybieramy się dziś na polowanie i ubijemy ci najpiękniejszego niedźwiedzia.

Umówiwszy się więc o cenę skóry, poszli do lasu. Nim się spostrzegli, potężny niedźwiedź, ruszywszy z swego łożyska, kroczy prosto ku nim. Nasze junaki, zapomniawszy targu, zamiast rzucić się na zdobycz, w spiesznej ucieczce bezpieczeństwa szukać umyślili. Jeden wlazł czemprędzej na drzewo, drugi przypomniawszy sobie, że niedźwiedź nie tyka trupów, nie mogąc zemknąć, położył się na ziemi, i zatrzymał oddech, udając umarłego. Niedźwiedź obejrzał go, obwąchał i poszedł. Wtenczas ten, co był na drzewie, zapytał go się, co mu tak niedźwiedź do ucha szeptał.

— Oto — rzekł tenże — że nie trzeba sprzedawać skóry, póki niedźwiedź w lesie.

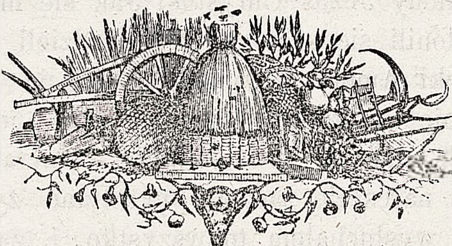
Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom XI. Nr. 3.

21. lipca 1864.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Elżbieta, królowa polska, matka królów, biskupów i świętych.

Gromada Szymanówka, co to należy do pana Jackowskiego, ma dobrych i pobożnych kmieci co do jednego, a mają ci kmieci taki rozum dobry, że sobie fundowali szkołę na dwie izby wielkie i wyuczył tam się niejeden chłopak i dziewka czytać, pisać, rachować, a wypytluje ci z pamięci każdego króla polskiego, jak nieprzymierzając młynarz zboże na dobrą mąkę. Osobliwie gazda Antoni Szmyd ma 6 dzieci, które są wszystkie wyuczone na xiążkach, ale dwa jego chłopaki: Szymuś i Sobuś to przeszli rozumem samego pisarza gromadzkiego, a nawet pana organistę starego.

Ja też ciekawy na takie szkoły, pojechałem sobie tam na examin tego roku i patrzę, a tu dzieci jak liścia na drzewie w obu izbach, a wszystko ogarnione, umyte, uczesane; kaftaniki białe i pasy na wierzchu, szpinki u koszul pod szyją, jak gwiazdeczki świecące, a nakrywki na głowie to albo kapeluszyki albo białe czapki, a nawet i rogate, takie jak mają

furmani dworscy nieraz od święta z pawiemi piórami. Wszedłem do szkoły i mówię:

— Pochwalony Jezus Chrystus! Jak się macie dzieci?

A oni pokłonili się głowami i powiedzieli razem:

— Na wieki Amen! Witamy Jegomości!

Siadam sobie na stołku, co mi go podał jeden szkolarz i słucham uważnie, jak oni to rachowali, to czytali, to katechizm odpowiadali, aż nareszcie zaczęli oni czytać żywot św. Kazimierza — a ja wysłuchałem to wszystko i zapytałem jednej dziewczyny:

— A jakto nazywała się matka tego św. Kazimierza?

A ona zaraz mi odpowiada tak:

— Matka św. Kazimierza zwała się Elżbieta królowa.

A ja pytam znowu dalej:

— A co to za jedna była ta Elżbieta i zkąd ona?

Ona mi gada:

— Ta Elżbieta pochodziła z niemieckiego kraju a była żoną Kazimierza Jagiellonczyka, króla polskiego w Krakowie.

— A jak się nazywali jej rodzice? — spytałem dalej.

Szkolarze mi na to nic nie odpowiedzieli, toż ja im opowiadał tak:

— Ojcem tej Elżbiety był cesarz niemiecki Albrecht i siedział sobie w Wiedniu, a matka znowu była Elżbieta także Niemka i miała ojca króla czeskiego. Ten ojciec jej cesarz Albrecht II był dobrym cesarzem u Niemców, tak samo i matka jej była pobożną, toż tacy rodzice pobożni mogli wychować i dobre dzieci. Ale nie raz jeden i nie drugi zabiera Bóg dzieciom rodziców zawczasu, a dzieci wtedy zostają sierotkami i idą pod opiekunów. Toż umarł i cesarz Albrecht II tak wcześnie, że biedna Elżbieta miała wtedy dopiero 3 roczki i została sierotką z matką swoją w Wiedniu. A sierocie to zazwyczaj źle się dzieje na świecie. To też i Elżbieta, choć była córką cesarza nieraz w swem sieroctwie zaznała gorzkiej niedoli. Ale za łaską bożą wszystko złe minie, a osobliwie dla tego, kto żyje w zgodzie z Bogiem i cnotą.

Kiedy Elżbieta wyrosła na pobożną, miłosierną i dobrą pannę, wtedy zaczął się do niej zalecać polski królewic Ka-

zimierz Jagiellonczyk, co miał wtedy jak uciął 27 roczków, a Elżbieta miała 15 roczków i wyglądała jak piękna lilja, jak pachnąca róża, a wszyscy znali jej pobożność i dobroć.

A ciekawy Szymuś na to mi powiada:

— To się ożenił z nią wtedy ten Kazimierz?

— A jużci się ożenił, mówię mu na to, i Bóg dopomógł naszemu polskiemu królewiczowi po wielkich korowodach wziąć ślub z tą pobożną Elżbietą, a dał mu ślub aż jeden święty z kraju Ojca swiętego, i to św. Jan Kapistran, a znowu byli na tym ślubie prawie wszyscy biskupi polscy i sam Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski, co to był pierwszym po Ojcu świętym i wolno mu było ubierać się tak, jak Ojcu świętemu i nawet w kościele nosił na głowie święcony kapelusz i taki płaszczyk, co się zwie paliusz, a jego nazywali Polacy kardynałem. A jaka to była uciecha w całej Polsce i Krakowie, to ani gadać o tem! Wesele całe ciągnęło się aż 2 tygodnie a gości było z różnych stron, jak napchał w Krakowie. To też tak to uradowało tę Elżbietę, że mówiła:

— Tu w całej Polsce, to tak jak w raju jakim!

Było to 1454. A teraz powie mi dalej Sobuś Szmyd, które to były dzieci jej w Krakowie?

Sobuś podumał sobie i powiada głośno:

— Jej synowie byli tacy: Władysław król węgierski i czeski, Kazimierz św., Jan Olbracht, Alexander i Zygmunt co byli królami w Krakowie jeden po drugim, a ostatni Fryderyk został xiędzem, potem arcybiskupem i kardynałem polskim. Było ich 6 razem, a wszyscy byli albo królami dobrymi, albo świętymi, albo biskupami.

A ja mu na to:

— Dobrześ trafił mój Sobusiu! a ja ci powiadam, że prócz tych 6 chłopaków było drugie tyle dziewek — to też jak to zasiadło wszystko do jedzenia przy jednym stole i matka razem, to opisują xiążki tak, że to wyglądało tak samo, jak pańska wieczerza gdzie było 12 uczniów a trzynasty był Pan Jezus.

A Sobuś poderwał sam i gada:

— A któżto wyżywił i wyuczył aż 12 dzieci?

A ja mu gadam:

*

— To wszystko wykarmiła wyżywiła i ta sama Elżbieta. Wszystkie jej dzieci chowały się pod jej okiem w jej dworze w Krakowie, aż do 10 roku — ona uczyła sama żegnać się, mówić paciorek, klękać do paciorka, legać i wstawać rano — każde musiało się samo umyć, ogarnąć, oczesać i ubrać, a potem szło do roboty albo do zabawki, jak matka kazała. A wszystko to słuchało matki, i żyło to cicho, w zgodzie pobożności i miłości, a matka dawała przykład z siebie. I opisują nam stare xiążki tak o niej.

Była ta Elżbieta świątobliwą, pościła, nosiła na sobie okrywkę czarną, jak jaka zakonnica, należała do bractwa Bożego ciała i św. Franciszka i najświętszej Panny w Krakowie, nosiła za pasem dużą koronkę; była ona nazbyt miłosierną, fundowała do 30 klasztorów i drugie tyle szpitalów dla kalek, wdów i sierot, a w Krakowie stoi do dziś na zamku w kościele kaplica św. Krzyża przez nią fundowana, a u św. Michała w kościele jest fundusz do dziś na biednych zakonników od niej, a po kościołach są drogie ornaty i kapy, które ona sprawiła, toż dzieci jej nauczyły się od niej bojaźni bożej, miłosierdzia, pobożności i były od ludzi za życia nazywane dla tego „Aniołkami“ a matka ich tak jak święta. — To opisują stare xiążki!

Sobuś słuchał tego uważnie i spytał:

— A gdzieto oni chodzili do szkoły?

— Widzisz Sobusiu! mówię mu, że wtedy była największa szkoła w samym Krakowie, gdzie oni wszyscy z matką siedzieli — chodzili też ci królewicze i do szkoły razem z innymi szkolarzami, ale oprócz tego trzymała im matka w domu profesorów aż dwa naraz — jeden był pobożny xiądz kanonik Długosz a drugi był aż z ziemi Ojca świętego taki pan mądry i zwał się dziwnie, pono Kalimach, i ci to uczyli królewiczów wszystkiego w domu. Ale nie trza było szukać wtedy po świecie całym takich mądrych profesorów, bo byli w samym Krakowie jeszcze lepsi — ot był wtedy bardzo mądry profesor Jaśko z Głogowa, syn mieszczański, był znowu drugi Brudzewski Wojciech z Krakowa rodem, był trzeci Marcin z Olkusza, był czwarty Stach Lwowczyk ze Lwowa, był Wit Stwosz, taki

majster, co złożył cały ołtarz u Panny Maryi w kościele, a wtedy razem z królewiczami uczył się w Krakowie Kopernik, rodem z Krakowa, co to porachował wszystkie gwiazdy na niebie i pierwszy na cały świat nauczał, że i nasza ziemia leci sobie w około słonka, i uczyli wtedy ci profesory w Krakowie takich rzeczy, że aż panowie różni i panie chodziły ich słuchać. Toż nie dziw, że się i królewicze uczyli wszystkiego dokumentnie, a ojcowie ich nie żałowali niczego na naukę.

Sobuś ciekawy podszedł mię i pyta:

— A to ci królewicze siadali razem w szkole w jednej ławce z drugimi szkolarzami?

— A ty jak myślał, mówię mu; toć oni mieli i w domu takie same ławeczki i tam siedzieli po starszyźnie jeden koło drugiego, a każdy z xiążką, piórem i skazówką w ręku, musiał dobrze uważać i umieć wszystko jak pacierz, bo jak zmylił albo nie umiał; to brał karę od kanonika Długosza, a jak się potem spróbował oskarżyć za to przed ojcem swym, królem, to mu ojciec nakiwał dobrze i powiadał ostro:

— Płacz sobie płacz nieboże, to ci nic nie pomoże, uczyć się każdemu trzeba, kto chce jeść dużo chleba, bez nauki są ludzie nieuki, kto się uczy choćby i w biedzie, nauka go do szczęścia zawiedzie. Jak się wypłaczesz, to widać, że się i poprawisz!

I musiał pójść królewicz jak po zmyciu i uczył się i słuchał kanonika Długosza, a do matki Elżbiety nie miał po co z płaczem i skargą chodzić, boby tam był jeszcze lepiej usłyszał.

Toż jak sam ojciec król zaszedł nie raz do szkoły, aby widzieć jak się uczą dzieci, to im gadał:

— Słuchajcie moje dzieci profesorów! my jesteśmy ojcami waszymi i dajemy wam okrycie, jedzenie i dom, a profesorowie są ojcami dla was jeszcze lepszymi, bo oni uczą was Boga znać, chwalić i dobrze robić! Otóż widzicie dzieci! jak to się uczyli sami królewicze i jak ich naganiali rodzice sami do nauki.

A znowu Sobuś zapytał mię:

— To tacy królewicze bogaci i panowie nie wstydzili się siadać razem z szkolarzami i przystawać z nimi?

— A czegoż się mieli wstydzić? mówię mu na to, ludzie nie powinni się wstydzić nigdy jeden drugiego, jeno trza się wstydzić złego! z dobrym przystawaj, od złego uciekaj za góry i lasy! Toż królewicze ci, aby się w niczem nie różnić z szkolarzami, mieli nawet jednaki ubior z nimi. Na zimę i w twardą jesień nosili węgierskie kożuszki jak jeden wraz jednakie, pod kożuszkiem mieli kamizelę aż do kolan i opasani byli paskiem świecącym skórzanym na stalową sprzączkę zatykaczką, koszule mieli z prostego płótna, które im sama królowa matka przycięła a siostry i panny dworskie uszyły, pod szyją świeciła się szpinka jak cwancygier duża, a buty mieli takie, jak noszą dotąd nasi polscy xięża. A na lato zamiast kożuszków to mieli sukmany letnie, jak to dziś noszą chłopi jeszcze w niedzielę. Otóż taki prosty ubior mieli ci królewicze, a ojcowie nie chcieli ubierać ich bogato, bo matka pobożna mówiła:

— Lepszy u Boga człek w cnocie, niżli grzesznik w złocie, kto ma naukę w głowie, a wstyd w myśli i we słowie, i jest życia pobożnego; temu złota nie potrzeba, on i w sukni podróżnego, zajdzie na pewne do nieba!

A znowu mię Sobuś poderwał:

— To może oni tak samo i biednie żyli?

— Biednie jak biednie! bo kiedy już potrzeba było, aby królewicze pokazali się na jakiej paradzie, to ich tak postrojono w złoto i axamity, że aż odpatrzeć się nie było można. Zaś kiedy z obcych krajów przyjechał do Polski jaki pan wielki, a król go zaprosił w gościnę, to już nic mu się tak nie spodobało, jak te dziatki królewskie! To też jak już odjechał taki cudzoziemiec, to istne cuda rozpowiadał w swoim kraju o tych paniętach, co to tak pięknie chowane, takie mądre a takie skromne, krótko mówiąc takie miłe, jak anioły. I nawet ci królewiczów nigdzie inaczej nie nazywano, jeno aniołami.

Jak się królewicze przez rok wyuczyli dobrze, to na lato woził ich kanonik Długosz po całym kraju po lasach, po górach, po wsiach i miastach — byli oni w Sączu, Tyńcu, Lwowie, Wilnie i wszędzie patrzali się na wszystko oczami

własnemi. Otóż widzicie dzieci: że taka matka Elżbieta doczekała się wielkiej pociechy z dzieci. Władysław został do razu królem dla Węgier i Czechów i był zawsze sprawiedliwy, miłosierny i pobożny do końca życia, a matka go lubiła strasznie i napisała nawet xiążkę, jak miał wychować wnuka jej Ludwika, co go później Turki zabili w Węgrzech pod Mochaczem.

Kazimierz został świętym, o którym czytacie teraz, a był on tak miłosiernym i dobrym, że odstąpił nie raz swego łóżka dla chorego, a sam legał na twardej ziemi koło niego, a jedzenie swoje rozdawał het dla ubogich.

Alexander był także bardzo dobrym dla chłopów polskich, zaglądał do ich chałupy, żeby najuboższej, rozmawiał z nimi, wypytywał się i nie raz pił i jadał u ich stołu, a piszą o nim, żeby był rozdał całą polską ziemię ubogim, gdyby był dłużej pożył.

Jan Olbracht i Zygmunt i Fryderyk byli bardzo statecznymi i rozumnymi, a Zygmunt był ojcem i królem dla Polaków, a tak go wszyscy serdecznie miłowali, że się z żalu po śmierci utulić nie mogli — a jak Polska długa i szeroka, to wszystko po nim żałobę nosiło. A córki swoje wydała Elżbieta za królów rozmaitych. Została potem wdową; żyła z mężem do 40 lat, a po jego śmierci ciągle za nim płakała, dawała jałmużnę i odmawiała paciorki. Przeżyła w Polsce do 50 lat i umarła roku 1504 w 65 roku życia.

Otóż św. Kazimierz miał taką matkę, że ją ludzie wspominali i pamiętali aż do czwartego pokolenia, a my Polacy pamiętamy ją i dziś. Kazałem potem to wszystko Sobusiowi i Szymusiowi powiedzieć z pamięci, a dzieci szkoły Szymonowskiej prosiły mię, aby to podać do Dzwonka, aby też i drudzy szkolarze i Polacy wiedzieli o tem raz na zawsze.

Xiądz Wojciech z Medyki.

DO GRAJKA.

Grajże grajku będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
Miły grajek się przyłoży
I basista nie najgorzej.

Ten zawadzi, ten doprawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi.
Miły Janek, dobra dusza
Jeno sobie nóżką rusza.

Po chałupie okiem wodzi
A smyczek mu już sam chodzi
Czasem to się tak zaduma
Aż go łokciem trąci kuma,
Co u niego we zwyczaju
Gdy wędruje po swym kraju
Za nutami, jedna, druga,
Ta króciuchna, a ta długa.
Lecą głosy do pamięci
Ode żniwa, sianożęci.
Grajże grajku będziesz w niebie
A basista koło ciebie.

Lecą, lecą nieproszone,
Na ten smyczek, na tę stronę,
Zabłąkane nuty chwyta;
Ta do tańca wyśmienita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia na kłopoty,
Grajże grajku będziesz w niebie
A basista koło ciebie!

Szumno, tłumno i wesoło,
Aby dalej, aby w koło,
Za drugimi, za gromadą
Maciej sąsiad za sąsiadą,
A za nimi skocznym tanem
Sunie Wojtek z dużym dzbanem.
Za płotami, jako mogą
Dzieci sobie swoją drogą.
Grajże grajku będziesz w niebie
A basista koło ciebie!

W okólniku skaczą żrebre,
Dziecko śmieje się w kolebce,
Kędy spojrzeć radość wszędy;
Dziwuje się kogut z grzędy,
I na drągu, na wysokim,
Przygląda się jednem okiem.
Stara wierzba głową chwieje,
Nie wiedząca co się dzieje;
Wyskakują płowe wzgórza,
Tylko gwiazda oczy zmruża.

Wszyscy skaczą jak najęci;
Aż tak sobie mówią święci:
Grajże grajku będziesz w niebie
A basista koło ciebie!

Zmarnowane bieda z nędzą,
Jak szalone ze wsi pędzą;
Po lipowym, starym moście
Na wesele jadą goście.
Jedzie matka dobra wola
Aż się złocą od niej pola,
Suknia na niej jak na pani
Złotem tkana, przerabiana,
Na przyjęcie siostra cnota
Otworzyła stare wrota;
Pokłoniły się jej pługi,
Stary żóraw tak jak długi,
Potem z izby buchła para,
Zaśmiała się szczęsna wiara:
Bywaj z nami, wieśniakami,
Stara matko bywaj z nami!
A któż w świecie was ugości,
Jeśli nie my ludzie prości?

Teraz grajku, miły Janku,
Mokre piwo w starym dzbanku.
Zagrajże nam tego co to...
Co to wiecie.... a z ochotą,
Tak okrutnie, żeby cała
Nasza Polska usłyszała,
Tak już przez moc wszelką siłą!
Żeby raz już dobrze było....

Od Warszawy do Krakowa
Już nam się złe nie uchowa.
Od Krakowa do Górali,
Od Górali jeszcze dalej....

Grajże grajku, bo daremno,
A ty Baśko kręć się ze mną;
Jak się Mazur puści szczerze,
Niech się świat za głowę bierze;
Jak się Mazur rozochoci,
Co na drodze to wygrzmoci.

Zagrajże mi grajku, proszę,
Wysypię ci w skrzynkę grosze.
Więc i dziewczę, szczere licho,
Podspiewuje jeszcze cicho:
Grajże grajku będziesz w niebie
A basista koło ciebie!

Biały ranek gwiazdy gasi,
Pospali się ludzie nasi.
Po weselu cicho wszędy,
Tylko kogut zfurnął z grzędy,
I na spiących snem głębokim
Ogląda się jednem okiem.

Teofil Lenartowicz.

Bartek hajduk
i jego przygody między Turkami.

Opowiedział Wojtek ze Śmolnicy.

(Dokończenie.)

Aż odsapnął Bartek, gdy wyszedł na świeże powietrze a w głowę zachodził okrutnie, co to wszystko ma znaczyć. Wyglądał już teraz jak panicz jaki, bo go to i ogolili i umyli i uczesali i przebrali, że aż miło.

Idzie Bartek gdzie go wiodą Turcy a już i pojąć nie może po co oni z nim takie komedye wyprawiają — gdy naraz go stawią przed owym jenerałem czyli b a s z ą tureckim.

Basza spojrzał na niego dzikiem okiem i zawołał:

— Otóż mam cię ptaszku!

Bartek nie rozumiał tych słów tureckich ale upadł na kolana przed baszą i mówi:

— Jaśnie Wielmożny Panie! Ja nic nie winny, ja się nie bił z twojem wojskiem, jenom stał przy wozach i patrzyłem!.... Ja jestem sobie biedny chudzina, prosty hajduk!...

Przetłumaczyli te słowa na tureckie baszy, a ten gdy to usłyszy, porwie się z siedzenia i woła:

— Nie kłam daremnie psie chrześciański!.... Ho, ho! nie oszukasz mnie bratku! Udajesz hajduka a ty tymczasem jesteś polskim jenerałem, czyli b e j e m!...

Bartek przysięga, klnie się na czem świat stoi, że on nigdy ani panem, ani jenerałem, ani bejem nie był, jeno prostym chłopem i hajdukiem u pana Łaskiego — ale Turcy ani rusz nie chcą temu uwierzyć, bo Bartek taki był chłop duży

i sążnisty, i tak czupurnie i okazale wyglądał, że byliby przysięgli, że to jaki wielki pan polski.

Zaś tem bardziej nie chcieli uwierzyć Turcy, aby Bartek był sobie ladajakim chudopachołkiem, że trafiało się bardzo często, jako wielcy i bogaci panowie polscy, jeżeli się dostali do niewoli, to udawali ubożuchnych prostaczków. A to nie dla czego innego, tylko dla tego, żeby Turcy od nich dużo pieniędzy nie żądali, jeno za jaki taki grosz znowu na wolność puścili.

Otóż i tym razem basza turecki myślał, że Bartek to jakiś wielki pan i wojownik polski, tylko się zadał za hajduka, aby wielkiej sumy wykupnej nie potrzebował płacić. To też choć Bartek przysięgał i klął co siły, nie uwierzyli mu poganie, ale umywszy go i przebrawszy, jakom wam już opowiedział, zaprowadzili go jako schwytanego jenerała polskiego aż do samej stolicy tureckiej, gdzie mieszka ich cesarz czyli sułtan, do wielkiego miasta Stambułu.

Gdy już basza turecki miał wjeżdżać do Stambułu, to aby się pochwalić przed innymi poganami, co to on za zuch, i ile on to nałapał Chrześcian, prowadził wszystkich niewolników za sobą, a zaś Bartka ogolonego i wystrojonego na samym przedzie, rozpowiadając wszystkim, że to sam jenerał polski!...

Poganie patrzali na hajduka Bartka, że mało im ślipie z głowy nie wylazły a dziwili się okrutnie, że jenerał polski taki chłop wielki i duży. Zaś potem zaprowadzili Bartka przed samego cesarza tureckiego i powiedzieli temu, że to wielki pan polski, co udaje hajduka, aby go za jakie takie grosiwo wypuszczono na wolność.

Bartek i przed cesarzem tureckim przysięgał, że jako żyw nigdy nie był ani panem ani jenerałem, ale nic mu to nie pomogło.

— Nie oszukasz ty mnie — mówił sułtan turecki — jeno muszą za ciebie Polacy kupę złota zapłacić, abym cię puścił, boś ty nie kto inny, jeno sam jenerał polski!...

— Kiedy tak koniecznie chcecie — pomyślał sobie Bartek — to niech będzie i na waszem, tać mnie to nie szkodzi, żeście tacy głupi!

Co prawda, nie zaszkodziło to Bartkowi nic, jeno mu pomogło, bo kiedy innych niewolników dręczyli Turcy jak bydło, to zaś jego w wielkiem mieli poszanowaniu i obchodzili się z nim jak z jajem.

Nie dali go jak innych do ciemnych lochów albo na okręta, ale osadzili do takiej wieży, co tylko dla wielkich panów na areszt była przyrządzona. W tej wieży, co stała w miejscu zwanem Jedykuł, siedział sobie Bartek wygodnie a brał jeszcze do tego wszystkiego od Turków 10 groszy na dzień na rozmaite drobne wydatki.

Turcy ciągle szanowali Bartka bardzo i oddawali mu honory, bo jeszcze zawsze wierzyli, że to jakiś jenerał polski a nie prosty hajduk pana Łaskiego. I tak żył sobie Bartek między Turkami i dziwował się nad ich głupotą a czekał, co da Bóg dalej.

Ale choć mu tam nie źle było w tej wieży, bo to chłopisko nic nie robił, jeno do góry brzuchem leżał, toć przecież markotno mu było za Polską i gdyby był mógł, to byłby uciekał do swoich, żeby aż paznogcie skrzypiały.

Tak trwało czas jakiś, aż naraz zdarzyło się, że zaszła znowu bitwa okrutna między Turkami a Polakami. Było to pod Cecorą w roku pańskim 1620. Stanisław Żółkiewski, sławny hetman polski, o którym już nieraz pisano wam w Dzwonku, wyruszył z polskiem wojskiem nad Dniestr, aby nie puścić Turków i Tatarów, co okrutną ćmą zwalić się chcieli na Polskę.

Ale pogan była czerń niezmierna a naszych garść nie wielka, więc też polscy wojacy, choć się bronili jak lwy, nie mogli podołać bisurmaństwu. Hetman Stanisław Żółkiewski chciał się tedy cofnąć nazad do Polski z swem wojskiem i choć mu już drogę niezmierne kupy Tatarstwa zaskoczyły, to przecież przebijał się coraz bliżej do polskiej ziemi. Tak przez sześć dni szablami otwierali sobie Polacy drogę do domu — ale w końcu otoczyła ich zewsząd taka okrutna liczba pogan, że czapkami zasypać by ich była mogła i w tedy już nie było rady.

Mnóstwo tam polskiej krwi się przelało a dzień ten pod Cecorą był to straszny dzień dla całego chrześcijaństwa, a

osobliwie dla Polski, co była zawsze pierwszą między chrześcijaństwem całem. Sam wielki hetman Stanisław Żółkiewski poległ w tej bitwie od szabli tureckiej a z nim bardzo wiele innych Polaków.

Zaś jeszcze więcej zabrali Turcy do niewoli. Między tymi co ich z sobą porwali poganie, był także i hetman Stanisław Koniecpolski.

Otóż tego Stanisława Koniecpolskiego zaprowadzili Turcy także do tej wieży, dla panów przeznaczonej, co jakem wam powiedział, była w Jedykule. Zaś wiecie już, że w tej wieży siedział także Bartek hajduk, co go Turcy mieli za jenerała polskiego.

Jak się Bartek dowiedział, że Turcy znowu nasprowadzali jeńców polskich, tak już i wytrzymać nie mógł, jeno chciał koniecznie widzieć się z swymi rodakami i wypytać się ich o wszystkiem, co tam w Polsce się stało. Prosi więc Turków, aby go zaprowadzili do jakiego Polaka, bo okrutnie pragnie, rozmówić się z nim o Polsce.

Turcy mu na to:

— Dobrze, chodź! Jest tu jeden taki jenerał polski, jak ty, to cię do niego zaprowadzimy!

I zaprowadzili Bartka do hetmana Koniecpolskiego. Bartek znał dawniej jeszcze jako hajduk tego pana, więc jak go obaczył, to zaraz mu się rzucił plackiem do nóg i począł płakać jak dziecko.

Turcy się zdziwili okrutnie, i nie mogli się domiarkować, dla czego Bartek swemu równemu pada do nóg, bo ani rusz z głowy im wyleźć nie chciało, że Bartek nie jest jenerałem.

Pytają się tedy pana Koniecpolskiego.

— Jakto? Toć przecież ten człowiek taki jenerał, jak ty, czemuż on tobie się kłania jak sługa?

— Co jenerał?! — zawołał pan Koniecpolski i począł się śmiać bardzo.

— Ano widzi Jaśnie Oświecony pan hetman — mówi mu na to Bartek — ci pogańscy głupcy nie chcą ani rusz wierzyć że ja hajduk prosty!

Dopiero hetman Koniecpolski w śmiech serdeczny i począł tłumaczyć Turkom, że Bartek to prosty hajduk z Łaska, a

nie żaden jenerał, bo go widział nieraz przy dworze pana Hieronima Łaskiego. Turcy zrazu nie chcieli dać wiary, aż kiedy im hetman dokumentnie wyłożył wszystko, wtedy się aż poskrobali w głowę, że byli tacy głupi.

Chcieli zaraz Bartka wziąć do roboty ciężkiej jak innych ale go pan hetman wyprosił. Odtąd Bartek posługiwał hetmanowi w więzieniu, a gdy pana Koniecpolskiego wykupili z niewoli, to wziął z sobą i Bartka do domu.

I tak Bartek, co go poganie zrobili polskim jenerałem, wrócił znowu jako hajduk do domu. A w Polsce to jeszcze dużo było śmiechu z jego jeneralstwa. Pan hetman Koniecpolski wziął go do siebie na służbę i zrobił go wrotnym.

Bartek długo był jeszcze wrotnym na dworze pana hetmana Koniecpolskiego. Rozpowiadał ludziom cuda o swej niewoli u Turków, a kiedy sobie trochę podpił, to mówił z płaczem:

— Oj! pocóż mnie pan hetman wybawił z niewoli, tać tam mnie poganiska trzymali za jenerała i dobrze mi było, bo człek i pieniądze brał i cały boży dzień jeno leżał i próżnował! A tu co za bieda, być wrotnym!

Wtedy się śmieli ludzie z narzekania Bartka, a on sam kiedy się wytrzeźwił, to mówił, że woli nędznie żyć na polskiej ziemi, niż opływać jak bałabuch w maśle między poganami! Boć lepszy na ojczystej ziemi suchy kęs chleba, niż przysmaki w obczyźnie!

Otóż takie to były dziwne przytrafunki Bartka hajduka między Turkami.

Pogadanka o deszczu.

Było to właśnie w niedzielę świętą po nieszporach. Na niebie wisiały ciemne chmury i nie puszczały na wierzch słonka, aby się choć ludziom przypatrzyło — a deszcz lał sobie jak z konewki, jak to się u nas tego lata bez ustanku dzieje.

Markotno było bardzo w chacie Maciejowi Suszce, dumał sobie długo, co to za koniec będzie z tym deszczem — a nareszcie zawołał na Wojtusia swego syna i wziął go z sobą do starego kowala Józefa, co był człek piśmienny i taki rozumny, że aż miło pogwarzyć z nim było.

U Józefa było już kilku gospodarzy i parobków, co siedzieli na ławie i słuchali, jak im coś rozpowiadał stary kowal.

— Niech będzie pochwalony! — przywitał się Maciej Suszka wchodząc do izby.

— Na wieki wieków! Siadajcie kumie! — odpowie kowal — a co tam słychać u was?

— A cóżby? — odpowiedział siadając Maciej — to co wszędzie. Człek sobie głowę kłopoce wedle deszczu, co leje a leje jak z studni.

— A mnie to przychodzi zawsze na myśl, kiedy deszcz pada, zkąd się też on bierze? — ozwał się Marcin Zapiętka, sąsiad kowala. Słyszał ci ja wprawdzie już o tem, ale dokumentnie to nie wiem, jak się ten deszcz fabrykuje tam w obłokach?

— A jużci, że z chmur! — wyrwał się Wojtuś.

— Ba a chmury zkąd? — zapytał znowu Marcin.

Wojtuś się zczerwienił jak burak, bo nie umiał tego na rozum wyłożyć i dalej ani gęby nie roztworzył.

Na to stary kowal:

— Czytałci ja o tem po xiążkach, a jeźli wam nie będzie nudno, to bym wam i opowiedział.

— Oj opowiedźcie, opowiedźcie Józefie! — zawołali wszyscy, a Józef w niedługo począł tak mówić:

— Mówiłeś Wojtusiu, że deszcz nizkąd inąd nie pochodzi jeno z chmur. Ale wpierwej trzeba wiedzieć co to jest chmura. Widzieliście przecie nieraz mgłę. Otóż mgła a chmury to wszystko jedno — bo i mgła i chmury to nic innego jeno para, co przez zimno tak zgęstnieje, że się pościna w malusieńkie kropelki wody, że je widzieć można oczyma. Między mgłą a chmurami jest tylko ta jedna różnica, że mgła jestto zgęszczona para w powietrzu blisko ziemi będącem, chmury zaś są podobnie zagęszczoną parą, ale w wielkiej nad ziemią wysokości. Gdybyście się więc znaleźli pomiędzy chmurami, to wasze włosy, suknie i t. p. takby zwilgotniały, jak to bywa zazwyczaj kiedy nas gęsta mgła otacza. Że to tak jest w istocie, przekonali się o tem ci, którzy byli na wysokich górach, a szukać ich daleko nie potrzebujemy, bo i w naszych górach polskich najwyższe wierzchołki chowają się w chmurach. Temu kto tam jest na górze, taka chmura wydaje się tylko gęstą mgłą; kto zaś patrzy na nią z dołu, ten taką mgłę uznaje za chmurę. Otóż tedy jedno i to samo temu kto patrzy z bliska wydaje się mgłą, temu zaś nad kim jest wysoko zdaje się być chmurą.

Już więc wiecie, że chmura nie jest co innego, tylko

mgła wisząca wysoko w powietrzu. Jakże to jednak być może, że ta chmura, która składa się z samych małych kropelek wody, może się utrzymywać w powietrzu? Przecież każda kropelka cięższa jest od powietrza, więc też tak na dół opadać powinna jak np. opada kamyk rzucony na wodę. Naprzód tedy potrzeba wam wiedzieć, że kropelki te nie są pełne, ale dęte z powietrzem we środku, ot np. takie jak bańki mydlane. Gdyby te krople były całkiem pełne, to oczywiście spadaćby musiały, bo trzeba wam wiedzieć, że w takim razie byłyby blisko 800 razy cięższe od powietrza. Że zaś są dęte, więc też o tyle stają się lżejszemi, o ile we środku zawierają powietrze, dlatego też nie cisną tak mocno na powietrze, które się pod niemi znajduje, i jeżeli się zniżają, to zawsze tak zwolna, jak np. powoli spada bańka mydlana, którą ze słomki puszczamy w powietrze. Wszakże bądź co bądź, powiecie sobie zapewne, gdy powietrze jest spokojne, to owe bańki pary, tak jak i bańki mydlane, choćby też i najwolniej, zawsze wszelako spadaćby powinny, a następnie i cała chmura z takich kropelek utworzona osiąśćby musiała na ziemi. Otóż to jeszcze wytłumaczyć wam należy.

Bańki pary, które przy powietrzu spokojnem w istocie powoli na dół się spuszczają, trafiają tamże na powietrze cieplejsze, i w którem nie ma jeszcze tyle pary jak tam gdzie się chmury zrobiły, na nowo więc rozchodzą się w powietrzu, zamieniają się w niewidzialną parę i znikają nam z oczu. Co gdy się dzieje poniżej, tam w górze tworzą się tymczasem nowe bańki pary, z któremi robi się to samo co z pierwszemi. Tak więc w istocie chmura ciągle się odnawia, a nam z daleka zdaje się jakoby jednostajnie zawieszona była w powietrzu.

Gdy się powietrze porusza, kropelki pary muszą się posuwać w kierunku wiatru; jeśli wiatr taki ciągnie równolegle do ziemi, to też i chmury unosi z sobą poziomo, jeśli zaś ciągnie ku górze, to i kropelki pary pędzi także do góry, tak jak to wiemy o bańkach mydlanych, ktore uniesione wiatrem nieraz wzbijają się po nad domy, lub w izbach nawet unoszą się wysoko, jeżeli pod nie podbiegamy i poddmuchujemy. Przez takieto ciągi powietrza od dołu ku górze, dzieje się, że mgła idzie do góry, czyli co jedno, że z mgły robi się chmura.

Chmury według tego jak wiszą wyżej lub niżej, jak są gęstsze lub rzadsze, tudzież jak są oświetlone od słońca, wyglądają bardzo rozmaicie. Jedne które przy pogodnem niebie naprzód się pokazują, delikatne, smugowate, zwane pierzastemi; drugie jak kłęby dymu, w wielkich, półkolistych, częstokroć

bardzo pięknych gromadach, zwane gromadnemi; inne które dają się widzieć przy zachodzie słońca w przepysznych kolorach, zwane warstwowemi; inne wreszcie powstają z gromadnych a niekiedy całe niebo szaro powlekają i zwane są deszczowemi, jak dziś naprzykład.

— A jakżeż z tych chmur robi się deszcz? — zapytał kowala jeden z parobków.

— Otóż posłuchajcie — odpowiedział kowal — niedużo by o tem mówić, jeno się namyślić dobrze trzeba:

Jak wam już powiedziałem, obłoki, co się nizkąd inąd biorą jeno z pary, która wychodzi z wody i ziemi, unoszą się wysoko i tam wiszą. Im taki obłok zimniejszy, tem jest gęstszy i łatwiej z niego deszcz może upaść. Otóż wystawcie sobie, że jeden taki obłok wisi w powietrzu. Naraz nadnosi wiatr obłok drugi, co jest znowu cieplejszy. Cóż się zrobi?

— To się pomieszają z sobą! — zawołał Wojtuś.

— Ba to jeszcze nie koniec — odpowiedział stary kowal — ale co potem będzie? Oto już nieraz uważaliście, że jak w zimie przynieść ze dworu do ciepłej izby na przykład siekierę, to siekiera ta zaraz się pokryje kropelkami wody, jak rosą. A dla czego? Bo ciepłe powietrze, co jest w izbie, jak się zbliży do zimnego żelaza, tak zaraz od niego nabiera zimna i robi się coraz gęstszem, aż nareszcie osiada kropelkami na siekierze. Otóż akuratnie tak dzieje się z obłokami. Jak cieplejsza chmura zejdzie się z zimniejszą, to cieplejsza poczyna gęstnieć coraz bardziej i zmienia się w maleńkie bańki wody. Te bańki robią się coraz cięższe, bo gdzie jeno się posuną a natrafią na cieplejsze powietrze, to z niego coraz bardziej wody wciągają. Nareszcie kropelki te takie się zrobią ciężkie, że już nie mogą się utrzymać na górze, jeno spadają na dół. Zaś lecąc na dół, to znowu lecą przez cieplejsze powietrze i zabierają z niego w siebie coraz więcej wody, a gdy już spadną na ziemię, to są wielkiemi kroplami wody. Tak to się moiściewy robi deszcz. Trudno to wam całkiem wyraźnie wyłożyć, ale kto dobrze nad tem pomyśli, to mu się powoli stanie wszystko zrozumiałem. A zresztą lepiej to choć po trosze wiedzieć o tem, co się dzieje w oczach człowieka, niż tak nic a nic jak tabaka w rogu.

Tymczasem przestał padać deszcz na dworze a słonko zaglądnęło do chaty Józefowej. Zabrał się tedy Maciej z Wojtusiem do wyjścia, a podziękowawszy kowalowi za pouczenie, poszedł do domu

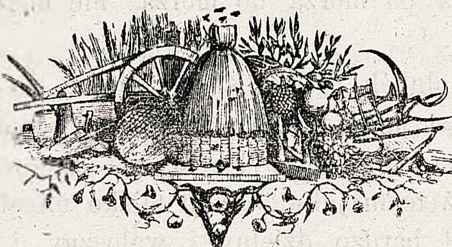
Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom XI. 1. sierpnia



Nr. 4. 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Gabryel Hołubek,

sławny rycerz polski z kmiecego rodu.

Słyszeliście już może nieraz o kmieciu Wielochu, co pod królem Batorym dziarsko sprażył Moskali, o Michałku, co zebrawszy sobie garść zuchów, natarł co się zowie czuba Szwedom i został rotmistrzem, o Bartoszu Głowackim, co służąc pod panem Kościuszkiem zalał nieraz gorącego sadła za skórę moskiewskim żołnierzom, i o innych sławnych kmiotkach polskich, co kiedy tego ojczyzna potrzebowała, chwytali za szablę i grzmocili wrogów, że aż miło — ale o Gabryelu Hołubku, sławnym rycerzu polskim z kmiecego rodu, to pewno jeszcze nie wiecie.

Ten Gabryel Hołubek to był zuch i junak taki dziarski, że nogi schodzić po kolana, a nie znaleźć już dziś takiego na świecie!... Jak piorun z jasnego nieba uderzał Hołubek na wrogów polskiej ziemi, a gdzie tylko szabla jego zaświeciła, tam już nigdy nie stanęła noga nieprzyjacielska!...

A nie był-ci ten Hołubek zrazu niczem innem, jeno takim kmiotkiem jak wy, kochani ludkowie, i z początku tak pracował

na ojcowskiej roli, jak każdy inny wieśniak poczciwy. A przecież później został takim sławnym wojownikiem, że Polska cała, jak sięgała od morza do morza, nie miała drugiego takiego rycerza!...

Gabryel Hołubek urodził się na Litwie, co jest także kraj polski, boć nawet przez Polskę ochrzczony, i tam żył sobie jako zacny kmieć na roli. A było to za czasów króla Stefana Batorego, co już temu jakie 300 lat blisko minęło. Był ten Stefan Batory król bardzo dzielny i waleczny i póki oko jego świeciło nad Polską, to wara było wrogom choćby pisnąć złe słówko! Jak tylko jaki cudzoziemski naród wściubił tam nos, gdzie nie dał grosza, to już dostał za swoje, że i dziesiątemu nakazywał!

A już to król Batory kropił najbardziej Moskali! Mocny Boże! co się tam tym Moskalom dostało po grzbiecie, to i na wołowej nie spisać nawet skórze! Bo to jak nie wjechał im na kark ten sławny król polski, to już tak parzył i tłukł, tak tłukł i parzył, że się co tchu w mysze dziury chować musieli!

Aleć bo też i nie sztuka była młócić co się wlazło złych wrogów, kiedy na kmiecej roli, pod słomianą strzechą rodzili się tacy ludzie, jak Gabryel Hołubek!

Jak tylko zaczęła się wojna z Moskalem, to już nie mógł Hołubek wysiedzieć spokojnie w chacie, jeno co tchu pobiegł do jenerała czyli hetmana polskiego Radziwiłła i rzecze mu:

— Panie hetmanie! To ani rusz być nie może, aby my kmiecie siedzieli doma, kiedy się krew polska leje! Pozwól mi panie hetmanie, a ja pójdę także na wroga!

— A toć i owszem — odpowie mu pan hetman Radziwiłł — ale cóż ty jeden pomożesz na wojnie?

— Alboć to ja jeden tylko co mam zdrowe ręce? — mówi na to Hołubek — Toć jeno zawołam na innych, a setna kupa wybierze się zaraz na wojenkę!

Uradował się bardzo pan hetman i pochwalił z serca Hołubka, a na końcu pyta go, ile mu dać grosza na utrzymanie kmiecych wojaków.

A Hołubek na to:

— Jakto panie hetmanie? To ja miałbym brać za to zapłatę, że się będę bił z wrogami mojej ziemi! A niechże mnie Bóg broni! Już ja sobie dobiorę takich zuchów, co pójdą choćby w piekło za Polskę z dobrego serca tylko a nie za grosz marny! My tam sobie jakoś damy radę i bez grosza, a za wszystko Moskal sam zapłacić nam będzie musiał!

Jako powiedział, tak i zrobił. Duchem zebrał sobie Hołubek takich zuchów, jak był sam i dalejże na wojenkę! I gdzie tylko napotkał Moskali, to ich prószył na cztery wiatry jakby plewę jaką! Zima była okrutna, Moskalów jak makiem nabił, a Hołubek nie ustał przecie, jeno kropił a kropił tak chwacko wrogów, że przed nim jak przed strachem uciekali na wszystkie boki.

Rozniosło się to zaraz wszędy, jaki to zuch dzielny ten Hołubek, i jakich cudów dokazuje na wojence, a w końcu to i sam król Batory o tem zasłyszał. Uradował się bardzo król polski, że ma takich kmieci walecznych, pochwalił z duszy Hołubka i posłał go na Tatarów, co się także zwąchali z Moskalami i pomagali im w tej wojnie, aby co żywo rozpędził tę pogańską hałajstrę.

Zaś Tatarzy i Moskale zebrali się w ogromną kupę pod Wielkiemi Łukami, co było miasto dokoła omurowane i okopane, bo dowiedzieli się, że król Batory wali prosto jak w dym na to miasto, aby go zdobyć i zniszczyć razem z nieprzyjacielem!

Otoż Hołubek miał oczyścić drogę z tałałajstwa tatarskiego, aby wojsko królewskie mogło sobie łatwiej podejść pod to miasto murowane, w które się schowali Moskale.

Hołubek nie dał sobie dwa razy mówić, jeno dalej naprzód ze swoimi, bo gdzie tylko trzeba było wytrzepać nieprzyjaciela, to Hołubek na to, jak na lato!... I nie darmo zaufał tak szabli Hołubka król polski! Hołubek jak błyskawica puścił się w drogę z swoimi wojakami, uderzył jak grom boży na Tatarów i nie zadługo, choćby i na lekarstwo, to nie znalazłby był nikt pogańca, tak ich poturbował siarczyście rycerz Hołubek!...

Toć jak potem podszedł pod miasto Wielkie Łuki sam król Batory, to już znalazł czyste pole, a potem począł bić i

*

szturmować na same mury, że choć takie były mocne jak z żelaza i choć ich broniła ćma Moskalów, to się długo nie ostały, jeno wraz z całem wojskiem moskiewskiem zabrali je nasi polscy wojacy!

Natłukłszy się tak do syta Tatarów nie spoczął Hołubek, jeno ruszył dalej na wroga. Raz jechał on z swojem wojskiem i rozglądał się dobrze, czy też gdzie nie natrafi się jaka okazya, aby znowu nieprzyjaciela polską szablą poczęstować. Tak zagonił się Hołubek pod Starzycę. Aż tu naraz ni ztąd ni zowąd, wyraźnie jakby z pod ziemi wylazło aż całych siedm set Moskali!

Hołubek nie miał tyle wojska, bo jeno trzy sta zuchów prowadził za sobą. Ale choć Moskali była siła dwa razy większa, nie nastraszył się ani trochę dziarski Hołubek. Zaraz ustawił swych wojaków w porządku, aby napaść z góry na wrogów.

— Jest ich dwa razy tyle co nas a nawet i więcej — mówił sobie Hołubek — ale djabła wpierwej zjedzą, zanim się doczekają, aby Hołubek uciekał przed nimi z polskimi wojakami!

I obróciwszy się do swoich zawołał:

— W imię Boże! Naprzód za ojczyznę na wroga!

I jak strzała rzucił się naprzód a za nim trzysta koni ucięło z kopyta i trzysta szabel spadło na łby nieprzyjacielskie! Nim się spostrzegli Moskale, już ich Hołubek z swymi zuchami tłucze jak bęben, siecze jak kapustę! Toż choć taka siła była moskiewskich żołnierzy, to jeszczebyś uczciwie jednego „Zdrowaś Marjo“ nie był odmówił, a już Moskale jak paździerze rozlecieli się po polu, uciekając na koniec świata przed Hołubkiem i jego wojakami!

Toż i nie dziw, że w całej Polsce nie mówiono o nikim, jeno o Hołubku, co tak siarczyście dokazuje z Moskalami! Król Batory pokochał Hołubka za jego waleczność jak syna, a kiedy mówiono o jakim tęgim i dzielnym wojaku to powiadano:

— To zuch jak Hołubek!

W nagrodę za odwagę i męztwo podczas wojny z Moskalem nadał król Batory Gabryelowi Hołubkowi takie dostojeń-

stwo, jakie inni panowie polscy mieli, i już od tego czasu należał Hołubek do rycerskiego stanu i mógł pieczętować się taką pieczęcią ze znakami, jak inni panowie. A zaś taka pieczęć nazywa się herb szlachecki.

Ale Hołubek nie dbał tam o to wiele, bo wiedział on dobrze, że taka tam jakaś pieczęć nic nie znaczy naprzeciw cnoty i zasługi dla ojczyzny.

— Niech się tam każdy pieczętuje jak chce, aby tylko wrogów pieczętował dobrze, a w końcu i całe swe życie, jeżeli potrzeba, zapieczętował krwią dla szczęścia swego kraju!... — mówił Hołubek i miał zupełną racją.

To też nie pragnął on tak niczego, jak znowu pójść na wojenkę i jeśli się już tak przydarzy, wytuzać dobrze nieprzyjaciół Polski. A nie długo czekał Hołubek, bo niezabawem wybuchła w Polsce nowa wojna.

A było to tak:

Sławny król Stefan Batory umarł a na jego miejsce obrali Polacy króla Zygmunta III, co się chował het w dalekim, zamorskim kraju, w Szwecyi. Tymczasem i arcyxiążę austryacki Maxymilian zapragnął królować Polakom i koniecznie chciał dostać dla siebie koronę polską. Zaś Polacy, którzy chcieli nie kogo innego jeno Zygmunta, ani rusz na to przystać i owoż nagle rozpoczęła się wojna.

Arcyxiążę Maxymilian zebrał wojsko niemieckie, i wmaszerował do Polski, aby koniec końcem zasiąść na polskim tronie. Polacy zaś sobie nagromadzili wojaków, aby tego nie dopuścić.

Wtedy to nasz chwat Hołubek znowu dobył swojej szabli, aby się bić z Niemcami. Zamknął on się z swymi wojakami w jednym na samych skałach murowanym gmachu czyli zamku w miejscu, co się zwało R a b s z t y n i tam czatował na nieprzyjaciół.

Aż tu naraz nadciągają Niemcy, a było ich c a ł e d w a t y s i ą c e! Nie uląkł się wcale Hołubek i jeno ze s t o m a ludźmi jak orzeł wypadł nagle na nieprzyjaciela i dopieroż sprawił mu łaźnię! Bo to choć nieprzyjaciół d w a d z i e ś c i a r a z y było więcej, Hołubek jak nie dmuchnął na nich, jak nie zaczął kłuć i rąbać, płatać i młócić, tak całe dwa tysiące nie-

mieckich wojaków uciekać musiało przed Hołubkiem i jego stu chwatami!

Mocny Boże! Czyż znaleźć prędko drugiego takiego zucha i weredyka!

Alė na tem się jeszcze wojna z Niemcami nie skończyła. Choć Hołubek napędził jak to mówią Piotra nieprzyjaciołom, to ich niebawem przyszło jeszcze więcej do Polski. Sam arcyxiążę Maxymilian przybył do Polski z wielkiem wojskiem.

No toć oczywista, że i nasi nie próżnowali. Jan Zamojski, o którym już nieraz pisano wam w Dzwonku, bo był to bardzo sławny Polak i wojownik, wyszedł zaraz z Polakami, aby nie puścić Niemców do kraju.

Hołubek przyleciał zaraz ze swoimi jak na skrzydłach, bo już gdzie chodziło o bitkę za Polskę, tam on już musiał być koniecznie, choćby przez siedem gór i siedem rzek miał się przerzynać!

Pod Byczyną napotkali Polacy na Niemców i poczęła się sroga bójka. Niemcy ani rusz ustąpić, nasi ani rusz popuścić. I tak polała się siła krwi z jednej i drugiej strony, kiedy naraz zawołał rycerz Hołubek:

— A do pioruna! Już ja muszę raz dojechać temu wszystkiemu końca!

I jak nie kiwnie na swoich, jak nie poleci pędem naprzód, aż zagrzmiało i zakurzyło się za nim. Jak błyskawice zaświeciły szable Hołubkowych wojaków i pewnie byłby Hołubek zwyciężył cudzoziemskich nieprzyjaciół, gdyby wola Boska inaczej nie pokierowała!

Bo ano patrzcie, jak Niemcy zobaczyli, że na nich leci jak wiatr Hołubek, tak dali ognia z wszystkich fuzyj i armat do niego i trzy kule odrazu trafiły w piersi walecznego Hołubka! Spadł zaraz z konia ten sławny wojownik i oddał ducha Bogu!

Tak to zginął ten sławny rycerz polski Hołubek!...

Wprawdzie nie pomogło to Niemcom, bo ich Jan Zamojski pokonał a nawet samego wodza wziął do niewoli — ale dzielnego Hołubka co szkoda była, to szkoda!

Toć, kto jeno żył w Polsce, to płakał po sławnym wojowniku Hołubku, co taki był śmiały a bitny i tak siarczyście tłukł wrogów za życia!...

A nawet po śmierci Hołubka uczeni ludzie pieśni na jego chwałę poskładali, a pieśni te spiewał potem każdy rolnik w swym domu i każdy wojak polski w obozie!

A choć to już blisko 300 lat temu jak Gabryel Hołubek poległ pod Byczyną, to jedna taka pieśń na jego pamiątkę ułożona, dochowała się aż do naszych czasów. Otoż z tej pieśni o Hołubku wypisujemy wam tu dla przykładu kilka kawałków:

Hołubku niewysłowiony,
Pod Byczyną zastrzelony!
Miej chwałę między mężnymi,
Dla ojczyzny poległymi!
Zabityś, lecz niezabita,
Sława twoja się rozkwita,
Która póki świata, nigdy
Od czasu nie uzna krzywdy!
Odleciałeś towarzystwa
I rycerskiego myślistwa,
Krew ojczyźnie ofiarując,
Życiem wolność zastępując!
. . . .
A twe szable, twe rusznice
By ogromne błyskawice,
Strach przed sobą prowadziły,
A z wrogów trupy czyniły,
Same u Rabsztyna skały,
Zdumiawszy się oglądały,
Dzielnych wojaków twych rotę,
I krwawą rąk ich robotę!
A potem w sławnej potrzebie
Na czoło stawiłeś siebie,
I tam pięknej sławy syty
Upadłeś kulą zabity!
. . . .
Hołubku! sławny rycerzu,
Póki żywioły w przymierzu,
I dokąd słońce na niebie,
Nie zapomną w Polsce ciebie!

Toż pamiętajcie i wy o tym sławnym wojowniku polskim, co z waszego pochodził stanu, kochani kmiotkowie, a takiej się po wieki wieków u całej Polski dosłużył chwały!

Wojtek ze Smolnicy.

PIEŚŃ

do św. Izydora Oracza, patrona wieśniaków.

Wzorze pokory, patronie oraczy,
Tyś w pracy szukał powszedniego chleba,
Tyś twemi cnoty podniósł stan wieśniaczy,
A ziemię orząc dostał się do nieba!
Ty nas wieśniaków pociecho i wzorze,
Módl się za nami święty Izydorze!

Grubą jak nasza, była Twoja szata,
Życie jak nasze złożone z prostoty,
Taka jak nasza była Twoja chata,
Lecz grzechy nasze, to nie Twoje cnoty!
Wzmacniaj nas w wierze, pracy i pokorze,
Bądź nam przykładem święty Izydorze!

Jakże ubóstwo miłem było Tobie,
Pomnąc, że Adam pokutował w pracy,
A gdy Zbawiciel narodził się w żłobie,
Pierwsi mu pokłon przynieśli wieśniacy!
Ty szedłeś w pole zanim zeszło zorze,
Budź nas do pracy święty Izydorze!

Mówią o Tobie, że gdy raz od pługa
Bóg na modlitwę do siebie Cię woła,
A że w modlitwie jest także zasługa,
Przy pługu swoim ujrzałeś Anioła!
Bóg dopomaga proszącym w pokorze,
Ucz nas pokory święty Izydorze!

Po latach wielu pokory i pracy,
Gdy na sąd straszny po cierpieniu długiem
Staniemy wszyscy, wówczas my wieśniacy,
Staniemy śmiało za Twym świętym pługiem!
A tam nasz bracie, pociecho i wzorze,
Wstaw się za nami święty Izydorze!

C. N.

Jak Walenty doszedł swojej krzywdy

czyli

Kto rabuje i okrada — ten sam w własną łapkę wpada.

Jedzie sobie Walenty Świerz z miasta, gdzie był właśnie jarmark, na dzielnym siwku i trzyma się na nim krzepko, choć pono już szósty dźwiga krzyżyk na barkach i wygwizduje i wyśpiewuje sobie choć to już i nie bardzo do twarzy staremu. Aleć ma się i czego cieszyć: Sprzedał dobrze starego gniadosza jakiemuś żydowi a kupił jeszcze lepiej oto tego siwka za kiepskie pieniądze, coby przecież brat bratu śmiało mógł dać okrągłych 150 reńskich. I teraz wraca z gęstą miną, z wesołością na

twarzy i spiewanką na ustach prostą drogą do domu. Stałać tam przy drodze ogromna karczma, ale Walenty ani spojrzał na nią — jeno splunął jakby na urok, zaciął konika i dalej pospiesza, bo słonko już się na dół chyli, do domu spory kawał drogi i jeszcze przez gęsty bór trzeba będzie jechać, w którym złodzieje już niejednego do nitki obdarli. Wiedział o tem Walenty a miał sporo grosiwa przy sobie, więc bał się o nie i o swego siwka. A nużby go, broń Boże jaki rabuś napadł, bez pardonu wziąłby i pieniądze i jeszcze konika w dodatku jak swego. Jedzie więc sobie dalej a tu wraca z pola karczmarz.

— Jak się macie, kumie, jakżeż tam na jarmarku?

— Zdrowo, dzięki Bogu — powie Walenty — toć się użgało starą szkapinę żydowi, a oto widzicie kupiłem sobie tego siwka i spieszno mi teraz z powrotem.

— A bójcie się Boga, powie karczmarz, przejeżdzać koło mej chałupy i nie wstąpić ani na kieliszek? Wróćcie się kumie, wróćcie, wypijemy sobie jednego albo dwa, toć nic nie zaszkodzi, a ja jako po przyjaźni ani grosika od was nie wezmę.

To mówiąc karczmarz począł się przypatrywać bliżej koniowi, na którym siedział Walenty, to go głaskać i klepać i dziwować mu się, że taki tęgi i rosły.

— Oj Walenty, prawi dalej, a oczy mu się błyszczą od chciwości, wyście tam mieli szczęście od Boga, takiego konia kupić, i to za tak liche, jak powiadacie, pieniądze. Możebyście mi go chcieli odprzedać — wstąpcie-no do mnie, to się przy kieliszku jakoś lepiej ułoży i pokalkuluje.

— Dajcie mi miły spokój — mówi Walenty — z tej mąki chleba jeść nie będziecie. Zaś was pięknie przepraszam i dzisiaj już wracać nie mogę, bo mnie już i tęskno za domem i za starą Magdą, co mnie tam wygląda z niecierpliwością.

Po tych słowach zaciął Walenty konia i pospiesza sporym kłusem, a karczmarz długo jeszcze spogląda za koniem, co mu się tak okrutnie spodobał — i od razu utkwił w sercu. Równo z zachodem słońca dobiegł Walenty do lasu. Wnet się ciemnieć poczęło na dobre — Walenty jedzie i jedzie, a tu jak się las nie kończy tak nie kończy, a coraz ciemniej i ciemniej, żebyś i ręki przed nosem nie ujrzał. Mimowoli dreszcz

przeszedł po ciele Walentemu — począł się czegoś lękać i strachać, ale jako prawy katolik, co wie, że wszystko w ręku Boskiem, począł sobie szeptać: „Kto się w opiekę podda Panu swemu“ polecając się Opatrzności Bożej, która jest najpewniejszą obroną na strachy nocne i wszelkie trwogi.

W tem koń się pocznie strachać. Wytrzeszcza oczy Walenty, a tu stoi przed niem czarny jak djabeł rabuś i trzyma za uzdę swego konia, któremubyś wszystkie żebra i żyły policzył tak był wychudły, wyschły i ledwo się trzymał na nogach.

Gdybyś mu zajrzał do pyska ani jednegobyś mu zęba nie dopatrzył bo zjadł je nie na owsie, ale na słomie.

— Mój przyjacielu, odezwie się rabuś, jabym też chętnie chciał, aby mój koń miał taki obrok, jak ty swojemu dawać musisz, boć widać to po jego ścierwie. Wiesz co, bratku, pomieniajmy się. Ty tam pewnie nie masz przy sobie nabitego pistoletu, a ja oto mam dwa pistolety od przypadku i długi nóż! To wszystko przydać mi się może, gdybyś się nie chciał ze mną pomieniać.

— Ha! cóż robić? — myśli sobie Walenty. Trzeba się będzie pewnie zgodzić z rabusiem i zdać się na jego wolę. Kiedy mu tak chodzi o mego konia, to niech go i weźmie, a mnie cało puści. Mam jeszcze jednego w domu, będzie jeszcze pół biedy. Zaś nuż mi życie odbierze jak się będę upierał, to już będzie po mnie na zawsze.

Więc rzecze do rozboja:

— No kiedy już koniecznie chcesz mieć mego, to go bierz, a dawaj swego.

Tak się tedy pomieniali. Rabuś wsiadł na konia Walentego znikł w gęstwinie. Tymczasem Walenty lamentuje i nie wie co dalej począć, czy iść dalej pieszo, czy też wsiąść na chuderlaka i jechać do domu.

Ale myśli sobie:

— Nie ma i na co wsiadać, od razuby się chudzina podemną złamała. Dam mu pokój, niech sobie stąpa razem ze mną.

I tak też zrobił. Uszedł już spory kawał, prowadząc ze sobą na uździe konia. Ale szkapina naraz stawa jak wryta i

ani rusz dalej. Walenty obkłada konia kijem, ale ten jak stoi tak stoi.

— A bodajże cię, bodaj! — narzeka Walenty, co ja tu z tobą zrobię?

Wreszcie zniecierpliwiony do żywego mówi:

— A stój sobie aż do sądnego dnia, kiedy ci się tak podoba, ja tu już dla ciebie czasu mitrężyć nie będę. I zostawia szkapę i idzie sobie dalej. A koń też zaraz zwraca się i idzie prosto ścieszką w las. Ogląda się Walenty i myśli sobie:

— Trzeba mi się przekonać, gdzie on też jeno pójdzie. Ha! może mnie i szczęśliwie zaprowadzi do mego siwosza. Pójdę za nim.

I idzie za koniem, a koń idzie to stępo, to kłusem rusza, aż tu wnet wydostał się z lasu i wali prosto przez pole do karczmy, a Walenty tuż za nim. Koń zmierza prościutko do stajni i stawa przed drzwiami, bo były zamknięte.

— W to mi graj, myśli sobie Walenty, już cię mam ptaszku. Poczekajno, miły kumie, aniś się spodział, jakeś sam dostał się do matni.

I dalej prosto do izby. Pełno tu różnego ludu, co wracali z jarmarku, aż się roi, Walenty przeciska się do tylnego alkierza, patrzy, własnym swym oczom nie wierzy, a tu karczmarz myje swą twarz i ociera ręcznikiem z sadzy i jakiegoś czernidła, którem się był pomalował.

— A jakżeż tam, kumeczku, jużeście to zdrowo wrócili na moim koniku z lasu? — rzecze Walenty Wiecie co, teraz się znowu możemy pomieniać, boć i tak ta mienianka, cośmy ją w borku zrobili nie ważna, bo nie była sądownie potwierdzona. Oddajcie mi mego siwosza, wasza szkapina tam stoi przed stajnią, idźcie ją wpuścić, bo się zbiegała nie mało chudzina.

Rad nierad musiał nieuczciwy karczmarz przystać na tę zamianę i oddać konia Walentemu. Mając już swego konia, Walenty rzecze do karczmarza:

— Ale kumeczku, bieda to wielka, straszniem się schodził i sfatygował, bo nie chciałem wsiąść na waszą szkapę, bym jej grzbietu nie złamał. Musicie mi wynagrodzić mitręgę,

dajcie pięć reńskich a będzie z nami kwita. Co zaś na to inni ludziska powiedzą, co tu są u was, to już nie mój kłopot. I rad nierad złodziej musiał dać Walkowi pięć reńskich, a Walenty podcinając swego konika — rzecze na pożegnanie:

— A co kumeczku, wszak się miękko siedzi na moim siwoszu?

Józef z Przedmieścia.

Piękne przykłady.

Szkółka w Jedliczu.

Wasz dobry przyjaciel i znajomy, Grześ z Mogiły, co to wam tyle pięknych historyj porozpowiadał w Dzwonku, napisał tu do Lwowa do *Gazety Narodowej* o szkółce we wsi Jedliczu niedaleko Krosna. A takie tam piękne rzeczy pisze Grześ z Mogiły o tej szkółce w Jedliczu, że wam tu także o niej jako o pięknym przykładzie rozpowiemy.

Jechał sobie Grześ z Mogiły przez wioskę Jedlicz i dowiaduje się, że w szkółce, co się w tej wsi znajduje, jest właśnie egzamin. A że Grześ kocha dziateczki wiejskie, więc też zaraz pospieszył do szkółki, aby się też przypatrzyć, czego to się jedlickie dziatki przez boży rok wyuczyły. Zaś szkółka ta znajduje się w plebanii. Świątecznie postrojeni gospodarze i gosposie szli także na egzamin, bo radzi byli zobaczyć, jak też ich dzieci się sprawią. Nad drzwiami szkółki zawieszona była chorągiew niebieska szkolna z obrazem Matki Bożej. U progu powitał gości szczerem sercem xiądz dziekan Dutkiewicz i wprowadził do dużej i jasnej izby, umajonej w zielone gałęzie jesionu i ustrojonej w piękne malowania.

W ławkach szkolnych siedziało z jakie 80 dziatwy drobnej wiejskiej z Jedlicza i z dwóch innych jeszcze wiosek: z Polanki i Potoka. Wszystkie chłopięta i dzieweczki ubrane były w czyste koszulki i płótnianki, a już co dzieweczki, to postroiły się jeszcze w wianuszki z bławatków, że aż miło patrzeć było. Na stole leżały pisania tych dziateczek na okaz, a koło nich rozmaite piękne xiążeczki i obrazki, co je potem rozdał

xiądz dziekan między najpilniejszych. W dwóch zaś przyległych pokojach gości jak maku nabił, a już to najwięcej gospodarzów i gospodyń, co ciekawi byli, czego się ich dziatki wyuczyły.

Jak już się wszyscy zgromadzili, wtedy dziatki szkolne odspiewały pieśń do Panny Najświętszej, Bogarodzicy, a tak pięknie, że aż człeka za serce chwytało. A potem to czytały z xiążek maleńkie bobaki tak gładko jak po maśle. Jak już przez chwilę dziatwa czytała, to xiądz dziekan kazał jednemu i drugiemu, aby powiedział jaką bajeczkę wierszami. No, to aż dusza się radowała, kiedy maleńcy szkolarze zaczęli rozpowiadać do składu piękne bajeczki, a żaden się nawet i trochę nie zająknął. Potem zaś kazał xiądz dziekan spiewać dziatkom wyuczone piosenki, a dziatki spiewały, że się i odsłuchać nie było można. Potem zaś dawał im zapytania xiądz wikary z religii świętej. Na wszystkie pytania, czy z katechizmu, czy z nauki moralnej tak dziecięta szykownie i mądrze odpowiadały, żeby się i niejeden stary nieuk powstydził. Teraz znowu dawali nauczyciele pytania starszym już trochę dzieciom. Xiądz dziekan zapytywał małych szkolarzy z historyi świętej i z innych nauk, a aż człek własnym uszom wierzyć nie chciał, tak ślicznie wszystko umieli. Toć kiedy xiądz dziekan wywołał na środek Michasia Janochę, co ma dopiero lat 7, i zaczął go pytać, to tak mądrze odpowiadał, że w kątby pójść musiał niejeden organista albo pisarz! Bo to bobak ten maleńki Michaś jak sobie stanął przed takim papierem, co to na nim samemi linijkami i kropeczkami gdyby maczkiem wszystkie miasta, rzeki, góry z całego świata były naznaczone (a papier taki zwie się mapa) — jak wziął do rączki patyk, bo to maleństwo inaczej dostać nie mogło, jak zaczął nazywać lądy, morza, kraje, góry, miasta, rzeki, het, het z całego świata, to aż się człeku w głowie przewracało, zkąd takie dziecko to wszystko wiedzieć może!... Wiedział gdzie leży Francya, Anglia, Austrya, Włochy, Turcya, gdzie jakie miasto wielkie, gdzie jaka rzeka płynie, że gdyby tego wszystkiego nie był słyszał Grześ z Mogiły, toby był i nie uwierzył nikomu, że taki chłopaczek tyle ma nauki!

A potem to dziatki znowu czytały, pisały, rachowały, a wszystko tak jak stary jaki kancelista! Zaś w końcu to jeszcze piękniej było. Bo jak xiądz dziekan wywołał Kasię Janoszankę i kazał jej powiedzieć wiersze jakie, to ona na pamięć powiedziała jeden cudny wiersz długi, co go to ułożył sławny pisarz polski Teofil Lenartowicz, którego kawałki drukujemy wam także w Dzwonku. A tak Kasia ślicznie to na pamięć mówiła, że człekby słuchał dzień cały! Także i żydek jeden maleńki Szymon Fries, co też chodzi do szkoły w Jedliczu, tak gładko i pięknie powiedział jeden wierszyk, że niktby nie poznał nawet, że to żydek!

Wszyscy panowie co tam byli, to się naradować nie mogli, i mało nie płakali z uciechy, że tak pięknie powyuczały się wszystkiego małe dziateczki. Nakoniec zaś, to rozdawano nagrody dziatkom za dobrą naukę. A ślicznеż to były rzeczy! Xiążeczki, obrazki, czapeczki, pasiki, wianki, wstążeczki, szpinki, nożyki, to wszystko grzecznym dziatkom rozdawano! A potem to jeszcze i słodkie figi i bułeczki białe i mleko, a gdy do tego wszystkiego jeszcze i muzykanci ze wsi zagrali, to już radości dziatek końca i miary nie było.

Tak to pięknie dzieje się w Jedliczu! Daj Boże jak najprędzej, aby wszędzie takie pilne były dziatki, takie piękne szkółki, i tacy zacni kapłani, jak ten kochany, zacny xiądz dziekan Dutkiewicz, co tak ślicznie dziatwę wiejską wychowuje na pożytek ojczyzny i chwałę Pana Boga!

Oj gdyby jeno ludziska chcieli, wszędzieby tak było za pomocą Bożą!

RÓŻNOŚCI.

Trafiła kosa na kamień. W pewnem mieście żył jeden ubogi ale bardzo sprytny student, co chodził pilnie do szkoły i uczył się bardzo dobrze. Ale cóż, przytrafiało się często chudzinie, że nie miał ani grosza w kalecie, a tu trzeba było żyć jako tako na świecie. W takich razach to studencina przedawał co ze starzyzny, a osobliwie coś z ubrania, jeżeli się już sponiewierało. Otoż raz przyszedł do niego jeden żydek, co to był znany szachraj na całe miasto i umiał wszystko od ludzi wykpić tak

jak za darmo. Student zaś miał do sprzedania żupanik stary. Kiedy już żydek powiedział, że kupi to staręę żupanię, to student ukradkiem włożył do kieszeni tego żupana srebrny zegarek, co go miał od ojca, i tak wraz z tym zegarkiem daje żupan oglądać żydkowi, mówiąc:

— No Icku! co mi dasz za ten żupan?

Icek popatrzył na żupan ta mówi:

— *Aj waj!* to starego grat, już *wono* podarte, *poprzechodzywane*, co ja mam za niego zapłacić! Nu to nic nie wart!

— Ej oglądnij dobrze Icku — mówi student — wart może więcej niż myślisz.

Icek ogląda żupan znowu, aż naraz namacał w kieszeni zegarek. Zaraz też sobie pomyślał, że student zapomniał o tym zegarku, co jest w żupanie, i że jak kupi żupan, to student sprzeda go razem z zegarkiem. Więc nic nie mówi biednemu studentowi, że w żupanie jest zegarek, jeno targuje sam żupan. Ale student dobrze pamiętał o swoim zegarku, jeno się z tem przed Ickiem nie wydawał. Żyd targ w targ, i coraz więcej daje za żupan, a w końcu to obiecuje dać tyle, co i żupan nie wart, myśląc sobie zawsze, że zegarek będzie jego. Jak powiedział, że dwa razy tyle da, co i sam stary żupan, który był już mocno przestarzały, na prawdę był warta, wtedy student powiada:

— No to zapłać i bierz żupan! Niech stracę!

— Co pan masz tracić — mówi Icek — to ja sam siebie chcę oszachrowywać, ten żupan tyle nie wart, ale cóż mam robić, ja to jeno dla pana robię z najlepszego serców.

Zapłacił tedy żyd prawie dwa razy tyle, jak żupan był wart i kontent bardzo, że zegarek zabierze także. Ale gdy już Icek miał odchodzić, woła student, tak jakby sobie dopiero teraz przypomniał:

— Poczekaj-no żydku, w żupanie jeszcze jest mój zegarek! Daj niech go wyciągnę!

I wyjął zegarek a dał żydowi sam żupan. Poskrobał się Icek w głowę, bo zobaczył, że się złapał w sidła, co je sam na studenta zastawił i że się sam okrutnie oszukał — ale już było za późno i nie było co dalej mówić. Kto chce oszukać, bywa sam oszukany.

Nie ruszcie ptaszków! Poczciwemu człowiekowi to aż patrzyć się smutno, kiedy widzi, jak ludzie wybierają z gniazd młode ptaszęta, nie bacząc na to, że to szkoda i grzech prawdziwy. Na wsi to są tacy chłopacy brzydale, co gdzie jeno gniazdo upatrzą, zaraz je zniszczą. Takim sposobem marnieje mnóstwo ptaków, a osobliwie takich, co są wam gospodarzom bardzo pożyteczne, jak na przykład zięby, sikory, słowiki. Bo to takie biedne ptaszę żadnej człeku nie robi szkody, jeno sobie spiewa niebożątko na chwałę Boską, a już co ludziom, to wielkie czyni dobrodziejstwo. Gdyby bowiem nie było tych ptaszków, to gąsienice i inne brzydkie robaki pożarłyby kwiat z drzew owocowych, poniszczyły plony, ba całe lasy nawet. Zaś takie małe pta-

szęta gdzie jeno zobaczą robactwo, zaraz je niszczą i przez to ludek gospodarski od szkody chronią. Czyż to nie grzech, łapać i męczyć je niepotrzebnie i to wtedy do tego, kiedy sobie gniazdka plotą i małe wysiadają?... Otoż widzicie, teraz to i sam urząd zakazał, aby tego broń Boże nie robić, bo kogo na takim uczynku złapią to do aresztu pójdzie, a kto wie czy nawet po skórze co nie oberwie. Lwowski urząd najwyższy, co się zwie Gubernium albo po polsku Namiestnictwo, wydał taki rozkaz, aby nikt się pod ostrą karą nie ważył wybierać z gniazda, łapać, strzelać, albo sprzedawać takie pożyteczne ptaszęta, jak na przykład słowiki, sikory, zięby, dzięcioły, piegże pliszki, strzyże — a osobliwie wtedy, kiedy na gniazdach siedzą, co jak wiecie, dzieje się od 1 marca aż do końca sierpnia. Otoż nakażcie tam i waszym dzieciakom, aby nie łapali przez ten czas ptaszków, bo wam i sobie źle narobią i do aresztu ni ztąd ni zowąd pomaszerują.

Pożar w Przemyślu. Tego roku to wyraźnie jakby palec boży nas dotykał, bo co woda nie zalała, to ogień niszczy. Dnia 25 lipca straszne nieszczęście nawiedziło miasto Przemyśl. Zajął się tam dom jakiegoś piekarza, a ogień od razu rzucił się i na inne domy i poczęły się palić jeden po drugim, aż w końcu zapalił się i kościół xięży Franciszkanów! Ratowali tam ludzie jak mogli, ale cóż kiedy rady dać nie było można i tak 23 domów i kościół zniszczył ten pożar.

Stare przysłowia.

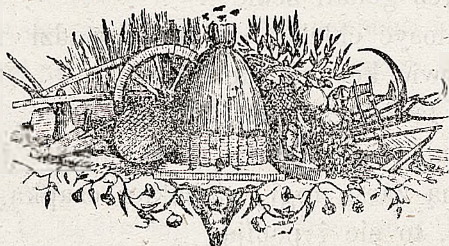
1. Bezpiecznie myszy biegają, gdy kota doma nie mają.
2. Biedna starości! wszyscy cię żądamy — a kiedy przyjdziesz to zaś narzekamy.
3. Skąpy człowiek czyni tak, jak pies na sianie, sam go nie je i krowie go nie da.
4. Co wino radzi pijają — a tłuste kąski jadają — nie zbiorą tacy pieniędzy — owszem zawsze będą w nędzy.
5. Gdzie złe przypadki — tam przyjaciel rzadki.
6. Jedna baba kamień do studni wwali, a dziesięć chłopów go nie wydobędzie.
7. Kto we żniwa patrzy chłodu, nacierpi się w zimie głodu.
8. Kiedy niedźwiedzia prowadzono do miodu, to mu uszy oberwano, a kiedy od miodu, to ogón.
9. Łacno o przyczynę, kto chce bić chudzinę.
10. Nie mieć kości pod stół — niech się psy nie wodzą.
11. Nie trzeba się żadnej rzeczy odrzekać, jeno kraść i nosa sobie ukąsić.
12. Złapałem Tatarzyna! — Wiedźże go sam! — Nie chce iść. — To chodźże ty sam! — Nie chce mnie puścić!

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom XI. Nr. 5.

11. sierpnia 1864.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Stara figura.

Pięć mil od miasta Jaworowa stoi między lasami i piaskami jedna duża wieś, co ją zowią z dawien dawna Królewską Wolą, a gadają sobie tamtejsi gazdowie, że tę gromadę fundował jakiś krol polski i rozdał swoje grunta między chłopów na wieczną pamiątkę, a wieś fundowaną kazał nazywać Królewską Wolą. I są tam w tej gromadzie rozmaici ludzie, co tam poprzychodzili z różnych stron i nazywają się rozmaicie, mają kościół murowany od jakiegoś króla polskiego, a żyją sobie cicho w zgodzie i wiedzą o tem dobrze, że ich ojcowie byli Polakami rodowitymi, i że oni sami są także takimi samymi Polakami.

W całej wsi jest porządek, grunta wielkie, sadowiny dosyć, a pastwisko takie gromadzkie, że ledwo zobaczysz drugi koniec het! tam gdzieś koło lasów. Stoi tam i szkoła nowiutka, jest tam i nowy profesor gdzieś aż ze Lwowa sprowadzony — ale jedno złe było w gromadzie, że gospodarze lubili się dużo zabawiać w arendzie murowanej i tam marnowali

strasznie dużo swojej pracy. Dał im Bóg i jakiś król polski wielkie i dobre grunta, mają z nich każdy do sto kop zboża przeróżnego, to też gadali sobie:

— Mamy dosyć chleba, to nie zawadzi to nikomu, że się i diabłu oberwie kęs niejeden.

Grzeszneto takie gadanie, ale cóż robić, kiedy to taki zwyk niedobry między polskimi gazdami, że jak mają pełne brogi, to im rosną zaraz rogi, na bakier czapka, do gęby fajka, a jak się popiją, to się i pobiją.

Otóż niedawno jechałem sobie do drugiego księdza, z którym byliśmy dawniej szkolarzami razem i przejeżdżałem przez Królewską Wolę. Jadę sobie popod chałupy i pomiędzy ogrody, aż wyjechałem przed dwie chałupy, które sobie stały kawałek ode wsi, a koło płotu zobaczyłem nachyloną figurę, z której mało co nie wyleciał Pan Jezus ukrzyżowany i prawą rękę wystawił na świat. Patrzę i przypatruję się lepiej, a tu na samym przodzie koło figury była jama, ziemia się zapadła tak, że figura nachyliła się bardzo i mało że się nie przewróciła. Pomyślałem sobie:

— Ot! pewnie się ziemia usunęła pod figurą, i dla tego nachyliła się figura — ale dziwno mi było strasznie, że też to ludzie nie sprostowali tej figury i nie włożyli Pana Jezusa do środka, jeno go tak zostawili. Poszedłem więc do jednej chałupy, zastałem tam babusię stareńką, jak krzaczek, pochwaliłem po katolicku i po polsku Pana Jezusa i pytam jej:

— Moja dobra babusio! czemu to wy nie sprostujecie tej figury i nie poprawicie Pana Jezusa, aby tak mizernie nie wisiał za jednę rękę i to za lewą?

Babusia wypatrzyła się na mnie z podziwu, postawiła do kąta miotłę, którą zamiatała do czysta izbę wielką, potem otarła sobie zapaską czoło spocone od roboty, umyła ręce i i mówiła:

— A witajcie jegomość w nasz polski dom — toć ja myślałam, że to nasz Jegomość, a to pono nie! bo to takie już moje stare oczy, że mi trudno poznać ludzi — zawsze w domu robota i robota i robota i nie ma nigdy końca tej roboty od świtania do wieczora, a to i starość nie uwalnia od roboty,

jeno trza robić aż do śmierci, bo to trza zdać rachunek kiedyś przed Bogiem, coś rękami, palcami i głową zapracował i na co to się obróciło potem, czy na chwałę bożą i na pożytek drugiemu — tak się roztyrkotała babusia i gadała mądrze, żem słuchał jej nauki, jakby kazania, alem jej przerwał:

— Ale moja babusio! powiedzcieno mi na wyrozumienie, czyja to figura?

Ona mi gada:

— Jużci ta figura należy do nas, mój jegomość, bo stoi na miedzy naszej, pół naszego gruntu, a pół Szymka Sowy, mego chrześniaka.

A ja pytam znowu:

— A czemu to wy tak niedobrzy, że nie poprawicie figury, Ta to publika, aby tak mizernie wisiał Pan Jezus za jedną rękę, że mało co nie wyleci z figury na ziemię?

A ona mi na to:

— Oj nie publika to nie! mój Jegomość — my tam temu nie winni, że się tak porobiło niedobrze z tą figurą, i że się tam zapadł okrutnie głęboko w ziemię jeden chłop nasz, i sam się udusił a ludzie go przy księdzu wydobyli aż drugiego dnia z tej jamy i pochowali z wielkim strachem i płaczem, a teraz to się boi każdy przystąpić do tej figury i omija ją z daleka, aby jego nie pokarał tak samo Pan Jezus sprawiedliwy, jak tego nieboraka Jaśka Deca, co to zapadł się pod ziemią koło tej figury.

A ja nastraszyłem się bardzo na takie opowiadanie babusi, jakieś zimno przeszło mię od stóp do głowy, wybiegłem ze sieni, wyszła i babusia za mną, poszedłem do tej figury i wołałem na babusię, aby przyszła do mnie, a ona mi gadała:

— O! Jegomość! nie pójdę tam, bo bym umarła ze strachu zaraz — tam strach wielki i niech Jegomość uważają sami, aby się ziemia dalej nie zapadła.

A ja na to:

— Moja babusio! tać nas zawsze i wszędzie ma Bóg sprawiedliwy w swej ręce, co on nam przeznacza i na co my sobie zasłużymy, to nas nie minie przenigdy — i śmierć nas nie minie, a Bóg ma swoje sposoby zawsze i wie dobrze,

kiedy mamy umierać i jak? Nie trza się bać nigdy śmierci, jeno Bożego sądu, a kto z Bogiem wstaje, pracuje i lega, ten z Bogiem umiera; śmierć nie gubi nikogo, jeno życie złe może zagubić na wieki Ale pójdźcie no babusio bliżej i opowiedzcieno mi wszystko od początku do końca, ale sumiennie i sprawiedliwie jak Bóg przykazuje, co się stało z tym Jaśkiem?

— Co się stało? — powiada babusia — to aż włosy na głowie stają na samo przypomnienie. Bo to widzi Jegomość, był ten Jaśko gazda na całą gromadę, co się zowie, po dziadku miał 25 morgów gruntu dobrego, chałupa mu się dostała z grubego drzewa cała, wziął 4 konie i 6 krów jakby ich ulał, ożenił go dziadek u bogacza Stacha Kozyry aż na drugiej wsi, a dostałci wiano takie za żoną, żeby cztery dziewki miały dosyć na wydanie się. I było tam pracy po komorach i stodołach, jak nasiał; od powały aż do ziemi było wszędzie pełno chleba, jak w pańskim szpichlerzu. I trza było jeno żyć i Boga chwalić i ludziskom dobrze życzyć i dobrze robić, a byłoby mu tak, jak w raju. Ale co to?

Ja poderwałem babusię i pytam:

— No! i cóż on zrobił z tą pracą boską i ludzką?

— A coby dobrego, gadała mi babusia, toć to kto rozkosznik i zbytecznik, to mu jeno złe na myśli stoi i grzechy broi, a zapomina na to, co ludzie mądrzy gadają: Uważaj moje kocię, bo idzie o cię — nie jedz i nie pij dużo gębą, bo ci dukaciki ubędą, a strzeż się złego, jak ognia piekielnego — idź sobie prosto jak trzeba jeźli chcesz zajść do nieba! Toć jegomość to najlepiej wiedzą, co to teraz bogacze na wsi wyrabiają — nic im się robić nie chce, jeno by się weselili dobrze jedli, dobrze pili — a uchodzi im wszystko gładko, bo mając pieniądze przy sobie, to masz wójta i gromadę za sobą i cóż ci kto zrobi?

Tak było i z tym Jaśkiem, co udawał wielkiego mądrala i naszemu panu we dworze dopiekł nie raz, i naszego księdza nie usłuchał nigdy i starszego nie uszanował, i do złego buntował gromadę, a pijak to był taki, że od niedzieli do niedzieli przesiedział i przespał w arendzie.

A ja spytałem babusię:

— A czyżto nie było ludzi w gromadzie, aby coś zrobić z takim rozkosznikiem?

— Ta! gdzie tam teraz poradzi kto, jak się trafi niedobry chłop jeden i drugi, mówiła babusia, to jeno jeden Bóg ma sposób na takich drabów, i tak też zrobił i temu Jaśkowi. Piło to hultaisko jakie 20 lat, potraciło to do nogi wszystko, sponiewierało to żonę i dzieci, pohańbiło nieraz swego dziadka, co mu taki grunt zapisał; a jak się to upiło w arendzie i wracało przez wieś do dom, to klęło aż ziemia drżała. A jak przylazł do tej figury, to sobie stanął, czapkę na bakier postawił, głowę pijaną do góry zadarł, ręce na plecy założył i dopiero zaczął wygadywać i bluźnić na tego Pana Jezusa samego a nieraz to i ręką mu pogroził.

A ja słuchałem ze strachem tego opowiadania i pytam się dalej:

— A czy to nie było kary na takiego bezbożnika?

— Ta cóż Jegomość, mówiła babusia, co z pijakiem było robić? karali go, bili, po sądach wodzili, on sam, jak się wytrzeźwił to żałował i klękał przed tą figurą i przysięgał, że pić nie będzie, ale potem robił swoje. Ludzie też zdali się na Boga, a ten ukarał na koniec.

— No! i cóż się stało? pytałem.

— Zapadł się tu w tem samem miejscu, gdzie Jegomość stoją — mówiła babusia i pokazała mi ręką jamę koło figury.

— A to jakim sposobem? — zapytałem.

Na to rzekła babusia:

— Oto w niedzielę po bożem ciele, byli ludzie w kościele na nieszporze, a ten pijak wracał pijany, a kiedy szła procesya koło kościoła z monstrancyą, to on ani czapki nie zdjął ani nie ukląkł, jeno coś mruczał i szwargotał pod nosem aż zaszedł do tej figury i tam znowu rozpoczął swoje bluźnierstwo — wtedy wyraźnie jakby Bóg cud dopuścił, bo usunęła się naraz ziemia i zasypała go całkiem, jeno mu z jednej ręki widać było palce z pod ziemi, a tą ręką miał grozić i odkazywać temu Panu Jezusowi — wtedy się i figura nachyliła i ten Pan Jezus odtąd tak został. Pastuchy, którzy to wszystko wi-

dzieli, przybiegli do kościoła i to opowiedzieli, a ludzie wtedy poszli tam z księdzem i widzieli to wszystko. Aż drugiego dnia wydobyła go gromada, ale był tak siny cały, jak węgiel i pochowaliśmy go. A ksiądz zostawił tę figurę z Panem Jezusem tak nachyloną i tę jamę na pamiątkę, aby się ludzie kajali i takich grzechów nie robili.

Ja na to gadanie ażem się rozpłakał, pocałowałem w rączkę prawą tego Pana Jezusa, potem pocałowałem figurę i zmówiłem paciorek z wielkim żalem i strachem.

A potem zapytałem babusię:

— A co też na to straszne i cudowne zdarzenie gadają sobie ludzie i czy ich to poprawiło?

A ona mi powiedziała:

— O! teraz każdy przestraszył się nie mało — od tamtego czasu nie ma u nas pijaków — teraz mamy szkołę i dzieci nasze uczą się Boga chwalić i żyć inaczej, jak to starzy robili, a co rok w tę samą niedzielę idzie procesya do tej figury, ksiądz ma kazanie, a ludzie płaczą, aż się po lasach rozlega. Przychodzą tu i drugie gromady do tej figury i każdy ma się tu czemu napatrzyć i może sobie brać dobrze do głowy, jak to trza robić za życia na tym świecie.

— No! to chwała Bogu! — mówiłem sobie — kiedy tak, i dałby Bóg, aby z tej Królewskiej Woli poszli wszyscy do królestwa niebieskiego!

Potem pożegnałem babusię, pojechałem dalej i wróciłem do dom z Bogiem i rozmyślam sobie, jak to na całym świecie karze rozmaicie Bóg ludzi grzesznych.

Ksiądz Wojciech z Medyki

Zły przykład.

W przykładnem stadle młode, szczęsne latka
Przeżyli z sobą Jakób i Agatka,
Bez kłótni, zwady, bez najmniejszej sprzeczki,
Zgodnie jak dwie turkaweczki.

Syn ich Tomaszek pełen był pokory,
A tak posłuszny, tak do usług skory,
Tak cichy w pośród rodzinnego kółka,
Że go mieli za aniołka.
Zwierzęta nawet mieszkające z niemi,
Nadzwyczaj były dobremi,
To się w gronie miłem, słodkiem
Razem pieściły z Tomaszkiem,
To znów piesek igrał z kotkiem,
A kotek bawił się z ptaszkiem.
Słowem nikt jeszcze nie widział takiego
Szczęścia raju i swobody,
I nie było większej zgody
Nawet i w arce Noego.

Ależ i licho przyszło nareszcie!
Jakiś głupi kiermasz w mieście
Całą tę zgodę rozstroił:
Nasz Jakubek
Nalał w czubek,
I żonie skórę wyłoił!
Żona kwaśną strojąc minkę
Przez zemstę na złość mężowi,
Za jakąś tam drobną winkę,
Dała rózgą Tomaszkowi.
Chłopiec z wielkim gniewem, płaczem,
Wybił pieska harapaczem,
Pies niecnota
Pogryzł kota
Kota nawet czart pokusił —
Porwał ptaszka i udusił!

*
* *

Tak to zły przykład, gdy się zdarzy komu,
Z łatwością się rozkorzeni:
Raz tylko djabła wpuść do twego domu
A raj ci w piekło zamieni!

Franciszek Morawski.

Czarodziejskie kamienie,

czyli:

Jak Tomasz Drapka lazł na czarcią górę A Szmaciłatka wytrzepał mu skórę!

I.

Choćbyś parpał między ludźmi, jak kura między śmieciem, to założyłbym się o czerwony dukat za złomaną podkówkę, że nie za lada dzień jaki znalazłbyś takiego uciesznego franta i wesołego chwata zarazem, jakim był Antek Szmaciłatka!

Antek Szmaciłatka był sobie krawcem wędrownym, co chodził od wsi do wsi za robotą i nosił z sobą nietylko nici, igły i nożyce ale kilkanaście tuzinów spiewanek i gadek dla dobrych ludzi a kilkadziesiąt kop figlów i psikusów dla hultajów.

Na dwadzieścia wsi wokoło wszyscy znali i kochali Szmaciłatkę. Czy to kmieć, czy parobek, czy dziewka, czy dzieciak jaki, to wszyscy w takiej z nim byli znajomości jak z własną kieszenią — a bywało kiedy kto huknął na wieś, że idzie Szmaciłatka, to zaraz cała wieś zleciała się obcesem jakby nieprzymierzając stary kościelny Łukasz Żłypka zadzwonił na gwałt wszystkiemi dzwonami i sygnaturką w dodatku!

Bo też choćbyś zesztukował na kupę rozum i sprytność półtrzecia człowieka nawet — to jak amen w pacierzu pożyczyć byś musiał jeszcze drugie półtrzecia i dodać z swojej własnej łepety rozum calusienki w przyczynku, aby nazbierać tyle mądrego mózgu, co go sam Antek Szmaciłatka pod swoim łysym nosił czerepem!

A przy tem wszystkiem uczciwy i dobry był ten Antek Szmaciłatka, że szukać by takiego drugiego na świecie jak główki od szpilki w korcu maku i to niestrychowanym do tego! Żebyś był sobie nabrał na kapotę sukna choćby takiego, jak sam pan burmistrz Protazy Hyczka z Załabek nosi na sobie co Wielkanoc i Boże narodzenie — to i mierzyćbyś nie potrzebował i oczy mógłbyś zamknąć jak skąpy człowiek kułak, a Szmaciłatka pewno by ci był z tego sukna nie ukradł nawet takiego kawałeczka, coby pchle na żupan wystarczył!

A jak bywało siądzie Szmaciłatka do roboty, to jak nie zacznie przecudne spiewanki spiewać i przerozmaite ucieszne opowiadać historye, że gdyby cię twoja baba pod żebro na upamiętanie nie szturknęła, tobyś i jeść i spać ze wszystkiem zapomniał! A jak już komu uszyje nową sukmanę, to chyba ręce w kieszenie założyć i ludzi się pytać, ile Kraków z przedmieściem kosztuje — a jak pocznie łatać starą kapotę, to choćby dziur miała jak kaszy, to ją tak wyfrycuje, że gdybyś ludziom przysięgał, że stara, to nikt ci nie uwierzy!...

Ale też za to znowu wszyscy hultaje i nicponie uciekali przed Antkiem jak djabeł przed kropielnicą, bo ich zawsze umiał zajść z mańki i wsypał niejednemu bobu co się zowie! A u Szmaciłatki nie kupić jakiego figla! Jak tylko dopadł jakiego urwisa, to mu po majstersku przypiął łatkę i skroił kurtę jak się patrzy.

Otóż jednej soboty pod wieczór sunął po drodze Antek Szmaciłatka do wsi Żabie Brzuszki i już dochodził do chałup, kiedy nagle przypomniał sobie, że dla biednego sieroty po kowalu Maciągu ma dokończyć żupaniątko, co mu go z litości z własnego sukna za darmo uszył.

— Jeszcze św. niedziela nie zaszła — mówi sobie Szmaciłatka — toć siądę gdzie w cieniu i skończę dla tego biednego sierotki ten żupanik! Tożto się biedactwo będzie cieszyło, jak mu przyniosę ten darunek w samą niedzielę!

Niedaleko zaś stała chata Tomasza Drapki, co był człek bardzo niedobry i chciwy, a koło chaty tej stała lipa wielka. Siadł sobie więc pod tą lipą Szmaciłatka, zdjął torbę, wyjął żupanię, nałożył na nos okulary z rogu, nawlókł igłę i począł szyć.

A że Antek miał już taki zwyczaj, że kiedy był przy pracy to sobie przyspiewywał rozmaite piosenki ucieszne, to też i teraz szyjąc tak szwytko, że mu aż łokcie kałatały, począł sobie wyspiewywać od serca:

Antek ja ci Szmaciłatka,
Kum ja między wami,
Goszczę u was mnogie latka,
Z igłą, z nożycami! Hu! ha!

Kiedy tak spiewa i szyje sobie Szmaciłatka, wybiegł z swojej chaty Tomasz Drapka, o którym wam już powiedziałem, że był Juda nie człowiek, chytry i zły jak jaszczurka a chciwy i skąpy tak okrutnie, że gdyby wszystkie gwiazdy przemieniły się w cwancygiery a niebo w wielką płachtę, to by je zgarnął w tę płachtę i zaharapczył od razu, a po drodze jeszcze by żebrał o kawałek chleba!

Ten Tomasz Drapka to wyglądał kubek w kubek tak jak uczciwszy uszy bezroga w chomącie — albo za pozwoleniem żaba w kapeluszu! Bo to dziwoląg nie nosił się po swojacku, jeno miał jakąś cudacką surducinę, co by się z niej każdy poczciwy człowiek przed xiędzem spowiadać musiał — a że za młodu był w wojsku i żydom woły pędzał między Niemcy, to szwargotał jakimś takim połamanym językiem, że pewnikiem by się o taką mowę Cygan i Żyd do krwi poczubili, a sam wójt z przysiężnymi nie rozsądził by sprawiedliwie, czy ją ukradł Żyd Cyganowi, czy też Cygan Żydowi!

Jak Tomasz Drapka zobaczył przed swojem podwórzem Szmaciłatkę, rozgniewał się okrutnie, bo już to taki był poganin, że człeku pożałował nawet trochę cienia i murawy.

— A kto tam? — woła Drapka — i zagląda przez płot pod lipę.

Ale Antek nic mu nie odpowiedział, jeno nawlókł nową nitkę i zaczął szyć dalej, przyspiewując sobie wesoło:

Mówiła mi moja matka
Gdym był jeszcze dzieckiem:
„Antku każdy Szmaciłatka,
„Był majstrem krawieckim!

„Kraj więc także nożycami,
„Antku moje dziecko,
„I żyj szwami i łatami,
„I sztuką krawiecką! Hu! ha!

— *Rychtyk* ty! *wagabund!* co ty mi tu harmider robisz *kole* mego podworca? — zawołał po raz drugi Tomasz Drapka.

Ale Szmaciłatka nie odpowiada nic, jeno spiewa dalej:

Kraję, szyję, łatam, pruję,
Kurty, kamizele —
Fastryguję i nicuję
A nie żądam wiele! Hu! ha!

A naraz niby to dopiero zobaczył Drapkę, obraca się Szmaciłatka i mówi do niego:

— A to wy! panie Tomaszu! Jak się też macie? Musi dobrze, bo wam nos spuchł jak ciasto na drożdżach, a czerwony taki, że wrony na ćwierć mili od niego uciekają! Nie macie tam co do roboty? hę? Może wam połatać kabacinę? hę? a dalibóg czas, bo już choćby się gdzie chciała rozedrzeć jeszcze, to dziura nie znajdzie już ani na paznogieć miejsca!....

Robię dobrze, nie leniwo,
A nawet i płatka
Nie skradł nigdy, jako żywo,
Antek Szmaciłatka!

Rozsierdził się okrutnie Tomasz i woła:

— *Halc maul!* Ty *mercho zatracena* co tobie do mego nosa albo do mego surduta! Marsz *kanajl!* albo siedź cicho *saperment* jak ryba!

A Szmaciłatka sobie w śmiech i spiewa dalej:

Spiewa sobie wesół wszędzie
Antek Szmaciłatka,
I tak zawsze śpiewać będzie,
Aż śmierć gębę zatka!

— A to sobie rób *rebelje* na *szyćkie* boki, tylko nie *kole* mego *hofu*, ty *sakramencki* dziadygo!

A Antek sobie:

Nie pogardzaj człeku nami,
Nie pnij nosa w górę,
Bo go utnę nożycami
I *wyłatam* skórę!

Łokciem zmierzę plecy twoje
I przypnę ci łatkę,
I kurtę ci tęgo skroję
Poznasz Szmaciłatkę!

— Owa *rychtyk!* — zawołał Drapka i uchwycił się za nos swój czerwony, jakby już czuł na nim nożyce. — Jeno mi ztąd nie pomaszeruj, to ja cię tu wnet *wyabrychtuję!*

— Zobaczymy, kto kogo nauczy rozumu, ty przeklęty Judaszu!.... — pomyślał sobie Szmaciłatka — już ja ci takiego figla wypłatam, że popamiętasz!...

I mówi do Drapki:

— Ej panie Drapko! Sierdzicie się niewiedzieć dla jakiej przyczyny! Ja mam do was bardzo ważny interes....

— Interes? anu jaki? — zapytał Drapka i zadarł nosa dumnie do góry. Może chcesz abym ci *rychtyk* dał kilka krajcarów? *Nix, nix łachabund!*

— Broń mnie Boże — mówi na to Szmaciłatka — toć ja nie długo już będę tak biedować na świecie. Znalazł ja ci sekret taki panie Tomaszu, że będę miał złota i srebra jak wody!

— Złota i srebra jak wody! — zawołał Drapka i oczy mu czerwono zaświeciły od chciwości! Moi wy kochani Antku, no, nie gniewajcie się na mnie, *bruder*, że ja *sem* was trochę *skunirował*, ot to tylko z dobrego serca. A teraz to *gut Frajnd!*

— Aha! poszedłeś już na lep, skąpcze! — pomyślał sobie Antek i mówi dalej:

— No, no, ta ja to wiem! Ja właśnie z wami chcę wejść w spółkę, bo wy najrozumniejszy człowiek w gromadzie....

— To je *rychtyk* — odpowiedział Drapka — i nadął się bardzo jak pęcherz — człowiek był w świecie *durch* a co ja widział *landów*, to drugiemu chłopu o tem się ani nawet nie śniło! Ale mówcie tam o tym interesie, wedle złota i srebra.

— No to wam powiem — rzecze Szmaciłatka — tylko niech to zostanie między nami, a jak nam się uda, to będziemy mieli pieniędzy jak łobody!

— *Krajcdunder*, jaki wy macie rozum kochany Antku — zawołał Drapka — ano mówcież co prędzej!

— A więc słuchajcie — mówi na to Antek — znacie wy tę kamienistą górę, co tam hen poza lasami sterczy?

— A jużci że znam *durch!*

— Otóż widzicie — mówi Antek — to jest góra zaklęta, czartowska!

— Aj aj! — zawołał Drapka — czy wy *śpasujecie* tylko? To ta góra jest czarcia?

— A jużci prawdę mówię — rzecze Antek — i tam na tej górze można wielkie znaleźć szczęście!

— Owa *rychtyk*, może skarb jaki?

— Jeszcze więcej niż skarb! — odpowiedział Antek —

tam na tej górze czartowskiej są takie kamienie, że jak człek je znajdzie a nosi z sobą, to go nikt a nikt nie będzie widział, a on wszystkich!

— Jakto? — woła Drapka — to jakby ja taki kamień znalazł, to by mnie *rychtyk* widać nie było!

— Ani nawet kawałeczek nosa waszego, choć taki okrutnie duży — mówi na to Szmaciłatka. — Jak zechcecie, aby was nikt nie widział, to jeno wziąć taki kamień do kieszeni, a choćbyście komu na sam nos wsiedli, to was nie zobaczy.

— A niech cię *dunder* świśnie, ta to cudowne kamienie! — zawołał Drapka — to ja *rychtyk* chciałbym mieć takie kamienie!

— A któżby nie chciał — mówi na to Antek — bo to człek wtedy wszędzie zajść może a nikt go widzieć nie będzie! Co nie dobrze to? hę?

— Oj *fajn*, *fajn!* — zawołał Drapka i aż po swym czerwonym nosie oblizał się językiem.

I zaraz ozwała się w nim żyłka chciwości, i mówi do Antka:

— Tak naprzykład, poszedłbym sobie z tym kamieniem do jakiej kasy.... a niktby mnie nie widział, a ja *fejt* do skrzyni, cap za pieniądze i poszedłbym sobie, a nikt ani du du, że ja tam byłem! He! he! he! to je *rychtyk fajn!* Albobym poszedł do samego Wiednia, gdzie srebro i złoto kują na pieniądze i nabrał cwancygierów całą płachtę, a nikt by mnie nie widział!... Albo do stajni dworskiej, a chociaż *kole* ludzi *masieruję*, nikt mnie nie widzi — a ja wtedy *ajnc*, *cwaj*, *draj* łap za konia i nikt mnie nie widzi!

— A tak, tak! — mówi na to niecnocie Drapce Antek — człek czegoby zapragnął, toby miał!

— Panie *Anton*, wy mnie *muszecie* zaprowadzić na te kamienie! Co *mus* to *mus!* A potem będziemy obadwa mieli pieniędzy kieby błota! — mówi Drapka i oczami łypie od złej chuci.

— A jużci, że was zaprowadzę — mówi Antek — ja już dawno chciałem znaleźć jakiego mądrego człowieka, co by

razem ze mną poszedł na czartowską górę, bo samemu jednemu człowiekowi, to jakoś przykro!

— Ale może tam trzeba iść *rychtyk* w nocy? — rzecze Drapka — a ja mam trochę boja wedle złych duchów i upiorów?

— Nie bójcie się Tomaszu — odpowie Antek — nocy na to koniecznie nie potrzeba. Opowiadała mi o tym całym sekrecie jedna wielka czarownica, taka stara jak grzyb, taka brzydka jak djabeł, a taka mądra jak rabin!...

— No a kiedyż pójdziemy po te kamienie? — pyta dalej Tomasz.

— Jutro w same południe. Jak tylko wyjdę z kościoła, to zaraz popędzę na czarcią górę. A wy zaś czekajcie na mnie tam hen za lasem, to was po drodze zabiorę z sobą; tylko musicie wyjść bez śniadania, bo tak czarownica kazała.

Tomasz podziękował Antkowi i poleciał jak szalony od radości do chałupy, a Antek zwinąwszy nici i pochowawszy igły, bo już żupaniątko dla sieroty skończył, poszedł do wsi i wstąpił na noc do starego Grzegorza Flinty, gdzie się jeszcze na wieczorek zeszło dużo sąsiadów a Antek rozpowiadał im przeróżne piękne historye.

Jak zaś na drugi dzień w niedzielę chodził Tomasz Drapka z Antkiem na czarcią górę po cudowne kamienie i co się tam dalej uciesznego stało — o tem rozpowie wam *Wojtek ze Smolnicy* aż w drugim numerku, bo dziś już ani rusz nie ma w Dzwoneczku na to miejsca.

RÓŻNOŚCI.

Kto smaruje, ten jedzie. Raz się dwaj prawowali przed sądem. Jeden, który sprawiedliwszą miał sprawę, darował sędziemu wózek. Drugi dowiedziawszy się o tem darował sędziemu parę koni. Sędzia zaś rozsądził tak, że ten co dał konie, wygrał. On tedy, co sędziemu darował wózek, mówi:

— Panie sędzio, źleście mój wózek skierowali!

A sędzia na to:

— Nie dziwuj się, to nie ja, jeno konie go tak skierowały! Jak konie ciągną tak wózek musi jechać!....

Złote to przysłowie, kto smaruje ten jedzie.

Z wielkiej zgody się pobili. Nie było nigdy swarliwszego małżeństwa jak Grzela i Magda. Raz się tedy pytano Magdę, czemu między niemi taka niezgoda?

Jaka niezgoda? — mówi Magda — niema ludzi, co by się tak zgadzali jak my. Co ja chcę to i Grzela chce także.

— A jakżeż to moiściewy?

— Ano tak: ja chcę być panią a Grzela chce być panem w domu.

I tak dla wielkiej zgody czubili się Grzela i Magda dalej.

Wielka robota. Pewien pan miał dwóch służących. Otóż raz zawołał do nich z drugiej izby:

— Jesteś Piotrze!

— Jestem panie!

— A co robisz?

— Nic!

— A ty Janie?

— Ja pomagam Piotrowi!

— No to jak skończycie, to mi podacie buty, — mówi pan na to.

Źle to na świecie! — mówił Janek Niezdara — kucharz mnie obił za to żem ogórków nie łupił a kucharka za to żem jabłka połupił!

Bodajto polskie konie! Nie łatwo to znaleźć na świecie takich dziarskich i swarnych koni, jak nasze polskie! Za króla Henryka Walezego Kozak jeden zajechał za jedną dobę z Krakowa do Wiednia na polskim koniu. Kiedy w r. 1657 slawny wojownik polski hetman Stefan Czarniecki pędził Szwedów z Polski, to z calem swojem wojskiem zrobił w dwóch dniach i jednej nocy 48 mil jak uciął a upędziwszy czterdziestąósmą konie polskie odetchnęły chwilę i jeszcze w dodatku wpław Wislę przebyły! Niejaki Polak Sędziwój, gdy uciekł z więzienia węgierskiego, to upalił ni mniej ni więcej jeno 60 mil na dobę! Niechżeż Niemiec i Anglik i Francuz szukają u siebie, czy znajdą takie konie! Ale bo też za dawnych czasów wszystko w Polsce bywało lepsze!

Zabawny przytrafunek. W kraju Bawaryi był jeden człowiek, co lubił na cudzą zwierzynę podchodzić, i przez to robił w lasach wielką szkodę, bo ubijał zające, jelenie i inne zwierzęta, a nigdy nie mógł go leśniczy dochwycić w żaden sposób. Nareszcie jednego dnia, dają znać leśniczemu, że znów dziś ubił ten człowiek sarnę, i że ją musi mieć w domu schowaną. Nie ma więc rady, tylko leśniczy idzie z leśnymi do tego człowieka na rewizyą. No i przychodzą patrzą, człowiek ten, gospodarz domu, siedzi przy kołysce, i kołysze sobie najspokojniej.

Leśniczy odezwał się do niego:

— My tu przyszli do waszego domu na rewizyą, pójdźcie więc i otwórzcie nam wasze wszystkie schowania.

— Oj kiedy też nie mogę odejść od kolebki, bo nie ma mojej kobiety to sobie już sami wszędy zrewidujcie! — odrzekł gospodarz.

— Nie, tak być nie może — mówi leśniczy — wy musicie być przy rewizyi, a kiedy chodzi o kołysanie, to niech tymczasem leśny kołysze.

I stało się tak: gospodarz, pooprowadzał ich po wszystkich komorach i schowaniach, ale nigdzie nijakiej sarny nie było, odeszli więc z niczem. Wtedy gospodarz przyszedł do kolebki, a widząc, że już leśniczy i leśni daleko, wyjął z kolebki

zabitą sarnę, która tam zamiast dziecka była schowaną.

Nie ma tu widzicie co pochwalić, że ten człowiek kradł cudzą zwierzynę, i tak się zręcznie ukrywał, bo wszelaka kradzież jest grzech wielki, ale to jest śmieszne, że to leśniczy i leśni tak się zaś dali w pole wywieść, że jeszcze ową kradzioną sarnę sami kołysali!

Szkoła dla pszczelarzy. Źle to bardzo, że u nas kmiecie nie hodują tyle pszczół jak po innych krajach! A to wierzcie mi, interes dobry i jak się darzy, to piękny dochód przynosi. A miłe to Bogu i ludziom. Bogu, bo z tego idzie wosk ku chwale boskiej w kościołach, a ludziom, boć miód jest dobry i smaczny dla każdego. A potem że z dawna dawien była o naszej krainie taką przypowieść: „że płynie miodem i mlekiem.“ A czemuż by i teraz tak płynąć nie miała, kiedy ta sama dobra ziemia, te same łąki, te same gaje? Tylko trzeba staranności i pracy dołożyć. Dla tego też ludzie zacni i rozumni pozakładali w kraju takie szkoły, w których się doskonale wyuczyć można, jak należy chować pszczoły, aby nie zlatywały, nie schły, tylko aby się pasieka pomnażała. Taka szkoła jest także w Alwerni nie daleko Krakowa, gdzie nie za wielką opłatą może się człowiek sztuki pszczolarskiej, jak się patrzy, za trzy miesiące wyuczyć, a potem jak jaki taki sprytny chłopak wróci ztej szkoły do wsi, to może w całej wsi koło pszczół chodzić i takowe rozmnażać. Dla tego byłoby dobrze aby całe gromady składały się na jednego lub dwóch takich uczniów, i tam ich swoim kosztem do nauki posełały, a oddało by się im to w dziesięcioro. Boć my ludkowi mili, kochając nasz kraj powinni się starać koniecznie, abyśmy w nim byt dobry spowodowali, i żeby sąsiedzi w obcych krajach od nas, a nie my od nich różne rzeczy kupowali.

Łagodność króla Zygmunta Starego. Królowi polskiemu, Zygmuntowi sławnej pamięci, ojcu Zygmunta Augusta, trafiło się, iż raz mając się umywać, zdjął z palców kilka drogich pierścieni, aby ich nie zmaczał, i dał je trzymać jednemu słudze, który blisko stał. Gdy się król umył a o pierścienie się nie pytał, sługa myśląc, że król zapomniał całkiem o pierścieniach, zatrzymał je sobie. Tak minęło dużo czasu a król się nie upominał o pierścienie. Aż w końcu po całym roku, zdarzyło się, że ten sam niewierny sługa usługiwał królowi przy myciu. Gdy tedy król ściągał pierścienie z palców, sługa wystawił po nie ręce, myśląc, że mu się drugi raz sztuczka uda. Ale król Zygmunt, który dobrze wiedział, co się stało z pierwszemi pierścieniami, rzekł mu do ucha:

— Miej dosyć na pierwszych — te zdadzą się komu innemu!...

Taki to dobry i łagodny był ten król polski Zygmunt, że sobie tak miłościwie postąpił nawet z niewiernym sługą.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom XI.

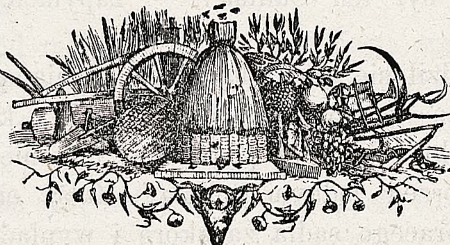
21. sierpnia



Nr. 6.

1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Gadka o kozaku Sulimie.

Nie znaleźć już dziś takich chwatów siarczystych, takich dzielnych i walecznych wojaków, jakimi byli polscy Kozacy!

Ni ogień ni woda nie ostała się w spokoju przed tymi zuchami i Bóg sam jeden wie, czegoby byli nie dostali swemi ostremi szablami. Tożto bywało za polskich czasów Turek poganin lamenta wywodzi, zębami zgrzyta i z wściekłości długą brodę targa, tak ci mu dojedli nieraz swojemi spisami kozaccy „mołojcy“!...

Czy to na szybkich jak błyskawicach koniach uganiać przyszło za wrogami Polski, czy popłynąć Czarnem morzem na czółnach aż pod samą stolicę pogańską, pod Stambuł — Kozacy na to jak na lato! Czy to spaść jak piorun na Tatarów i Moskwę lub innych nieprzyjaciół naszej ojczyzny, czy wyczubić brodacza Turka w własnym jego domu, to już i nie trza było mówić Kozakom, bo się sami rwali do bójki z całej duszy!....

Każdy Kozak to był zuch nad zuchami, ale ten Sulima, o którym tu jest pisanie, to był Kozak nad Kozakami!...

— A kto był ten Sulima? — zapytacie mnie dobrzy ludkowie.

Sulima urodził się pod taką samą słomianą strzechą, jak każdy z was, co to czytacie, i pochodził z kmiecego rodu, ale gdzie chodziło o bitkę z poganami, tam niech się i tysiąc innych schowa przed jednym Sulimą! Zalał on tym wrogom Polski nieraz gorącego sadła za skórę i wypłacił im z setnym procentem, co tylko kiedy nabroili w naszej ojczyźnie.

Będzie już temu lat dwieście kilkadziesiąt, jak ten wojownik Sulima żył w Polsce. Razu jednego zwołał on Kozaków, samych chłopców jak z żelaza ulanych i mówi im:

— Hejże chłopcy, co tu będziem marnieć i kwaśnieć za piecem! Siądźmy na czółna, i nuż na szerokie Czarne morze, pohulać sobie z pogańcami!....

Kozakom tego dwa razy nie mówić, brzęknęli szablami, podrzucili w górę czapkami, i huknęli aż się chmury odezwały:

— Hurra! na pogańca Turka!!!...

Wsiedli zaraz z Sulimą na czółna, co się zwały po kozacku czajkami, i popłynęli Dnieprem do Czarnego morza.

Dniepr szumi i kipi, burzy się i pieni, jakby się radował że takich wojaków swoją wodą dźwiga — a Turcy ani się spodziewają, co to za licho siny Dniepr im na kark nadniesie!

Uciekajcie Turki, bo Sulima płynie!
Uciekajcie prędzej, bo każdy z was zginie!
Oj płynie Sulima, aże woda szumi,
Potłucze was Turki, porąbie, potłumi!
Za Sulimą czeszą — szablą iskry krzeszą
Kozacy, junacy — na Turczyna spieszą...
Uciekaj że Turku — oberwą ci brodę,
Krwią twoją czerwoną pofarbują wodę!...

Oj byliżby uciekali poganie, żeby i ślad po nich nie został, gdyby byli wiedzieli, że Sulima jak wiatr na nich pędzi!

Płynie Sulima z swymi Kozakami, płynie — i wypłynął na Czarne morze. Nie widać ziemi tam nigdzie — jeno wodę i niebo. Woda szumi i huczy, po niebie chmury gonią, a z daleka tureckie okręta nadciągają....

Okręta tureckie takie ogromne, aż morze pod niemi stęka, armat na nich jak nabił, a każda roztwiera ognistą paszczę na Kozaków — ale Sulima nie zna, co to trwoga, i woła na swych chłopców:

— Naprzód mołojcy! Hurra na okręta tureckie!

— Hurra! — krzyknęli mołojcy i wiosłują z całej mocy, aż się woda w tysiące kropelek rozpryska a łodzie jak strzała naprzód pędzą.

Uderzyli na okręta tureckie, Sulima skoczył na nie naprzód, Kozacy za nim i nuż rąbać i kłuć pogan. Poganie się bronią co siły, z strzelby gęsto strzelają i krzywe szable w krwi chrześcijańskiej moczą — ale wiara polska górą! Nie minęło godziny dobrej, a już okręta tureckie w ręku Sulimy i jego Kozaków.

Od krwi pogańskiej morze się czerwieni — a potwory morskie głodną paszczeką trupy tureckie szarpią — ale jeszcze 300 Turków zostało przy życiu. Kazał ich powiązać Sulima i wraca do domu! Wypłynął na morze na maleńkich czółnach a wraca w dużym malowanym okręcie, wiezie skarby pogańskie i 300 Turków niewolników!

Przypłynął Sulima do ojczystej ziemi i każe stawić przed siebie 300 powiązanych Turków.

— Co zrobić z nimi? — pyta swych Kozaków.

— Wyciąć w pień! — powiada jeden.

— Wrzucić do lochów podziemnych! — radzi drugi.

— Oj nie tak ja zrobię — mówi Sulima. Toć naszych biednych Chrześcijan mnóstwo jęczy w niewoli tureckiej, a za każdego Turka dostaniesz u pogan jednego Chrześcijanina! Poszlę ja tych 300 pogan samemu Ojcu świętemu, niech ich u Turków za naszych braci, co są w niewoli, wymienia!

I woła pisarzów i każe im pisanie do Ojca świętego ułożyć. Piszą pisarze, piszą, drobne jak maczek literki stawiają i cienkiem piórkiem piękne kółka kreślą. Gdy już napisali, wtedy wybrał Sulima kilka co najrozumniejszych ludzi i dał im pisanie i tych 300 Turków, aby je w podarunku Ojcu świętemu zawieźli.

Przyjechali posłańcy Sulimy do Rzymu i przed Ojcem świętym na kolana padają i pisanie mu u stóp kładą.

— Nasz brat i dowódzca Sulima — mówią — szle Ci Ojcze święty to pisanie pokorne i 300 Turków w podarunku!

Czyta papież pisanie Sulimy i aż mu się łzy w oczach zakręciły, tak się rozradował, że w Polsce tacy dzielni wojownicy i pobożni Chrześcijanie żyją, i mówi:

— Pokłońcie się odemnie Sulimie i zanieście mu także błogosławieństwo moje, bo go miłuję jak syna! A rozgośćcie się u mnie trochę, a ja tymczasem postaram się o piękny podarunek dla polskiego rycerza Sulimy, co tak dzielnie wrogów pogańskich gromi!

I woła zaraz Ojciec święty złotników i uczonych majstrów i złota im dużo daje i każe z tego złota swój własny wizerunek zrobić. Robią majstry dzień i noc, jasne złoto w ogniu topią i maleńkiemi młoteczkami kują — a w końcu zrobili obraz Ojca świętego taki piękny i świecący, że aż za oczy chwyta.

— Wtedy dał ojciec święty ten swój złoty wizerunek posłańcom Sulimy i mówi im:

— Dajcie ten obraz złoty Sulimie. Posełam go mu w darunku i na pamiątkę wraz z błogosławieństwem mojem, niech go Bóg strzeże i niech szabli jego błogosławi!

A gdy Sulimie posłańcy ten złoty wizerunek oddali, to waleczny ten rycerz aż z radości zapłakał i na swem sercu obrazek powiesił i aż do śmierci go nosił. A wrogów polskiej ziemi dalej gromił szablą swą zwycięzką.

Mocny Boże, gdzie to się te dawne czasy podziały?....

Pierwszy dzień pracy.

Nasz praojciec pokuszony
Chciał w nieszczęsnej dumie
Równym być samemu Bogu
W sile i rozumie.

Za to z raju wypędzony,
Ugiął kark swój hardy,
I w pokorze wzdychający
Jął się ziemi twardej.

Niezwyczajny już omdlewa,
A wciąż słońce pali —
Lecz co spojrzy na niewiastę,
Znowu kopie dalej.

Coraz wyżej słońce piekąc
W górę się podnosi,
Coraz gęstszy strumień potu
Twarz Adama rosi.

Aż mu z oczu łzy pociekły,
A z spragnionej wargi
Nie śmiał posłać do Wszechojca
Modlitwy ni skargi.

I opuścił w niemym bolu
Ręce już omdlone,
Tylko porwał w swe objęcia
Biedną, drogą żonę.

Aż tu chmurka nadlatuje,
Pierwsza, drobna, biała —
Rośnie, rośnie, i już słońce
W łonie swem schowała.

Więc znów staje jakby odżył
Adam do roboty,
Tysiąckrotnie mu przybywa
Siły i ochoty.

Aż zapachła okopana
Pierwsza rola, czarna...
Tylko zasiać — ale Panie!
Zkądże wziąć tu ziarna?!

Ziarno w raju pozostało;
Tam anioł na straży
Stoi z mieczem płomienistym —
Któż się wejść poważy?

Ścisnął straszny ból Adama,
I jęknął ponuro —
„Darma praca! dzięki Tobie,
Idź już teraz chmuro!"

Ale chmura — dotąd cicha,
Jak gołąbek biała —
Nagle ćmi się, kłębi, huczy —
Pierwszy raz zagrzmiała.

Poznał Adam głos ten, klęka,
Wdzięczne łzy mu biegą,
Że Bóg, choćto głosem gniewu,
Przemówił do niego.

Aż tu leci z raju ptactwo,
Słodką pieśń zanuca,
I co dziubki swe otworzy,
Pierwsze ziarna rzuca.

I zagrzmiało znowu w chmurze, —
Kroplami srebrnemi
Począł rosić deszcz rzęsisty
Pierwszy raz na ziemi.

Gdy nazajutrz wstaje Adam,
To aż patrzeć miło,
Jak się cudnie pierwsze zboże
Do słońca runiło!

Odtąd wiernie z bożą wolą
Słońce, chmury, ptacy,
Choć niepłatni, pomagają
Człeku w świętej pracy.

Rusin z Więckowic.

Czarodziejskie kamienie,

czyli:

Jak Tomasz Drapka lazł na czarcią górę A Szmaciłatka wytrzepał mu skórę!

II.

Na drugi dzień, a było to w niedzielę, Antek wysłuchał nabożnie mszy św. i kazania i poszedł potem do lasu, gdzie na niego już czekał Tomasz Drapka. Słońce paliło jak ogień,

bo było to wśród skwarnego lata, a Drapce lał się pot z czoła, jak woda.

— A co *rychtyk* pójdziemy? — zapytał Antka.

— A jużci! idziemy zaraz — mówi Antek — jeno raz wam jeszcze powiadam, abyście dobrze słuchali, co wam nakażę, bo by się nam nic nie udało.

Idzie tedy Tomasz za Antkiem i aż rady sobie dać nie może, takby chciał już prędko dostać czarodziejskich kamieni. Dobry kawałek za lasem była wysoka góra, co na niej nic nie rosło, bo była sucha jak pieprz, i jeno same kamienie na niej się świeciły.

Na tę górę wydrapał się Antek, a za nim lazł co siły Tomasz, aż mu nos coraz bardziej czerwieniał a stękał i sapał jak miech kowalski. Gdy już przyszli na górę, zobaczyli dużo bardzo kamieni.

— Panie *Anton* — pyta Tomasz — czy to *rychtyk* tę zaczarowane kamienie?

— Nie wszystkie — mówi na to Antek — ale między niemi są także i zaczarowane. Trzeba dopiero szukać....

— Ba ale jak? — pyta Tomasz.

— Ja wam to zaraz powiem! — mówi Antek — ale wpierwej musimy odbyć jeszcze czary!

I zaprowadził Antek Drapkę pod duży kamień i mówi mu:

— Teraz słuchajcie co wam każę i powtarzajcie za mną co ja wam będę mówił!

I zawołał grubym głosem:

Tomaszu Drapko
Utrzej nos łapką!
I powąchaj kamień,
Bo są czary na nim!

Drapka otarł czerwony swój nos oboma rękami i obwąchał do koła kamień; że Antkowi się serdecznie na śmiech zbierało, jeno się wstrzymywał, aby sobie nie popsuć figla. Więc mówi znowu dalej:

Bij teraz czołem
Tomaszu jak kołem
W ten kamień twardy,
By nie był hardy!

Tomasz hrym! hrym, czołem w kamień, aż mu takie sińce i guzy wybiegły na czoło, jak spore buraki.

— A teraz słuchaj Tomaszu — mówi dalej Antek — jak ja powiem zaczarowane słowa, to ty wtedy zacznij zbierać kamienie jeden za drugim a wybieraj jak największe.

— A jakże ja *wysztudyruję*, który kamień *rychtyk* cudowny? — pyta Tomasz.

— Będziemy zbierać jeden za drugim — mówi Antek — a jak znajdziemy prawdziwy, to zaraz to poznamy, bo z nas jeden drugiego widzieć nie będzie! Ale teraz klęcz przed kamieniem, bij w niego czołem, żeby aż w lesie się odzywało a nie przerywaj mi nic, bo by cię zaraz z duszą i kośćmi porwał djabeł jak swego!

Tomasz aż mało się nie przewrócił od strachu i wali czołem o kamień, jak kowal młotem w kowadło, a Antek podniósł ręce do góry i mówi:

Tomaszu!
Drabiaszu!
Żeś cap
I drab
Djabeł cię chap!

— Tomaszu łup czołem o kamień!

A Tomasz hrymnął znowu aż góra się zatrzęsła.

— A teraz — mówi Antek — słuchaj słów zaczarowanych:

Arendus, okowitus, harmiderus, smokczybykus, głupibabus, łupiżabus, łapimuchus, wiatrodmuchus, stulgębus, kłapizębus. Szap, łap, pap, *Kukuryku cap!*

— Tomaszu łup czołem o kamień!

Tomasz uderzył znowu czołem o kamienisko, aż mu w oczach świeczki stanęły.

— A teraz szukajmy kamieni! — zawołał Antek Szmaciłatka.

Tomasz porwał się jak opętany i zaczął zbierać co największe kamienie i chować do kieszeni. Napchał już jedną i drugą, i za pazuchę napakował huk kamieni i w kapelusz i w poły, aż stęka i sapie pod tym ciężarem, a w końcu pyta się Antka:

— Antoni, a widać mnie jeszcze?...

— Widać — mówi Antek — zbieraj dalej, bo jeszcześ nie natrafił na cudowny!

Tomasz zbiera dalej i już nie ma gdzie podzieć, nareszcie pakuje dalej kamienie w płachtę i dźwiga ciężar, aż mu w grzbiecie trzeszczy i z czerwonego nosa ciurkiem mu się pot leje.

— Antoni, a widać mnie jeszcze?...

— Widać jeszcze!

Tomasz zbiera dalej kamienie, a kiedy ich już tyle na sobie dźwiga, że poczerwieniał cały jak rak ugotowany i ledwo się na nogach utrzymać może, pyta znowu:

— Antoni, a widać mnie jeszcze?...

A Antek filut udaje naraz, że go nie widzi, i woła:

— Nie widać! nie widać!

Tomasz okrutnie się ucieszył i zgarnąwszy płachtę wraca do domu, i myśli że już pewnie znalazł cudowny kamień.

A Antek chociaż widzi przed sobą Tomasza Drabkę, wielkiego jak woła, udaje dalej, że go nie widzi i woła:

— Tomaszu! hej Tomaszu! a gdzie wy?

A Tomasz cieszy się okrutnie i chce zmykać do domu, aby nie potrzebował się podzielić cudownemi kamieniami z Antkiem, i mówi sam do siebie:

— Wołaj ty sobie *rychtyk*, a ja sobie *pomasieruję* do domu, kiedy już znalazłem cudowne kamienie!

A Antek woła znowu:

— A to łotr ten Tomasz! Znalazł cudowny kamień i teraz z człekiem już ani gadać nie chce! Hej, hej! Tomaszu! Hop! hop! Ta odezwijcie się przynajmniej, bo was nie widzę ani odrobinki, a to z racyi tego kamienia coście go naleźli! Tomaszu! Toć podziękujcie mnie choć, i dajcie okruszynkę cudownego kamienia!...

Ale Tomasz nic nie odpowiada jeno zaczyna złazić z góry myśląc sobie:

— Zobaczysz ty mnie *mercho rychtyk* na sam sądny dzień! Ja teraz się *wyhamsztyfikuję* na okrutnego pana, bo będę miał *szyćko*, co mi się podoba, a ty *wagabund* bądź sobie *sznajdrem* póki życia....

A Antek idzie ciągle za nim i ciągle tak udaje, jakby go nie widział a w końcu woła:

— Oj gdybym cię widział ty drabie Tomaszu, tobym ci pierwszym lepszym kamieniem zajechał przez pięty!...

I podjął kamień i palnął nim prosto w same łytki Tomaszowi wołając:

— Ot tak bym cię walnął kamieniem, gdybym cię zobaczył!

A Tomasz aż podskoczył od bolu i zgrzytnął zębami, ale nic nie mówi, jeno ucieka, myśląc, że go Antek nie widzi.

— A także bym cię trzasnął tym kamieniem, o tak, kiedyś taki poganin! — woła dalej Antek i łup Tomasza kamieniem po nogach.

Tomaszowi aż świeczki stanęły w oczach, bo mu Antek zajechał kamieniem w same pięty, ale nic nie mówi, jeno idzie dalej i dźwiga kamienie, aż mu z nosa pot ciapie jak deszcz ze strzechy.

A Antek udaje sobie złość okrutną i dalej mówi:

— Gdybym cię widział, ty oszuście Drapko, tobym cię ubił na kwaśne jabłko! A tożbym go prał tą paliczką! Cóż kiedy szelma znalazł cudowne kamienie i nie mogę go widzieć! Wysoliłbym mu ja skórę jak śledzia!

I począł niby wymachiwać paliczką przez powietrze, a tymczasem prażył co się wlazło Tomasza Drapkę po grzebiecie, aż grzmiało!.... Tomasz kąsa się w język z bolu, syczy jak gadzina, ale milczy jak kołek i chce uciekać co siły do wsi, ale nie może, bo mu ciężko z kamieniami. A Antek niby to ciągle go nie widzi, i jeno swą złość tak na wiatr wypuszcza — a tymczasem trzepie mu plecy tak siarczyście, że aż w lesie huczy.

A głupi Tomasz wierzy ciągle, że go Antek nie widzi i dla tego taki zły — i myśli sobie „byle się tylko dostać do domu, to już będzie *rychtyk* dobrze.“ I tak Antek wyłoił i wygrzmocił Tomaszowi skórę jak bęben, a gdy mu już dość tego było, poszedł naprzód do wsi śmiejąc się okrutnie z Tomasza.

Pobiegł Antek do wsi i tam zaraz zwołał prawie całą gromadę.

— Chodźcie no na drogę za wieś, pokażę wam coś okrutnie śmiesznego i ciekawego! — tak wołał Antek a jak cała wieś żyła, tak pogonili wszyscy za nim.

Stanęli sobie wszyscy przy drodze na końcu wsi, aż tu wlecze się powoli Tomasz Drapka i dźwiga po wszystkich kieszeniach i w płachcie moc kamieni! Nos mu sapie jak miech, a pot mu się łeje z całego ciała, jakby się skąpał w rzece! Stęka i dysze, aż mu piersi dudnią jak most, a od czasu do czasu odpoczywa i skrobie się po plecach i nogach, bo mu je Antek paliczką tęgo wysmarował!

Jak się Tomasz zbliżył do ludzi, tak wszyscy w śmiech okrutny i wołają:

— Tomaszu! Tomaszu! A wy co dźwigacie tyle kamieni, i to w niedzielę do tego?

A Tomasz jak to usłyszał, mało nie przewrócił się na ziemię. Wyrzucił z rąk płachtę z kamieniami i stanął jak martwy od wstydu i złości. Dopiero teraz poznał, że nie znalazł żadnego cudownego kamienia, i że go jeno tak Szmaciłatka wystrychnął na dudka przed całą gromadą!

A ludzie aż pękali od śmiechu i pokazywali palcami na Drapkę i jego kamienie! Drapka uciekł do domu jak zmyty i przez cały tydzień nie pokazywał się na świat od wielkiego wstydu.

— Ktoby to myślał — mówił sam do siebie — że ten Szmaciłatka taki *szpicbub* i *rebeljant!* Oto ze mnie *rychtyg* głupiec okrutny!

A jak wieś Żabie Brzuszki istnieje na świecie, tak nie było w nich nigdy tyle śmiechu i uciechy, jak z tego figla, co go Antek Szmaciłatka spłatał Tomaszowi Drapce. A dzieciaki wiejskie, zobaczywszy nieraz Tomasza, wołały za nim:

— Hop! hop! Tomaszu a gdzie wy?

A Tomasz wtedy uciekał jak oparzony i mało sam siebie nie kąsał ze złości, że się dał tak okpić siarczyście.

Ja zaś spisałem wam tu całą tę uciesznę historyę tak, jak mi ją sam Antek Szmaciłatka opowiadał, co często zachadzał do mnie na robotę. Czytajcie ją sobie kochani ludkowie na ucieszenie i na naukę, która taka jest:

Po pierwsze: Nie bądź chciwym; nie łakom się nigdy na wielkie majątki i skarby; nie kuś się o krzywdę ludzką.

Po drugie: Nie wierz w żadne czary i zabobony, bo to wszystko głupota wierutna i fałsz oczywisty a i uraza Boska w dodatku!

Wojtek ze Smolnicy.

Dziwne drzewa.

Rozmaitemi drzewami ubogaciła Opatrzność Boża ziemię, każdy wie, ile z nich mamy korzyści, przyjemności i ozdoby.

Ale chociaż z nas każdy zna bardzo dużo gatunków drzewiny — to przecież ani mu się śniło nawet o takich cudownych drzewach, jakie w ciepłych rosną krajach. Człowiek by nawet nie uwierzył, gdyby to nie było dokumentną prawdą. Bo to proszę was, czy słyszał kto z was kiedy o drzewie chlebowem, maślanem, mlecznem, mydlanem, łojowem? A przecież drzewa takie rosną w ciepłych krajach i ludzie, co tam byli, widzieli je na własne oczy.

I tak rośnie drzewo chlebowe w innych częściach świata pod gorącem słońcem. Drzewo to ma kruche gałązki, które kiedy są jeszcze młode, to je ludzie zbierają, na żarnach mielą — a z mąki tej placki pieką, które taki smak mają, jakby gruby chleb żytni lub pszeniczny.

Drzewo maślane, do 30 łokci wysokie, rośnie w Afryce. To drzewo wielkie ma piękne kwiaty, a owoc brunatny podobny do gruszek. Z tego owocu wyciskają tameczni mieszkańcy sok żółty, zupełnie podobny do masła i tem masłem kraszą potrawy. Pewien uczony podróżny, co tam był a zwie się Mungo Park, powiada, że z ususzonego owocu drzewa tego wydobyte masło utrzyma się cały rok bez soli, i jest bielsze, twardsze i smaczniejsze od naszego.

Drzewo mleczne. W Ameryce południowej, gdzie ogromne są upały i słońce wszystko wypala, zapuszcza drzewo liche swe mocne i twarde korzenie w rozpadlinach skalnych, a nawet swem gwałtownem rośnięciem rozsadza i skały. To

drzewo z pozoru biedne, zwiesza suche liście, a gałęzie jego jakoby uschnięte; i to drzewo niepozorne jest nieoszacowanym darem Boskim dla tamtejszych mieszkańców, murzynów, którzy niem się żywią i krzepią. Nazywa się drzewem mlecznem, bo rzeczywiście daje mleko pożywne i smaczne. O świcie bieży murzyn do kochanego swego drzewa, nawierci je, a strumień mleka zaraz tryśnie. Murzyn najpierw sam się pożywi, a potem i dzbanek i jeden i drugi do domu napełni. Kto więc może pędzi do tego drzewa o wschodzie słońca, bo wtenczas najwięcej przypuszcza mleka. A nawet gdy to mleko się podstoi, zbierze się śmietana zupełnie tak jak u naszego mleka.

Drzewo mydlane jest w Ameryce, wysokość jego dochodzi 15 łokci; kwitnie biało a owoc ma podobny do śliwek. Ten owoc jest ostry, soczysty i służy do prania, jak u nas mydło a nawet się burzy. Trzy lub najwięcej cztery owoce znaczą tyle co funt mydła.

Drzewo łojowe rośnie w Chinach w Azyi. Ma wysokość 3 do 4 łokci, a podobne jest do śrebrnej topoli. Twarda łupina owocu mieści w sobie ziarnka jak groch. Chińczycy gniotą łupinę i ziarnka, gotują to wszystko w wodzie, a ztąd wydobywa się tłustość, a gdy tę zbiorą i ostudzą, mają łój. Pomieszają z nim nieco wosku lub oleju lnianego, i z tej masy wyrabiają białe świece, które się bardzo jasno palą. Ziarna tłuczone dają dobry olej do palenia.

Dziwnym zaprawdę sposobem żywi Bóg i opatruje swe dzieci na obszernej tej ziemi! *S. N.*

RADY GOSPODARSKIE I LEKARSKIE.

Marchew jako pastwa dla koni.

Miara owsa zmięszana z miarą marchwi tak samo pasie konia, jak dwie miary owsa samego. Nie idzie ztąd, by sama marchew była koniom tak dobra jak owies, ale marchew z owsem mieszana sprawia łatwiejsze i zupełne trawienie owsa, bo konie samym owsem paszone nie trawią go wszystkiego,

ale dużo go odchodzi w odchodach niestrawnego. Zaś żółta przedewszystkiem marchew koniom codziennie dawana w małych porcyach zaostrza im apetyt, iż lepiej trawią, a nawet gorsze siano, na któreby bez dawania im marchwi ani nie wejrzały, chętnie pożywają. Marchew na wiosnę koniom dawana od wielu chorób je chroni, przedewszystkiem załzom zapobiega.

Tylko jak we wszystkiem tak i tu miarę zachować należy. Bo gdybyś znowu chciał konia paść samą marchwią, byłoby to dla niego niedostatecznem a często i szkodliwem. Chcesz mieć konia dobrej tuszy, mocnego i by jeno tak błyszczał, pięknego, dawaj mu najwięcej dwie części marchwi a trzy części owsa.

Jakim sposobem upływ krwi zatamować można?

Jadę sobie nie dawno temu przez wieś i widzę człowieka leżącego na ulicy a krew mu jeno tak strumieniem płynie. Koło niego ludzi gromada a wszyscy jakoś zafrasowani wyrzekają nad onym biedakiem. Kazałem tedy stanąć i mówię do chłopów: „Podnieście go na równe nogi;“ co gdy uczynili, wziąłem go za rękę i podniosłem ją w górę a drugą jego rękę drugiemu chłopu kazałem też podnieść w górę, iż on człowiek wyglądał jakby rozkrzyżowany, jeno że ręce były jeszcze bardziej w górę podniesione. A tu krew zaraz płynąć przestała i on człowiek wnet przyszedł do siebie. O czem wam wszystkim donoszę, abyście w podobnym razie równie tak sobie postąpili, bo ten środek na to najłatwiejszy i najskuteczniejszy.

Lepiej słoną wodą solić, niż samą solą.

Razu pewnego Magdę Ratajkę jakoś strasznie zagniewaną zastałem, a jej mąż Szczepan też jakoś kwaśno patrzy, iż ledwo mię przywita. Pytam czemu tacy zafrasowani a Magda zaraz na to:

— Ot dziwak, Jegomościnku, ten mój, wczoraj mu rosół był nie słony, dorzucił sobie soli i smakował mu i mnie też. Dziś mu tego samego rosołu przygrzałam, co wczoraj nie zjadł, a on na mnie wytwarza, żem na psotę jeszcze dosoliła, bo

powiada, że go dziś aż w gardle drapie, taki słony, a wczoraj przecie był dobry; toć prawda, że dziś słony, ale przecie ja go nie dosolała.

Jeszcze tam więcej Magda gadać chciała, Szczepan też niby gębę otwiera a tymczasem ja tę rzecz tak im wyłożyłem:

— Kłócicie się, moi ludkowie, nie wiedzieć o co. Kiedyście wczoraj ten rosół osolili, nie był taki słony jak dziś, choć go nikt nie dosolał. Bo sól wczoraj w rosole dobrze jeszcze nie stopniała a przez noc miała czas się dobrze rozpuścić; ztąd to dziś rosół bardziej słony, niż wczoraj. Jeśli się zaś chcecie o tem dokumentnie przekonać, to wysypcie miarkę soli w trochę wody a nazajutrz osólcie tą wodą jaką potrawę. Osólcie też inną razą taką samą miarką soli w wodzie nierozpuszczonej a przekonacie się, że ta sama miarka soli we wodzie rozpuszczonej prawie raz jeszcze tak osoli potrawę, jak ta sama miarka suchej soli.

— A widzisz, mówi Magda do swego, wszakem ci rosołu dziś nie dosolała.

A Szczepan się odezwie: Kiedy tak, to sól potrawy solą pierwej w wodzie rozpuszczoną, a oszczędzi się nie mało grosza.

— Tak, tak, dodałem ja, toć podobno Czesi już dawno taką słoną wodą solą, a wy wszyscy się o tem możecie przekonać, że na tem nie źle wychodzą.

Uprawa prosa.

Proso wymaga jak najczyściejszej roli, ponieważ przeciwnie jak hreczka, późno wschodzi, wolno z początku rośnie i chwastów wcale nie przytłumia. Rola więc pod proso powinna być najstaranniej uprawioną, inaczej po zasianiu puszczające się chwasty koniecznie wypielone być muszą, i wiele żmudnej pracy gospodarzowi przyczynią. Potrzebuje gruntu kruchego, żyznego i ciepłego, ale lepiej uda się w drugim roku po nawozie, niż na świeżym gnoju. Sieje się późno i to kiedy się mrozu obawiać nie masz przyczyny. Jeżeli można z siewem trafić na deszcz, tem lepiej. Ziarno przed siejbą zawsze się parzy, najlepiej w serwatce; tym sposobem czyści się od pyłu

i prędzej kiełki wypuści. Jest bardzo dobrze po zasianiu i zabronowaniu rolę powalcować, aby powierzchnią jak najdokładniej rozpruszyć i zrównać, a po tygodniu lub więcej jeszcze raz zbronować dla zniszczenia puszczających się chwastów. Proso nie pokaże się nigdy przed dwoma tygodniami, i wtedy posucha najlepiej mu służy. Jeżeli po zejściu w pierwszym tygodniu deszcz na nie gwałtowny spadnie, niezawodnie nic z niego nie będzie, zagłuszy je w istocie, ponieważ listki jeszcze nierozwinięte, mając kształt uszka, napełniają się wodą i od niej roślina ta gnije. Deszcz dopiero później jest pomocnym, kiedy listki się rozwiną a jeszcze bardziej, kiedy proso już się kłosuje. Proso mocno rolę wyplenia, to jest: dużo z niej wyciąga żywiołu, i dlatego nie wypada go siać przed oziminą, lubo czasem to czynią na nowinach lub borowinach, na których, jeżeli są w położeniu suchem, proso się udaje, ponieważ pod powierzchnią nowin ziemia zawsze jest sypka, a taką ziarno to lubi.

RÓŻNOŚCI.

Straszne nieszczęście. Tego roku to wyraźnie jakby się Pan Bóg na nas pogniewał, bo dotyka nas srodze rozmaitemi klęskami i nieszczęściami.

Oto posłuchajcie kochani ludkowie, jaki się okropny wypadek wydarzył koło Krakowa pod Czernichowem na Wiśle. Jak każdego roku o tym czasie, tak i teraz wracali ludzie z odpustu na Kalwaryi Zebrzydowskiej, co się tam odbywa na Wniebowzięcie Najświętszej Panny Maryi. Otóż dnia 16 sierpnia wracały wielkie gromady ludu wiejskiego z Kalwaryi a droga im wypadała przez Wisłę pod Czernichowem. Z przyczyny, że ludzi była wielka siła, więc nie można było przewieźć się przez Wisłę na promie, jeno wzięto do tego krypy, co się na nich po 600 korcy zboża ładuje. Wsiadło tedy z jakich 300 ludzi na tę krypę. Ale już to takie nieszczęście między naszymi kmieciami, że choć z świętego miejsca wracają, to przecież na złe się skusić dadzą. I tak widzicie, kochani ludkowie, wsiadł na tę krypę także żydzisko z wódką, a przewoźnicy, czyli wioślarze, zaraz się nią okrutnie spili. Było to koło godziny 8mej z wieczora. Pijani wioślarze nie umieli trafić na dobre miejsce do brzegu, bo jak zwyczajnie wódka zatumaniła im głowy, jeno nakierowali

krypę na galar. Jak tedy krypa uderzyła w ten galar wielką siłą, tak się na dwoje rozpadła jak szkło. I oto patrzcie, jedna połowa krypy poszła pod wodę razem z ludźmi a druga połowa popłynęła dalej. Rzucili się ludzie do ratunku, a osobliwie gromada czernichowska ratowała co mogła. Ale daremną była ich praca! Tych co popłynęli dalej, uratowano prawie ze wszystkiem, ale ci co zatonęli, już nie obaczyli bożego słonka! I tak utopiło się marnie **sto ludzi.** Byli ci biedacy ze wsi Czułówki, Nowej Góry i Kaszowa. Powiadają ludzie, że między tymi co się utopili jest także i przezacny kmieć z Kaszowa **Felix Boruń**, co to odbywał pielgrzymkę do Rzymu i do świętej ziemi i z samym Ojcem świętym rozmawiał, a potem to wszystko do druku podyktował! Oj straszne, to bardzo straszne nieszczęście, że aż człek boleśnie zapłakać musi! Okropnie nas palec Boży dotyka, snać wielkie grzechy między nami, kiedy nas Bóg Najwyższy tego roku tak ciężko karze!..

Czyja koza? W jednej wsi mieszkało dwóch gospodarzy, z których każdy miał jedną czarną kozę. Obie te czarne kozy były tak podobne do siebie, że ani rusz było poznać, która Kuby a która Łukasza. Otóż stało się tak, że jedną kozę, gdy się pasła, zjadł wilk. Gdy tedy wrócił pastuch gromadzki do wsi, lamentował bardzo, że wilk jedną kozę porwał. Zbiegli się na ten lament ludzie, zaś najpierw Kuba i Łukasz. Gdy się dowiedzieli o wszystkiem, mówi Kuba:

— No chwała Bogu! moja koza jest, wilk zjadł Łukaszową!

A Łukasz;

— Nieprawda twoją zjadł wilk, oto moja zdrowa i cała!

Poczęli się tedy okrutnie kłócić Kuba i Łukasz, czyją kozę zjadł wilk, i już mało co nie przyszło do bitki. Wołają w końcu wójta, aby rozsądził tę sprawę. Wójt poskrobał się w głowę, popukał palcem w czoło, bo nie wiedział jak tu sądzić po sprawiedliwości. Mówi tak:

— Niech odprowadzą kozę do mojej stajni, dopóki się sprawa nie załagodzi, a tymczasem zbierzemy przysiężnych i gromadę i będziemy sądzić czyja koza.

Aż tu naraz występuje jeden chłopek, co się temu wszystkiemu z boku przypatrywał i mówi:

— A nacóżby tego, ja tu w jednej chwili przekonam się, czyja koza, czy Kuby, czy Łukasza!

— Owa jaki mi mądry! — mówi wójt — anu próbuj!

Ów chłopek nie myśląc wiele chwycił za batóg i zaciął nim kozę po nogach. Koza poczęła uciekać a on mówi:

— Patrzajcie teraz ludzie, gdzie koza pobiegnie, do której stajni, czy do Łukasza czy do Kuby?

Koza jak drapnęła, tak się dopiero na podwórzu Łukasza zatrzymała.

— Otóż widzicie, moiściewy, — mówi mądry chłopek — ta koza niczyja inna jeno Łukasza!

I tak rozsądził całą sprawę po sprawiedliwości.

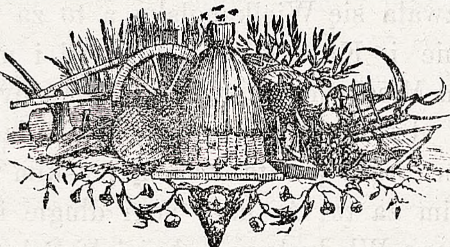
Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom XI. **Nr. 7.**

1. września **1864.**



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święta Helena wdowa.

Z dawien dawna jest w polskim kraju taki zwyczaj, że bogaty ojciec dzieli cały swój majątek między dzieci, a najstarszy syn dostaje najwięcej gruntu albo i cały grunt po ojcu, a młodsze dzieci dostają spłat albo dzielnice z gruntu. Tak robili polscy królowie, panowie, sołtysi i kmiecie na początku, tak się dzieje i po dziś dzień między Polakami.

Otoż jeden król polski co się zwał Bolesław Krzywousty, a zwał się tak, bo miał usta trochę na bok skrzywione, zostawił po sobie aż pięciu królewiczów. Umarł ten król pobożny i wojacki jeszcze roku pańskiego 1139, a więc już temu dobre 700 lat. Najstarszy królewicz został w Krakowie, a inni dostali dzielnice po całej Polsce. Jeden zaś królewicz Mieczysław stary, co go tak nazwali za to, bo miał dużo rozumu i różnych wykrętów, dostał dzielnicę, gdzie to leży miasto Gniezno, Kruszwica, Kalisz, Poznań i inne miasta.

Ta dzielnica po ojcu królu dla syna wyznaczona miała do sto mil wszerz i wdłuż i obejmowała grunta, lasy i wody, mia-

sta i wsie od Krakowa przez Częstochowę ku północy aż do Gdańska, a znowu od Gniezna ku wschodowi aż do Sandomierza i Warszawy, i zwała się Wielkopolską a to za to, że tam siedzieli w Gnieznie i Kruszwicy najpierwsi i najstarsi polscy królowie. Po tym Mieczysławie starym, który był także królem polskim, zostały dzieci, a jeden jego syn Władysław, był po śmierci ojca także przez 3 lata królem polskim i przezwali go Polacy laskonogim za to, że miał nogi długie i cienkie. Otoż znowu wnuczek tego Władysława był niejaki Bolesław, a zwał się pobożnym za to, że był nabożny bardzo, modlił się, pościł, dawał jałmużnę, a dla ludzi był bardzo miłosiernym. Dostał on z dziadka i z ojca całą Wielkopolskę i siedział sobie w mieście Kaliszu, a królowie polscy siedzieli w Krakowie. Takim królem polskim był potenczas także Bolesław nazwany znowu wstydliwy za to, że się na nic złego nigdy nie popatrzył, na złe słowa i na brzydkie śpiewki uszy sobie rękami zatykał, a zaś sam nigdy przenigdy nic złego ani nie pomyślał, ani nie gadał, ani nie robił.

Otoż 600 roczków temu, a byłci wtedy w Krakowie sam król polski, Bolesław Wstydliwy, tak jak święty już za życia, to znowu siostra jego Salusia była to samo tak jak święta w Zawichoście i Grodzisku, to znowu w mieście Kaliszu był krewniak króla Bolesław pobożny, tak samo jak święty, to znowu za Krakowem w mieście Wrocławiu była stryjanka ich Jadwiga i stryk Henryk brodaty, tak samo jak święci, to znowu w Sandomierzu był xiądz Wincenty Kadłubek tak samo jak święty, a w całym polskim kraju nie zrachowałbyś pobożnych po miastach i po wsiach! Toż stare xiążki piszą tak:

„Po tamte czasy chodzili w polskim kraju po ziemi nie ludzie grzeszni, ale Aniołowie i sami pobożni i święci od granicy do granicy, od miasta do miasta, od wsi do wsi.“

I było tak pobożnie w całej Polsce nie rok jeden i drugi i dziesiąty, ale całe sto lat i to nieraz. Od króla aż do kmiecia była bojaźń Boża, pobożność i zgoda i miłosierdzie!

Otoż w Krakowie naszym polskim był wtedy król Bolesław Wstydliwy, co został świętym, a znowu w Kaliszu w Wielkopolsce był Bolesław pobożny. Obaj swojacy i krewniacy byli

jednako młodzi, pobożni, miłosierni i wiedzieli to dokumentnie: „Kto się Boga zawsze trzyma, taki biedy żadnej nie ma."

Obaj chowali się za przykładem i poradą stryjanki św. Jadwigi i stryka Henryka, co siedzieli w polskim Wrocławiu i ztamtąd dawali rady i przykłady pobożne dla młodego króla i królewicza z Kalisza. A dobrze oni robili, że starszych słuchali i pobożnie się chowali, bo to jest mądra gadka na to: „Kto starszych nie słucha i źle się za młodu zachodzi, ten nie wart, że po świętej ziemi chodzi. A kto dobrej rady usłucha i jest upobożniony, ten będzie szczęśliwy, a potem zbawiony." Otoż król Bolesław i krewny jego Bolesław żyli za młodu pobożnie, a gdy wyrośli, wtedy ich stryjanka św. Jadwiga tak im gadała:

— Czasby był, abyście się oba uczciwie pożenili! Nie bierzcie sobie żon bogatych a bezbożnych, ale żeńcie się tam, gdzie jest wiano i bojaźń Boża i wychowek dzieci, jak Bóg nakazuje. Oto ma król węgierski aż trzy córki, a wszystkie pobożne, to się możecie z niemi pożenić, a wtedy będzie wam dobrze w domu, będzie dobrze wszystkim Polakom, a dla Boga będzie chwała.

A był wtedy dla Węgrów królem Bela, a żona jego Marya, oboje pobożni, przykładni, miłosierni — toż wychowali oni sobie trzy córki tak, że wszystkie trzy zostały świętemi — jedna jest świętą patronką Węgrów a dwie z nich zostały świętemi patronkami Polaków. Jest to św. Kunegunda i św. Helena, którą wybrała św. Jadwiga za żony dla króla polskiego Bolesława Wstydliwego w Krakowie i dla Bolesława Pobożnego w Kaliszu.

Helena czyli Jolanta po węgiersku, miała za młodu dobrą matkę i dobrego ojca. A dobry ojciec i dobra matka to więcej nauczą dobrego, niż książka złocista i profesory. Dobrzeto mówi gadka: „Jaki ojciec, taki syn! jaka mać, taka nać."

Matki mają przykaz od samego Boga taki: wyżywić dzieci, okryć, ogarnąć, nauczyć roboty, dać sposób do życia, a najbardziej wyuczyć pobożności, miłosierdzia, dbać o duszyczkę i serduszko dzieci, aby to serduszko kochało Boga i ludzi wszystkich, a duszyczka bała się Boga i robiła wszystko dobre za życia. Dobrze to mówi gadka: „Jaka dusza w tobie, jakie życie w dobie, taka i zapłata w grobie!"

Toż królowa węgierska Marya wyuczyła sama trzy córeczki paciorka tak, że maluśka Helena umiała cały paciorek i przykazania boskie już w 3 roku. Ledwo to maleństwo gadać zaczęło, a już uczyło się tego, co każdemu najpotrzebniejsze wiedzieć i umieć.

Toż Helena królewna pamiętała sobie naukę matki pobożnej, nie pyszniła się nigdy ani z rodu, ani ubioru, ani z nauki ani majątku, była pobożną i miłosierną, a ludzie gadali sobie po cichu:

— O z tej panienki będą mieli rodzice kiedyś pociechę wielką, święci Anieli radość i wesele na niebie, a biedni ludziska poratunek w potrzebie.

Toż wyrosła Helena jak śliczny wonny fiołek, jak wianuszek pachnący, a całe Węgry gadały o niej i pisały tak, że takie nowiny doszły aż do Polaków. Otoż przyszli do węgierskiego króla drużbowie z polskich krajów, i tak gadali do niego:

— Ty królu masz dużo złota, masz wielkie kraje, gdzie wino rośnie, a nasz król młodziutki w Krakowie jest pobożny, ma kraju więcej od ciebie, ma lasy, morza, a tyle zboża, żeby zasypał cały twój kraj od granicy do granicy. Jest tam znowu młodziutki królewicz w Kaliszu, także pobożny jak aniołek; otoż my tu przyszli do ciebie z prośbą, abyś wydał twoje pobożne córki za polskich królewiczów! Daj Kundzię naszemu królowi Bolesławowi do Krakowa, a Helenę znowu daj naszemu Bolesławowi do Kalisza, a będzie to dla ciebie i dla nas dobrze, bo my dowieziemy tobie dużo zboża do Węgier, a ty nam dasz za to dukaty i wino, a znowu będziemy się razem trzymać i odgonimy prędzej Tatarów, o których gadają, że idą od wschodu słonka na Węgry i Polskę.

Król Węgierski Bela wysłuchał takiej dobrej rady i powiedział:

— Dam ochotnie moje dzieci za takich, jakimi są wasi królewicze polscy. Więcej u mnie znaczy pobożność, niż korona złota.

Otoż dwie rodzone siostry Kunegunda i Helena (czyli po węgiersku Jolanta) wydały się do Polski, jedna do Krakowa, a druga do Kalisza; obie zostały świętemi w Polsce, jedna św. Kunegunda, a druga św. Helena wdowa.

Helena wydała się za Bolesława pobożnego, królewicza w Kaliszu, co miał Wielkopolskę. Miała wtedy 18 roczków, była młodzieńka, jak kwiatek wiosenny, ślub miała od xiędza biskupa Krakowskiego, a po weselu i po ślubie sprowadziła się do Kalisza i tu z mężem pobożnym siedziała. Było to roku pańskiego 1250.

Była ona w Polsce tak samo pobożną, miłosierną, cierpliwą, zgodliwą, cichą, pracowitą, z mężem żyła dobrze, toż zapłacił jej to Bóg sowicie, bo dał jej jedynaczkę córeczkę Jadwisię, która się potem wydała do Krakowa za króla polskiego Łokietka, i została babką Kazimierza Wielkiego. Ale była ona miłosierną bez wyjątku dla każdego. Nawet dla żydów była matką dobrą. Gdy się dowiedziała, że na całym świecie prześladowali wtedy ludzie okrutnie żydów, że ich wyganiał z kraju swego Niemiec, Francuz, Anglik, że ich topili, palili, rabowali, truli, zabijali na całym świecie, wtedy zapłakana mówiła do męża pobożnego:

— Mężu pobożny! na co to ludzie w drugich krajach tak źle robią, że wyganiają i zabijają żydów? Taćto i żydzi są ludźmi i stworzeniami boskiemi, są naszymi bliźnimi, nie trza się naśmiewać z ich nabożeństwa ani świąt, nie trza im źle robić, ale dobrze, jeno nie trza się niczego złego od nich uczyć. Weź tych biedaków do kraju polskiego, daj im takie prawa, jakich im nie dał Niemiec, Turek, Francuz, Anglik, aby oni tu byli szczęśliwi i mieli się dobrze.

I zrobił tak pobożny Bolesław z Kalisza, że przyjął żydów do Polski z całego świata wygnanych, i dał im takie prawa, jakie mieli Polacy sami. I odtąd też rozgościli się żydzi w Polsce i zbogacili się strasznie. A pobożną Helenę i Bolesława pobożnego wspominali żydzi po całym świecie za takie miłosierdzie. Ale Pan Bog dotyka nieraz nawet najcnotliwszych ludzi rozmaitem cierpieniem.

Otoż i pobożna Jolanta żyła sobie 28 lat dobrze z mężem, jak w raju, i nie wiedziała nieboga, że przyjdzie na nią trwoga, bo w kwietniu 1279 umarł jej pobożny mąż Bolesław w Kaliszu, a za nim płakała cała Polska, a żydzi żałowali go jak ojca. Helena wdowa nie łakoma na rządy, zdała z ochotą cały kraj swój rodzonemu bratu nieboszczyka męża, królewiczowi Przemy-

sławowi, dała wiano swej córce wydanej Jadwisi, pomodliła się na grobie męża, fundowała różne szpitale, rozdała ubogim swoje klejnoty, a potem poszła sobie do Krakowa, gdzie była św. Kunegunda, jej siostra i tam przy niej żyła w pobożności.

Ale wdowa pobożna Helena ledwo na Wielkanoc była w Krakowie po postnym pogrzebie męża, a koło Bożego Narodzenia umarł znowu król polski Bolesław Wstydliwy, a tak obie siostry w jednym roku były wdowami. Co tu robić w takiem umartwieniu?

Oto obie wybrały się w góry Tatry, fundowały tu klasztor w Starym Sączu, zebrały tu 70 zakonnic i żyły 8 lat, uczyły dzieci, gościły podróżnych, okrywały sierotki. Na ten klasztor dały te pobożne królewne dużo wsi i wielkie pieniądze, a ten klasztor stoi do dziś, i ma już 600 lat. W tych górach myślały one spokojnie żyć i umierać, aż tu 10 lat po śmierci ich mężów, kiedy był królem polskim Leszek Czarny, nazwany tak za to, że się ubierał kuso i po niemiecku, wtedy to wpadli Tatarzy aż po Kraków i zabrali do 30 tysięcy dziewek do niewoli, wtedy i one zakonnice wszystkie uciekły w lasy z Sącza, potem wróciły, gdzie św. Kunegunda w 5 lat umarła, roku pańskiego 1292 w sam dzień św. Anny; a ręka jej cała jest do dziś w kaplicy.

Wtedy została Helena sierotą wielką. Ojcowie jej pomarli na Węgrach, mąż umarł w Kaliszu, szwagier król polski umarł w Krakowie, siostra jej umarła w Sączu starym, ona też wróciła na grób męża i fundowała klasztor w Gnieznie, gdzie siedzieli pierwsi królowie polscy, nim się przenieśli do Krakowa, tam była 6 lat starszą zakonnicą i tam umarła 6 lat później roku 1298. Żyła ona 66 lat, w 18 roku wydała się, z mężem żyła 28 lat, a 20 lat była zakonnicą, w Polsce przeżyła w wielkiej pobożności 48 lat, a w Gnieznie leży pochowana. Módlmy się do niej:

O św. Heleno wdowo! patronko Węgrów i Polaków! Módl się za nami, uproś nam pobożne życie, zgodę, ochotę do roboty, szczęście ojczyzny i niebo!

Xiądz Wojciech z Medyki.

NIEDZIELA.

Ułożył ludziom ku przestrodze Władysław Syrokomla.

I. Poranek.

Spuściła się z góry święta niedziela,
Z za różowej chmury słonko wystrzela,
Wiatr kołysze kłoski zielonej niwy,
Lata w koło wioski Anioł życzliwy,
I łąkom, gdzie kwiatki, wieści udziela:
„Radujcie się dziatki, dzisiaj niedziela!...“

Trawka pełna rosy czeka na stada,
Ryczy w niebogłosy oborka rada.
Sute dzięki Bogu pastwisk obszary,
Trąbi w trąbkę z rogu pastuszek stary;
Za wsią sterczy z drzewa krzyż Zbawiciela,
Ptaszek na nim spiewa: „Dzisiaj niedziela!...“

Pod Jankową chatą skrzypie kolasa,
Dziatwa czując lato, po dworze hasa.
A Janek roztwiera zamek szpichlerza,
Na targ się wybiera, zboże odmierza.
Już i żniwo blisko... to go ośmiela
Jechać w targowisko, bo dziś niedziela!

Licha gospodarka, grosza potrzeba,
Nie zostało ziarnka na bochen chleba.
Żona nie ma soli, suszy mu głowę;
Drobna dziatwa woli xiążeczkę nowę,
Toż to gościńcami ich poobdziela!
Dzieci! pan Bóg z wami, dzisiaj niedziela!

Na wóz Janek siada, konia zacina,
Bieży za nim rada dzieci drużyna,
Mimo sielskie wrota minął krzyż kłusem....
A dziatwa szczebiota: „Z panem Jezusem!“
Mówią pięć pacierzy do Zbawiciela,
Modły idą szczerzej, bo dziś niedziela...

Gdy dzieci łzy ronią schyliwszy czoła,
„Anioł pański“ dzwonią, z wieży kościoła;
A jak dzwon uderzy świętym wyrazem,
To i puhacz z wieży jęczy z nim razem.
Kto nocną brzydotę jęczyć ośmiela?...
Świeci słonko złote, dzisiaj niedziela!

II. Powrót Janka z targu.

Jestem sobie podpiły,
Jedna czarka dla siły,
Druga z ręki sąsiada,
Czyż odmówić wypada?
Poszła trzecia i czwarta,
Ot zebrała się kwarta,
Ot i w głowie już świta,
Hej, pal koniu z kopyta!

Precz bogacze bom pijany,
Wstyd wam mojej sukmany,
Lecz Jankowa sukmana,
Nie bywała skalana,
Wy o waszej sajecie,
Czy to samo powiecie,
Gdy was pan Bóg zapyta?
Hej, pal koniu z kopyta!

Stoi karczma przy drodze,
Pyknąć lulkę zachodzę,
Człowiek węgle roznieca,
A tam szatan z za pieca
Daje znaki wciąż głową:
„Wypij, będzie ci zdrowo!"
Posłuchałem i kwita,
Hej, pal koniu z kopyta!

Krzycz, czy nie krzycz tam żono
A jeść będziesz nie słono!
Niechaj cierpi nieboga,
Sól być musi za droga,
Coś mi z głowy wyleci,
Kupić xiążkę dla dzieci?
Co tam dziecko wyczyta?
Hej, pal koniu z kopyta!

Krzyż przy drodze, tu stanę...
Nogi chwieją się piane....
Przebacz Chryste, jam ciemny,
Bój z szatanem daremny!
Któż mi głowę oświeci?
Kto zapewni los dzieci?
Przyszłość ciemna, zakryta...
Hej, pal koniu z kopyta!

Grzmi, błysnęło w oddali...
Piorun w sosnę gdzieś pali...
Czemuż karczmy oszczędza,
Z których grzech nasz i nędza?
Ej urosło ich tyle,
Że aż dziesięć na milę!
Krwią płacimy ich myta,
Hej, pal koniu z kopyta!

Ot i wioska, snać nasza...
Konia nęci już pasza,
Targnął wozem tak srodze,
Żem się zwalił na drodze.
Trudno powstać, bo ciemno,
Jakieś licho nademną,
Coś za serce mnie chwyta...
Koń sam pobiegł z kopyta!

III. Lament arendarza.

Janek!... Spił się jak bela!....
Jak zabity spi w rowie,
Prawda dzisiaj niedziela!
Czarka, druga na zdrowie.
Tobie zdrowia przybędzie,
Ja mieć będę grosz w zysku,
Lecz tyś zamiast w arendzie
Spił się na targowisku!
Tyś mi ukradł, co moje,
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Ale resztę... to znowu
Przepij u mnie na zgodę,
Ja wydźwignę cię z rowu,
I do karczmy zawiodę.
Wstawaj, zbierz się na siły,
Pokaż kieszeń!... no proszę...
Ach ty chłopie opiły
Ukradziono ci grosze!...
Toż ja liczył jak moje,
Gwałt, ratunku, rozboje!

No co robić? przygoda...
Jużby lepiej to przepić...
Mnie samemu cię szkoda,
Warto ducha pokrzepić.
Janek, Janek ty słaby!

Wypij kwarty z połowę,
Nie idź do twojej baby,
Naturbuje ci głowę,
Ty je oddasz za swoje,
Będą gwałty, rozboje!

IV. Wieczór.

Opuściwszy głowy, kwiatki już drzemią,
Wieczorek różowy, pieści się z ziemią;
Słońce nim zapłynie, za chmurną ścianę,
Złotem wprzód obwinie strzechy słomiane.
Błyszczą ognie z chatek, krąży lud w bieli,
Taki jest ostatek świętej niedzieli.

Powracają trzody... wyprawiają harce!
Pasterz siwobrody gra na fujarce,
Polny konik brzęczy w podskoku chyżym,
A niewiasta jęczy padłszy pod krzyżem,
Ej jak cierpi srodze ludzie widzieli,
Bolesny niebodze wieczór niedzieli!...

Skrzypek podchmielony na taniec zowie,
Grzmią w kapliczce dzwony, po czyjejś głowie...
Dziś mnie, jutro tobie, Janku nieboże!
Dziś hulałeś sobie przedawszy zboże,
A wieczorem człeka na mary wzięli...
Nie wie kto doczeka przyszłej niedzieli....



FELIX BORUŃ

zacny kmieć polski i pobożny pielgrzym.

Pisaliśmy wam już w zeszłym numerku Dzwonka, jakie to straszne nieszczęście stało się dnia 15 tego miesiąca na Wiśle koło Czernichowa, gdzie się utopiło blisko 100 wieśniaków powracających z odpustu na Wniebowzięcie Najśw. Panny z Kalwaryi Zebrzydowskiej. Wtedy pisaliśmy wam także, jako ludzie mówią, że ów zacny kmieć z Kaszowa pod Krakowem,

Felix Boruń, co to był w Rzymie i od Ojca św. otrzymał błogosławieństwo dla siebie i dla całej naszej Polski, a potem jeszcze do ziemi świętej, na grób naszego Zbawiciela pielgrzymował, utopił się także w Wiśle z innymi.

Ale zrazu była to niepewna wiadomość, aż dopiero teraz dowiedzieliśmy się z boleścią, że ten przezacny i pobożny wieśniak polski, Felix Boruń znalazł w istocie nagłą śmierć w Wiśle. Kiedy się krypa na Wiśle rozbiła i wielki strach padł na ludzi, to dwoje dziatek jakichś przytuliło się do Borunia, aby ich ratował, ale wola Boża inaczej zrządziła, i Felixa Borunia kilka dni temu razem z temi małemi dzieciątkami wyciągnęli ludzie z wody.

Tak zginął ten kmieć pobożny, który wam kochani ludkowie wielką chwałę sprawił, i całemu narodowi polskiemu od Ojca świętego błogosławieństwo przyniósł. Cały świat szeroki nie mógł się nachwalić, co to za pobożny ten ludek polski, kiedy między nim tacy zacni wieśniacy się rodzą jak Felix Boruń. Pisały o tym Boruniu wszystkie gazety z całego świata, we Francyi, w Niemczech, we Włoszech, wszędy znane było jego imię.

Już i w Dzwoneczku bywały pisania o Boruniu i o jego pielgrzymce do Ojca św. i do Jerozolimy, więc też musicie i wy wiedzieć, jakie to dalekie pielgrzymki odprawił prawie piechotą ten kmieć polski. Toć teraz już nie będziemy wam dużo opowiadać o tem, jeno na przypomnienie po zmarłym wypiszemy wam z tych xiążeczek, co je sam Boruń podyktował jednemu panu w Krakowie do druku, jak to ten nasz polski chłopek widział się i rozmawiał z Ojcem świętym. Nieboszczyk Boruń tak to opowiadał:

„Pragnąłem bardzo uszanować samego Ojca św. w jego mieszkaniu i upaść mu do nóg, a prosić dla siebie i dla całego kraju o szczególne błogosławieństwo. Ale powiadano mi, że go nie zobaczę, raz dla tego, iż słabuje, a powtóre iż nikt w tym czasie do niego nie chodził, bo nawet kardynałowie, biskupi i kanonicy widzieć go nie mogli. Bardzo mi to bylo markotno i użalałem się pokornie przed xiężmi i Polakami, iż może z Rzymu wyjdę, a Ojcu świętemu nóg nie ucałuję. Wierzyłem

ja, jak i do dzisiaj wierzę, iż błogosławieństwo równie jest skuteczne choćby go człowiek w najmniejszym przyjął kąciku, jednak to wielkie jest szczęście przybliżyć się do następcy Piotra świętego. Więc gdy to pragnienie moje gorące widział niejaki Polak pan Kulczycki, który jest podobno szambelanem przy papieżu, przyrzekł mi, iż mi się wystara o pozwolenie widzenia Ojca świętego w jego mieszkaniu. Był też tam również ksiądz Polak Jezuita, który widząc moją wiarę i pragnienie, bardzo się za mną wstawiał. Otóż udało się panu Kulczyckiemu, iż w środę po świętym Piotrze zostałem przywołany do Ojca świętego, który mię jak prawdziwy Ojciec wszystkich katolików przyjął. Że zaś Ojciec święty nie mówi po polsku a ja nie umiałem po włosku ani żadnego języka, przeto pan Kulczycki był między nami tłumaczem i wszystko to Ojcu świętemu wyłożył, co ja mu o sobie powiedziałem, to jest z jakiej jestem kondycyi, co mnie zniewoliło iść do Rzymu, jak odbyłem podróż, jak w areszcie niewinnie siedziałem, słowem wszystko, co ze mnie wiedział, przełożył pan Kulczycki Ojcu świętemu. Wtenczas Ojciec święty kazał mi znowu odpowiedzieć przez pana Kulczyckiego, że mi Pan Bóg będzie za to błogosławił, że w takiej intencyi w daleką udałem się podróż i że on mnie za to błogosławi i ze mną cały naród polski. Ja upokorzywszy się na klęczkach, rozpłakałem się, i przyjmując błogosławieństwo, już od płaczu widzieć Ojca świętego nie mogłem, co widząc Ojciec święty także się rozczulił, a jako zaręczał pan Kulczycki, że i papież od płaczu wstrzymać się nie mógł. Wtenczas na pamiątkę odebrałem z własnych rąk Ojca świętego medalik srebrny z błogosławieństwem i po dwa razy ucałowałem nogi jego z płaczem, co widząc Ojciec święty pozwolił mi pocałować pierścień u ręki, którego to szczęścia nie dostępują chyba kardynałowie. Wyszedłszy od Ojca świętego, uspokoić się w płaczu nie mogłem i z radości i z wdzięczności dla Pana Boga, że mnie chudakowi takie się szczęście z ziemi naszej polskiej dostało. Wszyscy dworacy, co są przy papieżu czy duchowni, czy też ci co w czerwonych szatach jedwabnych chodzą, i co obsługują papieża, bardzo na mnie byli dobrzy i jak się tylko dowiedzieli, żem chłop polski, bardzo mnie wdzię-

cznie przyjmowali i na krzesełkach sadzali. Pomyślałem sobie też, że nie ma lepiej jak z Bogiem trzymać i ze świętą wiarą, bo ta i przez świat człowieka przeprowadzi i do nieba zawiedzie. Gdybyto ludzie w narodzie naszym zamiast słuchać próżnych bajek i plotek i temu lub owemu duszę zaprzedawać, Bogu wiernie służyli, toby się prędzej jakiego szczęścia na świecie doczekali. Jestto prawda jedna i innej nie ma, ale tej prawdy się ludzie nie trzymają i dlatego źle im na świecie a może gorzej będzie i po śmierci. Wyszedłszy od Ojca świętego, poszliśmy obadwa z panem Kulczyckim na dół do kościoła i uklęknąwszy przy grobie świętego Piotra podziękowaliśmy Bogu najwyższemu za tę łaskę i za tę radość, jakiej doznałem przy nogach namiestnika Chrystusowego. Potem zaprowadził mnie Pan Kulczycki do swojego domu, gdzieśmy sobie pogwarzyli i gdzie mu mile podziękowałem za jego dobroczynność i za tę dobroć, którą mi wyświadczył; bo gdyby nie on, tobym był pewno tego szczęścia nie dostąpił. Więc się też za niego modlę i modlić będę, aby mu Pan Bóg błogosławił.“

Gdy już Boruń powrócił z Rzymu, to znowu potem w r. 1863 wybrał się na pielgrzymkę do ziemi świętej, tam gdzie Zbawiciel nasz żył cierpiał na krzyżu i umarł — oglądał tam grób Jego przenajświętszy i modlił się na nim za szczęście naszej Polski. Ciekawe tam bardzo rzeczy widział Boruń, ale już tego wam tu opowiadać nie będę, bo to wszystko ładnie jest spisane w dwóch xiążeczkach, co tak się zwią: „Pielgrzymka do ziemi świętej“ i „Podróż do Rzymu“ Felixa Borunia. Kto więc ciekaw wszystkiego, niechaj sobie kupi te xiążeczki za kilka krajcarów, to będzie miał przyjemne i nabożne czytanie.

Nieboszczyk Boruń choć takie dalekie kraje zwiedzał i z samym Ojcem św. razmawiał, był sobie zawsze pokorny i cichy i mieszkał dalej w swojej chacie w Kaszowie pod Krakowem, gdzie go cała gromada i ludzie z innych wsi miłowali i szanowali jak ojca, a xięża i panowie, to go na rękach nosili. Żył ten Boruń cnotliwie i pobożnie i każdy choćby najgorszy kochać i czcić go musiał dla jego dobrego serca i rozumu.

Kiedy się dowiedzieli ludzie, że się utopił, to żal po nim i płacz był wielki. Pogrzeb jego odbył się we wsi Liszkach, a na pogrzebie tym mnóstwo było ludu ze wsi poblizkich i z Krakowa, i odprowadzili ciało Borunia z żalem i łzami do grobu. A wieśniacy z Kaszowa i z Liszek uradzili, aby się złożyć i postawić piękny pomnik na jego grobie. Oj szkoda, wielka szkoda Borunia i aż żal człeku serce ściska, ale co Bóg zrobi, to dobrze zrobi, bo zacny i pobożny ten kmieć polski modlić się będzie u tronu Najwyższego za nami, kochani bracia, i za całą naszą ukochaną krainę polską!...

Toż pamiętajcie zawsze o wieśniaku Boruniu, co tak zacne i pobożne wiódł życie na ziemi. A nadewszystko pamiętajcie sobie piekne słowa tego cnotliwego włościanina, któremi on opowiadania o swych pielgrzymkach zwykł był kończyć. Słowa te niech będą dla was spuścizną po tym kmieciu pobożnym — a są one takie:

„Ja chwały u ludzi z mojej pielgrzymki nie szukam, bo ja to, co zrobiłem, to uczyniłem dla Boga i dla zbawienia mojej duszy, a także dla wyjednania błogosławieństwa u Ojca świętego dla bliźnich moich. Teraz tu dodaję że wszyscy na tym świecie pielgrzymami jesteśmy i niekoniecznie każdy do Rzymu dojść może, aby odbył pielgrzymkę. Wszelaki człowiek w stanie w jakim który jest, pielgrzymuje do nieba, jeżeli chodzi po drogach pańskich i dopełnia swoich powinności. Panek pobożny albo dziedzic, rządząc się sprawiedliwie i mając Boga w myśli a dla Boga wszystko czyniąc, odbywa pielgrzymkę do nieba. Xiądz chodząc troskliwie około zbawienia dusz swoich parafian, także do nieba odbywa pielgrzymkę. Chłopek idący za swym pługiem a wierny Pann Bogu, sprawiedliwy i poczciwy, również odbywa pielgrzymkę, i wszyscy ludzie jacy są na świecie, którzy idą jakby procesyą za Zbawicielem, odbywają pielgrzymki aż do wrót niebieskich, gdzie już wiecznego pokoju zażywać będą. Tyle stary Boruń miał powiedzieć i na tem jest koniec."

Tak to pięknie pouczał za życia Felix Boruń wieśniaków!

Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niech mu świeci. Amen!

Ren.

Na samej północy od nas leży Laponja, a od roku 1279 należy do Szweda. Jest to kraj bardzo zimny; przez wiele miesięcy masz same śniegi i lody, a lato trwa tam bardzo krótko. Nie rośnie tam zboże i drzewo tak obficie jak u nas, bo mróz mu rosnąć nie dozwoli; i dla tego niktby tam nie wytrzymał, każdyby zmarniał od głodu i zimna, gdyby Bóg owym biednym Lapończykom nie przyszedł w pomoc i nie był dał zwierzęcia, które im stanie za wszystko, a tem zwierzęciem jest ren. Ren ich żywi, przyodziewa, ciągnie, ren im daje wszystkie potrzeby i wygody; bez rena Lapończyk ani żyć nie może.

Ren podobny jest do jelenia, ale żyje tylko w krajach bardzo zimnych, na samej północy od nas; ciepła znieść nie może, i czem zimniej tem mu milej. Na głowie ma rogi jako łopaty i te zrzuca co rok; ale to dziwna, że i samica ma też takie same rogi. Zaopatrzył je Bóg temi rogami, aby sobie niemi pożywienia szukały. W tych krajach, gdzie przez wiele miesięcy ogromne zaspy śniegu leżą, ren odgarnia śnieg rogami jako łopatą, bo pod nim jest mech, najmilsze i prawie jedyne pożywienie rena. Niewiele to zwierzę potrzebuje, cokolwiek mchu i dosyć; a za tę lichą strawę, którą nawet sam sobie poszuka, ileż to potrzeb i wygód daje panu swojemu!

Ren ciągnie sanki, nosi ciężary, a dziennie to i ze 20 mil ubiegnie. Ze skóry mają Lapończycy odzienie, okrywają niemi ściany swych pomieszkań i sanki; a nawet i łoże ich składa się z samych tych skór rena. Oprócz tego ren żywi Lapończyków, bo jego mięso jest wyborne, a mleko tłuste daje im masło i ser. W zimie, gdzie tak ogromne mrozy długo panują, mleko zwykle zmarznie, a to mleko zmarznięte to właśnie dla Lapończyka największy przysmak, i niczem się tak nie uraczy jak mlekiem zmarzniętem. Gdy cudzoziemiec jaki widzi, z jaką radością i ochotą jedzą Lapończycy owo zmarznięte mleko, chciałby go też spróbować ale go nie dostanie; drogie pieniądze płaci, złoto za kawałek zmarzniętego mleka, gdzie tam! i za złoto nikt tych łakoci nie sprzeda; a jeżeli kto po wielu staraniach dochrapał się do owych rzadkich przysmaków, to może być

szczęśliwym, bo widać, że zjednał sobie u Lapończyków szacunek i miłość.

Z rogów rena wyrabiają Lapończycy noże, łyżki, łopaty, a nawet i igły; z flaków i żył nici i powrozy, a z kopyta różne naczynia; z łoju mają piękne świece i maści na choroby. A naostatek pęcherzyny staną im za butelki.

A tak ren u Lapończyków jest tem, co u nas koń, krowa, owca, jest tem co u nas wszystkie zwierzęta; a oprócz tego stanie im jeszcze za drzewo, żelazo, len, szkło; jednem słowem ren jest u Lapończyków wszystkiem i dla tego niedziw, że bez rena Lapończyk aniby żyć nie mógł.

S. N.

RÓŻNOŚCI.

Ludka z Myślenic, ta zacna pani, co to wam tyle pięknych historyj i gadek naopowiadała w Dzwonku, a teraz wydaje dla was gazetę Nowiny ze świata, donosi, że ją Bóg boleśnie dotknął, bo jej zabrał najstarszą córkę z tego świata. Wydrukowaliśmy ten list tu dla was, abyście i wy pożałowali tę zacną panię, która was kocha serdecznie i o wasze dobro i oświatę się stara. List ten taki:

„Jużem tak nawykła dzielić się z wami, kochani bracia wieśniacy, każdą uciechą, jak też smutkiem serca mojego. Otoż dziś pożalę się przed wami na wielką i straszliwą boleść, jaką podobało się Bogu nawiedzieć mnie, Jego niegodną służebnicę.

Pomarła mi moja najstarsza córka. Matka Boska powołała ją do siebie, w sam dzień Najswiętszej Panienki Anielskiej, a jej patronki, było jej bowiem na imię Aniela. O moi drodzy ludkowie, poniosłam stratę okrutną, była to bowiem panna, nie chwaląc się choć moja córka, jakich mało na świecie, uczciwa we wszelakiej rzeczy, i była mi nie jako córka, ale jako matka, opiekunka i przyjaciółka.

Zrazu mówię wam zdało mi się, że w żaden sposób jej nie przeżyję, i żyć bez niej nie potrafię, taki żal straszny ściskał serce moje, ale wzięłam sobie Pana Jezusa na pomoc, i pomyślałam sobie tak:

— I jakożby to zaś było, żebyś ty co innych uczysz, jako w każdej rzeczy, zawdy i wszędy, trza się zgadzać z wolą Boską, i wszystko przenieść dla Niego, a tybyś pod ciężkim krzyżem pierwsza upadła, i nie miała siły znieść to, co ci Pan Jezus dopuścił?

A potem sobie jeszcze tak pomyślałam:

— Ty pouczasz ten biedny poczciwy ludek wiejski, a jakbyś się tak zatrapiła, tobyś już i Panu Bogu nic na chwałę, ani ludowi ku oświacie uczynić nie mogła, boby cię łaska Boga odstąpiła.

No i jakem sobie zaczęła tak myśleć i modlić się do Pana Jezusa, tak ci mi dał Pan Jezus siłę, żem znowu wzięła pióro do ręki, i chcę i nadal dla was pracować ludzie drodzy. A teraz jeno was pięknie proszę, westchnijcie za moją ukochaną córką do Pana Jezusa, aby ją przyjął do chwały swej świętej; a mnie aby raczył pocieszyć i siły mi dodał, do niesienia w cierpliwości i w pokorze wszelkie krzyże, jakie się Bogu na mnie zesłać podoba! Zostańcie z Panem Jezusem!“

I to i to dobre. Posłali Maćka z listem do jednego państwa. Gdy Maciek list oddał, pytają go:

— Czego się napijesz, wódki, piwa czy gorącego mleka?

Maciek poskrobał się w głowę i mówi:

— A już to proszę państwa wódki, a nim się uwarzy mleko, to łyknę sobie piwa!

Miesiąc czy słońce? Pewien pijak wyszedł w nocy z karczmy, właśnie kiedy miesiąc jasno świecił. Na drodze zdybał drugiego człeczka, także już setnie podchmielonego i pyta go:

— A powiedzcież mi człeczku, czy to miesiąc świeci, czy słońce?

— Oj co to — odpowiada drugi — to wam powiedzieć nie mogę, bo ja nie tutejszy!

Miłuj bliźniego jak siebie samego. Xiądz Piotr Skarga, ten sławny po wiek wieków kapłan polski, tak pisze w swoich xięgach o miłości bliźniego: „Pomyślmy jedno sobie, gdybyśmy taki dom, takie pomieszkanie i towarzystwo, takie miasta znaleźli, w którychby to przykazanie: *Miłuj bliźniego jako siebie samego!* doskonale było chowane; żeby synowie rodzicom, słudzy panom swoim z uprzejmej ku nim miłości, posłuszeństwo oddawali; a ojcowie, starsi i panowie, potrzeby ich wszystkie z tejże szczerej miłości, jako ku samym sobie upatrowali, gdzieby żaden waśni na nikogo nie miał, ni z kim się nie wadził, jeden drugiemu nie zajrzał, a życzył tak jak sobie; gdy jeden zachorzeje, aby wszyscy o jego zdrowie się starali; gdzie komu czego nie dostaje, aby mu wszyscy cierpieć nędzy nie dopuścili; gdzie kto zasmucony, strapiony, aby do pociechy jego wszyscy przybiegali; gdzieby nie było swarów, zgorszenia, fukania, wołania jeden na drugiego; gdzieby nie było obmowy, wzgardy i brakowania; gdzieby jeden o drugim rozumiał, iż on lepszy i czcigodniejszy niźli ja, a nie na swoje ale na jego cnoty patrzał, a wszystkiego mu dobrego tak jak sobie życzył, jego niedostatki znosił i wymawiał u siebie i u drugich. O Boże! jakieby tu było na ziemi rajskie pomieszkanie! O! jakobyśmy się do takiego miasta, domu i towarzystwa kwapili!...“

Stare przysłowia.

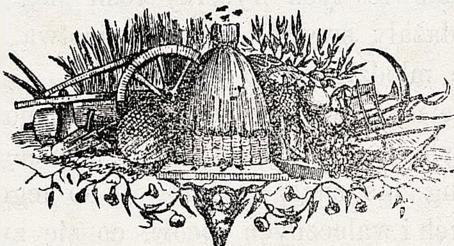
1. Robiąc uziąbł, a jedząc zapocił się.
2. Słówko wróblem wyleci a wołem wraca.
3. Spyta cię zima zarazem: — Byłeś w lecie gospodarzem?
4. Śmielszy kogut na swojem śmieciu, niż na cudzych wrotach.
5. Tego, co robić nie chce, mąka w ręce kole.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom XI. **Nr. 8.**

11. września **1864.**





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JUDYTA,

żona króla polskiego, Bolesława Chrobrego.

Judyta, córka Gejzy księcia węgierskiego, a żona Bolesława Chrobrego, o którym to już czytaliście nieraz, że był król nad króle, była bardzo miłościwą i dobrą panią. Stateczna w wierze, pobożna w nabożeństwie, miłosierna w uczynkach, umiała miarkować i przebłagać surowość swego męża, a kiedy z obowiązku królewskiego nie chciał się dać uprosić, aby sprawiedliwości nie tamować, to i wtedy dowcipem kobiecym a miłosierdziem zdołała nieraz winnego od kary uwolnić, a łaską okazaną do takiej wdzięczności winowajcę pobudzała, że go na zawsze Bogu i ojczyźnie pozyskała, co się szczególniej pokazało w następującej okoliczności.

Król Bolesław musiał ciągle się przenosić z wojskiem ze wschodu na zachód, aby granice Polski strzedz od nieprzyjaciół, dawać opiekę krewnym książętom ruskim i garnąć pogańskie jeszcze plemiona innych słowian pod skrzydła polskiej miłości.

Na takie wyprawy brał z sobą ten sławny król polski dużo walecznych rycerzy, którzy dzielnie wrogów tłumili. Ale w domu pozostali synaczkowie tych rycerzy rosli bez dozoru. Matki osamotnione pobłażały swywoli ich dzieciństwa, nie mogły poradzić rozpuście młodzieńczego wieku.

Nic zgubniejszego dla młodego jak gnusność a miękkość; chuci gorące wylęgłe w próżnowaniu, wypielęgnowane przez podchlebstwo sług nie znały granic, i do tego przyszło, że synowie pobożnych i walecznych ojców, co się zwijali na wojnie z swym królem, rozmarnowawszy ojcowizny, przyprowadzeni do ubóstwa, zaczęli się łączyć między sobą, aby rabować spokojnych podróżnych i kupców, i wydartemi pieniądzmi i towarami nagradzali bezbożników, którzy im do tych zbrodni pomagali.

W tem nadchodzi wiadomość, że król Bolesław wraca z zwycięskiej wojny; otucha wstępuje w uciśnionych, że przybywa król mądry, sprawiedliwy, opiekun wdów i siorót, który skarci rozpustę i bezprawia. Młodzieńców przejęła słuszna trwoga, ale szczególniej wstyd okrył ich czoła, gdy ujrzeli swych ojców, dzielnych rycerzy, chwalebnemi okrytych ranami, gdy usłyszeli modlitwy dziękczynne, które witały ich powrót do kraju, zawstydzili się siebie samych, porzucili szable zhańbione rozbojem i uciekli w lasy.

Ale ich bezprawia zbyt były głośne, zewsząd zanoszono skargi do króla, rozkazał więc ich stawić przed sobą i postanowił przykładnie ukarać. Młodzieńców niepokoiło sumienie, nie opierali się tym, co ich szukali, z spuszczonemi oczyma, z pokornem obliczem stanęli przed Bolesławem.

Sprawy wtedy nie szły tak powoli jak teraz, nie przechodziły przez tyle rożnych sądów, sami królowie nieraz badali winowajców i na razie wydawali wyroki. Tutaj wina była oczywista, oskarzeni nie mogli się nawet wypierać, w ich sercach nie całkiem jeszcze zepsutych obudziło się uczucie prawdziwej skruchy, pragnęli krwią własną odpokutować występek, i w milczeniu przyjęli wyrok śmierci, który zaraz dnia następującego miał być wykonany.

Obok króla stali ojcowie, wysocy dostojnicy i rycerze polscy, zawsze blizcy królewskiego boku i ucha, czy to w radzie, czy na wojnie; ale tą razą żaden z nich nie przemówił za swym synem, tylko spuścili twarze na dół, aby nikt nie widział łez wstydu i boleści, które się im do męskich óczcisnęły, że takich niegodnych i złych dochowali się dzieci.

Nie mogła znieść tego widoku królowa Judyta, a gdy król opuścił salę sądową, przystąpiła do niego z wielką żałobą wystawiając mu młodość skazanych, cnotę i wstyd zasłużonych rodziców. Król Bolesław brwi srogo zmarszczył.

— Tem winniejsi oni — rzecze — że mając cnotliwych ojców, nie zapatrywali się na ich przykłady, tem większej godni kary, że młodość zmarnowali na próżniactwie, a w zbytkach roztrwoniwszy ojcowiznę, szukali w rozbojach zysku właśnie w tym czasie, kiedy ich dzielni ojcowie bili się z wrogami za ojczyznę!

Długo jeszcze prosiła królowa, niezważając na te wszystkie przyczyny, ale król niechciał przebaczyć — i Judyta odeszła zasmucona; wszelako nie straciła nadziei.

Nazajutrz rano król wyjechał z całym dworem na łowy, aby nie być przytomnym spełnieniu wyroku; wieczorem dopiero miał wrócić.

Nie zaniedbała tego czasu Judyta, i tak wszystko ułożyła, że strażnicy więzienia i wykonawcy wyroku, ufni w mądrość świątobliwej królowej, przychylili się do jej woli, i zamiast stracić winnych, ukryli ich na bezpiecznem miejscu, czekając, póki czas nie złagodzi słusznego gniewu króla. Judyta tymczasem podwajała modłów i postów, ale jako niewiasta mądra i cnotliwa, pokazywała mężowi twarz uprzejmą, wyglądając chwili sposobnej do mówienia.

Minęło dni kilka: król najwięcej bawił na łowach, które bardzo lubił w krótkich czasach pokoju. A były to wtedy inne łowy jak dzisiaj, gdzie sobie bezpiecznie polują na zająca lub sarnę; wtedy wielkie przestrzenie po mil kilkanaście okryte były okrutnemi lasami modrzewi, sosien, dębów, buków i t. p.; na ich konarach gnieździły się przeróżne roje świegotliwego ptastwa, które teraz nie wiedzieć gdzie się wyniosło, a pod

drzewami przechadzały się jelenie, tury, żubry, niedźwiedzie, dziki, z któremi nie tak bezpieczno było się potykać, i trzeba było nie lada śmiałości i wprawy, żeby i życiem nie przypłacić i zwierza przynieść z obłowu.

Bolesław wrócił dnia jednego wesoły, bo za nim na kilku wozach wieziono ubitą zwierzynę, i gdy zasiadł do wieczerzy z panami dworu, czoło jego było wypogodzone, i rad począł rozmawiać o wypadkach dni upłynionych i o świeżej wojnie ruskiej; lecz gdy zaczął wyliczać zasługi i rycerskie dzieła swych wojowników, nagle posmutniał, bo sobie przypomniał jak dopiero co skazał na śmierć synów rycerzy, którzy tyle ran ponieśli dla ojczyzny, i rzekł do tych co go otaczali:

— Młodzież jest pusta i lekkomyślna z przyrodzenia, niepodobna jednak, aby jabłko od jabłoni tak dalece odpadło, i dzieci takich ojców zupełnie wyrodzić się miały. Kto wie, może trzeba było młodzież swawolną pokrócić i ukarać, lecz nie gubić.

— Miłościwy Panie, rzekł na to jeden z rycerzów Bolesława, niechby zmazali swoją winę krwią i trudem dla kraju, ale szkoda było młodych głów pod miecz katowski!...

A gdy król milczał zamyślony, Judyta się odezwała:

— A cobyś dał, gdyby jeszcze do życia powrócili?

— To już niepodobna, odpowiedział król, ale niczegobym nie żałował, abym ich zdrowych mógł ujrzeć, a domy ich od niesławy uwolnić.

Wtedy Judyta rzuciła się do nóg Bolesława, mówiąc wdzięcznym głosem:

— Królu mój i mężu, to jest w twojej mocy, rzeknij tylko słowo, a przyprowadzę ci tych młodzieńców, abyś im mógł przebaczyć, jak ojciec przebaczył marnotrawnemu synowi!

A gdy król patrzał na nią wpół zdziwiony, wpół groźny, mówiła dalej:

— Wyznaję, żem ich ukryła przed karą, aby nie poszli na potępienie umierając w grzechu, ale jakoby wskrzeszeni twą łaskawością, służyli ci odtąd wiernie i chwalebnie.

Belesław jako był wspaniałego umysłu, podniósł żonę, a całując ją uprzejmie, obiecał przebaczenie młodzieńcom, co

też dotrzymał, i nie tylko przypuścił ich do służby i łaski królewskiej, ale zakazał aby im nikt na przyszłość win młodości nie wymawiał.

Nie pożałował nigdy tej łaskawości, i młodzieńcy porzucili na zawsze swe błędy, i wyrównali w cnotach i zasługach zacnym ojcom. Judyta zaś pełna cnót i dobrych uczynków umarła roku 1807; pochowana w Gnieźnie z wielkim płaczem ludu, którego była matką.

R. W.

JESIEŃ.

Siedzi sroka na kole
Przy otwartej stodole,
Wróbel sobie pod strzechą
Śpiewa z wielką uciechą.
Wiozą zboże hej z pola,
Porodziła nam rola!

Na wysokim wozie, na pszenicznych snopach
Usiadł Janek sobie jak pan na dwóch kopach,
Wiezie do dom zboże, nazwozić nie może,
Składa niebu dzięki, chwali imię Boże...
A Antek parobek z dużemi widłami
Jak bocian przez łąkę sunie za wołami:
Hej woły wy moje, hej wy siwe woły,
Zrodziło się zboże, wieźcie do stodoły!

Dzwoni dzwonek w kościele
Już o „Pańskim Aniele“
Słonko zaszło za góry
Świeci gwiazdka z za chmury —
Woły z potu się kurzą
Dużo chleba, oj dużo!

Młóci Tomek młóci, aż mu trzeszczą żebra,
Pot mu płynie z czoła jakby woda z cebra,
Wali cepem wali, aż huczy stodoła,
A z kłosów się sypią ziarneczka do koła!...

Przygartuje snopy
Namłócił dwie kopy —
Poskrobał się w głowę,
Młóci kopę nowę.

Hej dał Pan Bóg chleba, ile go potrzeba,
Urodziła hojnie uprawiona gleba,
Trzeba Boga chwalić, by chleb spożyć zdrowo,
Nietylko chleb dobry — lepsze Boże słowo!

Stach Barwinek.

DOBRY SYN.

I.

W małem miasteczku, koło Lublina, żył sobie szewc Wawrzyniec Skórnik ze swoją żoną i siedmiorgiem dzieci bardzo szczęśliwie. Wawrzyniec jako człowiek pracowity, trzeźwy i słowny, nie tylko miał dość roboty w samem miasteczku, ale i państwo z Lublina i ze wsi chętnie dawali do niego robić, bo też i dawał dobrą skórę, i umiał but tak przykroić i uszyć, że leżał na nodze jak ulany. Oprócz domku miał ci Wawrzyniec jeszcze kilka morgów roli i ogród, które bardzo dużo mu wydawały, bo też były starannie wygnojone i uprawione. I było z roli i żytko i hreczka i konopie i len, a z ogrodu były i jabłka i gruszki i śliwki, tak że na całą rodzinę wystarczało.

Dziwili się sąsiedzi, że z tak małego gruntu tyle zbioru, ale Wawrzyniec się nie dziwił. Oddał ci on całe gospodarstwo polowe i ogród swemu najstarszemu synowi Mikołajowi, i rzekł do niego:

— Mikołaju! ja i matka nie mamy czasu, aby się zająć tem gospodarstwem, bracia twoi i siostry nie mogą, bo są małe, więc też tobie oddaję, gospodaruj i żyw nas.

A Mikołaj jak się też wziął do pracy, jak nie zaczął różnych sposobów wymyśliwać; tak też i zrobił, że grunt ten wystarczał na wyżywienie wszystkich.

A rodzice go za to bardzo kochali, bo kiedy często wieczorem późno przyszedł z pola do domu, to i ojciec go ucałował, i matka go uściskała, i bracia i siostry obsługiwali go, jakby swego drugiego ojca. A on się cieszył, że go Bóg uczynił tak silnym i zdrowym, i dozwolił mu tak wielce przysługiwać się i dopomagać swoim rodzicom.

Jednego dnia zrana mówi Wawrzyniec do swoich:

— Trzeba mi pójść do Lublina po skórę, mam dużo obstałunków, a słowa muszę dotrzymać.

I zebrał się zaraz, pożegnał swoich i poszedł. Mikołaj go odprowadził za miasto i wrócił do swojej roboty. Przeminął dzień cały, wszyscy już wieczorem zgromadzeni w izbie, jakąś ręczną robotą zajęci, oczekiwali ojca.

Zaszczekał pies na dziedzińcu, a po chwili wszedł Wawrzyniec do izby. Przywitali się. Zrzucił kupioną skórę i usiadł zmęczony na ławie i rzekł:

— Dobrze mi się udało wytargować skórę, dobra, mięsista i niespalona, będą moi panowie kontenci. Ależ miałem jeszcze inne szczęście. Oto! patrzcie, co znalazłem!

I pokazał im porządny i prawie jeszcze nowy, wyszywany kożuszek. Wszyscy się zbiegli, przypatrywali się i chwalili.

Wreszcie Mikołaj rzekł:

— Ten kożuszek, to kubek w kubek, jak starego pana Marcina.

— Prawda, mówi matka, taki sam; on go sobie był przywiózł z Węgier, ale to też musi drogo kosztować.

— Et! co to u pana Marcina znaczy, prawi Wawrzyniec, wszakci on bogaty, sam ze siostrą, łatwo im oszczędzić. Ale co dobry i uczciwy człowiek, to prawda. Wszystkim pomaga, biednym nieraz dużo daruje; a ot i mnie przed pół rokiem, jak wiecie, pożyczył sto złotych, a żadnego procentu nie wziął, i czeka mi jeszcze, nie gniewa się za to żem mu nie oddał, a za buty swoje, co je daje u mnie robić, dobrze płaci. — Trzeba będzie jutro pójść do niego i wypytać się, czy to może jego kożuszek.

I oglądali go znowu wszyscy, bo miał bardzo prześliczne wyszywania czerwone i zielone, a sam był bronzowy.

— Gdzieżeś go ojcze znalazł? zapytała matka.

— A ot w ulicy, leżał na samym środku w ciemności, ledwiem się co przez niego nie przewalił.

— Ale, mówił Wawrzyniec, ja bo jeszcze coś znalazł. Oto! patrzcie! I wydobył nóż dosyć wielki kończaty i ostry jak brzytwa.

Przyglądali mu się wszyscy i podziwiali, bo takiego noża jeszcze nie widzieli.

A jeden z młodszych braci wziął go do ręki i mówi:

— Ależ bo on zdaje mi się zardzewiały czy co, bo już poczerwieniał.

— Pokażno! mówi Mikołaj, i wziął nóż i śliną zaczął rdzę obcierać i rzekł: Oj to nie rdza, bo rdza tak nie puszcza.

Ojciec spojrzał na nóż, przypatrzył mu się bliżej i zawołał przestraszony:

— To krew jest na tym nożu!

Matka rzekła:

— Ot wyrzuć ten nóż do licha, bo jakoś mi straszno się robi; kto wie co to za nóż.

Oj! nie był to prosty nóż, ale sztylet czyli puginał; oj! nie była to rdza, ale świeża krew!

Kiedy tak wszyscy w izbie strwożeni to nad tym kożuchem, to nad tym nożem rozmyśliwali, posłyszeli nagle jakiś krzyk, hałas, wołanie na ulicy. Wyszedł Mikołaj popatrzeć się coby to takiego było, lecz przelękniony powrócił do izby i zastraszonym głosem rzekł:

— Chryste Panie! ta to okropne się stało nieszczęście w naszem mieście: może przed pół godziną zamordowano pana Marcina i jego siostrę, pozabierano pieniądze, łyżki srebrne, a straż chodzi po wszystkich domach, i przetrząsa i szuka złoczyńcę.

Strach wszystkich ogarnął, stali jakby skamieniali. W tém porwał Wawrzyniec za kożuch i nóż, i chciał je gdzieś do licha wyrzucić; ale już nie zdążył wyjść z izby, bo w tej chwili i do jego domu straż przyszła. Nikogo nie wypuszczono, a Wawrzyńca, który kożuch miał pod pachą, a nóż w ręku,

zaraz przytrzymano. Na nieszczęście sługa nieboszczyka pana Marcina, który wraz ze strażą przyszedł, zawołał:

— Oto kożuch mego pana!

Zabrano kożuch i nóż, a świeża krew na nim w straszne podejrzenie wprawiła poczciwego Wawrzyńca. I wzięto go do więzienia. Nieszczęśliwa matka i dzieci zachodziły się od płaczu; mówiły, że ojciec nic nie winien, że dopiero co wrócił z Lublina, że tam skórę kupował, że wszyscy na to przysięgną. Nic nie pomogło: kożuch u Wawrzyńca znaleziony i nóż krwawy stały się zgubą jego. I siedział nieszczęśliwy ojciec w więzieniu, a robota i rzemiosło w jego domu ustały; zaczął się wkradać do jego chaty niedostatek.

Pokazało się przy śledztwie, że ten kożuch iście był nieboszczyka pana Marcina; że tak on jak jego siostra mieli rany, takim właśnie nożem czyli sztyletem zrobione, jak go u Wawrzyńca znaleziono; pokazało się, że Wawrzyniec właśnie kilka minut po zabójstwie przechodził tą samą ulicą, gdzie dom stał pana Marcina, bo też tamtędy prowadziła droga z Lublina; pokazało się, że kożuch i nóż chciał wyrzucić czyli ukryć; pokazało się, że panu Marcinowi był winien sto złotych. Ot i tak wszystko, jakby się sprzysięgło przeciw niemu. On nie miał żadnej obrony, on tylko mówił, że jest niewinny, że te rzeczy znalazł po drodze. Ale cóż? nie miał na to świadków, nie mógł nikogo przekonać.

I stało się, że nieszczęśliwy Wawrzyniec został skazany na lat dwadzieścia do ciężkiego więzienia; on co już miał koło sześćdziesiąt: było to jakby na śmierć.

II.

Po odczytaniu wyroku odprowadzili Wawrzyńca do więzienia, i miał być za kilka dni odwieziony do głównego miasta. Siedział on sobie w więzieniu spokojny, z czystem sumieniem, świeczka łojowa ciemnawo się paliła, a on dumał i dumał.... i westchnął głęboko.

Cóż to tak ciężkiego miał na sercu? Ach! nie straszyło ani ciężyło mu to, że niewinnie cierpi, bo sobie pomyślał, że

wielu ludzi cierpi niewinnie; popatrzał się na rozkrzyżowanego Chrystusa na krzyżu, co nad jego łóżkiem wisiał, ta i ten cierpiał niewinnie. Nie o to mu szło. Ale ciężko, ach bardzo cieżko mu było, kiedy sobie przypomniał na żonę i na drobne dzieci.

W tem zadumaniu nie usłyszał, że klucz w zamku jego drzwi się obrócił, i że ktoś wszedł do więzienia.

Nagle uczuł, że go ktoś całował po rękach, po nogach, że go ściskał, i że głęboko płakał. Ocknął się, a przed nim stał syn jego najstarszy Mikołaj. Dostał on był pozwolenie widzenia się z ojcem.

Poglądnęli obaj po sobie. I ojciec przez ten czas się zmienił i Mikołaj. Ojciec znękany pobladł, zesechł, zmizerniał, tylko oko jego odbijało świętym spokojem, czystem sumieniem i niewinnością. I Mikolaj pobladł, ale oko coś tak wydawało, jakby jakąś tajemnicę kryło, którejby nikt niebył odgadł.

I spojrzeli po sobie, i patrzali tak długo, i nic do siebie nie mówili, bo okropna boleść ściskała ich serca; aż łzy ciche i rzewne puściły im się z ócz.

— Mikołaju, rzekł ojciec trzęsącym się od rozrzewnienia głosem, wiesz, jaki zapadł na mnie wyrok: dwadzieścia lat, to nie jedna chwila, to dla mnie długo, oj! to bardzo długo! A moja żona, a twoja matka, a moje dzieci, a ty; wy wszyscy zostaniecie beze mnie. Z początku jeszcze jako tako, potem sprzedacie dom, potem grunt, a potem już nic nie będzie; a potem nędza i głód! Tak, mój synu, przygotuj się sam do tego, i przygotuj ich także, bo taka widocznie wola Boga.

— O! nie mój ojcze, zawołał Mikołaj, to być nigdy nie może! Tyś niewinny, ty nie możesz ich opuścić, bez ciebie oni poginą w nędzy, ty musisz być wolny.

— Gdyby to od ciebie zależało, to pewnie byłbym wolny, bo ty wiesz żem niewinny.

— Gdyby to odemnie zależało? powtórzył Mikołaj, i zadumał się na chwilę, a potem wesoło rzekł: Ojcze! ty będziesz wolny! Bóg mnie natchnął, o jakże mu dziękuję!

I uklęknął Mikołaj przed krzyżem, wzniósł do Zbawiciela spłakane oczy, i w cichej modlitwie dziękował za coś Bogu.

Ojciec patrzał zdziwiony, bo nic z tego nie rozumiał. Mikołaj wstał, ucałował rękę ojca i prosił o jego błogosławieństwo. A potem rozłączyli się.

III.

Nazajutrz zrana wstał Mikołaj wcześniej, ubrał świąteczną odzież, i rzekł matce, że pójdzie się spowiadać na intencyę ojca, ucałował ręce matce, ucałował braci i siostry, ale tak czule, jak żeby ich po raz ostatni już widział, i poszedł do kościoła.

Kilku tylko ludzi nabożnych tam było. Xiądz proboszcz siedział w konfesyonale i modlił się z xiążki.

Przystąpił Mikołaj do konfesyonału, i długo coś klęczał, i długo coś ze spowiednikiem rozmawiał: aż nakoniec i spowiednik i on się rozpłakali, i spowiedź się skończyła. Klęcząc przez całą mszę świętą modlił się gorąco Mikołaj, przyjął przenajświętszy sakrament; i pokrzepiony na duszy i na ciele opuścił kościół.

Z kościoła przeszedł się jeszcze po mieście, jak gdyby je miał po raz ostatni widzieć, popatrzył się na śliczne słoneczko, jak gdyby się miał z niem żegnać, aż w końcu poszedł do sądu.

Tu siedzieli sędziowie w wielkiej komnacie; na długim zielonym stole stał krzyż ze zbawicielem, a księgi praw i ustaw leżały w skórze oprawne. I wszedł tam Mikołaj i spojrzał po wszystkich, a skoro go się zapytali, kto on jest i czegoby żądał, odrzekł głośno:

— Sędziowie! jam jest, który zabił pana Marcina i jego siostrę! Jam jest winien, nie on starzec, który umiera w więzieniu.

A sędziowie rzekli:

— Czy wiesz że cię śmierć czeka?

— Wiem to! odrzekł Mikołaj.

I kazali go zaraz jako mordercę zaprowadzić do więzienia i okuć w kajdany.

IV.

O niczem nic nie wiedział ojciec Wawrzyniec; nie wiedział, że szlachetny syn jego aby wyratować ojca, aby go oddać matce i drobnym dzieciom, wziął winę na siebie i ofiarował życie dla niego.

I siedział sobie jak zwykle, i czytał w xiążce do modlenia, gdy się nagle drzwi otwierają, i urzędnik od sądu mu oznajmił, że jest wolnym. Nie chciał temu wierzyć Wawrzyniec i pyta, jakimby to sposobem się stało.

Urzędnik mu odpowiedział, że morderca sam się dzisiaj stawił do sądu.

— A skądże on jest? cóż to za jeden? zapytał się Wawrzyniec.

A urzędnik odrzekł: Jest ztąd, nazywa się Mikołaj Skórnik.

— Jakto?! wykrzyknął Wawrzyniec, mój syn? to być nie może! On tak niewinny jak ja. Puśćcie mię, puśćcie do niego!

I poleciał pędem do sędziów, i dowiedział się, że prawdziwie jego syn Mikołaj sam się stawił. I uprosił aby się mógł z nim widzieć. Wszedł ojciec do więzienia syna. Mikołaj w kajdanach klęczał i modlił się, lecz skoro ojca wchodzącego spostrzegł, zerwał się, i stanął nieśmiały ze spuszczonemi oczyma.

— Synu mój, mówił Wawrzyniec, cóżeś nieszczęśliwy uczynił? wszak tyś tak niewinny jak ja!

A Mikołaj nie podnosząc oczów odrzekł:

— O! nie, mój ojcze! tyś niewinny, ale ja, ja — i zająknął się, ale potem mówił, jam winny, jam go zabił.

— Mikołaju! jeżeli to mówisz przedemną, to pierwszy raz w życiu kłamiesz.

— O nie ojcze, jam go zabił!

— Popatrz się dziecię moje mi w oczy!

A Mikołaj podniósł oczy, a były tak czyste, jak niebo niebieskie, a tak niewinne jak anielskie.

— O! nie Mikołaju, tyś żadnej zbrodni nie popełnił! Tyś się za ojca twego ofiarował! A wiesz ty co ciebie czeka? wołał stary Wawrzyniec.

— Śmierć każdego mordercę czeka, odpowiedział syn.

— Ależ ty nie morderca, tyś....

I chciał ojciec jeszcze coś więcej mówić, gdy w tem urzędnik od sądu przyszedł, i powiedział, że pozwolona chwila do rozmowy minęła, że już musi odejść.

I odszedł. Co się w jego sercu działo, tego nikt nie jest w stanie wypowiedzieć. Przyszedł do swego domu, do żony, do dzieci, lecz zamiast uciechy z jego powrotu, straszny smutek wszystkich ogarnął na jego opowiadanie.

V.

Tymczasem sędziowie szybko sądzili; a ponieważ Mikołaj do wszystkiego się przyznawał, rzecz prędko została rozstrzygnięta; — i Mikołaj został zkazany na śmierć.

Kiedy mu ten wyrok przeczytano, jasne jego oko podniosło się do nieba, i wyrzekł te słowa: O jakże to słodko umierać za ojca!

I nadszedł ten straszny dzień, w którym miał być Mikołaj tracony; kat przyjechał ze stolicy, całe miasteczko było w rozruchu. Raniutko posłyszano bęben. Tłum ludzi zbiegł się koło więzienia.

Wyprowadzono Mikołaja, zbladł był nieco, lecz pewnym krokiem, jakby do szczęścia, szedł między strażą, gdzie go za miasto na tracenie prowadzono.

I posuwali się tak wszyscy powoli, i przeszli przez miasto, i wyszli na błoń, i zbliżyli się do strasznego miejsca. Wszyscy płakali za tym pięknym młodzieńcem, wszyscy patrzali na niego, a nikt nie chciał wierzyć, żeby on mógł taką zbrodnię popełnić.

Wtem z pośród tłumu, posłyszano okropny jęk i krzyk przeraźliwy:

— Mój synu! mój synu! co robisz? tyś niewinny jak anioł! Mój Boże! ratuj go!

Był to ojciec Wawrzyniec.

I Bóg go wyratował.

Już byli stanęli na miejscu, kat już czekał przygotowany, wtem nagle ktoś z miasta pędzi na koniu, a trzyma wysoko nad sobą jakiś papier, rozlatują się ludzie, on zeskakuje z konia i oddaje papier sędziemu, który Mikołaja odprowadził na śmierć.

Przeczytał sędzia to pismo i rzekł:

— Oto przyszła wiadomość od sądu wyższego, że w samym Lublinie wczoraj schwytano prawdziwego mordercę, jak zrabowane pieniądze wydawał, i łyżki srebrne przedawał; w końcu wyznał prawdę; kożuch i nóż opuścił był w nocy uciekając. A zwróciwszy się do Mikołaja rzekł:

— Teraz jesteś wolny!

A do ojca Wawrzyńca te słowa przemówił:

— Oto twój syn wolny i czysty i niewinny; oby takimi synami Bóg każdego ojca obdarzył!

Rzucił się Mikołaj w ramiona ojcowskie; ani jeden ani drugi słowa wymówić nie mogli, ściskali się i całowali i płakali, i słychać było tylko przytłumione słowa: Synu mój drogi! Ojcze mój kochany!

A ludzie razem z nimi płakali, i dziękowali Opatrzności.

Bakałarz z Lwigrodu.

RADY GOSPODARSKIE.

O koniczynie.

Koniczyna jest liściasta, a liść jest słodki, soczysty, i to ją czyni tak wyborną paszą dla koni, bydła rogatego i owiec. Wiadomo wszystkim gospodarzom, że im więcej jest koniczyny na łące, tem lepsza trawa i siano. Możecie więc sobie wystawić, jak wybornem jest siano z samej koniczyny.

Kto sieje dużo koniczyny, tego bydło ani latem ani zimą głodu nie zna. A przypatrzcie się niejednemu gospodarzowi, jak ma liche konie, jak bydło jego na gołych odłogach nie ma

latem co jeść, jak chudemi wołami orze. Takiemu przydałaby się bardzo koniczyna. Poznajcie jak się ona hoduje.

Koniczyna udaje się prawie wszędzie, tylko nie lubi zbyt lekkiego, piaszczystego gruntu, nowin i bagnisk. Najlepiej jednakże rodzi się na mocnej roli. Wymaga bardzo starannej uprawy, roli dobrze oczyszczonej. Koniczyna sieje się zupełnie inaczej niż żyto, jęczmień, owies; nie wymaga ona osobnej roli, ale rodzi się razem ze zbożem na tem samem miejscu. Na jednej roli sieją się więc dwa ziarna, n. p. żyto i koniczyna, albo jęczmień i koniczyna, albo owies i koniczyna. Żyto, jęczmień lub owies udaje się jak zwykle, a oprócz tego po sprzęcie zboża na tem samem miejscu, bez starania, bez osobnej uprawy, rośnie z koniczyny łąka, którą się na przyszły rok dwa razy kosi i sprząta. Najlepiej ją siać w jęczmieniu, a to dla tego, że pod jęczmień wybierają ziemię lepszą, dobrze uprawną i nie jałową. Ale można ją także siać w oziminie, owsie, tatarce i lnie. Koniczynę siać trzeba wcześnie z pozimku. Ale kiedy jest powietrze wilgotne lub mgły, można koniczynę siać w życie, choćby się to już z łokieć w górę wydobyło, a i wtedy obrodzi się jeszcze doskonale.

Użytek z koniczyny jest dwojaki: albo się ją sieje w oziminie na pastwisko dla bydła, albo też na siano. Główny z niej użytek jest na siano. W każdym razie można na niej paść bydło, skoro zboże się sprzątnie, t. j. w pierwszym roku. Najgłówniejszy jednakże użytek z koniczyny mamy w drugim dopiero roku; w drugim bowiem roku koniczyna się krzewi i śliczną tworzy łąkę na polu. Wtenczas siecze ją się albo po kawałku na zieloną paszę dla krów i koni, albo też siecze się ją wszystką od razu i suszy na siano.

Jak się suszy i sprząta koniczyna?

Upatrzy się czas pogodny, posiecze się ją, zaraz potem rozpostrze, i kiedy cokolwiek przeschnie, zbiera się ją jeszcze tego samego wieczora w małe kupki. W tych kupkach zostaje przez noc, aby się wypociła, a na drugi dzień, skoro rosa oschnie, rozpościera się ją na nowo, i znowu w większe kupki grabi, aż zupełnie wyschnie. Dobrze jest także rozrzucić po koniczynie suchą słomę i potem razem z słomą koniczynę grabić.

Koniczyna zmięsza się z suchą słomą, prędzej wyschnie, nie tak dużo liścia utraci, a słomę przejmie tak swym zapachem, że ją potem razem z koniczyną bydło lub owce smacznie zjedzą.

Koniczyna nie psuje roli, ale ją owszem użyźnia. A to takim sposobem: Koniczyna gdy się uda, puszcza głęboko korzenie, więc rozkrusza ziemię; po drugie, opada z niej bardzo wiele liścia, więc liście to zamienia się w gnój, i rolę użyźnia; po trzecie, kiedy się koniczynę sprzątnie, zostawia się ją jeszcze z tydzień albo dwa, aby znowu nieco podrosła i potem się ją taką zieloną przyoruje, a wtenczas tak z przyoranej młodej koniczyny, jakoteż z długich korzeni, robi się w ziemi mierzwa, i doskonale ziemię użyznia. Dla tego ozimina wybornie się udaje po koniczynie. Jeżeli się zaś koniczyna nie udała i zostają się place jałowe, wtenczas nie trzeba czekać drugiego sprzętu, tylko po pierwszym koniczynę zorać, inaczej się rola zaniszczy. Była to mowa o koniczynie czerwonej.

Jest jeszcze koniczyna biała, która się więcej pnie po ziemi niż w górę rośnie. Koniczyna biała różni się głównie od czerwonej tem, że czerwona wymaga mocniejszego gruntu, a biała udaje się i na lżejszym gruncie; ale za to czerwona daje obfitszy sprzęt niż biała. Jaka ztąd korzyść? Ztąd jest ta korzyść, że gospodarz, który ma tak lichy grunt, iż czerwonej koniczyny siać nie może, może siać białą, i z niej także mieć wielki zysk, a jest z niej jeszcze lepsze siano niż z czerwonej, bo daje gęstszą i cieńszą paszę, a rolę biała koniczyna tak polepsza jak i czerwona. Drugi użytek z białej koniczyny jest ten, że się ją sieje w ugorach na pastwisko.

E. E.

Pisarz Dzwonka do swoich dobrych przyjaciół.

Szan. Juliusz Ligoń, kowal w Zawadzkiem na pruskim Szlązku.

Nie ma to nic milszego na świecie, jak kiedy człek natrafi na serce poczciwe i zacne. To też i wam kochany Juliuszu niech Bóg stokrotnie zapłaci za wasze serdeczne pisanie, które z wielką radością przeczytaliśmy! Bo to człeku już nie żal pracować, kiedy widzi, że są zacni ludkowie, u których dobre słowo i nauka w las nie idzie. Oj gdyby to wszyscy byli tacy jak wy, toby może lepiej było na naszej polskiej ziemi!... Wiersze coście mi nadesłali, z serca bym wydrukował, bo piękne i pouczające, ale cóż kiedy za długie na nasz „Dzwonek.“ Ale skrócę je po trosze i wydrukuję naszym ludziskom ku nauce, jeno troszeczkę później. Niezapominajcie o nas, piszcie znowu jak najrychlej, a pozdrówcie tam wszystkich uczciwych rodaków na tej dalekiej kończynie ziemi polskiej. Ściskam was z braterskiego serca i oddaję Panu Bogu.

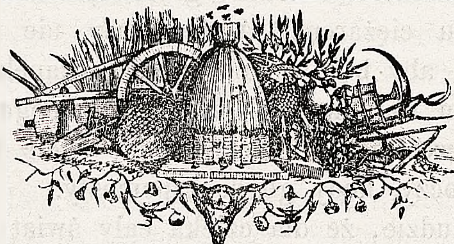
Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom XI. Nr. 9.

21. września 1864.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O Jerzym Kulczyckim.

Nie znaleźć już pono takiego, coby nie wiedział, jak to nasz król Jan III Sobieski wyswobodził Wiedeń i Niemcy od pogan tureckich. Każdy już o tem słyszał z opowiadania ludzi, co się na książkach znają, a kto sobie trzymał i czytał uważnie Dzwonek, ten już o tej wyprawie wiedeńskiej wie wszystko dokumentnie, bo tam przed niedawnym czasem wypisane było o tem, jak się patrzy.

Ale nie wszyscy za to wiedzą o pewnym zuchu Polaku, co przy tej samej okazyi oddał także wielkie usługi Niemcom i Chrześciaństwu. Tym Polakiem był Jerzy Kulczycki, o którym wam tu chcę po troszę rozpowiedzieć.

Jerzy Kulczycki urodził się pod Samborem we wsi, co się też zwała nie inaczej, jeno Kulczyce. Ojciec Jerzego nie był ci wcale bogaty, bo miał tylko maleńką szmatkę gruntu, i domek stary po dziadach. Toć i nie dziw, że nie było tam w czem opływać całemu rodzeństwu. Wiedział o tem najlepiej nasz

Jerzy Kulczycki, bo skoro urosł w chłopa, tak zaraz przemyśliwał sobie nad tem, jakby to uczciwą pracą i starunkiem zarobić sobie kęs chleba i trochę grosiwa, a nie być ubogiemu ojcu i rodzeństwu ciężarem. A że Jerzy nie dla tego nosił głowę na karku, aby było na co zasadzić kapelusz, a do tego jeszcze był takim walnym zuchem, że i samego djabła byłby się nigdy nie przestraszył, więc też nie wiele myśląc puścił się w świat za oczy, kędy go nogi poniosły.

Powiadają ludzie, że dla człeka cały świat otworem. Cóż dopiero dla takiego chwata i mądrala jakim był Jerzy Kulczycki! To też jak rozpuścił nogi, jak nie powędrował z innymi ludźmi w świat daleki — to o czem drugi do śmierci ani słyszeć nie będzie, to on na własne oczy oglądał.

I tak pojechał sobie Kulczycki z rozmaitymi kupcami, co za towarem wędrowali, aż do ziemi pogańskiej, do Turka, i tam długi czas przepędził, handlując z nimi, co mu już nawet z trudna nie przychodziło, bo się nauczył ich mowy na wylot.

Wędrując tak po szerokim świecie, zawędrował Kulczycki potem między Niemcy, do samego Wiednia. A było to właśnie w onym czasie, kiedy Turcy wojowali z cesarzem niemieckim i wybrali się z okrutnem wojskiem w chrześciańskie kraje.

Kulczycki miał rozmaite interesa w Wiedniu, więc też tam dłużej pozostawał, aż tu naraz okropna chmura Turków podeszła pod Wiedeń i otoczyła to wielkie miasto do kolusieneńka. Sam cesarz musiał uciekać przed tą plagą pogańską i zostawił jeno trochę wojska w Wiedniu pod starszym jenerałem, co się zwał Sztaremberg.

Ale cóż tam znaczyła garstka Chrześcian przeciw takiej hurmie Turków! Trzymali się tam Niemcy co mogli i ratowali się z całej siły, ale z każdym dniem było gorzej, głód i zaraza w mieście powstały, wojsko wyginęło i strach był okropny! I gdyby był nie przyszedł w pomoc nasz dzielny król polski Jan III Sobieski z swymi walecznymi wojakami i nie rozpędził plugawego pogaństwa na cztery końce świata, już by nie było słychu o Wiedniu, a tam kędy krzyże pańskie sterczały na kościołach świętych, byłby poganin pobudował swe bożnice i meczety z kretesem.

Nim jeszcze Polacy z królem swoim przylecieli na pomoc jak święci Anieli z nieba — była jak już mówiłem, wielka nędza i trwoga w Wiedniu. Niemcy już nie wiedzieli, co mają robić i już prawie chcieli się poddać tureckiemu pogaństwu. Spodziewali się oni tam ratunku, ale nie wiedzieli kiedy nadejdzie — a tu ani rusz dalej wytrzymać od głodu, moru, kul tureckich i wszelakiej nędzy!

W takiem tedy strasznem nieszczęściu chciał się dowiedzieć wódz nad wojskami niemieckiemi Sztaremberg, czy też już nadchodzi jaki ratunek, czy nie, aby już raz wiedzieć, co sobie począć w takim gniewie bożym. Wysyłał tedy po nocach po za mury miejskie rozmaitych ludzi, aby się dowiadywali, czy nie nadciąga wojsko cesarskie albo polskie w pomoc. Ale trudna rada! Co wyszlą jakiego człowieka z Wiednia, to go Turcy zaraz pod miastem złapią i powieszą na szubienicy. I już moc takich biedaków nawywieszali poganie, tak że już w całym Wiedniu nie było ani jednego Niemca, coby się był odważył wyjść za mury na zwiady i wypytywać się o ratunek. Prosi więc niemiecki jenerał Sztaremberg i prosi, błaga i zaklina — ale nikt a nikt nie chce wyjść za miasto po nowiny.

Już się rozpacz chwytała Sztaremberga i myślał, że już ostatnia wybiła godzina, kiedy się o tem dowiedział Kulczycki, co jak już na górze stoi, był wtedy w Wiedniu i pomagał Niemcom bić Turków. Zaraz więc tak myśli sobie:

— A toć nie byłbym Polakiem i Chrześcianinem, gdybym się nie ofiarował za wiarę świętą! Kiedy już Niemcy dokazać tego nie potrafią, aby się dowiedzieć, czy idzie pomoc czy nie to ja tego dokażę!

Idzie więc tedy Kulczycki prosto do samego Sztaremberga i mówi:

— No i cóż, znaleźliście jakiego człowieka, coby się odważył pójść za miasto na zwiady?

— Oj nie! kochany człeku! — mówi na to Sztaremberg — w całym Wiedniu już takiego nie znajdzie, coby się na oczywistą śmierć ofiarował!

A Kulczycki na to:

— No to ja pójdę! Polak się śmierci nie lęka, gdzie idzie o wiarę świętą!

Okrutnie się zdziwował niemiecki starszy, że Kulczycki taki zuch odważny, i mówi:

— Ależ bo Turki was złapią i powieszą zaraz na haku!

— Powieszą to powieszą — rzecze na to Kulczycki — człek jeno raz umiera, a śmierć taka to u Boga zasługą. A zresztą bywał ja już nieraz między Turkami i potrafię ich zejść z beczki, a przecież głowę od parady na karku nie noszę. Dziś w nocy przyniosę wam nowiny, czy idą wam na pomoc, czy nie.

I nie dbając wiele poszedł do domu, aby się wybrać w drogę. A miał Kulczycki sługę wiernego, też Polaka, co się zwał Jurko Michałowicz, a był człek sprytny i tęgi jakich mało. Kazał więc temu słudze przebrać się po turecku i sam się też przebrał po takiemu, i kiedy noc czarna okryła ziemię, wysunął się Kulczycki z Jurkiem z Wiednia w obóz turecki.

Noc była ciemna, że oczy wykłuj, tylko w obozie tureckim gorzały ognie. A kędy tylko było spojrzeć — wszędzie bielały wśród nocy namioty tureckie i snuły się straże szeroko, daleko, aż gdzieś w ciemnościach ginęły.

A zaraz za miastem sterczały w górę szubienice, a na nich wisieli Niemcy, co wyszli z Wiednia na zwiady między Turków. Wiatr huczał i świstał, a trupy powieszonych Chrześcian kołysały się w powietrzu, że aż mrowie zbierać musiało każdego człowieka. Ale Kulczycki i jego towarzysz Jurko Michałowicz nie ulękli się ani wisielców ani Turków, jeno idą dalej śmiało, patrząc do koła, którędy by najlepiej przemknąć się pomiędzy pogańskie warty.

Kiedy tak ostrożnie posuwają się naprzód, w tem nadlatują naraz tureccy żołnierze. Zobaczyli oni Kulczyckiego i Jurka i z szablami rozpędzili się na obu.

— Stójcie! — zawołali poganie — coście za jedni i zkąd idziecie? Wy na pewno psy chrześciańskie, co chcecie wyszpiegować co się tu w obozie dzieje!

Inny toby był stracił do reszty głowę od strachu i ani pół słówka nie potrafiłby był przecedzić przez zęby, ale Kulczycki miał odważne serce i śmiało odpowiedział poganom:

— A cóż to wrzeszczycie i napastujecie wierne sługi Mahomeda Proroka (bo trza wam wiedzieć że tak siebie nazywają Turcy) i waszych dobrych przyjaciół?! Myśmy tacy Turcy jak i wy i jesteśmy kupcami.

— A czegoż w nocy po obozie chodzicie i to właśnie niedaleko murów wiedeńskich, tak jakbyście ztamtąd wyszli?

— Bośmy dopiero dziś wieczór nadjechali i chcemy się widzieć z którym ze starszych, bo mamy pilny interes — mówi na to odważnie Kulczycki.

— Ano to chodźcie do Agi (co znaczy tyle co pułkownik) ale jak się pokaże, że wy tu na zwiady przyszli to będziecie wisieć tak na haku, jak tamte psy chrześciańskie! — zawołali Turcy i pokazali na szubienice, gdzie wiatr szarpał ciałami trupów.

Nie tracąc odwagi poszli Kulczycki i Jurko z żołnierzami tureckimi do Agi. Aga okrutny brodacz turecki popatrzył się na nich srogo i zapytał strasznym głosem, czego szukają w obozie. Ale Kulczycki nie był takim gapiem co tylko huknąć z góry na niego i nastraszyć, a już ci straci głowę na karku a język w gębie. Kulczycki i jego sługa znali dokumentnie szwargotać po pogańsku, toć i łatwa sprawa była im zamydlać oczy poganinowi. Kulczycki zaczął poganinowi wykładać na rozum: że jest kupcem tureckim i przyjechał tu jeno dla tego, aby pogańskiemu wojsku dowozić wszelkiej żywności, i jak począł kręcić i kręcić, dogadywać i dogadywać, tak że Aga gotów był przysiądz na wszystko, jako ten Polak nie jest chrześcianinem tylko prawdziwy bisurmanin. Mówi więc Aga do Kulczyckiego.

— A no to niech was prorok Mahomet strzeże, idzcie sobie spokojnie, a dajcie pozór, abyście gdzie nie wpadli między chrześciańskie wojsko.

— Jakto? — mówi na to niby zastraszony Kulczycki udając Turka — to nadchodzą może jakie chrześciańskie wojska?

— A jużci — odpowiada Aga; — ciągnie tutaj trochę Niemców swoim na ratunek, ale już co najgorsza, to król polski Sobieski wali obcesem z okrutnem wojskiem, aby nas odpędzić od Wiednia, bo go o to bardzo upraszali Niemcy i nawet sam papież, co siedzi w Rzymie i jest najstarszą głową u Chrześcian.

Aż serce zastukało Kulczyckiemu z radości gdy usłyszał że król Sobieski idzie z Polakami na Turka. Ale się z tem nie wydawał przed Agą, jeno niby klął i wygadywał na chrześcian, jakby był z duszą i kośćmi poganinem.

Z wielką uciechą powrócił Kulczycki z swoim sługą do Wiednia i tam wszystkim rozpowiedział zaraz radośną nowinę, że niezadługo przyjdzie nasz król waleczny Sobieski z hurmą polskich wojaków i wytłucze Turków do łapy.

Już wam nie potrzebuję powiadać, jak się okrutnie ucieszył Wiedeń i jak honorował Kulczyckiego za to, że nieważąc sobie własnego życia, nie bał się pójść po nowinę między Turków.

Niezadługo też nadleciał król Jan III z polskiem wojskiem, rzucił się jak piorun Boży na pogańskie plugastwo i zmiótł je z ziemi chrześciańskiej jakby wicher plewę. Oj! gdyby nie król Sobieski i nasi polscy rycerzy, możeby i nie było śladu po Niemcach, a możeby byli pogani i wiarę świętą wytępili. Ale Polacy tak zgnietli żmyję pogańską, że od tego czasu już ani łba nie wyściubiła z swojej jamy.

Kiedy się już uspokoiło w Wiedniu, zawołali najstarsi Niemcy Kulczyckiego, dziękowali mu po tysiąc razy najpiękniej za jego przysługę i nalegali koniecznie, aby jaką nagrodę przyjął. Kulczycki z razu nie chciał, ale gdy go strasznie o to prosili, tak im powiedział:

— Kiedy idzie o dobrą sprawę, to żaden Polak za swoje usługi a nawet za krew swoją nie bierze zapłaty. Ale kiedy już chcecie koniecznie, to jeno darujcie mi dom murowany w Wiedniu i pozwólcie abym sobie z obozu, co go uciekając zostawili Turcy, wziął owe worki z zielonem ziarnem, co to twarde jak kamień, a takie prawie wielkie jak fasola.

— A toć my to widzieli — prawią Niemcy — ale nie wiemy coby to było, ale jeżeli chcesz, to sobie weź tego kupę.

Ale choć Niemcy nie wiedzieli coby to było za ziarno, i co z niego zrobić można, to za to wiedział Kulczycki bo się napatrzył na to między Turkami. Boć nic to innego nie było, jeno kawa co ją Turcy już wtedy używali, zaś u nas była całkiem nieznana.

Zabrał sobie tedy Kulczycki worki z ziarnem kawiannem i w tym murowanym domu urządził sobie gospodę, a przyprawiając kawę traktował nią Niemców. Niemcy pili aż im w brzuchu pluskało i płacili za to setnie Kulczyckiemu, to też i dobrze mu się wiodło.

I od tego czasu poczęli ludzie pijać kawę coraz bardziej, a dziś to już ten napój na całym świecie przyszedł w zwyczaj.

Taka to jest historya Jerzego Kulczyckiego, tego naszego rodaka dzielnego, co tak odważnie poratował Niemców w ich wielkiej potrzebie i dla wiary świętej nie ociągał się narazić na niebezpieczeństwo śmierci, za co niech mu będzie chwała na zawsze.

Wojtek ze Smolnicy.

SPIEWKA.

Chociaż moja chata
Nie jest tak bogata,
I rola uboga,
Przecież mi jest droga,
Drogą zawsze była
Bo ojców spuścizna;
A każdemu miła
Jest polska Ojczyzna!...

Cztery lata temu
Przyszedł do mnie Niemiec,
Z dalekiego świata
Prusak cudzoziemiec.
Nużże z żydkiem na mnie,
Dodawali rady,
Chcieli rolę kupić,
Mnie wygnać na dziady.

Ale żem się poznał
I krzyżem przeżegnał
Obu natrętników
Rychłom precz odegnał,
I przysiągłem sobie
Nie sprzedawać roli,
Dzieciom ją dotrzymać
Aż do bożej woli.

Nie mądrze zrobili
Tamci za Rzeszowem,
Nie mądrze i drudzy
Gdzieś tam za Brzozowem,
Co role — zagrody —
Wioski nawet śliczne
Przybłędom sprzedali,
Majątki dziedziczne....

Gdyby ich ojcowie
Teraz zmartwychwstali,
I przy grobach swoich
Dzieci nie zastali,
Toby na nich gorżko,
Gorżko zapłakali,
Że zagrody swoje,
W ręce obce dali!...

Józef z Woli.

Czcij ojca i matkę twoją!

Opowiedział xiądz Wojciech z Medyki.

Na Matkę Najświętszą Siewną tego roku szli ludzie pobożni kompaniami na odpust do cudownego miejsca Leżajska, aby się wyspowiadać szczerze i podziękować Bogu za wszystko dobre i złe na tym świecie tego roku, a prosić o lepsze czasy i o różne łaski dla duszy. Otóż i ze wsi Tarłówki szła sobie taka kompania na ten odpust rozumie się z krzyżem na przodzie, chorągwiami i obrazem Najświętszej Panny, a pobożny Marcin Świątek szedł na przodzie z xiążką w ręku i zaczynał spiewać pobożne pieśni i przepowiadał na głos każde słowo, a kompania cała spiewała za nim bez myłki i przekręcania. Koło tego gazdy szło dwoje dzieci, jeden chłopaczek Antoś i jedna dzieweczka Kasia z kantyczkami w ręku i wyśpiewywały cieniutkim głosikiem, co jeno zaczął pobożny gazda Swiątek. A gdzie oni przechodzili przez różne wsie z takiem spiewaniem, to ludzie pobożni wychodzili z chałup na podziwienie i gadali sobie:

— To pewnie śpiewa tak sam Ojciec, a to znowu muszą być jego dzieci — ale jak to się maleństwo wyuczyło zawczasu tak na książkach i kantyczkach czytać, że potrafią tak pięknie śpiewać? a patrzcie na kompanię całą, jak to prawie każdy trzyma sobie książkę przed sobą i śpiewa, aż się dusza raduje?

A pobożny Świątek gadał:

— Nie dziwcie się tak moi dobrzy ludzie! bo to u nas w szkole wsiowej wyuczył się prawie każdy na książce, kto jeno chciał — a komu się nie chciało przesiedzieć nad elementarzem bodaj w niedzielę i święto po południu, to ten nic za to nie umie i musi ucho nadstawiać, aby mógł co zaśpiewać.

I przyszła sobie ta kompania z Tarłówki w samą wilię Najświętszej Panny na nocleg do jednej wsi niedaleko Leżajska, ale nie nocowała ona w arendzie, jeno pomieściła się między ludźmi, a obraz i krzyż z chorągwiami poskładała pięknie w stodole czystej, tam przed spaniem odśpiewała „Kto

się w opiekę“ „Pod twoją obronę“ „Anioł pański“, i zostało kilku na warcie przy stodole, a drudzy porozchodzili się do różnych chałup na noc. A gazda Swiątek ciekawy zaszedł aż do wójta i tam zaczął sobie rozgadywać to o tem, to o owem, to o deszczu i wylewie wody, o szkodach wielkich przez te deszcze, aż mu wójt zaczął opowiadać historyę dziwną, co to się porobiło w jego wsi z jednym chłopakiem niedobrym. Swiątek zwołał całą kompanię swoją, aby też i ona słyszała o tej historyi i powiada do wójta:

— No! proszę was panie wójcie! powiedźcie no teraz od początku do końca jeszcze raz tę całą historyę o tym niedobrym chłopaku aby też i moja kompania i małe dzieci słyszały dobrze o tem.

Wójt na to:

— Ta cóż tu gadać o tem, o czem wie już prawie cały świat a co zrobiło się z dopustu bożego? Ale wam opowiem dla waszej kompanii, aby też i w waszych stronach wiedzieli, o tem ludzie i uważali sobie dobrze przykazanie boskie! „Czwarte czcij ojca i matkę twoją, abyś żył długo i dobrze ci się powodziło.“ — Otóż widzicie moi pobożni ludenkowie, że była tu w naszej wsi biedna baba, co sobie siedziała w biednej chałupinie tam nad stawkiem Sobka Wrony i to mego szwagra — i zarabiało to biedactwo po nocach we dworze i na plebanii, xiądz nasz pamiętał o tem i kazał jej co dzień przychodzić jeść w południe z czeladzią, a niejedna dziewka plebańska darowała temu biedactwu to stary fartuszek, to zapaskę, to koszulinę jaką już podartą, a znowu dostała na zimę stare bucięta z miłosierdzia od kogo na wsi i tak to marnota biedna żyło z dnia na dzień w płaczu, żalu biedzie o głodzie i chłodzie i byłoby już dawno zaginęło, gdy nie ratowali ludziska. Ale cóż na biedę wielką miała ona chłopaka a to hultaisko ani do roboty, ani na służbę, ani do kościoła — jakci go matka dała za pastucha na plebanię albo do jakiego gazdy, to on ci wygnał bydło na pole, sam usnął pod zbożem albo pod krzakiem jakim i spał sobie, a bydło chodziło sobie gdzie chciało — a jak go kto za to obił, to zaraz uciekał do chaty matczynej, tam się zamykał, a jak biedna matka przyszła

w nocy do domu to wtedy miała co słuchać do północka, tak to krzyczało i dokazywało z matką, że ta biedaczka przepłakała noc całą, rano zabrała się i poszła z domu. A to drabisko leżało na barłogu, aż znowu biedne matczysko przylazło w południe do dom i przyniosło mu zawsze w podołku co do zjedzenia.

A Marcin Świątek zagadał na to:

— Ale co matka, to matka dobra! jeszcze mu jeść przyniosła i z nim się dzieliła nawet tym kawałkiem chleba, co zarobiła lub gdzie wyprosiła. A jabym mu był nie dał nic jeść, a wziąłbym tęgiego kija, a dobrze go wyskrobał po plecach i pognał do roboty, ażby się za nim kurzyło.

A jakaś babusia z kompanii odezwała się:

— Ej! nie gadajcie tak — matka zawsze matką choćby dla najgorszego dziecka — ona będzie płakać i gryźć się z dzieckiem niedobrem, ale ją zaboli zawsze serce, a najgorsze dziecko przytuli do siebie, pożywi, okryje, ogarnie i wszystko mu w jednej chwili daruje i zapomni.

A wójt na to:

— To prawdę gadacie babusio! tak też robiła i ta biedaczka z tym swoim niezdarą Tomkiem. Ale jak on jej za to zapłacił, to aż strach przypominać, ale dostał i on też za swoje od Boga i to pono zaraz była kara boża za kilka dni.

— No! i cóż to się porobiło takiego? zapytali się wszyscy razem.

— A coby innego, gada wójt, jak znowu nie świeża bieda na gromadę. Bo to widzicie moi ludenkowie! trapiła się ta biedaczka z tym hultajem długi czas, karmiła to i okrywała, a on sobie wyrósł na czystego chłopaka, jak świeca, jeno mu o robocie ani gadaj, a matka cieszyła się nieboga i myślała, że będzie miała pociechę jaką — ale dałże jej pociechę raz w niedzielę po nieszporze — bo to miarkujcie sobie dobrze ona nieboga przybiegła do dom i zaczęła krzyczeć na niego za to, że taki hultaj i nieroba i pogroziła mu kijem, a ten drabisko złapał ten kij, wydarł jej z ręki i pono chciał ją

potrącić, a mówią, że i potrącił przez próg do sieni matkę. Ta zapłakana pobiegła na blebanię ze skargą, ale księdza nie było w domu i tak to ucichło jakoś aż do drugiego dnia. W tem ona przybiegła rano w poniedziałek na plebanię i lamenciła setnie, że się jej chłopak rozchorował, a tu każdy na nią krzyczy:

— A toć byście mieli rozum na starość babko! ta czego wy żałujecie takiego draba, co was nie słucha i trapi do śmierci? wy proście Boga, aby on już raz umarł i dał wam spokój święty.

— Ale co wy gadacie! rzecze ona, matka powinna tysiąc razy darować i wybaczyć swemu dziecku, a choćby go cały świat odtrącał od siebie, to matka nie! wie to Bóg najlepiej! a ja nie chciałabym, aby moje dziecko było potępione za mnię na tamtym świecie — kiedy on chory matka pierwsza ma ratować.

Ale jakoś ucichło dwa czy trzy dni, aż tu gadają ludzie, że Tomko nad stawkiem koło Sobka umiera już bo mu szyja cała spuchła jak konew, a prawa ręka leży taka gruba na pościeli, jak sam Tomek nieboraczysko, i że nie ma żadnej rady dla niego, że i ksiądz go już na śmierć przygotował i zaczęli tam i ludzie zazierać i nieśli mu w garneczkach to mleko, to barszczyk do jedzenia, ale on jeno stękał i jęczał, aż było słychać do trzeciej chałupy.

— A jemu co się stało w tę rękę i szyję? zapytali się wszyscy.

— Albo ja wiem co takiego, mówi wójt, dosyć że mu tej samej nocy, z niedzieli, kiedy on się poważył na matkę rękę podnieść, ta sama ręka zaczęła nagle puchnąć i puchła bez ustanku, aż mu strasznie i szyję i głowę rozniosło, że to koło czwartku pamiętam jak dzień dzisiejszy, nie było ani do człowieka podobne, a w drugą niedzielę umarło to i gadają ludzie, że w tę samą godzinę skonał, kiedy się z matką swarzył i pono ją ręką trącił.

Jak go chowali, to znowu dziwna rzecz; bo to widzicie zrobiliśmy w gromadzie trumnę strasznie wielką a ksiądz dał tarcicę, bo się przy nim ta Tomkowa matka żywiła i chowała,

i położyliśmy do trumny nieboszczyka Tomka, co miał taką głowę po śmierci jak nieprzymierzając ćwierć jaka, a rękę też okrutną i przykryliśmy wieko. Ksiądz kazał go przynieść na marach pod kościół do pokropienia, a nas jakie 6 chłopów chcieliśmy go na mary postawić a tu ani sposobu ruszyć trumnę z miejsca — zawołaliśmy do pomocy to Walka Burdę, to Jana Toporka, to parobków plebańskich i nuż dźwigać trumnę, aż nam kości trzeszczały, a trumna jak stała tak sobie stoi jakby przykuta; i darmo my się mordowali. W tem nadszedł i ksiądz i kazał nam brać trumnę, a tu ani rusz dźwignąć z miejsca.

— A to co znaczy? mówił xiądz potem zadumał się, i zawołał matkę zapłakaną i pyta się:

— A czyście wy matko podarowali waszemu Tomkowi ten grzech wielki, nim on skonał?

A matka mówiła:

— Toć ja się nie gniewam mój Jegomość na moje dziecko, alem do niego o tem nie gadała, bo on już od wtorku nie gadał nic, jeno przez pięć dni strasznie jęczał i tarzał się po słomie na ziemi.

A ksiądz jej mówił:

— To weźże matko i połóż rękę tę na trumnę, w której miałaś kij na Tomka a on ci kij wyrwał, i powiedz teraz głośno przy świadkach, że mu to darujesz, aby mu i Bóg darował.

I co jeno matka to zrobiła, wtedy ksiądz kazał nam brać trumnę i patrzcie się ludenkowie, że 4 chłopów dźwigło teraz trumnę, co ją pierwej i z miejsca nie można było ruszyć.

Aleśmy nieśli z wielkim strachem tę trumnę pod kościół. Cała wieś się zleciała na takie dziwy, a ksiądz wtedy powiedział kazanie o tem takie, że aż się z płaczu każdy zachodził i przykazał dzieciom wszystkim, aby wypełniały przykazanie boże: „Czwarte czcij ojca i matkę twoją, abyś żył długo i szczęśliwie na ziemi.“ A potem pochowaliśmy tego Tomka. No czy to nie oczywisty dopust boży?

A pobożny Swiątek i jego cała kompania zadumali się na to; nikt ani słowa nie gadał długo, potem zaś jeszcze roz-

mawiali o tej historyi, aż zaczęło się szarzyć na niebie, i jutrzenka się pokazała, toć kompania z Tarłówki wyruszyła dalej na odpust, tam opowiadała historyę straszną o niedobrym Tomku, wróciła do dom aż trzeciego dnia, a mnie opowiadał to wszystko ten sam Świątek i ja to podaję do Dzwonka, abyście i wy moi kochani o tem wiedzieli i dzieciom to opowiadali, aby one bały się Boga i słuchały i szanowały starego ojca i matkę.

Pisanie Jacentego z Magierowa

do Wojtka ze Smolnicy.

Już to mówmy co chcemy, to muszę taki wam wyznać mój kumie kochany, że mi się coś ckliwo robi wedle serca, kiedy ten list do was pisać zaczynam. Nie z jednej to strony, a już najwięcej od was Wojciechu miły nasłuchałem się ja dosyć wyrzutów, jakobym już całkiem o Dzwonku zapomniał, a inni już powiedzieli nawet, że o mnie już ani słychu ani dychu żem przepadł jak kamień w wodzie, i że się już Bóg wie za którą górą i rzeką obracam. Niech to zostanie między nami, ale Bogiem a prawdą powiedziawszy, tom po trochę sam sobie temu dłużen, chociaż nie tak znowu jak ludzie mówią, bo nikt nie wie niczyjego, a posądzić drugiego o lenistwo albo złe chęci to nie sztuka. Kto mnie zna, ten wie dobrze, że człek się do pracy nie leni, a kto wie, kędy się człek po świecie tyrał, temu nie potrzeba tłumaczyć, że nieraz tak się zdarzyło, że pióra i atramentu nie było, a wtedy mimo najlepsze chęci trudno było coś do Dzwonka napisać. I w tem właśnie był najgrubszy sęk, a ja powiem jeszcze, że w tym sęku nie było dziury, bo gdyby była dziura, toby nie było sęku.

A potem zmiarkujcie jeno kumie, że to był dzień roboczy a taka ciągła słota niesłychana jeszcze, niewidziana i niezapamiętana, to się niejednemu wbiła klinem w głowę, że ręce opuścił, i nietylko do pisania, ale do wszystkiego chętkę stracił. Bo chociaż tam Pan Bóg dał urodzaj nie zły, to trudno było

zebrać to z pola, i temu też nie tylko żniwa się opóźniły, ale i wiele bardzo się popsuło. Ale to wszystko mniejszy kłopot, bo daleko gorzej z tem, że się na przyszły rok nie najlepiej znaczy, a to z tej racyi, że trudno było do tego czasu coś zasiać, i temu też na przyszłoroczny urodzaj nie wielką sobie można robić nadzieję.

Ale bo też i ludzie już sobie rozebrali na tym chlebie, co im się tak obficie rodzi: ot na ten przykład nie dawno temu przyszedł dziad po żebrach do księdza w Żukowie, co sobie właśnie pod wieczór kurzył lulkę na ganku. Zaledwie ksiądz z daleka dziadowinę zobaczył, a jużci poszedł do izby i wyniósł mu spory kawał pytlowanego chleba ze serem; ale żebrak nawet i ręki po tę jałmużnę nie wyciągnął, jeno rzecze do księdza:

— Mam ci ja jegomościuniu drogi chleba dosyć, że mało mi się torby nie pourywają i temu też dziękuję wam bardzo za tę jałmużnę, ale żeby to jegomość dał mi tak paczkę tytoniu, albo kieliszek wódki, tobym się dopiero modlił do Pana Boga.

Na takie gadanie kazał ksiądz dziadowi zdjąć torby z chlebem, i zamknął go do osobnej komórki na dwa dni, gdzie mu nic jeść nie dał, jeno flaszkę z wódką i kapczuk z tytoniem postawił. Przez parę godzin to sobie dziadowina wódkę popijał i lulkę kurzył, ale jak mu się dobrze jeść zachciało, to zaklinał xiędza na wszystko, aby go jeno wypuścił, a już pewnikiem nigdy chlebem nie wzgardzi, a wódki i tytoniu to mu się nigdy zabagać nie będzie. Gdyby to się tak każdy ujął za darem bożym, toby pewnie tyle złego nie było na świecie, i Pan Bóg nie miał by racyi gniewać się na nas.

Widzę już naprzód, jak tu mi przerywacie kumie i mówicie:

— Dajcie spokój Jacenty, bo chcieliście nam powiedzieć, czemuście tak długo nie pisali, a zeszliście na co innego i wasze tłumaczenie wygląda jak ta gadka o cyganie co go się pytali dla czego złodziej wisi?

— Ba racya, fizyka — odpowiada cygan — dlaczego wisi? bo sznurek krótki, żeby sznurek był długi, to on by pewnie nie wisiał.

No niech i tak będzie przyjmuję od was i tę przymówkę, a choć mi to z jednej strony trochę markotno, to z drugiej strony cieszy mi to znowu nie mało, że bracia moi od kosy i pługa, co to czytają Dzwonek, stęsknili się trochę za mną, widać więc, że słowa moje, co mi płynęły prosto od serca, trafiały także i do ich serc, że człowiek nie zawsze rzucał grochem o ścianę, a żyć w pamięci tego ludku poczciwego, to już największa nagroda i pociecha dla człowieka, któryby dla niego nie tylko atramentu, ale i krwi swojej nie skąpił.

Jacenty z Magierowa.

RADY GOSPODARSKIE.

Buraki czyli ćwikła.

Korzeń buraków jest równie dla ludzi jak i dla bydła i trzody pożywnym pokarmem Czyście słyszeli, jaki jest główny pożytek z ćwikły białej? Robią z niej cukier. Cwikła ma liście duże; a te liście są wyborną paszą dla krów, które od niego dają dużo i dobrego mleka. Jest więc burak bardzo użyteczną rośliną tak dla każdego gospodarza, jak i dla każdej gospodyni; potrzeba zatem poznać, jak hodowany być powinien, aby jak najlepiej się udał. Buraki sprowadzono do nas z obcych krajów tak jak i ziemniaki, tylko prędzej od ziemniaków Ale jako żyto, pszenica, tatarka, proso i inne użyteczne rośliny z obcych krajów do nas sprowadzone już się przyswoiły, tak się przyswoił i burak i tak się przyswoi jeszcze niejedna użyteczna roślina, której dziś w naszym kraju nie znamy. Najlepiej się ćwikła udaje na gruntach gliniastych i na gruntach mocnych i niewilgotnych. Na zimnej i wilgotnej roli niszczeje. W ogrodach założonych choćby na lekkich gruntach, ale dobrze doprawionych, z zielsk wyczyszczonych, gnojem podsyconych, ćwikła także się pięknie obrodzi. W polu sadzić można ćwikłę zaraz po żniwach, zorać, aby się odleżała, potem na ś. Michał zradlić i uwlec, i przed samą zimą znowu zorać, składając zawsze po dwie skiby na kupę. Aby woda na roli nie stała, trzeba porobić przegony. Gdy tak spulchniona rola odpoczywa przez zimę aż do wiosny, doskonale skruszeje. Jeżeli ziemia jest czysta, można zaraz ćwikłę sadzić na wierzch skiby. Ale

jeżeli rola nie jest jeszcze czysta i pulchna, trzeba ją po zimie jeszcze raz w poprzek zradlić i uwlec. Przy sadzeniu ćwikły pamiętać tylko trzeba, aby nie sadzić głębiej ćwikły nad cal. Gdy nasienie wypuszcza, to gdzie więcej niż jedna roślinka czyli rozsada z ziarna wyrosła tam trzeba wszędzie powyrywać a po jednej tylko zostawić. Wyrwaną można wsadzić tam, gdzie nic nie zeszło, albo na próżnym zagonku w ogrodzie. Potem trzeba oczyścić rozsadę ze zielska i ziemię poruszać motyką, gdy się kilka razy zielsko wyniszczy sama tylko ćwikła się rozrasta i nad ziemię wystaje. Kiedy się już ćwikła bujnem pokryje liściem, można liście z brzegów obrywać i dawać krowom jako wyśmienitą paszę, a krowy dobrze doić będą. Nie trzeba tylko środkowego zrywać liścia. Gdy się ćwikła obrodzi, wydać może jeden morg 300, zwyczajnie zaś około 100 cetnarów. Możecie więc sobie wystawić, jak wielki mieć można pożytek z ćwikły, która jest wyborną paszą przez całą zimę dla maciórek, dla krów, dla wołów, dla trzody. Krowy od niej dużo mleka dają, owce dostają tłustej wełny, a maciórki dużo pokarmu dla jagniąt. Cukrowa ćwikła jest za słodka dla człowieka, a lepsza dla bydła i na cukier; czerwona jest smacznym i zdrowym dla człowieka pokarmem.

List do pisarza Dzwonka.

Ludka z Myślenic, ta pani, co dla was kochani bracia, pisze gazetę o rozmaitych ciekawościach ze szerokiego świata, taki list napisała do nas:

Mój łaskawy Panie pisarzu Dzwonka!

Bądźcie też tak dobry, i umieśćcie to moje pisanie, w Dzwonku, a to jako doniesienie, iżby ludkowie o tem wiedzieli, że „Nowiny ze świata“ nie wyszły na 15 września, i nie wyjdą aże da Pan Jezus doczekać na 15 października; ale to nie przez żadne nasze lenistwo, lub niedbałość o was ludku, uchowaj Boże, tylko że ten najstarszy pisarz Nowin co się zowie redaktor, musi jednomiesięczny areszt odsiadywać, — na który jak wam wiadomo jest od c. k. sądu za różne pisania w Nowinach skazany, — dla tego i Nowinki muszą poczekać. Ale za to będziemy wam później bardzo ładne w nich historye opisywać, jako to na 15 października już jest do druku przygotowana ładna historya pod tytułem „Nie zawsze wytrwa i serce“, i inne tem podobne ciekawości

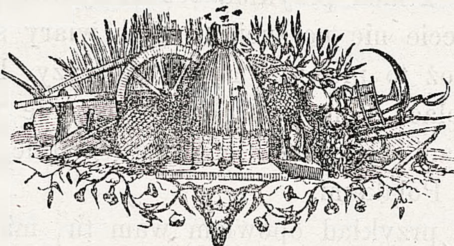
A tymczasem zostańcie kochani Ludkowie, i Wy Panie Pisarzu Dzwonka z Panem Jezusem *Ludka z Myślenic.*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom XI. Nr. 10.

1. października 1864.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną!

czyli:

Jako dawni Polacy byli stali w świętej wierze swojej.

Nie ma to nic piękniejszego na świecie i nic milszego Ojcu niebieskiemu, jak kiedy człowiek mimo nieszczęść i plag okrutnych wytrwa w wierze swojej świętej i nie złamie wiary swej ukochanej ojczyźnie.

Kiedy Chrystus Pan umarł na krzyżu, to uczniowie jego roznosili wiarę świętą po całym świecie, a choć ich bili, męczyli i katowali poganie, to oni nie ustraszyli się złości ludzkiej i bolów okropnych, ale znosili z radością męki i srogie katowania, i ani na chwilkę nie zaparli się prawdziwego Boga.

Toć wiadome wam przecie, kochani bracia, historje o męczennikach świętych, którzy ginęli na strasznych mękach, a wiary Bogu dochowali. Poganie palili ich na ogniu, ćwiertowali ich ciała w kawałki, dawali ich na pożarcie dzikim zwie-

rzom, a przecież męczennicy ci święci konając wśród strasznych udręczeń, zostali wierni nauce swego Zbawiciela.

Brali sobie z nich przykład i nasi ojcowie, dawni Polacy, i za nic w świecie nie porzuciliby byli wiary świętej i ojczyzny swojej. Toż to nie raz i nie sto razy Polacy umierali w okrutnych bolach i mękach, a przecież nie wyrzekli się oni wiary świętej ani ojczyzny, jeno do ostatniego tchu zostali wiernymi Bogu Polakami.

Na piękny przykład opowiem wam tu, mili bracia kmiotkowie, trzy przytrafunki z dawności o trzech zacnych i sławnych Polakach, co woleli wyrzec się skarbów i honorów a nawet umrzeć na najokropniejszych mękach, niż zagubić duszę i nie dochować wiary naszemu Zbawcy.

I tak najpierw posłuchajcie o polskim wojowniku, hetmanie Stanisławie Koniecpolskim, co żył za dawnych czasów w naszej Polsce, kiedy w niej panował król Zygmunt III.

Sławny ten i zacny Polak dostał się w nieszczęsnej bitwie pod Cecorą, gdzie to sam sławny ów hetman Żółkiewski i tyle wiary naszej od szabli tureckiej zginęło, do niewoli pogańskiej.

Skoro tego hetmana Koniecpolskiego schwytali w bitwie poganie, to najpierw trzymali go w strasznem, ciemnem jak noc więzieniu, na srogim żelaznym łańcuchu, a potem wywlekli go przed sam tron cesarza tureckiego czyli jak się on tam zwie sułtana.

Gdy Koniecpolski stanął przed sułtanem i najstarszymi Turkami, rzekli mu oni:

— Obieraj sobie! Albo porzuć twą wiarę chrześcijańską i ojczyznę a przystań na naszą wiarę, to wtedy cię zrobimy wielkim jenerałem i damy ci huk złota i 50,000 wojaków; — albo zostań przy twojej wierze, a będziesz gnił w więzieniu i wił się jak pies nędzny na łańcuchu!...

I czy myślicie może, że hetman Koniecpolski usłuchał tej rady pogańskiej?...

Gdzieżtam! Nawet się ani chwileczki nie namyślał, jeno śmiało odpowiedział:

— Nie doczekacie się tego, abym miał porzucić religję świętą ojców moich i nie dochował wiary mojej ojczyźnie!

Choćbym zginął marnie na mękach, to nie uczynię tego nigdy!

— Idźże na więzienie wieczne! — zawołali Turcy.

Wtedy porwali go poganie i wtrącili w więzienie i tam siedział w cierpieniach hetman polski, ale nie stracił odwagi, jeno wytrwał w wierze swojej, aż go Pan Bóg i rodacy wyzwolili z niewoli pogańskiej.

A druga zaś historja jest o księciu Dymitrze Wiśniowieckim, co póki życia gromił wrogów i pogan w obronie wiary i ojczyzny.

Księcia Dymitra Wiśniowieckiego, złapali na wojnie wrogi Wołochy, właśnie kiedy był chory, i oddali go w ręce Turków, z którymi byli w przyjaźni.

Poganie okrutnie nienawidzili księcia Wiśniowieckiego, bo ich srodze czesał szablą, kiedy był na wolności. Gdy go więc w moc swą dostali, kazali mu przystać na wiarę pogańską.

Ale Dymitr Wiśniowiecki zawołał:

— Przebrzydli pohańcy! Jak śmiecie nastawać na mnie, abym się wyrzekł wiary świętej chrześcijańskiej i zaprzedał duszę djabłu! Jeszcze tego nie bywało, aby Polak zacny zdradził Boga i kraj swój miły!...

Poganie zgrzytnęli zębami z wściekłością i porwawszy księcia Wiśniowieckiego powiesili go za żebro na żelaznym haku.

Straszna to, okropna była męka, aż włosy jeżą się człowiekowi na głowie, i serce się ciężko krwawi na samo wspomnienie!...

Ale męka ta nie zmieniła księcia Wiśniowieckiego. Przez dwa dni i dwie nocy wisiał uczepiony za żebro na żelaznym haku ten Polak męczennik, i znosił najokrutniejsze bole, ale nie wyrzekł się wiary świętej, jeno głośno się modlił i oddawał chwałę Bogu Najwyższemu.

Dopiero trzeciej doby, kiedy Turcy zobaczyli, że Wiśniowiecki żyje jeszcze, zebrała ich litość i dobili go strzałami z łuków.

Potem zdjęli go z haka, wypruli mu serce z ciała i serce to pokrajali na drobne kawałki i rozdali między siebie na jakieś pogańskie czary i zabobony.

Taką samą śmiercią męczeńską za wiarę świętą umarł w rękach tureckich książę Samuel Korecki, dzielny wojownik polski, co popadł w niewolę pogańską także w owej nieszczęsnej bitwie pod Cecorą.

I jego także namawiali wszelką siłą poganie, aby ich wiarę przyjął i grozili mu okropnie, jeżeli tego nie zrobi.

Ale Korecki nie nastraszył się groźb tureckich, jeno jak na zacnego Polaka i Chrześcijanina przystoi, obstawał przy świętej wierze ojców swoich...

Za to wrzucili go poganie do ciemnicy okrótnej i tam go z udręczeniem rozmaitem trzymali przez kilkanaście miesięcy. Myśleli Turcy, że go tem zmuszą, aby przystał na ich wiarę pogańską.

Ale nie doczekali się tego poganie. Książę Samuel Korecki pozostał wiernym Bogu, a Turcy ze złości okrutnej wysłali do niego do więzienia katów, aby go za to udusili.

Jak Korecki zobaczył koło siebie katów, zawołał:

— Kiedy mi zginąć przychodzi za wiarę, chętnie i z radością zginę! Ale wpierwej niech poznają okrutne poganiska, że Polak tak łatwo nie da się marnie zgładzić ze świata!...

I przyskoczył do katów, wyrwał jednemu z nich nóż z ręki i tym nożem bronił się do tchu ostatniego. Nie minęła chwila, a już tarzał się w swej własnej posoce jeden i drugi Turek — ale w końcu przemogli pogańscy kaci nieszczęśliwego Polaka i udusili go powrozami.

Potem wyrzucili martwe ciało tego polskiego męczennika przez okno z wieży i zagrzebali je w piasku. Dopiero później udało się Polakom wykopać ciało nieboszczyka i zawieźli je do Polski, gdzie go w świętej ziemi ojczystej pochowali...

Tacy to byli nasi ojcowie!...

Nie żałowali oni nigdy krwi dla wiary świętej i prędzej znosili okropne męczarnie i katowania, niżby się kiedy mieli wyrzec nauki chrystusowej.

Wojtek ze Smolnicy.



Wieczór jesienny.

Zadzwonili już na Anioł
Z dzwonnicy na wzgórku —
Chodzi starzec jak gołąbek
Po czystem podwórku.

Chodzi i zmawia po cichu
Nabożne pacierze:
Jeden i drugi Ojczenasz,
I Zdrowaś i Wierzę,

I rozmaite litanie
I kilka koronek,
Do wszystkich dzieci i wnuków
Patronów, patronek.

Już snop ostatni zwieziony,
Zieleni się niwa;
Gospodarz, czeladź, obora,
Już wszystko spoczywa.

Więc po cichu i bez żalu
Starzec duma sobie:
„Kiedy wszystko tak spoczywa,
„Czas też i mnie — w grobie!

„Czas obaczyć stęsknionemu
„Znów drogą niebogę,
„Co tak wcześnie tam do Boga
„Wybrała się w drogę.

„Służyłem wiernie tej ziemi,
„Dla dzieci i świata, —
„Dusza tęskni do Cię Boże!
„W służbę Twoją wzlata!“ —

Miesiąc jasne z poza lasu
Promienie rozniecił —
Jakby starcowi do nieba
Na drogę zaświecił.

I zeszły gwiazdy rzęsiście,
Jak ziarno posiane,
Dla starca wkrótce tam w niebie
Do zżęcia wskazane.

Rusin z Więckowic.

Garnek z popiołem.

Żyło sobie w jednem miejscu małżeństwo we wsi. Oboje byli skąpi i nieuczynni, a osobliwie ona. Ni tam u nich w chałupie ujrzysz kogo w gościnie, a tem bardziej ubogiego, choć gospodarstwo mieli nie złe, i nie mieli dzieci. Każdy mówił, że pieniądze muszą składać gdzieś i że ich mają nie mało. Nie lubiła ich wieś cała, bo jużci, kto też skąpców i nieużytych ludzi lubi?... Kiedy nawet w piśmie świętem stoi napisano: „że skąpiec nie dostanie się do królestwa Bożego.“ Więc jak się rzekło, skąpiec to nieprzyjemny Bogu i ludziom.

A tu miły Boże, cóż ci przyjdzie z twego skąpstwa i zabiegłości, jeżeliś sobie niczem na niebo nie zarobił? Rychlej — później przyjdzie ci pójść z tego świata, i pójdziesz z niego taki, jakiś przyszedł, nic z niego z sobą nie weźmiesz. Nie pójdzie tu i za największym bogaczem ani jego złoto, ani jego majętności, ani jego zaprzęgi, ani nic, pójdą jedynie dobre uczynki, jeżeliś ich miał w życiu. A zresztą wszystko ci będzie oddane wedle sprawiedliwości: „jakąś miarką mierzył, taką ci będzie odmierzono.“

Tak też i temu gospodarzowi było, przyszła śmierć kostusia do jego chaty i zapukała: „Pójdź bratku!“ Darmo, od niej się człeku nijak nie wyprosić.

To jeno, że jeden może się do śmierci pomału przysposobić, gdy zaś drugiego nagle uchwyci i amen.

Otóż tak się stało i z tym tu gospodarzem. Jeszcze z rana poszedł w pole zdrów, a do wieczora jak przyszedł, to tak zaniemógł, że się go słowa już domówić nie mogli. Widząc że źle, posłali duchem po księdza, ale jak ksiądz przyjechał, to mu już zamknęło mowę, i tylko mu ostatnią dał absolucyę ksiądz, i nie wiem czy za próg wyszedł, a gospodarz skonał.

Wnet się wieść o śmierci jego po całej rozeszła wiosce. Ludzie się zlecieli, żona ręce załamuje, chodzi jej i o męża i o to jeszcze może bardziej, że tak pomarł nagle, że ani słówka nie wyrzekł, gdzie są schowane pieniądze. Boć pieniądze były, to ona o tem wie dobrze, tylko że nieboszczyk miał zwyczaj coraz w inne przechować je miejsce.

Ale cóż, nic nie pomógł lament i szukanie po całej chałupie i po stodole i po ogródku, pieniędzy jak nie było tak nie było. A tu pogrzeb, a i na to nie było gotówki, a baba skąpa, nie chciała nic na ten expens sprzedać, to też pochowali go, Boże zmiłuj się, jakby najbiedniejszego komornika. Pochowali i zapomnieli, ot jak się to zwykle we świecie dzieje. I wyszło dni kilkanaście od pogrzebu, baba się w chałupie ledwie gdzie nie podzieje za pieniądzmi. No to myśli sobie, jeszcze by się człek i wydał, bo dzieci nie ma, żeby były pieniądze. No i zrobiła się jeszcze skąpsza, już nie doje, bo ża-

łuje. Wtem dnia jednego dziaduś siwuteńki stanął w progu chałupy. Pochwalił Pana Jezusa i mówi:

— Moja gospodyni kochana, opatrzcież też czem dziadusia, będę się modlił za duszeczkę nieboszczyka. Może też jaka szmata po nim została, a ja też nie mam koszuli — prawił dziaduś — to mnie też za duszyczkę waszego opatrzcie, będę chwalił Pana Boga! Albo też jaką okruszynę chleba, jeszczem dzisiaj w gębie nic nie miał, zaschło mi; zlitujcie się gospodyńko, Bóg wam to stokroć nadgrodzi!

— Niech was Pan Bóg opatrzy — rzekła z fukiem gospodyni. — Nie mam ja tu na rozdawne teraz, nie dość żem została sama sierota, jeszczebym ta miała co drugim udzielić. Pogrzeb kosztował, ostatnia przyodziew nieboszczyka poszła na to; a chleba nie mam ni kąska sama, jeszczem go po jego śmierci nie piekła

— To choć jakich ziemniacząt, albo garść czego z komory dajcie mi, gospodyńko, zlitujcie się, Bóg wam to stokrotnie nadgrodzi! — nalegał uparcie dziaduś.

Znudzona tem proszeniem dziadusia baba zawołało wreszcie dziadusia do środka izby, i rzekła:

— Kiedyście taki uparty, to pójdźcież wziąść sobie ten garnek stary, co tu stoi z popiołem w kącie.

Dziaduś posłuszny poszedł do kąta, i wziął czerep stary, w którym niby popiół, ale to bardziej śmiecie były, a mówiąc:

— No Bóg zapłać i za to! — odszedł z izby, a baba się uradowała, że się go pozbyła, i że jej jeszcze za to śmiecie wyniósł z chałupy.

I wyszedł dziaduś kawałek za wieś ze swoją jałmużną i myśli sobie:

— Ciężki czegoś ten popiół, żebym wiedział, że mi za niego kto da choć okruszynę chleba, tobym go doniósł do miasta!

A tu go już siły opuszczały, bo był wielki staruszek. I zapłakał sobie gorzko nad nielitościwem sercem skąpej gospodyni. Ale że był głodny i nagi, to nie rzucił o ziemię garnkiem starym, ale sobie myślał:

— Doniosę go ku miastu do mydlarza, to ulituje się nad moją nędzą, i podaruje grajcar i kawałek chleba.

No, i stękając ze słabości doniósł dziaduś garnek popiołu ku przedmieściu, i do najpierwszego wszedł mydlarza, żebrząc słabym głosem o kęsek chleba i grajcar za garnek popiołu. Litościwy mieszczanin zawołał go zaraz ku sobie, obiecał chleba, kazał spocząć, a sam wziąwszy garnek, chciał przechylić i wysypać popiół tam, gdzie był skład jego.

No i podniósł garnek do góry, i przewrócił dnem, a tu brzęk się zrobił, i coś błyszczącego poczęło toczyć się po ziemi. Patrzy, a tu wszechmogący Boże, taż to czyste dukaty, a jest ich ze dwie kwarty, bo widać, choć się roztoczyły! Zgłupiał mydlarz, zadumał się i dziaduś, co zaś takiego, że z popiołu zrobiły się dukaty?

Dziaduś opowiedział wszystko mydlarzowi, a mydlarz rzecze:

— No kiedy tak, to zanieśmy te pieniądze do sądu, bo choć to ona wam je sama dała, to zawsze nie wasza to własność.

Dziaduś także tak myślał, więc też poszli oba do sądu, i tam całą historję opowiedzieli i garnek z dukatami złożyli. Zaś mydlarz rzecze:

— Ponieważ gospodyni darowała ten garnek dziadowi, a ja odkupiłem go dla siebie, dla tego też nie oddamy inaczej tych dukatów, dopóki z nich połowy nie dostaniemy.

Przywołali ową skąpą gospodynię i rozpowiedzieli jej wszystko. Gospodyni włosy sobie rwała z głowy, że taka była nieostrożna i wymyślała na swego męża nieboszczyka, ze w garnek pieniądze chował a jej nic nie powiedział. Ale co przepadło — to przepadło, stanęła taka ugoda w sądzie, żeby połowę dukatów oddała dziadusiowi i mydlarzowi.

Poczciwy mydlarz i siwy dziaduś gdy wzięli te dukaty, to ich ani chwilki u siebie trzymać nie chcieli, jeno zaraz uradzili, aby te pieniądze oddać na szpital dla kalek i chorych biedaków. I tak też uczynili — a rychło stanął dom murowany, w którym ludzie chorzy mieli ciepły przytułek i pomoc w nieszczęściu.

Zaś skąpa gospodyni aż chorowała ze złości i zgryzoty, ale się przecie trochę poprawiła, bo już poznała dobrze, że *skąpy dwa razy traci.*

Ludka z Myślenic.

Podpalacz.

I.

O Przenajświętszy Boże, czyż jest jaka zbrodnia na świecie sroższa od podpalania?.. Morderstwo, kradzież, rabunek wszystko to mieści się w podpalaniu.

Człowiek pracuje przez całe życie, stara się o kawałek chleba, mozoli dla żony i dziatek, a tymczasem przyjdzie łotr potajemnie ciemną nocą, podrzuci ogień i sam uciecze, a tymczasem wybucha pożar, płomienie ogarniają chatę, stodołę, chlewy, trzaska zboże, pali się słoma i siano, goreje biedne bydełko, w popiół zmienia się chałupa, w którejś się urodził, w której urodziły się twoje dzieci, gdzie szczęśliwie żyli dziadowie i pradziadowie twoi, czasami nawet ludzie zaparci wewnątrz giną straszliwą śmiercią, a w jednej chwili owoc zmudnej i ciężkiej pracy, wieloletniego znoju marnie ginie.

Historya, którą wam tu opowiadam, jest prawdziwą i działa się za moich lat młodocianych, a żywemi oczyma na nią patrzyłem.

We wsi Liszkach przed dwudziestą kilką laty pojawiały się częste kradzieże, z początku ginął drobiazg: kury, gęsi, kaczki, później poczęto wyprowadzać krowy i konie, a gospodarze całej wsi aż dygotali od gniewu na złodzieja, który tak zgrabnie kradł, że go na gorącym uczynku schwytać nie było można. Próżno stróże po nocach pilnowali; ile razy powstała pluchota, lało deszczysko i odprawiający straż skryli się pod dach, wnet złodziej jakby z pod ziemi zjawił się i szkodę zrobił. Nieraz nawet o jasnej nocy przy miesiączku; skoro straż poszła na jeden koniec wsi, w chwili na drugim uwinął się łotr i psotę wyrządził. Ile razy zeszła się gromada do karczmy na obradę i coś ustanowiła ku schwytaniu złodzieja to

już się ten nie pokazał jak gdyby był przy naradzie i ją wysłuchał.

Dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie. Wkrótce też i naszemu złodziejowi przyszedł koniec, a stało się tak:

W Liszkach żył podówczas bogaty kmieć, nazwiskiem Owca, który miał dobre konie i dowoził towar kupcom do Królestwa czasem nawet i nocami, bo gdy człek chce co zarobić, to musi i niedosypiać. Pewnej nocy powrócił stary wraz z synem dwoma wozami od Cianowic. Ojciec zaraz poszedł do izby i położył się spać zamknąwszy syna Stanisława w stajni, któremu świeże sianko pachniało na górze i dla tego w stancyi nie nocował.

Stach był to parobek silny a odważny, co to mówią nie zląkłby się nietylko odmieńca, ale nawet samego czarta, nieprzewidując przecież niczego spał sobie smaczno, kiedy w tem we śnie zdawało mu się, jakoby drzwi od stajni skrzypnęły; ocknął się natychmiast, przetarł oczy i podniósł głowę, w tem mignął mu się we drzwiach jakiś cień i usłyszał uderzenie końskiej podkowy o próg, zaraz mu złodziej w myśli stanął, więc jednej chwili już był na ziemi, a wyskoczywszy na pole ujrzał przed sobą jakiegoś człowieka wyprowadzającego konia; walny parobczak rzucił się z zajadłością na złodzieja, ten z nienacka zaskoczony nie zdołał nawet bronić się, a już był uchwycony za kark i lewą rękę, którą trzymał uzdę. Próżno pękiem witrychów ugodził Stacha w głowę, klucze oddźwięknęły po głowie, ale w tej chwili młody Owca powalił złodzieja na ziemię i ściągniętą w szamotaniu uzdą skrępował mu ręce.

Na krzyk Stacha wybiegł ojciec z izby ze światłem, a któż opowie ich zdziwienie, kiedy w złodzieju poznali jednego z zamożnych gospodarzy, który nawet był przysiężnym, i najwięcej przeciwko złodziejowi dowodził na zebraniach gromady.

— To to ty ptaszku umiesz tak pięknie okradać wszystkich — zawołał stary Owca — no ale poczekajno braciszku, przyszła kreska i na ciebie, odpokutujesz teraz w kryminale za twoje sprawki!

— Albo wam sąd uwierzy — zawołał zuchwale złodziej — mnie

znają wszyscy jako uczciwego, zeznam wszędzie, że to ja was uchwycił na kradzieży, a wyście mię przemogli i zawlokłszy pod waszą chałupę, na mnie zwalacie.

. — Ba nieźleby tak to było Plewo — ozwie się jakiś głos z za płota — ale cóż kiedy na wasze nieszczęście jest nas tu więcej świadków, a nam prędzej uwierzą.

— A to wy Michale — rzeknie stary Owca — dobrze żeście się tu znaleźli jak na zawołanie, bo się na własne oczy przekonacie jaki to przemądry lisek z Plewy. Pamiętacie, że zawsze okrutnie dowodził przeciwko kradzieżom i doradzał jak złodzieja schwycić, pamiętacie jak Kubę oddał do kryminału, choć wszyscy mówili, że niewinny, a teraz pokazało się kto to po wsi kradał.

— Wiedźmy go do komisarza! — rzekł Stach.

— Słusznie macie, po co go tu będziemy trzymali.

Plewa widząc, że im się wywinąć nie zdoła, zmiękł i począł mówić:

— Moi mili sąsiedzi, ja tylko tak żartowałem, chciałem się oto przeświadczyć czy kumoter Owca pilnuje swego dobytku i tak zakradłem się przez figle.

— A toć i mnieś przez figle w łeb witrychami zamalował?

— Bom myślał na ciebie Stachu, że to jakiś złodziej prawdziwy mnie chwyta.

— A nacożeś witrychy nosił, hę? — zawołał Michał.

Plewa zamilkł nie mając nic odpowiedzieć.

— Wiedźmy go do komisarza — ponowił Stanisław.

— Czekajcie chwilkę, jak mię tam zawieziecie i przysięgniecie, to pójdę do kryminału i steram się na nic. Cóż wam z tego przyjdzie mili sąsiedzi? Oto puśćcie mię wolno, a ja wam się sumituję na wszystkie świętości, że i kraść w życiu więcej nigdy nie będę i jeszcze wam dam po dwadzieścia reńskich!

— Schowaj sobie złodziejskie pieniądze! — zawołał Owca — my cudzej krzywdy nie potrzebujemy, a sprawiedliwość być musi na złodzieja, oj co musi to musi, broiłeś jak ci się podobało i nie jeden niewinny popadł w podejrzenie przez ciebie, teraz za wszystko odpokutujesz.

Plewa widząc twardość kmieci zawołał z straszną złością:

— Pamiętajcie sobie, że jak mnie oddacie sądowi ja się zemszczę za moją krzywdę, o zemszczę, nie daruję do śmierci.

— O ty łotrze — krzyknie Owca — to ty się nam jeszcze odgrażasz, poczekajże mój uczciwy człowiecze, niechajże ci prawo tę krzywdę zrobi, jaka się złodziejowi należy!

— Ruszaj! — zawołał Michał.

— Dalej! — huknie Stanisław — bo cię pięknie poproszę! — To rzekłszy popchnął z całej siły Plewę, że się o mało nie przewrócił.

Złodziej uzieleniał z trwogi i złości, i krzyknął zuchwale:

— Stachu! żebyś tylko kiedy nie żałował tego co robisz!

I do sądu powiedli Plewę a on rozżarty całą drogę klął, wyzywał i odgrażał się wszystkim trzem a iść nie chciał, że go trzeba było popychać naprzód.

Na ławie przed sądem czekali ósmej godziny, o której kancelaryą otwierano, pilnie strażując więźnia.

Nareszcie pachołek wyszedł i kazał im się udać do komisarza.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł wchodzący do kancelaryi Owca.

— Na wieki — odrzekł komisarz — cóż mi powiecie?

— Schwyciliśmy złodzieja, wielmożny komisarzu — odrzeknie Owca — jak mi wyprowadzał konia ze stajni, zdaje się, że to ten sam co przez tyle czasu po wsi kradał.

— A gdzież go macie? — zapytał ciekawie komisarz.

— Jest za drzwiami i trzyma go mój Stasiek z Michałem Grzebieniem, aniby się wielmożny komisarz nie spodział, kto to taki.

— Któż taki? — pyta komisarz.

— Oj gospodarz tutejszy i dobry gospodarz, Fabijan Plewa.

— Czyż to być może! — zawołał sędzia.

— Ależ to przecie gospodarz zamożny i do tego radny — mówi dalej — a czyście pewni, że przyszedł kraść?

— Jakto czyśmy pewni wielmożny komisarzu, a tośmy go, powiadam, uchwycili wyprowadzającego konia ze stajni, a gdy

go mój Stasiek uchwycił, to go tak zamalował w łeb witrychami, że ma pełno sińców na twarzy.

— Wprowadźcież go — rzecze komisarz — a ja przygotuję protokół.

Plewa stanąwszy przed komisarzem skłonił się uniżenie i przybrał taką minę, jakoby nic nie był winien.

Spisano początek protokółu, gdzie stały pytania jak się nazywa, ile ma lat, bo choć o tem komisarz dobrze wiedział, przecież jest taki przepis, aby w ten sposób robiono wywód.

Kiedy wreszcie po zeznaniu trzech świadków komisarz zapytał Plewę czy przyznaje się do tego co mu zarzucają, Fabijan udając głupiego począł prawić, że nie rozumie czego chcą od niego, że on sobie spał spokojnie i wyszedł w nocy na chwilę przed chałupę, a w tem go Owca z synem i Michałem napadli, pobili i do komisarza przywiedli. „Złość jakąś do mnie mają wielmożny komisarzu, ale mi tu przecież cała wieś wyświadczy, żem człowiek uczciwy, a i prześwietny urząd zna mnie nie od dzisiaj“ — dodał.

Dopieroż zaczęły się badania na ostro, komisarz raz łagodnie radził Plewie, aby się przyznał do wszystkiego i próżnem zapieraniem nie przedłużał sprawy, to znów groźnie przemawiał strasząc go cięższą karą jeżeli się nie przyzna, ale wszystko to było na próżno, Plewa uparcie zapierał się kradzieży i krzywdę swą jak mówił zwalał na świadków. Na tem protokoł ukończono o Plewie, poczem przesłuchano ojca, syna i Michała, którzy wszystko zeznali jak było. Skoro indagacya ustała, komisarz rzekł:

— Teraz musicie zaprzysiądz wasze zeznania.

— Z ochotą wielmożny komisarzu, na rzecz sprawiedliwą nie ma strachu przysięgać — odrzekł stary Owca.

Więc komisarz zapalił świece, postawił obok Pana Jezusa i rzekł: Macieju Owca uklęknijcie!

Maciej ukląkł, a w tem Fabijan zawołał:

— Macieju pamiętajcie, że nad grobem stoicie, nie róbcie mi krzywdy i nie gubcie mię z żoną i dziećmi, bo was ciężko Pan Bóg skarze.

— Pan Bóg nikogo nie karze za prawdę, tylko za fałszywość i zdradę — rzecze spokojnie stary — i dla tego przysięgnę.

— Ale za nastawanie na drugich Pan Bóg wam nie daruje, a ja wam tego nigdy nie zapomnę i zapłacę wam z przysypką.

— Zbrodniu! — zawołał komisarz — jeszcze się odgrażasz, panie adjunkcie proszę to zapisać do protokółu.

— Niech mu wielmożny komisarz daruje — rzecze Owca — to tylko złość tak przez niego gada.

— Wy mnie nie będziecie uczyli moich obowiązków — rzecze komisarz — przysięgaj.

Wszyscy trzej zaprzysięgli.

Wtedy Plewie założono łańcuszki, zaszła podwoda, a komisarz zawołał oddając pachołkowi spisany protokół. „Odwieziesz go do kryminału!“

— Co?! co? mnie do kryminału, a to za co, czy mi dowiedli kradzieży? Mnie do kryminału gospodarza z gospodarzy z dziada i pradziada, osiadłego na roli, a czy to który z moich siedział w kryminale?

— Bo też żaden nie kradł — rzekł na to komisarz.

— Panie komisarzu, jaśnie wielmożny komisarzu, najjaśniejszy urzędzie ja nic nie winien, ci zdrajcy i oszuści uwzięli się na mnie, żeby mię zgubić i sterać do ostatka. Zmiłuj się panie nademną i każ mię puścić bo ja nic a nic nie winien.

Gdy te prośby nie pomogły, zawołał:

— Ja pójdę, ale Pan Bóg się pomści za moję krzywdę, a ja, dodał patrząc okropnym wzrokiem na około, nie daruję nikomu co się do mojego nieszczęścia przyczynił. Popamiętacie mię wszyscy!

— Co ty łotrze i urzędowi będziesz się odgrażał, czy myślisz że tu żartować z tobą będą, ej nie drażnij mię, bo cię każę rozciągnąć i dwadzieścia pięć kijów wysypać!

— Nie jestem ze szkła, to się nie rozbiję, odrzekł ponuro Plewa, ale swojego nie daruję, jak mi Bóg miły, nie daruję...

— Bierzcie go i odrazu na wóz, bo nie wstrzymam się dłużej! — zawołał w gniewie komisarz.

Świadkowie z pachołkami pochwycili Fabijana, który usiłował się bronić, ale napróżno — zaraz go wrzucono na wóz, który szybko potoczył się gościńcem. Plewa obejrzawszy się raz jeszcze, zawołał: „Macieju! Stanisławie! Michale! — wiecznie nie będę siedział w kryminale, a skoro mię tylko wypuszczą, to wam przypomnę dzień dzisiejszy!“

Po przyjeździe do miasta i oddaniu w ręce sprawiedliwości Fabijana, wsadzono go do więzienia wilgotnego z okienkiem zakratowanem pod samą powałą, zatwardziały zbrodniarz nie dręczył się wcale ani przypadkiem jaki go spotkał, ani wstydem, ani ciasnotą więzienia, ani lichym pokarmem; rozmyślał tylko nad tem jakby się wykręcić, a po wydobyciu z kryminału zemścić na tych, co go, wedle jego krzywego rozumienia skrzywdzili i pragnąc sobie dopomódz postanowił zapierać się do ostatniego i do niczego nie przyznać.

Nie wiele mu to przecież pomogło, sędziowie umieli brać się do Plewy, a ten zmieszany tak się powikłał, że w końcu musiał przyznać się do wszystkiego. Wydało się wtenczas, że wszystkich kradzieży we wsi był sprawcą Fabijan, że skradzione bydło i konie nocą wyprowadzał nad Wisłę do lasu, kędy złodzieje z pruskiego Szlązka mieli swoją stacyę i wszystkie rzeczy skradzione w okolicy odkupywali. Płacił złodziejom dobrze, aby ich ku sobie znęcić, a od innych odstręczyć kupców. Wydało się nadto, że Fabijan wypatrzony na złodziejstwie przez swego parobka Kubę, tak umiał korzystać ze swej niby uczciwości, że na Kubę zwalił winę i jego wtrącił do kryminału.

Wszystkie te historye były okolicznościami obciążającemi zbrodnię Fabijana, dodawszy do tego obejście się ze Stachem, odgróżki czynione świadkom i komisarzowi, sąd uznał Plewę bardzo winnym i wydał wyrok na dwanaście lat ciężkiego więzienia, gdyby nie to, byłby zapewne nie na dłużej jak na pięć lat skazany.

Skoro Fabijan ujrzał się zamkniętym w samotnej stancyjce, w grubej odzieży aresztanckiej, okuty na ręce i nogi, skoro się przekonał, że będzie musiał wysiedzieć lat dwanaście,

zgrzytnął zębami i podniosłszy rękę w stronę wsi swej rodzinnej, zawołał:

— Czekajcie, wrócę ja do was, ale niech mię nagła śmierć spotka zaraz, jeżeli się nie zemszczę okrótnie za moją krzywdę!

(Co zaś stało się dalej na przyszły raz wam opowiem.)

RÓŻNOŚCI.

Sprytny chłopak. Niedaleko Wiednia stał się niedawno taki ucieszny przytrafunek. Jeden czeladnik rzeźnicki założył się z drugim, że zaniesie do Wiednia cielę i nic na rogatce nie zapłaci. A trzeba wam wiedzieć, że w każdem większem mieście opłaca się od wszystkiego na rogatkach akcyzę, toć więc i za cielę należy się tam opłata. Otóż ten czeladnik wygrał zakład, bo jak powiedział, tak zrobił.

A posłuchajcie jeno jak to było. Zaniósł on cielę przed samą rogatkę wiedeńską i zostawił je w jednym tam domku u znajomych. Potem zaś wziął dużego psa, co akuratnie miał taką wielkość jak cielę, wsadził go do worka, wziął na plecy i idzie przez rogatkę.

— Co niesiesz? — pytają go strażnicy.

— Ot niosę psa w worku dla jednego pana do miasta.

— Ej kłamiesz! — mówią strażnicy, bo nie wierzyli, jeno myśleli, że ich czeladnik chce oszukać. — Pokaż go, niech zobaczymy.

— Ot dalibyście pokój, bo mi psisko ucieknie! — mówi na to czeladnik.

Ale nic nie pomogło, bo strażnicy ani rusz uwierzyć. Rozwiązali więc worek a tu psisko czarne wyskoczyło z worka, a że się nastraszyło bardzo, więc dalej w nogi.

Czeladnik niby rozgniewany woła:

— A widzicie, coście mi narobili, teraz ja tej bestyi nie dogonię!

I puścił się drapaka za psem, udając, że go niby chce koniecznie złapać. Tymczasem ani mu w głowie nie było gonić za psem, jeno poszedł do owego domu, gdzie zostawił cielę, wziął cielę do worka, zawiązał i idzie znowu na rogatkę. Gdy już był blisko strażników, począł udawać, że się okrutnie zmęczył, sapał jak miech i mówi:

— Oj trzebaż wam było na moje utrapienie rozwiązywać worek, toć ledwie psisko dogoniłem o ćwierć mili, a zmęczyłem się, aż mnie kolki kłują!

Strażnicy od rogatki myśleli pewnikiem, że czeladnik niesie psa, co mu był z ich winy uciekł i puścili go nie patrząc już do worka. I takim to sposobem frant czeladnik zaniósł do miasta cielę i nic nie zapłacił, a potem jeszcze wygrane dostał.

Aleć to zawsze nie było nic innego, jeno sprytne oszustwo.

Zagadka. Ślepy zobaczył, głuchy posłyszał, kulawy dogonił a goły schował do kieszeni.

— Co to jest?

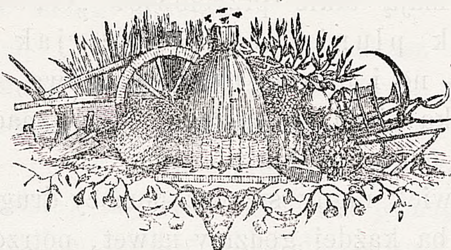
— K ł a m s t w o.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: E. Winiarz. **Z drukarni E. Winiarza.**

Tom XI. Nr. 11.

11. października 1864.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Gawęda o gromadzie.

I.
Kmieć a gromada.

Czy wiecie wy, kochani bracia, jaką to ma być dobra gromada? Oj nie wszyscy pono o tem wiedzą, bo by nie było między bożym ludkiem tyle biedy, grzechu i nieszczęścia, gdyby o tem dobrze wiedzieli. W niejednej to wsi nie idą w ład wszelakie sprawy i nie ma za grosz dobrej doli, jeno wszystko źle i marnie się dzieje — a dlaczego? Bo gromada jest nieporządna i niedobra.

A przecież Pan Bóg dla każdego sprawiedliwy, każdemu dał tyle, ile mu potrzeba, aby żył poczciwie na świecie i był użytecznym swym bliźnim, jeno w tem leży wszystko złe, że jeden i drugi źle sobie radzi i nie robi jak przystało poczciwemu człeku.

Toć to niejedną ja wieś widziałem, roli dobrej w niej huk, i lasu kawałek tęgi i łąk podostatkiem i niczego tam niebrak,

co ludziom potrzebne — a przecież tam nędza i obraza boska, aż serce boli. A nie winien temu kto inny, jeno gromada sama.

Rusini to mają takie przysłowie: „Gromada wielki człowiek, jak plunie, to zaleje, jak chuchnie to wysuszy.“ A no i prawda to sprawiedliwa, bo czego jeden człowiek z ciężką biedą nie dokaże, to gromada w lot zrobi, skoro tylko ma chęć i rozum po temu.

Jeden człowiek nigdy się bez pomocy drugich nie obejdzie. Każdego dnia, ba każdej godziny nawet, potrzebuje on drugich ludzi, aby go wsparli w wszelakiej sprawie i potrzebie. W szczęściu i nieszczęściu, w złej i dobrej doli sam jeden człowiek żyć po bożemu nie może, chyba żeby gdzie w lesie się ukrywał jak zwierz jaki dziki, i nędznie tam chciał biedować aż do śmierci.

Dla tego też ludzie za najdawniejszych jeszcze czasów pozbierali się w gromady, i pozakładali sobie wsie całe, aby żyć razem, i aby sobie pomagać nawzajem. Tak więc powstały gromady.

Teraz zaś pogadamy z sobą, kochani ludkowie, jaką ma być gromada? Nie trudno to na to odpowiedzieć, bo każdy, kto się tylko po troszę rozmyślał nad tem, to mu już samo do głowy przyjdzie, jaka gromada być powinna.

Gromada powinna być najpierw taką, aby wszyscy co do niej należą, mieli od niej obronę i bezpieczeństwo, aby każdy kmieć z osobna mógł we wszystkiem znaleźć opiekę i ratunek w gromadzie.

A jakim się to sposobem stać może?

Nie może się to stać inaczej, jeno takiem prawem, aby każdy człowiek, co należy do gromady, pracował nie tylko dla siebie, ale i dla wszystkich, aby nie jedno dbał o siebie, ale i o innych, co żyją w jednej gromadzie.

Bo powiedzcież mi kochani bracia, jaką racją może kto żądać od innych pomocy, jeżeli im sam nie pomaga? Wszak święta to prawda: *„Jak ty drugim, tak drudzy tobie.“* Otóż każdy kmieć musi robić coś dla gromady, a wtedy cała gromada robić będzie dla niego.

Gromada więc wtedy tylko może być opieką i ochroną dla

każdego człowieka, co do niej należy, jeżeli każdy człowiek swoją pracą i swoją pomocą będzie wspierał gromadę.

Na czemże stoi gromada?

Oto na tem. Kuba i Andrzej i Łukasz i Antoni radzi i pomaga czem może gromadzie, a gromada za to radzi i pomaga Kubie i Andrzejowi i Łukaszowi i Antoniemu.

— Ba! — powie może z was który — to kiedy ja mam pomagać gromadzie, aby mnie gromada pomagała, toć to dla mnie nie jest żadne wielkie dobrodziejstwo i korzyść żadna. Boć to tak samo, jak gdybym ja komu pożyczył pieniądze a on mi potem oddał, no toć to przecie nie taka rzecz wielka.

Dobrze! odpowiem wam na to. Ale jeżeli ty pożyczysz komu pieniądze, to ci on potem odda z procentem, więc masz zysk przy tem. Otóż i gromada, jak ty jej dajesz pomoc, to ona ci tę pomoc oddaje z dużym, bardzo dużym procentem.

Ty jeden dasz całej wsi pomoc. Pomoc ta nie może być wielką, bo ty sam jeden dużo nie wydołasz. A gromada za to, jak tobie trzeba pomocy, da ci pomoc sto razy większą, bo co jeden człowiek to nie sto.

Jak masz krajcar, co ty możesz kupić za ten jeden mizerny szeląg? Chyba obwarzanek maleńki. Ale jak was się zbierze sto i da po jednym krajcarze, to już będzie znaczniejsza suma, bo „*ziarnko do ziarnka, będzie miarka.*“

Oto dam wam przykład. Niedaleko wsi, w której mieszkacie, jest miasto. Do tego miasta trzeba wam nieraz pojechać, aby coś kupić lub sprzedać, bo bez tego człowiek obejść się nie może. Ale do tego miasta nie ma drogi, jeno same bagna i doły.

Jakże się ty sam dostaniesz do miasta? Przez bagna i doły trudno, bo koniska woza nie wyciągną. Czy zbudujesz sobie może sam drogę? Gdzież tam, bo to dużo pieniędzy kosztuje. Trzeba chrustu, palów i szutru — a gdzież ty tyle weźmiesz czasu i pieniędzy, aby tego dostarczyć? Któż ci pomoże?

Gromada. A jak? Oto ty i każdy z gromady, dasz tylko tyle na co cię stać i zbierze się taka suma, że można drogę zrobić wygodną i bezpieczną. Gdyby nie było gromady, ty sam nigdybyś tego niedokazał, ale z gromadą razem to się jakoś zrobiło.

*

Tak to w gromadzie jeden pomaga wszystkim, a wszyscy jednemu. Tak samo się dzieje, jeżeli np. trzeba szkoły dla dzieci. Sam jej nie wystawisz — ale jak się z gromadą złożysz, to szkołę, jak nic wybudujecie. A kościołek także, a probostwo, a groblę? Także nie inaczej. Albo jeśli niedaj Boże zapali się chata, czy sam ją wyratujesz? Nie! pomogą ci ludzie, gromada.

A za to jeśli się pali u drugiego, czy ty będziesz siedział za piecem? Broń Boże! Wtedy musisz ty biedz na ratunek, bo oni ciebie ratowali. Otóż tak zawsze: „*Ręka rękę myje, noga nogę wspiera.*“

Dla tego też świętym obowiązkiem każdego kmiecia jest, wspierać gromadę, aby go gromada wspierała. To też jeżeli przyjdzie jaka składka, to daj zaraz, co na ciebie przypada i nie wymawiaj się, że nie możesz, bo jak będziesz w potrzebie, to się i gromada może wymówić, że nie może.

Jeżeli potrzeba, abyś pomógł gromadzie ręką, groszem, chudobą — pomagaj ile możesz Nie pożałujesz tego, ale owszem wielki z tego pożytek mieć będziesz — tysiąc razy większy, niż gdybyś komu innemu pracował za pieniądze ręką i chudobą. Bo pamiętaj, że z tych pieniędzy, coby ci inny zapłacił za tę pracę, co ją gromadzie dajesz darmo, nigdy w świecie nie będzie ci taki pożytek, jak z tego, żeś pomógł gromadzie.

Mówi stara gadka polska: „*Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.*“ Otoż tak samo powiedzieć można: „*Jak Kuba gromadzie, tak gromada Kubie.*“

Jeżeli więc będziesz tak pomagał gromadzie, jak tu stoi wypisano — wtedy będzie gromadzie dobrze.

A jak będzie dobrze gromadzie i tobie źle nie będzie.

I wtedy gromada będzie mogła być gromadą co się zowie, gromadą porządną i przykładną.

Jak zaś wygląda gromada porządna i dobra, o tem na przyszły raz opowiem wam ku nauce A teraz rozmyślajcie dobrze nad tem, co wam powiedziałem i zostańcie z Bogiem!

Na upor niema lekarstwa.

Mieszkał Mazur blisko Zgierza,
Któremu zginęła suka,
Straż domostwa i śpichlerza.
Gdy jej z żalem i kłopotem
W okolicy całej szuka,
Wróciła się w tydzień potem.
Ledwie poznał że to ona,
Bo była wpół ogolona.
— O zbóje! żeby ją skryli,
Używając takich figli
Że biedaczkę wygolili! —
— Powiedz raczej że ostrzygli!
Robi mu uwagę żona —
Bo psów nie golą lecz strzygą.
— A no patrzcież bo mi go
Odezwie Mazur z przekąsem —
Jaka ty mi dyć uczona!
Mając gołe jak pięść lice,
Chcesz nauczać nas pod wąsem
Co jest brzytwa, co nożyce?
A nasz pan, co mu łysina
Przyświeca się jak ta psina,
Myślisz że jest postrzyżona? —
— A wąsiki ekonoma?
Odpowiada zaraz żona —
Co mu wiszą jak u sosny,
A błyszczą jak namaszczone,
Sąć golone czy strzyżone? —
— Bierz ci licho twego pana,
I pana i ekonoma;
Dobrze że suka jest doma,
Choć tak szpetnie ogolona!
— Toć i jam się ucieszyła,
Odpowiada zaraz żona —
Że się suka powróciła
Choć tak szpetnie ostrzyżona! —
— Głupiaś z twemi nożycami!
— I ty z twojemi brzytwami!
— Że golona, przypatrz że się!
— Że strzyżona, pokaże się! —
Tak się kłócą mąż i żona;
Miasto Zgierz całe się zbiega,
A krzyk w koło się rozlega:
Ogolona! Ostrzyżona!
Idzie sąsiad: — Niechaj przyjdzie,
Niech się wpatrzy i przekona —
Idzie żyd: — Powiedzno żydzie,
Czy golona, czy strzyżona? —
Od żyda aż do plebana,
Od plebana aż do pana,
I sprawa zapieczętowana:
Co sąsiad i żyd dowodził,
Na to się pan i ksiądz zgodził:
Że wygrała męzka strona,
Że suka jest ogolona.

Wracają do domu strony.
W drodze chłop pyta żony:
Czy wyroku treść pamięta?
Ona milczy jak zaklęta.
U progu suka ich wita:
— Pójdź tu moja ogolona! —
Woła mąż. A kobieta:
— Pójdź tu moja ostrzyżona!

Mazur wściekły już nie gadał,
Ani żonie odpowiadał;
Tylko wziąwszy pod rękawki
Wlecze ją wprost do sadzawki,
I topi jak kadź ogórków.
Ona, nie nawykła nurków,
Już się zachłysnęła nieraz;
On trzymając za ramiona,
Gnębi, krzycząc: — A no teraz:
Czy golona czy strzyżona? —
Biedaczka, ze śmiercią w walce:
Czując skonu paraliże,
Wytknęła tylko dwa palce,
I na odpowiedź palcami,
Jakby dwiema nożycami,
Mężowi pod nosem strzyże!

Na ten widok uciekł z wody.
Ona poszła do gospody.
On się puścił aż do Zgierza,
I tam przystał za żołnierza.

Podpalacz.

II.

Szybko czas leci, tak że ani się obejrzysz, kilkanaście lat przebiegnie jak z bicza strzelił, człowiek ani czuje jak się starzeje. Prędko tedy minęło dwanaście lat, na które był Plewa skazany, prędko dla wszystkich, ale nie dla niego. Zły ów człowiek cierpiał bardzo wiele przez długoletnie więzienie, ale nie myślał o Bogu i poprawie, jeno jakby się zemścić.

Nakoniec upłynął czas kary. Jednego poranku dozorca więzienia z trzaskiem otworzył drzwi kaźni Fabijana, wszedł urzędnik sądowy i oznajmił złodziejowi, że nadszedł dzień jego uwolnienia i dawszy mu naukę moralną, aby nadal żył cnotliwie i strzegł się występków, powiedział że może wracać do wsi rodzinnej. Dozorca wyprowadził go na dziedziniec więzienia, ślusarz rozkuł kajdany, rozebrano go z aresztanckiego ubioru, oddano jego zleżałe suknie i wyprowadzono z domu kary.

Fabijan otrząsnął się po za bramą, jak pies spuszczony z łańcucha; stanął, popatrzył na straszny dom, w którym tyle lat przesiedział, splunął, zaklął okropnie i puścił się ulicą w miasto prowadzącą.

Nie był on bez grosza, gdyż w ciągu uwięzienia wysyłany bywał na roboty z innymi więźniami i dozorcą po rozmaitych miejscach; pieniądze za to płacone dzielono na dwie równe części, dwie szły na fundusz więzienny, trzecia dla więźnia, aby po wyjściu z kryminału miał o czem rozpocząć pracę. Fabijan przy wypuszczeniu otrzymał z górą trzysta złotych.

Z tych pieniędzy kupił sobie najprzód porządny strój kmiecy, a przebrawszy się w niego wrócił do wsi rodzinnej.

W Liszkach tymczasem wielkie zmiany zaszły. Stary Owca umarł przed siedmią laty. Stanisław się ożenił i siedział na gruncie ojcowskim, wziął córkę zagrodnika z Mnikowa z pięknem wianem, a Pan Bóg obdarzył go trojgiem dzieci.

Fabijan stanąwszy w Liszkach przeszedł milczkiem przez wieś i nikt go wcale nie poznał. Żonę zastał bardzo podstarzałą i zmizerowaną, dzieci powyrastały. Było tam krzyku i płaczu niemało przy witaniu. Fabijan sam tylko nie płakał, wypytywał się on pilnie o wszystko, ale nie wiele go jakoś obchodziły strapienia żony i dzieci, ani bieda której doświadczali, siedział, słuchał, patrzył pochmurno, a czasem zagadnął o to lub owo.

— Oj Fabijanie, Fabijanie — zawołała wreszcie kobieta — potrzeba ci też było puszczać się na kradzież, kiedyś miał swego dosyć, teraz ja się kryć muszę przed ludźmi i wstydzić, bo mię nazywają złodziejką, a biedne dzieci niewinnie cierpią.

— Milcz babo — zawołał Fabijan — teraz to wstydzisz się przezwiska złodziejki i umiesz wymyślać, ale kiedym ci znosił do domu, nic nie mówiłaś i byłaś rada.

— Bom nigdy nie myślała, żeby cię uchwycili.

— No nic nie gadaj, tylko mi przynieś ten garczek z pod gruszki.

— Ale, z pod gruszki — alboż to tam co jest — zawołała opryskliwie Fabijanowa — tośmy przecie nie mogli umierać z głodu — wszystkom wydała.

— Wszystko — krzyknął Fabijan i poczerwieniał ze złości jak burak, zgrzytnął zębami i uchwyciwszy niewiastę za włosy, począł ją bić niemiłosiernie.

Na krzyk baby i dzieci zlecieli się sąsiedzi i wyrwali kobietę z rąk rozjuszonego hultaja, poznawszy zaś w nim złodzieja wsiowego, poczęli nań wymyślać, odgrażając, że go do urzędu zawiodą.

Plewa zamilkł, bo się przeląkł, i tylko klął w duszy, a gdy odeszli ludzie, siadł w kącie izby zamyślony i siedział tak aż do późnej nocy, rozważając co mu wypadnie dalej robić, wreszcie poszedł spać lecz nie na łóżko, ale do stodoły.

— Zapłacę ja wam wszystkim — mruknął — jeszcze moje będzie na wierzchu.

W kilka dni potem poszedł do adwokata i prosił go, aby zrobił proces tym, co go to za złodziejstwo do kryminału oddali, ale adwokat mu powiedział, że prawem nic nie wskóra, bo sprawa jego zła i niesprawiedliwa. Fabijan nie zrażony tą odpowiedzią wyszukał jakiegoś pisarczyka gdzieś w szynku, a ten mu przyobiecał wygraną i tak zaczęło się prawowanie.

Nie będę wam opisywał procesu jaki prowadził przez dwa lata Plewa ze swoimi nieprzyjaciółmi, dosyć na tem, że nic nie wskórał, a całe gospodarstwo sterał i wyszedł na dziada. Przed końcem jeszcze procesu, kobieta mu umarła, wtedy Fabijan dzieci porozganiał po świecie i kazał aby się same na siebie starały. Kiedy mu z urzędu za koszta prawne sprzedano grunt i domostwo, to po zapłaceniu należytości, dostał ledwie pięćdziesiąt złotych w rękę i z temi wieś rodzinną opuścił.

Myślicie może bracia kochani, że po tych stratach Fabijan poprawił się, gdzie tam — kiedy zawziętość opanuje ciemnego człowieka, a czart zemsty ogarnie jego duszę, to nic w świecie nie pomoże takiemu grzesznikowi. Nędzny ten zbrodniarz wycierpiał 12 lat więzienia, utracił żonę i cały dobytek, wyszedł na dziada, a przecież się nie upamiętał. Myślał on ciągle jakby się okrótnie pomścić na synu nieboszczyka starego Owcy. I oto posłuchajcie, co straszny ten zbrodniarz zrobił.

W chacie Stanisława odbywały się chrzciny, żona powiła mu czwartą dziecinę, sproszeni kumotrowie i sąsiedzi po dopełnieniu obrzędu chrztu świętego zabawiali się skromnie i uczciwie. Nie było tam hulanki, ani pijatyki, obrzydła gorzałka nie zarażała smrodem swoim izby. Na stole czystym obrusem okrytym, leżał chleb i ser. Stały misy z pieczoną kiełbasą i para gęsiami, a kilka gąsiorów piwa i jeden wina dopełniały chrzestnej uczty.

Za stołem między dwoma sędziwemi gospodarzami, siedział ksiądz dziekan, któremu wszyscy wielkie poszanowanie oddawali. Rozmowa toczyła się wesoło i przystojnie, a Stanisław chodził od jednego do drugiego pilnując aby nikomu niezbrakło jadła albo napitku. W drugiej izbie kumy, przyjaciółki i są-

siadki siedziały obok łóżka Stanisławowej bawiąc ją pogwarką, lubo prawdę mówiąc niekoniecznie było to dobrze, bo chora potrzebuje wywczasu, a silenie się na rozmowę wcale do zdrowia nie pomaga.

Tymczasem na ściennym zegarze uderzyła godzina dziesiąta. Usłyszawszy to ksiądz proboszcz zawołał:

— No bracia moi, komu w drogę to i czas; do dziesiątej zabawa godziwa, ale dłużej bałamucić się nie należy, tem więcej, że się zbiera na deszcz, lepiej więc do domu wrócić zawczasu. Bóg wam zapłać Stanisławie za dobre serce i uczciwą starodawną gościnność. Bywajcie zdrowi, a niech Pan Jezus was, całą rodzinę i domek błogosławi.

Na te słowa ruszyli się wszyscy, i pożegnawszy gospodarza, poszli każdy w swoją stronę.

Wnet i w chacie Stanisława posprzątano resztki jadła i napitku, gospodarz obszedł zabudowania, a po chwili wszyscy ułożyli się do spania i światła pogasły.

Noc zapadła ciemna i chmury coraz czarniejsze zaciągały niebo. Wiatr mocno podmuchiwał, a wszystko zapowiadało burzę, która lada chwila mogła wybuchnąć. Cicho w około, cała wieś się uspiła, tylko gdzieniegdzie psy poszczekują z przeciągłem wyciem.

Jeden przecież człowiek nie spi. Cicho jak lis do kurnika, skrada się ku domostwu Owcy, co chwila przystając i nadsłuchując, jak złodziej zabierający się do kradzieży; pod pachą trzyma kilka drągów uciętych świeżo w lesie, przez ramie wisi długi powróz, wlekący się za nim po ziemi. Nareszcie zbliżył się ku wrotom, wspiął się na nie i przybywszy ostrożnie stanął na podwórku domostwa.

Domostwo Stanisława zamożnego z dziada i pradziada było ogrodzone wysokim żywopłotem z wrotami z desek, niby jaki dworek albo zabudowanie folwarczne. Z trudnością więc wspinał się na wrota ów człowiek, zwłaszcza że mu pęk kołów przeszkadzał.

Byłto Fabijan przychodzący zemścić się na Stanisławie. Zbrodniarz ten wypatrzył sposobną chwilę do dokonania swoich niegodziwych zamiarów. Chrzciny u Stanisława były mu na

rękę, bo wiedział dobrze, że po zabawie wszyscy będą mocno spali i nikt mu nie przeszkodzi w spełnieniu zbrodni.

Szybko podbiegł pod okna słuchając czy spią w chacie, poczem przyniesionemi drągami podparł okiennice, powrozem zawiązał drzwi tak ażeby nikt nie mógł się wydostać z chałupy; nareszcie zapalił kilka siarniczek i rozniecіwszy ogień wetknął zarzewie pod strzechę chałupy i stodoły. Wnet buchnął płomień i objął wyschłą słomę obu budynków.

Fabijan spojrzał na swoje dzieło, a ujrzawszy że się podpalenie udało rozśmiał się na całe gardło i zawołał:

— Upieczże się teraz mój Stasieczku z twojemi dzieciakami! Szkoda tylko, że za dwanaście lat mojego więzienia i ty dwanaście lat nie będziesz gorzał. To rzekłszy wdrapał się na wrota i przełożywszy nogę na drugą stronę już miał uciekać, kiedy nagle z obu stron wyskoczyły psy i na siedzącego na bramie poczęły strasznie ujadać. Fabijan zrazu chciał skoczyć, ale nie miał odwagi, bo były to psy dworskie, ogromne i okrutnie złe, a gdyby dopadły zbrodniarza pewnie by go rozszarpały na sztuki.

— Milionset tysięcy djabłów! — zawołał wściekły Fabijan, pocóżem sobie choć jednego kołka nie zostawił, ani sposobu zleźć, a tu lada chwila mogą ludzie nadlecieć!

Tymczasem pożar się zwiększał coraz bardziej, w kościele uderzono na gwałt, ludzie ze wszystkich stron biegli z osękami i wiadrami, a na samym przodzie Michał Grzybień.

— U Stanisława gore! U Stanisława pali się! — krzyczano ze wszystkich stron popychając się wzajemnie. Nareszcie Michał dopada wrót, aby je siekierą rozwalić, gdy w tem stanął nagle widząc dwa psy rozżarte i Fabijana siedzącego na wierzchu bramy z podkurczonemi nogami, ażeby go psy nie dostały.

— Co tu robisz — krzyknął Michał — ściągnijcie go, bo to jego sprawka ten ogień — a niebawiąc się dłużej, rozbił wrota siekierą i poskoczył najprzód ku domostwu.

— Patrzcie ludzie, okiennice podparte i drzwi zawiązane! podpalacz chciał wszystkich zgubić! dalej za mną, kto w Boga wierzy!

Nie było czasu bawić się nad rozwiązywaniem powrozu, rozrąbano go siekierą. Michał wpadł do izby, a zanim drudzy wynosząc żonę i dzieci Stanisława na pół omdlone ze strachu, i dymu; sam gospodarz leżał bez pamięci u spodu drabiny wiodącej na górę. Wyniesiono go na pole i zlano wodą, a skoro otworzył oczy, pierwsze słowa jego były: Mój syn! mój Franuś serdeczny!

Szczęściem na górze polepa była gruba, a ratunek nagły, więc się ogień nie dostał do izb, a tym sposobem wszyscy uszli śmierci. Najstarszy tylko syn Stanisława, Franuś, który zawsze sypiał w sianie na górze i parobek spiący w stodole, zginęli w płomieniach, bo im ratunku dać już nie było można

Pożar ugaszono prędko, bo wszyscy bronili z całej siły, a sikawka powiatowa dobrze kierowana nie mało przyczyniła się do przytłumienia ognia. Wynaleziono też ciała obu nieszczęśliwych ofiar zemsty Fabijana.

Skoro gromada z pierwszego przestrachu ochłonęła, wnet zabrano się do Plewy, pachołcy z powiatu zrewidowali go i znaleźli w kieszeni siarniczki i pęk kłaków. On się też bynajmniej nie zapierał, tylko przeklinał, że mu się nieudała zemsta.

W kilka dni potem odesłano go do Krakowa, a po dwóch miesiącach więzienia i indagacyi, sąd ogłosił wyrok, że Fabijan Plewa, zagrodnik z Liszek, poprzednio karany już za zbrodnię gwałtu i kradzieży dwunastoletniem więzieniem; teraz po udowodnieniu mu zbrodni podpalania, połączonej z morderstwem przez zamknięcie podpalonych ukarany zostanie śmiercią

Wyrok ten przyjął Fabijan obojętnie mówiąc: Tem lepiej, że mię powieszą, bo mi ciągle na oczach stoją popieczone trupy, niech się raz skończy.

Ale nie stało się zadosyć jego życzeniom, gdyż najwyższy sąd zmienił wyrok śmierci i skazał zbrodniarza do więzienia na całe życie, w odosobnionym lochu i przykuciem za nogę do muru.

Trudno opisać rozpacz Fabijana, gdy się o tem dowiedział, rzucił się do nóg sędziemu, który mu ten wyrok odczytał i dopraszał się, aby był ukarany śmiercią.

— Nie Fabijanie Plewo — odrzekł sędzia — długi twój

żywot w więzieniu i zgryzoty sumienia będą ci karą za twe zbrodnie.

Dziewiętnasty rok upływa od tego czasu, a Fabijan siedzi bez nadziei oglądania światła dręczony wyrzutami sumienia.

Tak Bóg Wszechmocny i sprawiedliwość ludzka ukarały niegodziwego podpalacza. Daj Boże, aby raz ta straszna zbrodnia między ludźmi ustała.

Wy zaś ludzie kochani bierzcie sobie naukę z tej smutnej historyi. Pamiętajcie, że zatwardziałość w zbrodni gubi duszę człowieka do reszty i w straszne nieszczęścia go wpycha. Gdyby się Fabijan był poprawił po pierwszej karze i nawrócił się znowu na dobrą drogę, byliby mu ludzie przebaczyli i Pan Bóg byłby mu przebaczył. Ale zawzięty ten zbrodniarz, zamiast żałować swego grzechu i przeprosić Boga za ciężką urazę a ludzi za krzywdę, myślał tylko jakby się pomścić na niewinnych ludziach! Ciężko też za to pokarano go na świecie, a Bóg jeszcze ciężej pokarze go po śmierci!...

O kogucie, co był droższym niż krowa,

czyli:

Jak była ukarana pani Przypeciowa.

Nieboszczyk mój dziad, Panie świeć nad jego duszą, byli sobie bardzo dobry i rozumny starowina, a bywało zawsze, kiedy zimowe wieczory nastały, opowiadali rozmaite piękne historje i przytrafunki.

Niejedno się już zapomniało co dziaduś opowiadali, ale zawsze gdybym chciał spisać i to, co się człeku zostało jeszcze w głowie, to nie starczyłoby na to i wołowej skóry. A zaś, aby sobie długo nie napominać, opowiem zaraz pierwszą lepszą historyjkę, co ją słyszałem od dziadka.

— Kiedym był jeszcze młodym parobczakiem — opowiadali mój dziadek — służyłem u starego Baltazara Przypecia, co miał chatę hen tam za dworskiemi łanami koło grobli. Baltazar Przypeć był sobie gospodarz nielada, miał roli jak dzie-

dzic, chudoby, aż pomieścić nie można, a w komorze kilka czapek srebrnego grosza.

Żona Baltazara, Katarzyna, była córką ekonoma, a choć za wieśniaka się wydała, zawsze okrutnie się pyszniła, gdyby jaka królowa, choć uczciwszy uszy brzydkie było babsko, aż oczy zamknąć! A niedobre do tego, a skąpe, że aż bez zgorszenia patrzeć się nie można było! Kazała się zwać zawsze panią Przypeciną, choć się za to srodze gniewał na nią nieboszczyk Baltazar, który prawdą a Bogiem był sobie człek niczego.

Żył sobie ten Baltazar Przypeć długo w dostatku, aż w końcu umrzeć mu przyszło. Niemiło było staremu żegnać się z światem, bo mu dobrze było na nim, ale cóż robić, śmierć na nic nie pyta i prawda to nad prawdami, co mówią ludzie:

Kręć się i wierć
A przyjdzie śmierć.

Otóż przyszła ona i do starego Baltazara. Było to właśnie wieczorem w lecie, powróciłem z pola z innymi parobkami, a tu mi mówią, że Baltazar już na skonaniu. Biegnę do izby — a Baltazar leży już w śmiertelnych potach. Kobiety Baltazarowej nie było doma, bo pojechała do miasta na targ, więc też jeno ksiądz proboszcz i my byli przy śmierci starego.

Kiedy już widział swój bliski koniec Baltazar, prosił aby zawołać wójta i zrobić testament. Przyszedł wójt i pisarz gromadzki także i poczęli pisać. Baltazar zapisał wszystko żonie, jeno jednej krowy nie, co była najpiękniejsza.

— Tę krowę — mówił Baltazar — niech żona sprzeda w mieście, a pieniądze niech rozda ubogim, aby się modlili za moją duszę.

Pisarz zapisał to razem do testamentu. Potem podpisał znakiem krzyża świętego Baltazar, a jako świadkowie ksiądz proboszcz i wójt. Rozrządziwszy tak swoim dobytkiem, niedługo już żył Baltazar. Nie minęło dwie godziny a skonał.

Gdy przyjechała żona z miasta, to nie bardzo płakała za mężem, jeno dopytywała się bardzo, co komu zapisał, bo była kobieta chciwa i niedobra. Kiedy się dowiedziała, że jedną najpiękniejszą krowę zapisał na ubogich, okrutnie była zła i markotna, i mówiła:

— No patrzajcie! Stary rozum stracił! Ja się tu koło gospodarstwa całe życie mozoliłam, a on najpiękniejszą chudobę zapisuje na ubogich! Ale ja już temu zaradzę.

I owo co zrobiła pani Przypeciowa? Zaraz po pogrzebie nieboszczyka wybrała się do miasta, aby tę krowę sprzedać i pieniądze ubogim rozdać. Ale jadąc do miasta, wzięła z sobą starego koguta, co się wałęsał po podwórzu. W mieście wyprowadziła krowę na targowisko, a koło krowy usiadła z kogutem.

Ludzi było na targu co maku. Do Baltazarowej przychodzili kupcy całą hurmą i pytali, co chce za krowę?

— Ja tę krowę tylko razem z tym kogutem sprzedaję! — mówi Baltazarowa.

— A to czemu? — pytają ludzie i śmieją się z takiej dziwnej sprzedaży.

— Już ja mam w tem mój rozum! — mówi Baltazarowa — kto chce kupić razem koguta z krową, to mu go sprzedam.

No i znalazł się jakiś kupiec i przystał na to.

— Moiściewy — mówi Baltazarowa — za koguta dacie mi trzydzieści reńskich, a za krowę pięć dudków.

— Czy oszalała kobieta, czy co? — mówi kupiec — toć zapewne pomyliliście się kobieto? Chcecie pewnie za krowę trzydzieści reńskich a za koguta pięć dudków.

— Już ja wiem co robię! — zawołała z gniewem Baltazarowa — za koguta trzydzieści reńskich, za krowę tylko pięć dudków!

Kupiec myśli sobie:

— Tać mi to wszystko jedno, czy tak czy tak, a kiedy taka szalona, to niech będzie!

I mówi do Baltazarowej:

— No to kończmy handel! Ja już przystaję.

— Dobrze — mówi Baltazarowa — ale ja chcę przy świadkach.

Pewnikiem już domyśliliście się, czemu tak robiła Baltazarowa i czemu chciała świadków. Mąż nakazał przed śmiercią, aby tem, co dostanie za krowę, obdzieliła ubogich. Otóż skąpej babie żal było dać te pieniądze, więc się wzięła na taki cygański sposób, myśląc sobie:

— Przedam krowę razem z kogutem. Za krowę wezmę pięć dudków, a za koguta trzydzieści reńskich. Wtedy dam dla ubogich to co wzięłam za krowę, to jest pięć dudków, a trzydzieści reńskich zostaną w kieszeni, bo świadkowie zaświadczą, że to za koguta.

Kupiec przyprowadził świadków i przy nich dobił targu, dając za koguta 30 reńskich a za krowę 5 dudków.

— Chodźcież do chaty — mówi do Baltazarowej Przypeciowej — to wam zapłacę.

Popędzili więc ludzie krowę a Baltazarowa poniosła koguta w kobiałce. Gdy przyszli do chaty, wypłacił kupiec pieniądze i kazał krowę zapędzić do stajni, a koguta wyciągnąć z kobiałki.

Ale oto patrzcie co się stało! Kogut co był stary i chudy jak trzaska i już mu nie wiele do śmierci brakowało, udusił się w kobiałce, bo go Grzegorzowa związała i zapokowała między inne rzeczy.

Kiedy Baltazarowa wyciągnęła koguta, patrzą — a tu kogut zdechł. Jak to zobaczył kupiec, zawołał:

— Kiedy kogut zdechł, to ja już go nie mogę kupić. Oddajcie mi więc 30 reńskich za koguta a pięć dudków za krowę weźcie sobie.

— Co!... Jak!... — zawołała Baltazarowa i aż jej w oczach pociemniało a twarz jej pobladła jak chusta.

— A nie inaczej! — mówi na to kupiec — ja mam na to świadków, coście ich sobie sami obrali. Za koguta wypłaciłem wam 30 reńskich, a że kogut zdechły, więc oddajcie mi te pieniądze. Krowa zdrowa, no to za nią macie 5 dudków, jakeście chcieli!

— A na miłosierdzie Boże! — zawołała z płaczem Baltazarowa — to wy chcecie krzywdy biednej wdowy! Kogut zdechł, no to prawda, ale zmiłujcie się przecie, to jakże krowę przedać za 5 dudków?...

— A dyć mnie ją tak przedaliście — mówi kupiec — a od czego świadkowie!

Poczęła się kłótnia, Baltazarowa zawodziła i ręce łamała i od siebie z gniewu odchodziła. W końcu poszli do sądu —

ale i to nic nie pomogło, bo handel był już skończony, a świadkowie zeznali, że Baltazarowa sprzedała krowę z 5 dudków, a koguta za 30 reńskich. Powiedzieli Baltazarowej w sądzie, że się może precesować o to, ale jak na teraz to musi oddać 30 reńskich za koguta.

Baltazarowa wróciła do domu ledwo żywa, klęła na czem świat stoi i aż się rozniemogła ze zgryzoty. Ale nie na tem się skończyło. Jak urząd odczytał testament Baltazara, to kazał Baltazarowej oddać pieniądze za krowę na ubogich. Baltazarowa mówiła i klęła się, że wzięła za nią tylko 5 dudków, ale nie znalazła oczywiście wiary, jeno ją jeszcze nałajali i zagrozili, że jak nie zapłaci tyle co krowa była warta, to za oszukaństwo jeszcze do aresztu pójdzie.

I Baltazarowa nietylko że krowę marnie straciła — ale jeszcze drugich 30 reńskich musiała dać na ubogich, bo ta krowa, co ją nieboszczyk ubogim zapisał, tyle akuratnie była warta. Tak ukaraną została pani Przypeciowa, za to że chytrością chciała ocyganić i oszukać ostatnią wolę swego nieboszczyka męża.

Zaś ów kupiec, co kupił krowę, jak się dowiedział o całej sprawie, jak to było, zaraz dał te 30 reńskich, co była warta krowa, na ubogich, bo był to człowiek zacny i uczciwy. Otóż patrzajcie, Baltazarowa chciała oszukać swego nieboszczyka męża i ubogich, a oszukała tylko siebie — bo wola zmarłego się wypełniła, a ubodzy zamiast 30 reńskich dostali aż sześćdziesiąt!

— Tak to się dzieje na świecie — kończyli mój nieboszczyk dziadek tę historję — każdy *zdradliwy człowiek wpada sam w własną łapkę*, *oszust sam się w końcu oszuka*, *a skąpy dwa razy traci!* Wypadek ten zdarzył się dawno już bardzo, kiedy ja jeszcze młodym parobczakiem byłem, ale nauka zawsze jest ta sama!

Takie to historje opowiadali mój nieboszczyk dziadek. Opowiedziałem wam tu jedną na naukę, a kiedy będzie czas po temu to opowiem i drugą.

Wojtek ze Smolnicy.

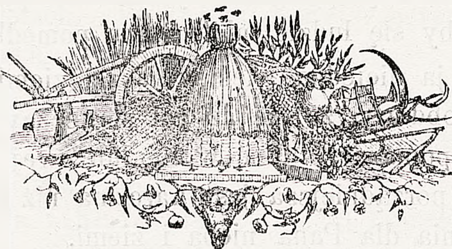
Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom XI. Nr. 12.

21. października 1864.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Gawęda o gromadzie.

II.

Kościoł i szkoła.

Mówiłem wam już w zeszłym Dzwoneczku o tem, jak każdy kmieć powinien we wszystkiem pomagać gromadzie i czy to pracą czy groszem przyczyniać się do jej dobra. Kto tego nie robi, ten niewart, aby mu pomagała i gromada, bo i zacóż miałaby mu pomagać, jeżeli on jej w niczem nie pomaga?

Mówiłem wam także, że wtedy tylko gromada może być porządną i dobrą, jeżeli każdy kmieć, co do niej należy, w każdej potrzebie gromadzkiej nie żałuje ani ręki ani kieszeni, jeno ochotnie razem z innymi składa się na to wszystko, co jest dobre i potrzebne.

Jeżeli się w której gromadzie tak dzieje, to wtedy ta gromada ma siłę po temu, aby była dobrą i porządną.

Posłuchajcież teraz, jak wygląda gromada dobra i porządna.

Otóż najpierw, kochani ludkowie, w każdej dobrej gromadzie powinna być oddaną przynależna chwała Bogu i naszej świętej wierze. A więc powinien być kościoł porządny i czysto utrzymywany, aby się ludzie mieli gdzie pomodlić do Stwórcy.

Widziałem ja niejedną wieś w naszej ziemi, co miała kościołek lichy i obdarty, że się aż żal serdeczny robił, gdy się człek na niego popatrzył. Toć w tej lub owej gromadzie dotychczas nieraz porządniejsza jest karczma niż kościoł, co przecież jest świątynią dla Pana nieba i ziemi.

Powiedzcież mi sami, co sobie każdy człowiek pomyśli o takiej gromadzie, gdzie kościołek pochylony, brudny, zaniedbany?...

Każdy sobie pomyśli, że w tej wsi nie mieszkają dobrzy Chrześcijanie, jeno jacyś heretycy, co ani na Boga ani na religję swoją nie dbają.

Dlatego też każda dobra gromada starać się powinna o to, aby miała schludny i czysty kościołek. Nikt tam tego nie żąda, a nawet sam Pan Bóg tego nie wymaga, aby biedni rolnicy mieli murować ogromne kościoły, takie wielkie i przepyszne, jak gdzie po miastach, bo gdzież stać na to ubogim wieśniakom?

Ale porządek i czystość zawsze być powinny, i niechaj sobie kościołek będzie skromny i ubogi, byle widać było, że gromada się o to stara, aby wyglądał po bożemu, że nie żałuje ręki do naprawy, jeżeli jej potrzeba i że nareście nie poskąpi i grosza, aby świątynię Bożą utrzymać w dobrym stanie.

Ale Pan Bóg nie wymaga od człowieka, aby się jeno zawsze modlił, nakazuje On także, aby człowiek dbał także o serce i rozum, aby jedno i drugie ulepszył nauką.

Nauka moi kochani to skarb największy, a człek, co się niczego nie nauczył za życia, choćby miał bogactwa niezmierne, to nie wart nawet, aby się zwał człowiekiem. Nauka we wszystkiem ludziom potrzebna, czy w chwale Bożej, czy w pracy, czy w zabawie — zgoła w całem życiu człek pomagać sobie powinien nauką.

Dlatego też dobra gromada dbać powinna także o to, aby

we wsi nie brakło ludziom i nauki. A jakże ludzie nabywają nauki?

Oto w szkołach. W każdej dobrej i porządnej gromadzie musi być szkoła.

Szkoła nie tak dużo kosztuje, jak się to niejednemu zdaje. Byle wystawić jaką chatę porządną dla dziatek i nauczyciela i złożyć się dla niego na jaką małą płacę, ot i będzie szkoła. A która gromada zakłada szkołę, to jej pewnie i dwór pomoże i ksiądz się przyczyni, tak że jeno trochę pracy i starania, a dziatki będą się mogły uczyć jak pan Bóg przykazał.

Żadna gromada, która niema szkółki, nie może być porządną i dobrą. Jeżeli ją jeszcze u siebie nie założyliście, to wstydźcie się tego bardzo, i starajcie się z całego serca, aby szkołę jak najrychlej pobudować. Bo inaczej każdy z was będzie miał ciężki grzech na sumieniu, że dał wyrość swoim dziatkom jak badylu leśnemu bez nauki.

Przyznajno się każdy, coś niepiśmienny, ile to razy markotno ci było, żeś się za młodu nie nauczył pisać i czytać?... Ile to razy byliby cię źli ludzie nie oszukali, nie zbałamucili, nie pokrzywdzili, gdybyś był uczony?...

Bo chociaż sobie spokojnie mieszkasz na roli, to przecież potrzeba ci koniecznie mieć jaką taką naukę. Czy to pomodlić się Bogu z nabożnej jakiej książki, czy to odczytać albo napisać jakieś pismo urzędowe, czy list do syna co jest w wojsku — zawsze potrzeba ci nauki.

Jak porachujesz, ile ty za całe twoje życie zapłacisz pisarzowi, to pewnie gdybyś tą sumą złożył się z całą gromadą, byłaby we wsi szkoła.

Albo czy to nie prawdziwa uciecha, jeżeli w niedzielę lub święto jakie, zamiast pójść do karczmy i zapijać się obrzydłą wódką, siądziesz sobie do jakiej zabawnej książki i czytasz z niej sobie i dziatkom na ucieszenie i naukę?...

Powiadam wam raz jeszcze, że taka gromada, gdzie nie ma szkoły, nie warta się zwać nawet gromadą, bo żyje w ciemnocie jakby dzicy ludzie! Otoż dlatego w każdej gromadzie dobrej i porządnej powinna być koniecznie szkoła.

*

Ale dzieje się znowu nieraz i tak, że choć jest we wsi szkoła, to o nią nie dbają ludzie i dzieci nie posyłają na naukę. Niejeden to z was prawi:

— Większy ja mam pożytek z tego, że mi mój Antoś lub Magdusia pasie bydło lub w chacie usłuży, jak że się uczy w szkole.

Oj mówię, ci, że nie pożytek to, ale szkoda, wielka szkoda dla ciebie, a sroga krzywda dla dzieci. I Antoś i Magdusia będą mieli jeszcze czas pracować dla ciebie i dla siebie — ale do nauki to już późniéj czasu mieć nie będą. Bo im dziecko robi się starsze, tem lepiej może pracować. A z nauką nie tak. Jak minie wiek młody, już i po nauce! *Czego się Jaś nie nauczył, tego się Jan nie nauczy.* A potem dzieci narzekać będą na rodziców, że ich uczyć nie dawali, tak jak z was niejeden narzeka, jeżeli go źli ludzie obałamucą i pokrzywdzą z tej racyi, że niepiśmienny i nieuczony.

A więc niedość na tem, aby gromada wybudowała szkołę i opłacała nauczyciela, potrzeba także, aby szkołę tę i nadal wspomagała i dzieci do niej posełała.

Pomagać zaś trzeba szkole zawsze. Bo to z czasem nie jedno się w niej popsuje, to trzeba naprawić i polepszyć. Czy to tablica, czy takie obrazki, co na nich miasta i rzeki całego świata są namalowane, czy książki jakie — to wszystko trzeba ochotnie kupować dla szkoły, bo inaczej dziatki nie będą mogły wszystkiego się wyuczyć, jak należy.

Porządna, czysta szkoła, w której jest dobry nauczyciel i dużo dziatek — to najlepsze świadectwo, że gromada jest porządna i dobra.

Na drugi zaś raz rozpowiemy wam dalej, co jeszcze oprócz tego potrzeba dobrej gromadzie.

Rankiem jesiennym.

Ledwo z łąk nam zeszły kwiaty,
Zeszło z pola zboże —
Już i ptaki opuszczają!
Hej, hej, miły Boże!

Ciche, blade i samotne
Gaje, łąki, łany —
I człek po nich idzie milcząc,
Cichy, zadumany.

Posępnie się dumka snuje,
Jak ta mgła po ścierni,
Jak ta srebrna pajęczyna,
Co się czepia cierni.

Przecież gdy na chwilę błyśnie
Słońce, choć z ukosa,
To tak cudnie człeku świeci
Ta przędza i rosa!

Ach, tak cudnie, że tęczami
W dal się mienią ściernie,
Że się zdaje, iż na radość
Ojciec sieje ciernie!

Rusin z Więckowic.

Tańcująca komora,

czyli:

Przygoda targowa Błażka Kociubki.

Spisałem wam w poprzednim numerku uciesznąhistoryjkę, co mi ją opowiadali mój nieboszczyk dziadek o pani Przypeciowej, a dziś wam opowiem inną gadkę o tańcującej komorze. Przytrafunek tak ten mi opowiadał nieboszczyk starowina:

— Kiedym służył u Baltazara Przypecia, co to jego żona droźej przedawała nieżywego koguta niż dojną krowę, sąsiadował z nami o płot Błażek Kociubka.

Błażek był niema co mówić porządnym gospodarzem i pewnie nie marnował ojcowskiej spuścizny, bo nie lenił się, jeno pracował, choć to wam powiadam, był sobie człeczek maleńki jak prałnik nieprzymierzając, a pan organista Ciupiliński mawiał nieraz żartem, że go zamknie do swojej tabakierki.

Ale jeszcze nikomu tego za złe nie wzięli, że nie wyrosł jak jawor — toć i nasz Błażek Kociubka byłby sobie mimo to był człeczkiem niczego, gdyby nie brzydka wada, od której się nie mógł odzwyczaić.

Oto widzicie, kochani ludzie, Błażek lubiał grać w karty i to jeszcze w najgorszą grę do tego, bo uczciwszy uszy w taką, co ją ludzie durniem nazywają. Nieraz to i nie dwa razy mówili mu sąsiedzi:

— Ej Błażku, nie grajcie w durnia, bo was kiedyś na durnia wystrychną!

Ale Błażek nie chciał się żadnym sposobem od kart odzwyczaić. Gdybyć tam był jeszcze grał o honor tylko jak tam mówią, albo o dziurkę z obwarzanka, no to i mówićby o czem nie było. Cóż kiedybo Kociubka grał o pieniądze i nieraz to sporą garść groszy przegrał marnie.

We wsi nikt tam z nim nie chciał grywać, bo i nikt nie umiał tego niepotrzebnego cygaństwa, ale jak się kiedy Błażek wyrwał do miasta na targ, jak nie zaszedł z jakimiś szachrajami do szynku — to grał choćby do jasnego dnia i wracał do domu bez pieniędzy, a czasem bez świtki lub kożucha.

Otóż posłuchajcie, jaką miał z tej racyi termedyję Błażek Kociubka. Było to w Marcu Tęgi był mróz na dworze, aż śnieg trzeszczał jak buty od staromiejskich szewców. Błażek prawie pół roku siedział był w domu i nie grał w karty, więc go też ogromnie korciło i nie dla potrzeby ale dla durnia pojechał na targ do miasta.

W mieście nie miał co robić bo mało miał sprzedawać a jeszcze mniej kupować, więc postawił konie gdzieś tam koło jakiegoś domu na opiekę Bożą, a sam poszedł do szynku pod złotego szczupaka.

W szynku pod złotym szczupakiem było luda jak nabił, a między nimi niejeden urwisz, co to się kręci jeno na to po świecie, aby kogoś oszukać i otumanić. Ledwie Błażek łyknął dobrze miodku, bo wódki nie pijał, a już się przysiadł do niego jakiś hultaj ze świata i rozpoczął gawędę.

Słowo po słowie, aż naraz powiada Błażek Kociubka do hultaja:

— Ej możebyśmy sobie zagrali w karty?

Hultajowi w to graj, umie on szachrować kartami, jak żyd krédą! Więc mówi do Błażka:

— A dlaczegoż nie, toć zagrałbym sobie z serca, jeno się boję żebyście mnie niebardzo oskubali, bo jak uważam, to wy gracz musicie być nielada!

Błażek wziął to za prawdę i bardzo go to wbiło w pychę, więc mówi z uśmiechem:

— Ej nie nie paneńku, jakoś to będzie!

— A w co gramy?

— At... w durnia! — mówi Błażek.

— A to niechaj będzie i w durnia! — rzecze na to ów hultaj i już naprzód się cieszy, że oskubi Błażka jak gęś na św. Marcina.

Ułożyli sobie, ile ten zapłaci, kto przegra, i poczęli grać w durnia, albo żeby lepiej powiedzieć we dwa durnie, bo jeden był karcianny, a drugi żywy, to jest Błażek Kociubka.

Ów hultaj obgrywa okrutnie Błażka, bo szachruje na rozmaite sposoby i cwancygier po cwancygierze ucieka z kieszeni Błażkowi.

Gdybyż było przynajmniej na samej grze stanęło — to byłoby jeszcze pół biedy było. Ale gdzież tam! Hultaj zobaczył u Kociubki dużo pieniędzy i zaraz począł przemyśliwać, jakby je wyszachrować. Ale Błażek się już jakoś opamiętał i dalej grać nie chciał.

— Kiedy tak — mówi ów hultaj — to się choć napijmy miodu!

— Ha... to co innego — myśli sobie Błażek — kiedy mi szelma obegrała to niech przynajmniej zapłaci miodu!

Poczęli tedy pić, Błażek całem gardłem leje w siebie jak w suchy piasek, a ów miejski urwisz tylko po trosze. W końcu wyszło na to, że Błażek się spił jak trąba i padł jak kłoda pod ławę. A noc zrobiła się już ciemna. Wtedy wyciągnął go ów hultaj z szynku na dwór, odebrał pieniądze do krajcara, zdjął z niego kożuch, pas, świtkę, czapkę baranią i nowe buty. Błażek nie słyszał tego ani trochę, bo leżał bez duszy i jeno ciężko stękał raz po razu.

Gdy go już ów hultaj rozebrał prawie do gołego, uciekł coprędzej.

Tymczasem wyszli jacyś dwaj mieszczanie z szynku i zobaczyli Błażka. Gdyby byli trzeźwi, możeby go byli poratowali, ale że im przy targowym dniu mało co brakowało, aby sobie tak nie zasnęli jak Błażek, więc zamiast ratować poczęli się śmiać bardzo z niego i obmacywać nogami. Naraz zobaczył z nich jeden, że o kilkadziesiąt kroków stała pod jakimś domem komora próżna z mąki.

— A co to nam szkodzi — mówi do swego kumpana ze

śmiechem — wsadzić tego bałwana do tej komory, cieplej mu trochę będzie!

I jak powiedzieli tak zrobili. Wepchali Błażka do komory, zatrzasnęli wieko i odeszli śmiejąc się i spiewając.

Gdy tak Błażek leży sobie bez pamięci w komorze, pogonił rabuś do swego domu het na końcu miasta, gdzie razem mieszkał z dwoma innymi takimi urwiszami. Co targ wychodzili ci wszyscy trzej łotry między ludzi i każdy z osobna coś ukradł lub wyszachrował, a potem w nocy rachował każdy, ile swem grzesznem rzemiosłem zarobił.

Otoż i ten drab, co tak djablo ogolił Błażka, a zwał się on Chapek, przyszedłszy do domu zapalił świecę, zaryglował drzwi i począł oglądać, co zrabował biednemu Błażkowi. Przerachował pieniądze, oglądnął kożuch i buty i resztę, i bardzo się uradował, że mu się wszystko tak dobrze udało.

Gdy już się nacieszył swoją zdobyczą mówi sobie:

— Hej, hej! a gdzie to się moi obaj przyjaciele tak długo bawią? Ciekawy też jestem co z sobą przyniosą Drapek i Łapek? (bo tak się zwali obaj drudzy oszuści).

Gdy tak mówi, zajechała jakaś fura przed domek rabusiów i ktoś począł mocno stukać do drzwi.

— Kto tam? — pyta Chapek.

— To my Drapek i Łapek! Otwieraj Chapek! — odpowiadają z zadrzwi.

Chapek otworzył i patrzy a tu Drapek i Łapek dźwigają jakąś komorę.

— A wy co niesiecie? — pyta ich Chapek.

— Figę niesiemy! Powiedz lepiej, że wieziemy, bośmy przytaszczyli jakiś wóz z końmi, co sobie stał na osobności. A po drodze tośmy wzięli tę skrzynię, jakaś ciężka, snać w niej także coś się znajdzie.

Chapek ogląda komorę, widzi że jakaś nowa i porządna i że ciężka, więc wszyscy trzej cieszą się już naprzód. Ale wieko jakoś mocno się trzymało i nie można było roztworzyć, choć komora nie była zamknięta.

— At dajmy pokój! — powiada jeden — lepiej zjedzmy

i napijmy się czego, a potem ja pójdę do tych koni, com ich ukradł na mieście, a wy rozbijecie komorę.

Rabusie ziębli i zgłodnieli na targu, więc nie długo im mówić o jadle i napitku. Zastawili sobie stół rozmaitą strawą, dobyli tęgiej flaszki z wódką i poczęli sobie biesiadować.

Kiedy tak trójka łotrowska, Chapek, Drapek i Łapek zajadając i popijając rozmawiają z sobą — naraz coś się poczyna ruszać i stukać...

— A to co?... — pyta jeden.

— Ot przysłyszało ci się i kwita! — odpowiada drugi.

Jedzą tedy dalej i piją jak susły, aż tu znowu zaczyna coś okrótnie trzeszczeć i stukać. Skoczyli wszyscy trzej urwisze od stołu i patrzą, a tu owa komora, co ją Drapek i Łapek ukradli i przywieźli kradzionemi końmi, poczyna się to podnosić, to przechylać, to skrzypie to trzeszczy.

— Aj! aj! komora tańcuje! komora tańcuje! — wołają draby i mało im oczy nie wylezą z głowy.

A tu tymczasem komora roztańcowała się na piękne!... Już kiwa się i kłapie, jak żyd w tańcu patynkami, aż nareście trzask się zrobił ogromny, wieko odskoczyło do góry z strasznym hałasem, potem w górę poleciał kurz biały jak z mąki, a za tym kurzem wyskoczył jakiś upior biały jak wapno, cały a cały!..

— Gwałtu! rety! — krzyknęli z ogromnym strachem trzej oszuści i aż skamienieli na miejscu.

A tu ów biały upior jak nie skoczy jednym susem na nich z zakrzywionemi pazurami, aż komorę obalił! Chapek w nogi! za nim Drapek, a za Drapkiem Łapek i nuż uciekać na podwórze a z podwórza na drogę w śmiertelnym strachu.

A co tymczasem biały upior robił? A toć patrzcie, otarł twarz, wdział na siebie kożuch Błażka, wziął jego buty, zabrał pieniądze, czapkę baranią założył na czuprynę i przemówił sam do siebie:

— Tym razem jakieś wielkie szczęście mi pomogło — ale na drugi raz Błażku nie graj w durnia i nie włócz się po jarmarkach!

Domyślacie się już zapewne. że ten biały upior to nie był

nikt inny, jeno sam Błażek Kociubka, co go po owym przytrafunku z rabusiem Chapką wrzucili pijani mieszczuchy do komory z mąki.

Kiedy Błażek leżał w tej komorze, zabrali rabusie jego wóz i konie, a jadąc do domu zobaczyli po drodze tę komorę, złakomili się na nią, wzięli z sobą i tak sobie sami biedę do domu przywieźli!

Odebrawszy, co było jego, wyleciał Błażek duchem na podwórze — a tu patrzy na podwórzu stoją jego konie! Ucieszył się niezmiernie, siadł na wóz i zaciął szkapy, które ci urwisze zabrali byli w nocy i jeszcze niemi Błażka w komorze przywieźli do swej kryjówki złodziejskiej. Kiedy Błażek wyjechał z dziedzińca, zobaczył Chapka, Łapka i Drapka, jak się skulili pod płotem z ogromnym strachem i bali się wrócić do domu.

— Bądźcie mi zdrowi! — zawołał do nich Błażek i ściągnął jednego z nich biczem po czuprynie — zabrałem co moje i życzę wam dobrej nocy!

Dopieroż ów Chapek, co grał w szynku durnia z Błażkiem i odarł go do naga, poznał, kto to był ten upior! Puścili się oszuści w pogoń za Błażkiem, ale Błażek już był za górami.

Taka to dziwna i ucieszna przygoda spotkała Błażka Kociubkę na targu — i już od tego czasu ani w karty nie grał ani do miasta bez potrzeby się nie włóczył.

Wojtek ze Smolnicy.

Sołtysianka.

Opowiedział Stach Barwinek.

I.

Nie było na cztery mile do koła człowieka, któryby cudów nie rozpowiadał o fortunie i bogactwie sołtysa z Wrotnowic, Błażeja Sołody. Był to bowiem sobie kmieć bogaty co się zowie, że cztery pary butów schodzić a drugiego takiego nie znaleźć! Toć bywało, kiedy człowiek za jakim interesem przejeżdża przez Wrotnowice i zapyta:

— A czyja to ta wielka i piękna chata pod gontem?

To ludzie zaraz odpowiedzą:

— A jużciż że sołtysa Sołody!

— A ta pasieka hen w sadzie?

— Sołtysa Sołody!

— A to bydło piękne i spasione jak gałki?

— Sołody!

— A to długie pole z tem pięknem zbożem?

— Sołody!

I to Sołody i owo Sołody, co najpiękniejszego i najwartowniejszego we wsi całej, to wszystko sołtysa Sołody! U Sołody huk pola, ziarna pszenicznego góry, karbowańców w kalecie jak maku!...

Aleć klnę się sumieniem, za nic to jeszcze wszystko było! Wszystko to bogactwo, to nic naprzeciw córki sołtysa Sołody, czarnookiej Hali! Oj śliczneż to śliczne było dziewczę! Oczki jak tarki, liczko jak róża, usta jak korale, gdyby śnieg ząbki białe!... Świat przewędrować, oczy wypatrzyć, nogi poschodzić, a dzieweczki takiej drugiej nie odszukać między ludźmi:

Wiedzieli o tem parobcy z Wrotnowic, bo każdy przepadał i w żywy ogień by skoczył za Halą, wiedział sołtys, bo kochał dziewoję i pieścił jak cacko, wiedziała i Hala sama, bo już nawet na chłopców i patrzeć nie chciała!

Oj gdybyż była nie popatrzyła na żadnego, tylko została wierną Grzesiowi, póki życia licha by nie była znała!

— A któż był ten Grześ?... — zapytacie mnie ludzie.

Posłuchajcie jeno cierpliwie, o wszystkiem wam opowiem, ciekawa to historyja, choć smutna i niedługa...

Jakom wam już powiedział z góry, był sołtys Błażej Sołoda kmieć bogaty bardzo i nie zabrakło tam u niego w chacie niczego, co należy do dobrego życia i szczęścia. Przy tem zaś wszystkiem był Sołoda człekiem uczciwym i zacnym, co własną pracą dorobił się dobytku, a nigdy w całem swem życiu nie uganiał się krzywemi drogami za zyskiem lub krzywdą ludzką

To też błogosławił mu Pan Bóg, a swoboda i byt dobry nie wychodziły nigdy z chaty. Sołoda miał żonę zacną, dobrą i pracowitą, że każdy by takiej gospodynie mógł pozazdrościć

tylko. Pod opieką starej Sołodowej wzrosła i Hala dziewucha, piękna i urodziwa jak malowanie, o której także już była mowa.

Rodzice kochali Halkę jak własną źrenicę i co tylko dziewczę zachciało, to zaraz ojciec i matka kłopotali głowę, aby jej na tem nie zabrakło. Bo też była jedynaczka a Sołodowie niczego tak nie pragnęli, jak szczęścia swojej dziewuchy. Więc też i korale i pierścienie srebrne i kwieciste spodniczki i sukmanki strojne — wszystkiego tego miała huk córka sołtysowa.

Ale czego jej rodzice dać nie mogli, temci ją pan Bóg obdarzył. Młoda Sołtysianka była, jak już powiedziano, hoża jak łania, zgrabna i wiotka jak kalina!... A przy tem wszystkiem było to dziewczę dobre i serce miało poczciwe, jak pan Bóg przykazał, jeno że matka i ojciec rozpieścili ją po trosze.

Był zaś we wsi parobczak poczciwy i pracowity, chłopiec porządny i tęgi, a dobry przy tem, że jeno do rany go przyłożyć. Zwał się Grześ Staniek. Cała gromada kochała tego Grzesia jak syna, bo wszystkim był życzliwy, wszystkim pomógł, wszystkim usłużył.

Matka Grzesia, stara Marta, była uboga wdowa, bo jej po mężu została tylko szmatka gruntu i chałupina od biedy — ale Grześ stanął jej za cały majątek, bo chłopak pracował za dziesięciu i starą matkę żywił i pielęgnował.

Otoż ten Grześ pokochał nad życie Halkę Sołtysiankę, a Halki serce skłaniało się do niego także i w całej gromadzie mowa była o tem, że z Grzesia i Halki będzie kiedyś piękna i dorodna para. Stary sołtys Sołoda nie sprzeciwiał się temu, bo choć był najbogatszym we wsi kmieciem, nie pogardzał ubogimi, a Grześ, że był dobry i pracowity, przypadł mu od razu do serca.

Było to z końcem lata w Niedzielę. Grześ wychodząc z kościoła spotkał się z Halką i odprowadzał ją do domu. Po drodze poczęli mówić z sobą, jak to bywa między młodymi ludźmi, o swem kochaniu — a Grześ chwycił za rękę Halkę, uścisnął ją z serca i zapytał:

— Halu! życie ty moje! czy kochasz mnie dziewucho?...

Hala poczerwieniała od wstydu jak róża, pochyliła główkę na dół i szepnęła z cicha:

— Kocham Grzesiu! kocham bardzo!

Grzesiowi aż oczy się zaiskrzyły od szczęścia i tuląc do siebie Sołtysiankę, pytał dalej:

— Halu a czy pójdziesz ty za mnie?...

Halka jeszcze się bardziej zawstydziła, wyrwała się z rąk Grzesiowi i rzekła:

— Jak rodzice pozwolą to pójdę... — i pobiegła naprzód do domu a Grześ patrzał długo za nią i tak mu miło było na sercu, jakby mu pan Bóg nieba przychylił.

Zaraz tej samej Niedzieli po południu wysłał Grześ swaty do sołtysa Sołody, a Sołoda mile ich przyjął i odpowiedział:

— Wiedział ja ci oddawna, że się Grześ z moją Halką kochają i wcale mi to nie markotno. Bo choć Halka moja jedynaczka i wszystko, co mam, do niej należy, to Grześ także nie ubogi, bo ma więcej niż największe majątki, dobre serce, zdrowe ręce i chęć do pracy. Niech się więc pobiorą i niech żyją w łasce Bożej!..

Nie potrzebuję wam opowiadać, jak się Grześ ucieszył na tę odpowiedź, prawie nic mówić nie mógł od wielkiej radości. Halka była także mocno uradowana, bo kochała Grzesia bardzo i tak oboje oczekiwali z upragnieniem wesela, które się miało odbyć jesienią.

Ale napisano jest w księgach świętych: „Szatan nie spi, ale czycha, jako lew, kogoby pożarł!...“ Tak i w tym wypadku nie długo było tego szczęścia dla Grzesia i Halki, bo na kilka tygodni przed samem weselem zaszedł taki wypadek:

W tej samej wsi, gdzie mieszkał sołtys Sołoda, był kowal Niemiec, który przed kilkunastu laty zawędrował był do wsi. Niemiec był majstrem dobrym, niema co mówić, ale jakim on tam był człowiekiem, tego już nie wiem, choć tam strasznie coś źle mówili o nim ludzie.

Otoż do tego kowala przyjechał naraz jakiś daleki jego krewniak, co służył dawniej wojskowo. Był to młody, gładki chłopak, ale nieroba i hultaj. Zwali go z niemiecka *Franc*, a on sam nie był ni Niemiec, ni Czech, ni Polak, jeno jakiś dziwoląg cudacki. Mówił trochę po czesku, mieszał italiańskie wyrazy i bardzo był z tego dumnym, że się na niego głupi

parobcy patrzali jak na jakiego mędrca — gdy on tymczasem głupi był nieprzymierzając jak sprycha.

Boć tak to na nieszczęście zawsze bywa między naszym poczciwym ludkiem polskim, że jak się nawinie jaki urwis, co się w cudacki strój ubierze i jakimś brzydkim językiem szwargoce, to ludzie myślą, że to Bóg wie co za rozumny i uczony człowiek.

Otóż tak i z tym Francem było. Wszyscy chłopcy mieli to sobie za honor, jeżeli Franc z nimi poszedł na kieliszek wódki, choć sam nigdy nie płacił, a pił jak gąbka — a dziewuchy wiejskie to się i napatrzyć na Franca nie mogły. Franc ubierał się w Niedziela i święto w jakiś krótki kabacik i kraciastą kamizelczynę, na głowę wdziewał czapeczkę z żółtym sznurkiem, a na kamizelce przewieszał stalowy, błyszczący łańcuch od zegarka i chodził z wielką pychą po wsi jak bocian, myśląc, że Bóg wie, co on za pan wielki.

Tak wałęsał się ten Franc przez kilka dni po wsi, aż zobaczył piękną sołtysiankę, Halkę. Podobała mu się bardzo ta dziewucha, a że się dowiedział, że stary Sołoda ma wielki dobytek, począł zaraz mizdrzyć się i palić cholewki do Halki. A Halka niewierna, choć ślubowała Grzesiowi, że pójdzie za niego, dała się obałamucić przez tego przybłędę, że już o Grzesiu i zapominać poczęła. Podobało się jej to bardzo, że Franc wygląda z pańska, że umie szwargotać cudzemi mowami, i powoli tak sobie dziwczę zawróciło głowę, że dla Franca przestało kochać poczciwego Grzesia.

Nie wiedział o tem stary Sołoda, bo się Franc i Halka kryli przed nim z bojaźni, biedny Grześ także o tem nie wiedział, bo Halka udawała przed nim także, że go kocha. Ale raz wrócił Grześ z miasta i przyniósł Halce prześliczną wstążkę barwistą. Zobaczył ją właśnie na podwórzu przed chatą, i przybiegł do niej, a ściskając z serca jej rękę prosił, aby wstążkę od niego przyjęła.

Ale Halka jakoś krzywo popatrzyła się na Grzesia i wstążką odsunęła od siebie. Grześ spojrzał na nią z zdziwieniem, a tu patrzy, na palcu Halki świeci jakiś przecudny złoty pierścień z drogiemi kamieniami!

— Halku! — zawołał Grześ — Halku! co to za pierścień!?...

Halka zaczerwieniła się po uszy i schowała rękę.

— Kto ci go dał? powiedz! — wołał Grześ i serce go okrutnie zabolało, bo przyszło mu nagle na myśl, że Halka mu jest niewierną.

Ale Halka zamiast odpowiedzieć łagodnie Grzesiowi, rozgniewała się nagle i zawołała:

— Franc mi dał pierścień, bo mnie Franc kocha i ja go kocham! — i rzekłszy to uciekła od Grzesia.

Grześ stał przez chwilę jak skamieniały. Oddech mu się zaparł w piersiach i zdawało mu się, ze mu serce pęknie z bolu, że rozum w głowie mu się zamięsza!... A potem łzy potoczyły mu się z oczu, i blady jak trup poszedł powoli do swej chaty...

(Co dalej — na drugi raz wam opowiem.)

RÓŻNOŚCI.

Mąż i żona. Pewien wieśniak pracował ciężko przez cały dzień w polu. Przez cały ten dzień tak deszcz lał, że nie pozostała się na owym wieśniaku sucha nitka. Sprawowany i zmokły, wraca przed wieczorem do domu. Kiedy wchodzi do izby, wychodzi żona naprzeciw niemu do sieni, i rzecze:

— Mój miły mężu! cały dzień tak lało na dworze, żem nie mogła wyjść i wody przynieść do domu, i dla tego wieczerzy ugotować ci nie mogłam. Tyś tak przemókł, że już bardziej zmoknąć nie możesz; przynieś mi więc kilka wiader wody.

Oczywista prawda, zmoknąć bardziej nie można. Mąż więc nic nie mówi, bierze wiadra i idzie po wodę do dalekiej studni. Kiedy wrócił, żona siedziała wygodnie przy ogniu, palącym się na kominku.

Nic nie rzecze, tylko wylewa wodę z jednego i drugiego wiadra na głowę żony, odzywając się:

— Teraz, moja żono, przemokłaś tak jak ja, nie ma suchej nitki na tobie, bardziej przemoknąć nie możesz; idź więc do studni, nanoś wody i ugotuj mi wieczerzę.

Lał deszcz i na drugi dzień, ale kiedy wieśniak wrócił z pola do domu, zastał już wodę w wiadrach i wieczerzę gotową.

Kalendarz na rok 1865. W Warszawie wydrukowali dla was, kochani ludzie prześliczny kalendarz na rok 1865. Są tam przeróżne piękne hi-

storyje i opowiadania, i z historji polskiej i z religji świętej i z wiejskiego życia — a przy tem i wierszyków i piosneczek serdecznych nie mało. Ale na tem nie koniec. Jest w tym kalendarzu piękny złocisty obrazek cudownej Matki Boskiej Ostrobramskiej i wizerunek Pana Jezusa w cierniowej koronie, a oprócz tego jeszcze około 60 obrazków innych rozmaitych, że aż się odpatrzeć nie można! A to wszystko razem nie kosztuje tylko 40 krajcarów. Toć gdyby u kramarza kupić tylko same takie obrazki, toby kosztowały więcej, a cóż dopiero te przerozmaite historje, gadki i powieści, co w tym kalendarzu są nadrukowane! Bardzo wam radzimy kupić sobie taki kalendarz — bo to kalendarz człeku zawsze potrzebny, a do tego jeszcze taki, co z niego nie tylko wygoda, ale nauka, pożytek i zabawa. Ktoby sobie chciał zapisać taki kalendarz na przyszły rok, ten niechaj jeno napisze do Lwowa do pana księgarza *Wilda*, że chce *Kalendarza dla ludu polskiego*, i przyszle 40 krajcarów, a będzie go miał za parę dni.

Mądry Michaś. — A czy w domu tato, Michasiu?

— Nie. Poszedł sobie szkodę robić?

— Co ty pleciesz? A to jak?

— A tak. Koło tatowego pola ciągnie się droga, a właśnie przy samem polu bardzo się popsuła i zapadła a teraz to ją i woda zalała. Kto jedzie do miasta, to w tem miejscu skręca na pole tatowe, aby przez tę bajurę nie jechał. Tato grodzą tam zawsze płot, aby ludzie przez pole nie jechali, ale gdzie tam, ludzie popsują płot i jeżdżą znowu polem. Otóż teraz poszli tato znowu grodzić płot, i znowu sobie tylko szkodę narobią.

— A ty jakby zrobił Michasiu?

— Ja bym nabrał szutru i trochę gałęzi, zasypałbym tę bajurę na drodze i miałbym raz na zawsze spokój, bo już by ludzie wtedy jeździli drogą a nie przez pole.

Nie ma co mówić, Michaś dobry miał rozum.

Pisarz Dzwonka przypomina wam kochani ludzie, że jeśli tylko z was który zechce o czem dowiedzieć się i pouczyć, niech duchem pisze do nas, a my mu tu na wszystko dokumentnie odpiszemy. Ale pocztę to już raczcie w takim razie opłacać sami, bo tu we Lwowie drożyzna, to o grosz nie tak łatwo. Także jeśliby wam się zatrącił jaki numer Dzwonka, to napiszcie który, a my go wam wyszlemy, a w takim interesie to i poczty opłacać nie potrzeba, jeno napisać na liście za to *reklamacja* i listu nie pieczętować. Zaś adres do nas taki: „Redakcya Dzwonka we Lwowie, w drukarni p. E. Winiarza.“ Albo jeśli tam kiedy który z przyjaciół Dzwonka przyjedzie do Lwowa, a chciałby się z nami widzieć, to też niech prosto do tej drukarni idzie. I jeszcze o to was proszę, abyście nie zapominali o *Dzwonku.*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

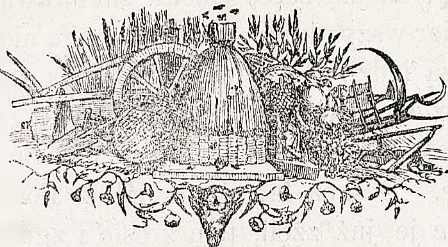
Tom XI. Nr. 13.

1. listopada 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.





DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Ciężkie czasy!

Kędy tylko stąpisz, gdzie tylko zaglądniesz, z kim tylko pogadasz — zawsze i wszędzie lamentują ludziska okrutnie na ciężkie czasy! Jeździłem niedawno z furmanką po naszej ziemi, a gdzie tylko wstąpiłem po drodze, wszędzie mi opowiadano o biedzie i ciężkich czasach. Czy bogaty, czy ubogi, czy gazda czy parobek, czy stary, czy młody, wszystko to jedno, żaden nic innego nie ma na języku, jeno ciężkie czasy.

— Hm! — pomyślałem sobie — ciężkie to zaprawdę muszą być czasy, kiedy na nie wciąż tak biedny nasz ludek narzeka, nie ma co mówić ciężkie nie lada!...

I jadąc sobie dalej, pofolgowałem szkapiętom, a sam począłem dumać sobie nad temi ciężkimi czasami. I tak myśli po myślach biegały mi po głowie, a w uszach mi ciągle szumiały skargi ludzkie: ciężkie czasy! A com sobie przez drogę rozmyślał, to wam tu opowiem, kochani kumotrowie.

Już to nie ma co mówić, że sam Pan Bóg nie pobłogosławił nam w tych latach. Nie jedno nieszczęście spadło na naszą ukochaną ziemię, aż się serce człeku zakrwawiło. A tego roku, to jakby na domiar wszystkiego licha, rozmaite nieszczęścia i przytrafunki kłopoczą ludzi. Bo to najpierw były straszne powodzie. Gdzieniegdzie woda całe wioski poniszczyła, chudobę zabrała, grunta pozalewała, a nie jeden i nie dwóch znalazło śmierć nagłą w wodzie. Deszcz lał ciągle jak z konewki, zboże niedojrzało, a gdzie je już zżęli, tam zrosło i zgniło. W niektórych stronach, to aż mnie na duszy żałośno się robiło, kiedy zobaczyłem na własne oczy, czemu by nikt nie dał wiary, że zboże jeszcze do tego czasu nie pozbierane. Oj bieda tego roku, bieda, więcej jej niż kiedy, o tem już i nie ma co mówić.

Ale myśląc sobie dalej, przyszedłem do tej racyi, że na tej biedzie, co ją Pan Najwyższy dopuszcza, nie koniec, i że człowiek sam daleko większą jest przyczyną swej niedoli i sam sobie sprawia kłopot i nieszczęście. Dla tego też myślę sobie, że nie zawsze ludziska sprawiedliwie lamentują na ciężkie czasy, bo sobie po większej połowie sami zawinili. Zły, leniwy, opilec lub inny jaki ladaco zmarnuje dobytek, zejdzie na dziada, przydybie sobie nieszczęście — i potem wyrzeka i lamentuje: Ciężkie czasy, oj ciężkie czasy!

A już to nie ma co mówić, Bogiem a prawdą, sami mi przyznacie, że tak się najczęściej dzieje. Bo powiadam jeszcze raz swoje, że choć Bóg w niejednem nam niełaskaw i nieraz ciężko nas palcem swoim najświętszym dotyka, to przecież nigdy On tyle na nas biedy nie ześle, ile jej sobie sami zawinimy.

Dumając sobie o takiej sprawie, zobaczyłem naraz, że dojeżdżam do wsi Gniazdowce. Piękna by to wieś była, ani słowa, bo niczego jej Pan Bóg nie odmówił, ziemia jak masło, pastwiska jak malowane i grzyby i ryby i wszystkiego po pas! Aleć mocny Boże, choć tam Gwiazdowcom Niebo najłaskawsze niczego nie poskąpiło, to mimo to wieś ta okrutnie nędznie i obdarto wyglądała, aż patrzeć było niemiło.

Zajeżdżam przed karczmę, aby koniki popaść, a dawszy im owsa z sieczką i siana, wstąpiłem sam do gospody, bom przemókł do nitki. Patrzę, a tu za ławą, przy flaszce z wódką

siedzi Jędrzej Zawała, com go znał od dawna, bo się dawniej solarzom drohobyckim do furmanki najmował i przez wieś naszą z częsta przejeżdżał.

— Hej Jędrzeju, a jak mi się tam macie? — zawołałem witając się z znajomym.

Jędrzej dołyknął gorzałki, co miał ją jeszcze w zębach, przywitał się ze mną, poskrobał się za uchem, i mówił:

— Oj źle, ciężkie czasy kumie! Ciężkie czasy!

I pokiwał głową, znowu poskrobał się za prawem uchem, i łyknął gorzałki.

— A coś to już was nie widzę nigdy na furmance — mówię mu — czy już nie jeździcie z solarzami?

Jędrzej: At ciężkie czasy! Nie mam już koni.

— Co nie macie koni, a to cóż się im stało?

Jędrzej: Ciężkie czasy, ta musiałem je sprzedać.

— A dla czego?

Jędrzej: A właśnie nie z innej racyi jeno z biedy, bo miałem dług u żyda, i chciał mnie już do aresztu wsadzić! Oj ciężkie czasy!

— A na cóż wam dług było robić?

Jędrzej: A ot widzicie sam nie wiem, jak to tam narosło. Człek kiedy niekiedy zaglądnął do karczmy, aby się zakropić od zdrowia trochę gorzałką. Żyd rachował, rachował, a w końcu nie chciał dalej borgować i musiałem mu tratę podpisać. A potem to mi chciał grunt sprzedać i do aresztu wsadzić. Oj ciężkie czasy, ciężkie!

Aha, pomyślałem sobie, toś ty nie inak zrobił, jeno przepił konięta bratku, a zamiast narzekać na twój nałóg pijacki, narzekasz na ciężkie czasy!

— A w domu tam u was jak? — pytam dalej.

Jędrzej: Oj źle, dziecko mi niedawno umarło.

— A na Boga! a to na co?

Jędrzej: Ot zwyczajnie, coś go zachwyciło za piersi. Byłoby może i wyzdrowiało, bo mi radzili dobre lekarstwo, ale cóż kiedy go nie kupiłem.

— A to czemu? — pytałem dalej Jędrzeja.

Jędrzej: A gdzie tam ma na to człowiek pieniądze! Teraz takie ciężkie czasy! Mortku daj no jeszcze kwaterkę!

A bodajżeś się zadławił tą wódką, co ją wolisz kupić niż dla jedynego dziecka lekarstwo, coby ledwie było i dziesiątej części tyle grosza nie kosztowało — pomyślałem sobie i aż mnie za serce ścisnęło.

— A jakże tam na polu? — pytam znowu.

Jędrzej: Oj źle. Ciężkie czasy. Zboże mi pozrastało, bom w dobry czas nie mógł pozbierać.

— A to czemu? — pytam Jędrzeja.

Jędrzej: Ot bo widzicie po śmierci dziecka żona się rozchorzała a człek do furmanki się ozwyczaił. Odkładałem sobie tę robotę od jutra do jutra, ta wymokło. Oj ciężkie czasy! Jutro prowadzę ostatnią krowę na sprzedaż.

Na to mnie już gniew siarczysty porwał, splunąłem i zawołałem:

— At nie obrażajcie Boga Jędrzeju! Nie czasy to ciężkie, ale z was ciemięga ciężki i nieroba, a przytem moczymorda wielki, sami zaprzepaściliście wszystko, a składacie wszystko na ciężkie czasy! Tfu do licha!

Jędrzej poskrobał się w głowę, łyknął znowu kieliszek i mówi:

— Aj gdzież tam, człek pije aby zapić ciężkie czasy. U całej naszej gromady teraz takie ciężkie czasy, przyjdą tu do karczmy nie zadługo inni gazdowie, to się spytacie.

A ja mu na to:

— A to już wiem dlaczego wasza wieś taka nędzna i obdarta. To u was wszyscy chyba tacy jak i wy Jędrzeju! Ale na Boga kochanego powiadam wam, nie ciężkie czasy, ale wy winni wszystkiemu. Dla opojów i ladaców zawsze ciężkie czasy! Bądźcie mi zdrowi!

I chwyciwszy za bicz wybiegłem do koni i pojechałem dalej.

A przez drogę myślałem znowu o tych ciężkich czasach i Jędrzejach. Wierzcie mi ludzie, nie jeden to taki Jędrzej na świecie, co z własnej winy zejdzie na biedę, a potem wyrzeka na ciężkie czasy. Pan Bóg nigdy na człowieka nie zseła takich złych czasów, aby pracą i zachodem nie mógł ratować się jako

tako. Sami to ludzie przez lenistwo, niedbalstwo i inne złe nałogi sprowadzają na siebie ciężkie czasy, a zamiast ratować się potem, dalej jeszcze brną w nędzę. Pracuj pilnie i módl się, a nie będziesz miał ciężkich czasów — a choć Pan Bóg dotknie cię swą niełaską i o jaką klęskę cały kraj przyprawi, to nie opuszczaj rąk, ale pracuj dalej ochotnie, a wyżyjesz po bożemu i w najcięższych czasach.

Pamiętajcie sobie to ludzie i zostańcie z Bogiem!

Kuba z Kobła.

Piosnka sieroty.

Szukałem oczyma,
Szukałem po świecie.
Nigdzie szczęścia nie ma,
Gdzież ono jest przecie?

Drzysz i płaczesz brzozo,
Dąb się stary żali,
Zrąbią was, powiozą,
Człek potnie i spali.

Trawka mi mówiła,
Że ją depcze zwierzę,
Woda się skarżyła,
Że ją ziemia bierze,

Pytałem obłoku
Czy mu dobrze w niebie?
Ale łzy miał w oku,
Piorun rzucał z siebie.

Pytałem u ludzi,
Nikt nie widział doli,
Każdy z nas się trudzi,
Każdego coś boli!

Szukałem oczyma
Szukałem po świecie:
Nigdzie szczęścia nie ma,
Gdzież ono jest przecie?..

J. I. Kraszewski.

Sołtysianka.

Opowiedział Stach Barwinek.

II.

Gdy przyszedł Grześ do domu, począł gorzko płakać... On kochał Halkę nad swe życie, kochał ją pierwszą po swej matce starej! Dla Halki byłby poświęcił wszystko co miał, byłby życie wydał za nią, a ona mu odpłaciła taką szkaradną zdradą!... Zamiast pracowitego, poczciwego parobczaka wolała

jakiegoś obcego przybłędę ze świata, nierobę, i niecnotę, co nawet nie umiał zagadać do niej serdeczną mową polską. A dla czego? Oto, że Franc nosił surdut z pańska po niemiecku, że umiał w tańcu wyłamywać nogi po cudacku i dał jej na darunek złote pierścienie! Oj źle to, źle, jeśli dziewczęta patrzą na takie marności!... Prędzej lub później spotka je takie nieszczęście, jak Halkę Sołtysiankę.

Ale wróćmy do Grzesia. Kiedy stara matka zobaczyła syna w takim srogim smutku, poczęła go z płaczem wypytywać, co mu takiego. Grześ opowiedział wszystko matce, a ona mu na to:

— Przestań smucić się synu! Halka niewarta ciebie, niech sobie trzyma tego włóczęgę, kiedy go woli, niż ciebie swojaka! Jest we wsi więcej dziewcząt hożych, każda pójdzie za ciebie, i każda będzie lepsza niż Halka niewierna!

Ale Grześ nie dał się uspokoić, bo mu serce pękało z boleści. Kilka dni przetęsknił i przemarudził w chacie, potem spakował swój przyodziewek, najął dla matki do pomocy poczciwego parobka, i rzekł do matki:

— Nie wytrzymam ja tu od wielkiej boleści. Ile bym razy spojrzał na Halkę, serce by mi się krwawiło. Pójdę w świat, może trochę zapomnę, a potem wrócę do was, droga matko!

I wziąwszy tłumoczek na plecy, pożegnał się z starą matką i poszedł w świat....

Tymczasem już we wsi o niczem nie mówią, jeno o Francu i o Halce, o złotych pierścieniach i drogich koralikach, co jej darował i o biednym Grzesiu, co w świat powędrował.

W końcu dowiedział się o tem i sołtys Sołoda, który nic przed tem nie wiedział, że Halka ma konszachty z Francem, Okropnie się zgryzł stary, bo wiedział co to zły człowiek ten Franc, a Grzesia żal mu było jak syna. Biedny Sołoda nie spodziewał się nigdy, aby jego jedynaczka Halka na taką złą drogę zeszła i z rozżalenia i zgryzoty stary pożółkł i zgarbił się przez jedną noc, jakby mu 10 lat przybyło.

Było to właśnie rano w niedzielę, stary zwlókł się z łóżka, ubrał się i przywołał Halkę. Gdy Halka przyszła, popatrzył jej Sołoda w oczy surowo, aż pobladła dziewczyna widząc gniew i zgryzotę w oczach swego ojca.

— Halko — rzekł do niej stary — Halko! takiej się po tobie pociechy doczekałem!...

Halkę jakby krew oblała, tak się zarumieniła, a potem znowu blada stanęła, jak chusta.

Stary uchwycił ją za rękę, popatrzył jej znów w oczy i zawołał:

— Halko, niedobra dziewczyno! powiedz mi, powiedz zaraz, czy prawda to, co ludzie o tobie mówią? Ty się wdajesz z Francem, tyś porzuciła Grzesia! Gdzie masz te kulczyki, te korale drogie, co ci dał Franc! Powiedz! powiedz mi zaraz! i trząsł ręką Halki stary Sołda, a z oczu łzy mu się puściły po pomarszczonej twarzy.

Halka zachwiała się na nogach, twarz jej blada była jak u trupa. Nie mogła się wypierać, milczała tylko. Sołoda poszedł do alkierza i pociągnął za sobą Halkę. Tu roztworzył kuferek, gdzie Halka trzymała swoją odzież a tam leżały złote pierścionki i łańcuszki i korale!

Wtem dał się słyszeć jakiś hałas na podwórzu, a za chwilę wpadli jacyś ludzie do izby Sołody. Byli to żandarmi. Między nimi był Franc, skuty kajdanami. Halka gdy go ujrzała, krzyknęła strasznie i padła na ziemię jak nieżywa.

Sołoda chciał ratować córkę gdy w tem przystąpił żandarm i mówił:

— We dworze ukradł ktoś złote obrączki i łańcuszki i wykazało się, że zbrodni tej dopuścił się oto ten człowiek, zwany we wsi *Franc*. Mówi on, że wy sołtysie i wasza córka pomagaliście mu w kradzieży! Chodźcie z nami. Mam rozkaz was i waszą córkę dostawić do sądu!

Gdyby był piorun uderzył z jasnego nieba w siwą głowę starego sołtysa Sołody — byłby go może nie zabił tak nagle, jak te słowa. Stary Sołoda był kmieciem szanowanym, zamożny, nigdy jeszcze ręka jego nie skalała się krzywdą cudzą, a na starość miał iść do sądu jak złodziej prosty. Zatrząsł się cały, posiniał i upadł na ziemię bez duszy. Gdy go chciano ratować już było za późno. Stary Sołoda skonał....

Żandarmi zobaczyli skradzione złoto i wziąwszy je z sobą, poprowadzili Halkę, która tymczasem przyszła do siebie, razem z okutym Francem do miasta.

III.

Halka przez całą drogę do miasta ani ust nie otworzyła, niema i blada siedziała na wozie koło okutego Franca. Snać nieszczęśliwa dziewczyna nie mogła pojąć, co się stało i nieprzytomnie spoglądała to na żandarmów, to na Franca. Zaś Franc siedział także w milczeniu, jeno chmurnie przed siebie spoglądał i od czasu do czasu kajdanami dzwonił.

Tak przywieźli ich do miasta, gdzie ich zaraz oddano do sądu. W sądzie zaczęto zaraz sprawę i oto wykazało się, że Franc sam skradł ze dworu złote pierścienie, a ani stary Sołoda, ani Halka nie byli winni. Franc rozpatrzył się dobrze we dworze, gdzie znał jednego lokaja, i w nocy zakradłszy się do pokoju, porabował te drogie pierścienie i łańcuszki. Trochę z tego dał Halce, a nieroztropna dziewczyna przyjęła je, bo nie wiedziała zkąd pochodzą.

Franc zwalił połowę winy na starego Sołodę i jego córkę — bo myślał ten zbrodzień, że przez to sobie pomoże.... Ale wykręt jego nie udał się — Franc poszedł do kryminału.

Gdy się niewinność Halki pokazała wyraźnie, puszczono ją do domu.

Halka powróciła do wsi zbiedzona i znękana — ale już nie miała do kogo powrócić. Ojca jej już tymczasem pochowano. Z boleści i wstydu Halka od rozumu odchodziła. Siadła sobie na progu chaty i tam jak martwa całą noc przesiedziała. Nad ranem wzięły ją do siebie sąsiadki.

Oj srogo była pokaraną Halka za swoją swawolę! Nietylko że ojca o śmierć przyprawiła, że ją jak złodziejkę do sądu włóczono, ale do tego jeszcze widziała własną swą hańbę i i sromotę, bo za marny pierścień złoty i za słówka gładkie oddała Francowi swój wstyd i wieniec dziewiczy!

Jak cień błąkała się Halka to po pustej chacie, to po sąsiadkach a coraz bardziej schła i marniała. Aż serce bolało, patrzeć na tę biedną dziewczynę!... Tak minął miesiąc cały, a Halka przez ten czas ani spała, ani jadła ani też słowa do kogo przemówiła. Chyba gdy była sama, to plątały się jej po języku rozmaite dziwaczne słowa, a często wymawiała imię Franca i Grzesia.

Aż nareszcie zginęła naraz bez śladu... Szukano jej wszędzie ale daremnie. Aż za tydzień znalazł jeden rybak ciało jej w wodzie.

Snać się utopiła z wstydu i żałości....

IV.

Właśnie kiedy chowano Halkę, wrócił nagle Grześ do wsi. Nie mógł długo wytrzymać między obcymi ludźmi, serce go zabolało za matką i mówił sobie:

— Cóż ci winna twoja matka, żeś ją opuścił w starości?... Czyż za Halkę ma cierpieć biedna staruszka? Ciężkom przewinił, że z żalu po niewiernej dziewczynie porzuciłem matkę która mnie tak kocha i pewnie gorzko za mną płacze....

I wrócił do wsi. Właśnie był w środku wsi, gdy ujrzał pogrzeb Halki. Nie wiedział, kogo to niosą na wieczne odpoczywanie, bo mu nikt nie opowiedział o tem, co zaszło od tego czasu w chacie Sołody. Zdjął kapelusz i czekał aż pogrzeb go minie, mówiąc nabożnie: Wieczne odpoczywanie....

Gdy go zobaczyli ludzie, co szli za pogrzebem, poczęli szeptać:

— Grześ! Grześ wrócił!...

Grześ zbliżył się do jednej z kobiet, co szły za trumną i zapytał:

— Powiedzcież mi proszę, kogo pan Bóg powołał z tej ziemi?

— A to wy o niczem nie wiecie, Grzesiu — odpowiedziała kobieta — tać to Halka sia utopiła!

— Halka!... — zawołał okropnie Grześ i rzucił się na trumnę, i począł ją całować i płakać z całego serca.

Ludzie się rozstąpili i patrzali jak na dziwowisko. Naraz ktoś Grzesia chwycił za rękę i zawołał go po imieniu.... Grześ się obrócił — była to stara matka jego.... Powitała go z radością i płaczem i zaprowadziła jak dziecko do chaty. Tu mu opowiedziała wszystko.... Grześ nic nie mówił, jeno drżał, jakby go febra trzęsła. Na drugi dzień rozchorował się śmiertelnie.... Odleżał miesiąc cały....

V.

Kilka lat minęło... Kilka lat to nie dni kilka. Przez ten czas niejedna łza wyschnie, niejedna żałość człeka opuści, o

niejednem nieszczęściu ludzie zapomną. Grześ wprawdzie nie zapomniał o Halce, ale przestał już płakać za niewierną dziewczyną. Na prośbę starej matki postanowił się ożenić.

Wybrał sobie Anusię, córkę zagrodnika Macieja, dobrą i pracowitą dziewczynę, która go całą duszą pokochała.

Grób nieszczęśliwej Halki już po raz piąty okrył się zieloną morawą, kiedy Grześ obchodził swe wesele. Kiedy dziewczęta ze wsi zaspiewały na godach krakowiaka:

Wanda leży w naszej ziemi, co nie chciała niemca,
Lepiej zawsze mieć swojego niźli cudzoziemca....

Grześ przypomniał sobie Franca i Halkę i łza mu się zakręciła w oku. Ale przy dobrej żonie i starej matuli zapomniał Grześ do reszty o swojem dawnem kochaniu i o Halce, co mu wiarę złomała i za marności swego wianka się wyrzekła.

Został najporządniejszym gospodarzem we wsi i w pracy i zacności pędził życie. Kiedy dwa lata temu jechałem w niedzielę przez Wrotnowice, wypadła mi droga pod cmentarz i zobaczyłem tam jakiegoś gazdę z żoną i dziećmi... Był to Grześ ze swoimi. Modlił się on na grobie swej matki, która już także umarła, a potem poszedł z żoną i z dziećmi na grób starego Sołody i Halki i tam modlili się także za ich dusze....

Franc odsiedział długi czas w kryminale, a potem gdzieś znikł w szerokim świecie. Stary Jacenty, co zeszłego roku był na Zebrzydowskiej Kalwaryi, powiedział, że go widział między proszalnymi żebrakami. Tak to Bóg pokarał tego złego człowieka, co tyle nieszczęścia narobił i biedną Halkę zgubił.

Ja zaś spisałem tę całą smutną historyę na naukę dla naszych dziewuch wiejskich, aby chowały cnotę w sercu i strzegły się przed takimi hultajami, jak Franc. Niech żyją we wstydzie dziewiczym i bogobojności, bo za nic uroda i majątek, gdzie nie ma cnoty. Macie tego przykład w historyi sołtysianki Sołodówny.

Gawęda o gromadzie.

III.

Różne inne potrzeby gromadzkie.

Wykazałem wam zeszłym razem jasno, że gromadzie porządnej koniecznie potrzeba uczciwej szkółki. Ale nie na tem się to jeszcze kończą potrzeby gromadzkie.

Mówiłem wam z samego początku, że gromada porządna powinna być taką, aby każdy, co w niej żyje, miał ochronę i bezpieczeństwo. Gdyby gromada nie opiekowała się wszystkimi swoimi członkami a przez to samo i sobą — toby ludzie nie mieli potrzeby, żyć razem czyli gromadnie, ale każdy by sobie gdzieś na osobności mógł założyć zagrodę.

Spytacie mnie teraz, jakie to bezpieczeństwo powinno być w gromadzie?

Na to wam odpowiem: Człowiek przez całe życie nie jest pewny, czy go nie nawiedzi jaki nieszczęśliwy wypadek. A wypadki te bywają rozmaite. Nieraz dzieją się one z winy złych ludzi, a nieraz z czystego przytrafunku lub dopustu bożego.

Otóż w takich wypadkach gromada powinna wiedzieć, co ma robić, aby złe naprawić. Ale lepiej to daleko, nie dopuszczać, aby się nieszczęście stało, niż brać się wtedy do ratunku, kiedy nieszczęście już jest. Dlatego też gromada powinna się zawsze mieć na baczności, aby nie dopuścić do nieszczęścia.

Jak cię złodziej okradnie, to ci to nieraz nie pomoże, że go szukać będziesz. Lepsza to sztuka, nie dać się okraść! Tak też powinno być i w gromadzie. Powinna ona najpierw baczyć na to, aby we wsi nie było złodziei, rabusiów i innych hultajów.

— A jakżeż na to poradzić? — zapytacie.

Od tego moiściewy jest urząd gromadzki. Urząd gromadzki powinni stanowić sami ludzie zacni i porządni, a przytem rozumni i ostrożni. Jeżeli wójt i inni urzędnicy we wsi rozumią się na swych powinnościach, to pewnikiem nie będą się działy we wsi kradzieże i rozboje. Trzeba tylko dać pozór na takich ludzi, co o nich źle mówią w gromadzie, trzeba uważać na to, aby żaden cudzy ladaco lub włóczęga nie pokazywał się we

wsi, a nie będzie żadnych kradzieży i zbrodni. Jednem słowem, trzeba aby urząd gromadzki był pilnym i ostrożnym, a nie takim, jak to jest w niejednej wsi, że wójt jeno imię wójta nosi, a w samej prawdzie nic nie robi dla gromady.

Ale nie tylko źli ludzie robią nieszczęście i szkodę. Jest wiele innych przytrafunków, co z niczyjej winy się zdarzają, jak np. ognie i powodzie. Podobno to nic takiej klęski nie zadaje naszym wsiom, nic tak często ludzi na żebraninę i nieszczęście sprowadza, jak te pożary! Co dzień prawie słychać od ludzi, że się tam lub ówdzie paliło, że pogorzały chaty i chudoba, że nawet i ludzie zginęli w ogniu. Straszne to nieszczęście ten ogień i dla tego też gromada powinna z całej siły dbać o to, aby nie było pożaru.

A cóż my temu poradzimy — powie nie jeden — ognia człek nie odwróci, bo nikt nie wie, kiedy wybuchnie. A ja wam powiem, że na ogień jest rada. Bo uważcie jeno, z jakiej to przyczyny często wybuchają pożary?... Oto najczęściej z nieprzezorności. A co przez nieuwagę się stać może, to przez uwagę można odwrócić. Dla tego więc urząd gromadzki i starsi gazdowie powinni w to wglądać, aby we wsi zachowano ostrożność z ogniem, a kto tej nieostrożności nie dochowa, ten zasługuje na surowę karę, bo naraża całą wieś na nieszczęście.

Ale na samej ostrożności także nie dosyć. Trzeba zaopatrzyć się we wszystko, aby w takim razie, kiedy już ogień wybuchnie, można ratować ludzkie mienie. W każdej porządnej wsi powinny być nocne straże, ale takie coby na prawdę pilnie dawały pozór, a nie tacy wartownicy, co to z nich niejeden huknie kilka razy Ostrożnie z ogniem a potem przytuli się gdzie pod płotem, albo do domu pójdzie, i spi.

Każdy gospodarz powinien być przygotowanym na ogień, aby w przypadku każdy mógł dobrze ratować. A więc jeden niechaj ma hak żelazny, drugi konewkę w pogotowiu, trzeci sikawkę ręczną. Wtedy, jeśli wybuchnie pożar, nie przyjdzie żaden z gołemi rękami, ale będzie miał z czem spieszyć na ratunek. Urząd gromadzki powinien na to dbać bardzo, aby każdy, co mu nakazano mieć sikawkę, albo hak albo konewkę, stawał do ognia z hakiem, z sikawką, z konewką.

Wtedy choć Bóg dopuści nieszczęścia, to nie będzie ono takie wielkie i straszne. W każdej porządnej gromadzie powinno być wszystko tak zachowane, jak wam tu wyjaśniliśmy. A poźniej znowu pomówimy o innych gromadzkich potrzebach.

Pisanie Juliusza Ligonia,

kowala na pruskim Szlązku do Dzwonka.

Już temu dwa miesiące będzie, kiedy Juliusz Ligoń pisał do Dzwonka list wierszami ułożony. Piękne nam pisze rzeczy ten zacny nasz rodak ze Szlązka, z dalekiej tej polskiej ziemi, i warta by zaprawdę, aby ci kmiotkowie kochani, co czytają Dzwonek, wzięli sobie do serca nauki, które im Ligoń daje. Dla tego też drukujemy tu w cząsteczce te wiersze poczciwego rodaka, wyjmując z nich to tylko, co najważniejsze, bo by w małym naszym Dzwonku na wszystko miejsca niestało. Oto co pisze do nas i do was, kochani bracia, Ligoń:

Moi szanowni czytelnicy mili!
Witam was bracia serdecznie w tej chwili,
Oraz winszuję ze serca szczerego,
Aby *Dzwoneczek* bywał zawsze u każdego.
O czytajmy pilnie to co jest dobrego,
A strzeżmy się zawsze od czytania złego,
Lecz czytajmy zawsze z takiemi myślami,
By dobre jak możność pełnić uczynkami,
Bo wam jest wiadomo moi przyjaciele,
Że ci tylko, co czynią tu dobrego wiele,
Po tem ziemskiem życiu szczęśliwymi będą
I wieczną nagrodę od Boga posiędą!...
Brzydźmy się więc tymi, co żyją w ciemnocie,
I co się walają w grzechu i niecnocie.
Wymienię na przykład te miłości świata,
W których wiele ludzi pędzi swoje lata.
Ci wszyscy pieniądze i zdrowie marnują,
A zamiast zbawienia piekło se kupują:
Najprzód są to tacy, co w karczmach siadają
Pieniądze, czas, zdrowie na marność wydają,
Miłują gorzałkę nad Boga i duszę,
Nad tym nierozumem aże płakać muszę.

Milszy im jest Mosiek, niż żona i dzieci,
Bo u Moszka flaszka, ich bożyszcze świeci,
Tam ciągle bełkoczą za taflą w natłoku
A w dymie fajecznym, to żeby w obłoku.
Na książkę żałują grajcara odłożyć
Choćby z tego szczęścia mogli wiele dożyć,
Ale na gorzałkę talara nie szkoda,
Choć ztąd do dobrego jest wielka przeszkoda.
Do tych też należy taneczników wiele,
Tym też milej w karczmie, niżeli w kościele,
Bo w kościele z rana zamykają oczy
W karczmie się spać nie chce, choćby o północy.
O bracia kochani, zaniechajmy złego!
Bo raz przyjdzie oddać rachunek z wszystkiego,
Ze słowa, ze zdrowia, z czasu i z pieniędzy,
A kto źle szafuje, będzie w wielkiej nędzy.

. . . .

Radbym was odwiedzał często przez *Dzwoneczek*,
Ale że do Lwowa spory kawałeczek,
Więc Bogu was wszystkich w opiekę oddaję,
Do śmierci wam bratnim rodakiem zostaję.

Juliusz Ligoń,
kowal w Zawadzkiem na pruskim Szlązku.

Rady gospodarskie.

Użytek liści rzepakowych w kuchni.

Niejednej gospodyni jeszcze nie wiadomo, że liście rzepaku zimowego, kiedy w jesieni dostatecznie się rozrosną, doskonałą dla kuchni dają jarzynę. Na ten cel bierze się dolne liście, które i tak w zimie odpadają, i przyprawia jak jarmuż lub szpinak. Taka jarzyna jest bardzo smaczna i trzyma środek pomiędzy jarmużem i szpinakiem. Smak jej może być podwyższony przez zrywanie liści po szronie lub lekkim nocnym mrozie.

Układanie owoców na zimę do piasku.

Najlepszym i najtańszym sposobem przechowywania owoców na zimę jest układanie do piasku. Piasek powinien jednak być

wilgły, drobny i czysty. Takowy sypie się na dno beczek, do których się owoce kładą tak, aby się z sobą nie dotykały; potem owoce posypią się piaskiem, i na to w ten sam sposób kładą się nowe warstwy owoców i piasku. Tak ułożone owoce w piasku zachowują długo swą świeżość, woń i kolor, ani się jedno od drugiego nie nadpsuje.

RÓŻNOŚCI.

Jako kochanemu naszemu Teofilowi Lenartowiczowi zmarł synek jedyny na obcej ziemi. Nie potrzeba was pono pytać kochani ludkowie, kto jest Teofil Lenartowicz?... Toć drukowaliśmy wam przecie w Dzwonku nie raz i nie dwa razy przecudne, serdeczne piosenki naszego Teofila. Przezacny to i wielce szanowny nasz rodak! Kto tylko na polskiej ziemi żyje i polskiem powietrzem oddycha, powinien szanować i kochać imię jego. Teofil Lenartowecz taki już otrzymał dar od Stwórcy Wszechmocnego, że jak zaspiewa jaką piosnkę piękną, to człeku serce bije w piersiach, gdyby ptaszyna w klatce. A piosnek tych prześlicznych wyspiewał nam już dużo ten nasz rodak ukochany, że aż po całej ziemi polskiej się rozniosły, jak dzwon po rosie, i spiewać nam będzie dalej na pocieszenie serca w smutku, choć go samego dotyka boleść i nie jeden raz zakrwawiła mu się dusza!... Bo trzeba wam naprzód wiedzieć, że ten nasz ulubiony brat Teofil Lenartowicz jest słabego zdrowia i zaniemaga często ciężko, więc mu też lekarze kazali wyjechać w strony dalekie, do ciepłego kraju, co się zwie Włochami, aby tam podratował się trochę na pogodnem powietrzu. Mieszka więc nasz Teofil w tej ziemi włoskiej, niedaleko od tego miasta, gdzie Ojciec święty przebywa. Ale jakżeż to być Polakowi wesołym na obcej ziemi, a do tego Polakowi, co tak ziemię polską i ludek jej umiłował!... Ale nie na tem się jeszcze kończy utrapienie Lenartowicza. Oto Pan Bóg dotknął go niedawno srogo swym palcem świętym i serce jego gorzką boleścią przepoił. Oto niedawno temu zabrał mu Bóg do chwały swej niebieskiej synka jedynaka, co go nasz spiewak drogi kochał nad życie. Ledwie roczek miała dziecina, kiedy się przeniosła do lepszego świata. Czyż wam potrzebuję mówić, jak po tej jedynej dziecinie boleje serce naszego Teofila?... Oj wie to każdy, kogo już Pan Bóg tak ciężko dotknął w życiu! Pochował Lenartowicz swego synka na obcej ziemi, w jednem mieście włoskiem, co się zwie Antignano, i tam mu na nagrobku taki czuły wierszyk wypisał:

Jasiowi Lenartowiczowi

zmarłemu w Antignano 25. lipca 1864 roku.
Nieszczęśliwi rodzice ten kamień położyli.

Ledwie roczek przebywszy, rozstałeś się z nami,
Ty w niebie, a my w koło patrzymy ze łzami,
Czy cię nie zobaczymy, czy z jakiego kątka
Nie wyjrzy do nas liczko naszego dzieciątka;
Czy ojca nie zawoła, k' matce się nie skłoni,
Kwiatku niebieski! prędko uschłeś w naszej dłoni!

Aż się serce kraje, gdy człek wspomni na tę boleść Teofila Lenartowicza. Westchnijcie i wy do Boga, aby pocieszył tego naszego brata najukochańszego. Spiewał on nam serdecznie w dobrej i złej doli, westchnijmyż z nim razem w jego boleści!...

STARE PRZYPOWIEŚCI.

1. Nie ma język kości, gęba pana.
2. Cudze proso oganiał, jego zjadły wróble.
3. Droższe skarby posiędzie ten człowiek od złota — u którego je chleb żebrak i sierota.
4. Koń bosy na mróz, but dziurawy na błoto, tępa siekiera na drwa, nie pewne są.

Pisarz Dzwonka do swoich dobrych przyjaciół.

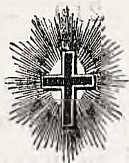
Wielebn. Xiędzu J. M., który łaskaw był na nasz Dzwonek i nadesłał dla naszego ludku powiastkę pouczającą, z całego serca dziękujemy. Wydrukujemy ją co rychlej, jeno niektóre małe skrócenia porobimy, bo Dzwonek mały, a tu i to i owo ciśnie się koniecznie do druku. Nie zapominajcie o nas i dalej szanowny xięże dobrodzieju.

Sz. Józefowi z Bochni dziękujemy też szczerze za nadesłane pisanie, ale go tak wydrukować nie możemy, jak je nam przysłał. Potrzeba tam wiele zmian i skróceń. Wolelibyśmy jakie opowiadania z nauk rozmaitych, niż powiastki.

Sz. Wojciechowi Michnie z Zakopanego. Wasze opowiadanie o Żmudzi wydrukowaliśmy zaraz w pierwszym numerku, zmieniwszy je jak potrzeba było. Zaś o szkole we wsi Klimkowce wydrukować nie możemy, choć tam świętą prawdę mówicie. Zostańcie z Bogiem a nie zapominajcie o nas.

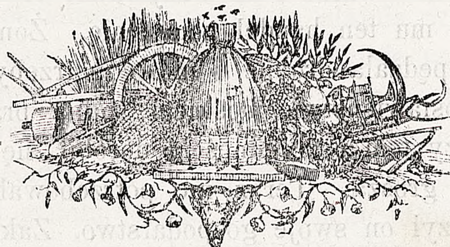
Sz. Józefowi z Woli. Musimy wam pięknie podziękować za ładną piosenkę, co ją z łaski waszej wydrukowaliśmy w Dzwonkn. Bądźcie jeno tak dobrzy i przyszlijcie nam rychło jeszcze jakie wierszyki, a Dzwonek i jego przyjaciele z duszy wam za to będę wdzięczni. Panu Bogu was oddaję.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom XI.  Nr. 14.

11. listopada 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Uczciwa praca ludzi zbogaca.

We wsi Załęgach mieścił się między innymi pracowitymi gospodarzami chałupnik Piotr Piętak, człowiek pracowity, obrotny, przy tem rzetelny, pobożny, ale na każdy nieprzyjemny wypadek czuły i zanadto tkliwy. Żona jego Barbara podobnie pracowita, starobliwa, rządna, roztropna i mądra. Oboje umieli płynnie czytać a nawet i pisać, bo się tego w miejscowej szkole nauczyli.

Lubo Piotr Piętak tylko szczuplutką budę i malutkie grządki przed oknami posiadał, żył sobie pilną i uczciwą pracą bardzo porządnie. Pracował i oszczędzał w przekonaniu, że tylko tym sposobem można do majątku przyjść; bo bez pracy nie ma kołaczy. Do grosza grosz, będzie pełny trzos.

Na początku po zaślubieniu się ze swą Barbarą trudnił się za pożyczone u miejscowego pana dziedzica pieniądze handlem przędzy, a żona handlem soli. Biegał on po wszystkich okolicznych jarmarkach i targach, skupywał przędzę, jaka się trafiła, cienką i grubą. Gdy naznosił brzemionami do domu,

wtedy rozgatunkowywał i do wyrobienia płócien gotową roznosił tkaczom, którzy mu za nią z zyskiem płacili. Ponieważ dobrze się znał na swym towarze i ze wszystkimi rzetelnie sobie postępował, szedł mu ten handel pomyślnie. Żona zaś zyskiem z handlu solą opędzała drobne domowe potrzeby.

Przy błogosławieństwie boskiem, pilną pracą, uczciwym zarobkiem a przy tem oszczędnością dorobił się Piotr w kilku latach własnego grosza. Teraz nie potrzebował pieniędzy pożyczać. Rozszerzył on swoje gospodarstwo. Zakupywał zagony pod zasiew i łąki na siano u ludzi. Kupił krówkę. Sprawił sobie wózek i konia. Teraz nie tylko że nie dźwigał przędzy na plecach, ale i tę i sam siebie woził na wózku; dla tego też swój handel na większy rozmiar prowadził, ale i dochody powiększył.

W parę lat zamienił Piotr handel na rzemiosło. Będąc jeszcze parobkiem, służył u rzeźnika i u tego nauczył się rzeźnictwa, owoż skupował wieprzki i bydło na rzeź. Sam sprzedawał mięso w miejscowej wsi i w pobliskich miasteczkach, żona zaś sprzedawała wieprzowinę i sól. Ten nowy handel — to rzemiosło szło mu bardzo pomyślnie tak, że w parę lat znacznie powiększyła się jego gotówka. Mógł on teraz zbywające od rzeźnictwa pieniądze na procenta innym handlarzom wypożyczać.

Przy tym szczęśliwym obrocie i przy oczywistem błogosławieństwie Bożem złożył Piotr tak znaczny grosz, że sobie mógł zagrodę z dwunastu morgami ziemi kupić. Kupił, ale z wielkim kłopotem. O kupno tego gruntu ubiegali się inni, między innymi jakiś kolonista, dawał nawet więcej pieniędzy jak Piotr Piętak. Ale, aby jakiś tam nieznany przybysz we wsi osiadł, na to nie zezwolił ksiądz, dziedzic i urząd gromady; tym sposobem dopomogli Piotrowi do kupna pustej zagrody.

Kupił wprawdzie grunt, ale bez budynków. Ciągnął więc dalej handel i rzeźnictwo a za zarobek z tego stanęły i budynki a w budynkach było wszystko, co do gospodarstwa potrzeba, i piękne bydełko i stosowny gospodarski sprzęt i narzędzie.

Piotr założył przy budynkach grzędy na ogrodowizny, zasadził sad drzewami owocowemi, które sam poszczepił, urządził

sobie także pasiekę pszczół. Do uporządkowania tego wszystkiego posłużyło mu położenie jego gruntu.

Jego budynek mieszkalny, stodoła, stajnia, wozownia, ogród, sad, pasieka i łąka położone były na nizinie pomiędzy dwoma pagórkami nad potoczkiem, który swoją wodę ze źródeł w odległych górach i lasach sączył i nigdy nie wysychał a był z tej przyczyny dla gospodarstwa domowego i ogrodowego bardzo dogodny. Reszta gruntu leżała na wzgórku. Bóg pobłogosławił to uczciwe i pracowite małżeństwo Piętaków dobrem potomstwem; cieszyli się czworgiem dziatek t. j. trzema córkami i jednym synem. Dwie pierwsze córki ukończyły nauki w miejscowej szkółce i pomagały rodzicom w gospodarstwie. Synek chodził teraz do szkoły i uczył się pilnie a najmłodsza córka zaczynała dopiero w domu litery poznawać. Piotr miał do pomocy parobka Jaśka Rykałę, ten mu był we wszystkiem tak w gospodarstwie jak i w rzeźnictwie wielce dogodnym i przydatnym. Polne gospodarstwo przy pilnem i roztropnem prowadzeniu przynosiło żyżny plon.

Piotr według okoliczności oddawał się różnym pracom. Na wiosnę i w lecie pracował z Jaśkiem w polu; w jesieni i w zimie kupczył i rzeźniczył. Piętak był mocno przekonany, że aby mieć majątek, nie zawisło od naszej woli, od naszej choćby najpilniejszej pracy, ale więcej od błogosławieństwa Bożego. Dla tego zawsze pamiętał o Bogu. Wszystkie swoje sprawy i interesa od Boga zaczynał, z Bogiem kończył. Codziennie rano i wieczór z całą rodziną i czeladzią klęcząc nabożnie odprawiał modlitwy, dziękując dobrotliwemu Bogu za jego łaski i dobrodziejstwa. W każdą niedzielę i w każdą uroczystość widzieć go można było z całą rodziną na rannem i południowem nabożeństwie. Bóg też był z nim.

Wszyscy sąsiedzi kochali, szanowali Piotra dla jego uczciwości, i cieszyli się z jego dorobku, wszyscy na wzajem byli mu przychylni dla jego życzliwości i uprzejmości.

Tak więc Piotr Piętak z całą swą rodziną cieszył się szczęściem i wesoło pożywał słodkie owoce swojej długiej i mozolnej pracy.

---

*

Nic nie ma pod słońcem stałego. Wszystko się zmienia. Los czlowieka kołem się toczy; z dołu wznosi się w górę, z góry spada na dół. Przysłowie nasze polskie mówi: kogo Pan Bóg kocha, na tego krzyżyki zsyła. I rodzinę Piotra Piętaka, jak niegdyś Joba doświadczył Bóg.

Najpierw umiera mu w zimie najstarsza córka, którą w jesieni miał za mąż wydać, na gorączkę. Na wiosnę umiera druga a wkrótce umiera i trzecia na chrypkę i kaszel. Został mu tylko synek. Te trzy wypadki smierci ogromnie dotknęły czułego Piotra i jego żonę. Barbara wypłakała się, wnet przyszła do siebie i odzyskała spokojność. Piotr stracił wesołość, stał się nieutulony w swym żalu. Ile razy powrócił zkąd do domu, tyle razy rzewnie płakał za swemi dziećmi. Barbara lubo sama silnie uczuła stratę ulubionych dziatek, pocieszała, ile mogła, stroskanego męża, ale bezskutecznie. Bierze się więc na sposób i w te do niego odzywa się słowa:

— Mój mężu kochany! pewny sąsiad dał mi do schowania bardzo drogą rzecz, teraz upomina się o nią, czy mam mu ją zwrócić lub nie?

— Moja kochana Basiu! — odpowiada Piętak — jak mnie możesz pytać o coś podobnego? Czyż mię nie znasz, czy myślisz, że cudzą rzecz zatrzymam u siebie i nie każę oddać? Czy byłem kiedy na cudzy majątek łakomym? Bez pytania moja Basiu! powinnaś na żądanie sąsiada jego rzecz, jakiejbądź ona jest wartości oddać, abyśmy zaufania u ludzi nie stracili i kary Bożej za ludzką krzywdę na siebie nie ściągnęli.

A żona na to:

— Otóż mój mężu kochany! Pan Bóg ten pierwszy i łaskawy Ojciec naszych ukochanych dzieci, dał nam trzy córki — trzy drogie perełki do wychowania. Teraz zażądał, aby mu je wrócić, czyż możemy mu je odmawiać? A oddając mu je mamyż zanadto żałować, rozpaczać? On te nasze niewiniątka — prawda! — zawczasu do siebie powołał i między Aniołki, policzył, nie powinniśmy im nieba żałować. Mężu kochany! oto w pokorze zdajmy się na Jego wolę świętą. Złóżmy ręce! klęknijmy! podnieśmy oczy nasze i duszę naszą do Niego i zawołajmy: Ty dobry i łaskawy Ojcze naszych dzieci! Tyś

nam je dał! Tyś nam je wziął! Bądź wola twoja jako w niebie tak i na ziemi! Daj tylko aby się cała nasza rodzina przed Twoim tronem widzieć i Ciebie wiecznie wielbić mogła.

Te uwagi mądrej żony przyniosły ulgę i pociechę stroskanemu i strapionemu sercu czułego męża i ojca. On też za tę pociechę serdecznie podziękował.

Nie dosyć było dla Piętaków na tym pierwszym krzyżyku. Przychodzi drugi jeszcze cięższy. W okolicy Załęg udały się urodzaje polne tak dobre i piękne, że to aże radość była wielka, spoglądnąć po połach! Gospodarze cieszyli się nadzieją obfitego zbioru i korzyści za mozolną pracę. Przed samem żniwem jednego dnia przed wieczorem wyszła czarna chmura z powichrem, błyskawicami i grzmotem od zachodu. Za zbliżeniem się nad Załęgi sypnęła ogromnym gradem, który ze szczętem wybił zboża jednym wąskim pasem, do którego i grunt Piotra Piętaka należał. Po gradzie lunął deszcz jakby z beczki; ten trwał parę godzin i przeciągnął się aż do nocy. W tem nadchodzi z gór, gdzie oberwanie chmury było, potoczkiem, nad którym stały budynki Piętaka z strasznym szumem i łoskotem ogromny bałwan wody i jednym zamachem zmiata stodołę z wozownią, stajnię z bydłem, z służącą i pastuchem którzy byli przy bydle w stajni. Sam tylko parobek Jasiek, który był w stajni przy koniach, porwany powodzią, jakimś cudownym sposobem wydostał się na przyległy pagórek.

Budynek zaś mieszkalny był także zalany wodą, ale stał na ustroniu tak, że woda nie miała tej mocy, aby go także zrujnować i znieść. Piotr z żoną i z dzieckiem, za pierwszem zalaniem pomieszkania miał tyle tylko czasu, że się z wielkim przestrachem na strych mógł wydostać.

Ciemno jak w grobie — deszcz leje jak z kadzi — woda szumi, jakby sto młynów; błyskawica kiedy niekiedy zaświeci; grzmot huczy jakby z armat bił; budynek za każdym uderzeniem wody zaskrzypi; Piotr z rodziną w wielkiem niebezpieczeństwie, że lada moment może go powódź z budynkiem porwać i zatopić! Wydobyć się z budynku na przyległy pa-

górek, niepodobieństwo!! Wołać o ratunek, nadaremnie!! Na pagórku przy domostwie stał parobek Jasiek i wołał:

— Ratujcie się bo w powodzi zaginiecie! ale go nikt nie słyszał.

Tak więc między życiem a śmiercią przebiedowali Piętakowie przez całą noc. Dopiero nad świtem opadła woda a za zbliżeniem się dnia okazało się spustoszenie i szkody.

Budynek mieszkalny został, ale w nim cały majątek zamoknięty, zamulony, popsuty. Ze stajni, wozowni, stodoły, bydła i sprzętów gospodarskich ani śladu nie zostało. Służąca i pastuch przepadli na wieki. Ogród, grzędy, sad i łąka kamieniami, mułem i różnemi tarachami, chruszczami zawalone. Pszczoły z wodą popłynęły.

Smutna była teraźniejsza dola Piętaków. Pozostali teraz bez chleba, bez bydła, bez sprzętów i narzędzi gospodarskich, bez budynków. Oprócz gruntu i pomieszkania cały dobytek, cały dorobek, na który Piątakowie długie lata ciężko i mozolnie pracowali został ze szczętem zniszczony.

Piotr i żona jego Barbara gorzko nad tą okropną klęską zapłakali.

Czy cię nieszczęść trafią chmury,
Czy cię miłe szczęście łechce;
Wznoś do Boga — i do góry
Twoje zawsze wdzięczne serce;

Bo kogo Pan Bóg zasmuci, tego i pocieszy. Pociechy dla Piętaków, jako uczciwych ludzi, z różnych stron i z różnych źródeł przychodziły.

Najpierw parobek Jasiek Rykała, który już kilka lat u Piętaków wiernie służył i prawie za własnego syna od nich uważanym był; który przy tej powodzi wielką szkodę poniosł, utracił bowiem wszystko: porządną bieliznę, odzież, obuwie i trochę gotowych pieniędzy, widząc mocno strapionych Piętaków, chwyta ich za nogi i tak przemawia: Kochani gospodarstwo! mam prożbę do was! nie odmówcie mi!

Piętakowie: Czegoż żądasz od nas? czego chcesz? Co ci damy? widzisz, że nic nie mamy, woda zabrała wszystko!

Jasiek: Ja od was, moi kochani! nic więcej nie żądam, tylko to, abyście mię od siebie nie odprawiali. Służyłem u was i pracowałem, gdyście byli bogaci i szczęśliwi, teraz jeszcze więcej i pilniej będę robił. Cieszyłem się z wami waszem szczęściem, chcę się z wami podzielić i biedą. Cieszmy się i dziękujmy Panu Bogu, żeśmy z życiem wyszli z tej powodzi! Ja miałem mało, straciłem wszystko; została mi ta jedna mokra koszula na mnie; wam został budynek mieszkalny i grunt — święta ziemia, będziemy za pomocą Boską w niej pracować, a ona nam znowu da wszystko, czego potrzebujemy do życia.

Ta czuła przemowa uczciwego Jaśka pocieszyła nieco stroskanych Piętaków; ale płacz i lament nie ustał.

Xiądz miejscowy dowiedziawszy się o zniszczeniu całego majątku Piotra Piętaka powodzią, przywołał go do siebie. Widząc jego nieruchawość ciała, na twarzy ciężki smutek i boleść, w oczach prawie obłąkanie, udziela mu najpierw duchowną pociechę temi słowy:

— Mój kochany Piotrze! Dotknął cię Pan Bóg wielkiem nieszczęściem. Na tym świecie inaczej być nie może. Los człowieka zmienny. Powiedz sobie mój Piotrze! nie miałem nic, dorobiłem się, bo Pan Bóg dał, znowu nie mam nic, bo Bóg wziął, ale znowu dać może i da, niech imię Jego zawsze i wszędzie wielbione i błogosławione będzie! Mój Piotrze nie wielka to cnota, kochać Boga w ten czas, gdy nas łaskami i dobrodziejstwami obsypuje, ale to jest wielkość miłości, jeżeli w dolegliwościach i utrapieniach z Jego wolą świętą się zgadzamy, Jego opatrzność wysławiamy, jeżeli Jego ojcowską rękę, która nas chłoszcze całujemy. Pamiętaj o tem na poradę — a przyjm odemnie kilka garncy zboża na życie, a później dam ci więcej na zasiew.

Piotr serdecznie podziękował księdzu i za religijną pociechę i za poratunek do życia. Odszedł więc wielce pocieszony. Na wiadomość o tym strasznym wypadku Piętaka sam dziedzic Załęg z całą rodziną swoją przyszedł na miejsce ruiny. Wszyscy t. j. pan i żona i dzieci czule ubolewali nad nieszczęśliwą rodziną Piętaka i pocieszali ich uprzejmemi słowy ale i pomoc udzielili. Pani dziedziczka przysłała im mąki i omasty. Pan

obiecał dać zboża do siewu i kilka sztuk drzewa budowlanego, udzielił Piętakowi mądrej rady, jak ma sobie budynki postawić, aby się podobny wypadek zniszczenia na przyszłość nie powtórzył. Piętakowie z żałośnym płaczem podziękowali łaskawemu państwu za udzielone dobrodziejstwo pomocy.

Wójt miejscowy do zwołanej gromady tak się odezwał:

— Nieszczęśliwemu, powodzią zniszczonemu Piotrowi Piętakowi a naszemu sąsiadowi ksiądz proboszcz i pan dziedzic dali zapomogę, my też gospodarze nie będziemy ostanimi, kto może, niech go ratuje, pomocą w robocie około budynków, w roli i w zasiłku do życia.

Na to wezwanie wójta wszyscy jednogłośnie przystali i kto czem mógł, niósł pomoc. Jak tylko woda potoczka opadła, pomogli sąsiedzi Piętakom rzeczy, sprzęty w pomieszkaniu zamokłe z mułu wydobyć i przesuszyć. Także i pieniądze w papierkach, kilkadziesiąt złr., które sobie Piotr zaoszczędził, dały się bez szkody rozwinąć i wysuszyć.

Piętakowa z parobkiem wzięła się do trudnej i mozolnej pracy. Wyniosła muł z pomieszkania, oczyściła je i wysuszyła. Wyczyściła ogród, sad i łąkę z kamieni i rozmaitych tarachów. Tę trudną pracę dokonała przy spiewaniu nabożnych pieśni, które na pamięć umiała; między innemi tę stosowną przy pracy:

Z twoich Boże rąk żyjemy — choć naszemi pracujemy!
Z ciebie plenność miewa rola — my zbieramy z twego pola.
Wszystko cię mój Boże chwali — ałeśmy i to poznali,
Że najmilszą ci się zdała — pracowitej ręki chwała!
Co zarządzasz ziemią, niebem — opatrz dzieci twoje chlebem!
Ty nam dajesz urodzaj złoty — my ci dajem trud i poty.
Kiedyś przyjdziem na godzinę — gdy kończąc ziemską gościnę,
Z Łazarzem po naszym zgonie, — odpoczniemy na twym łonie.

Ta praca lubo ciężka, długa, stokrotnie się jej później wynagrodziła, bo na tych mułach ze spodnią urodzajną ziemią wymięszanych wszystkie ogrodowiny bardzo bujno rosły i obfity plon wydawały. I tak powoli! powoli! przy niezmordowanej pracy i troskliwości żony Piotra całe gospodarstwo domowe przychodziło do porządku.

Piotr zaś z trudnością prawda! ale zasiał jesienne oziminy a na wiosnę jarzyny. W zimie przysposobił drzewo budulcowe. Po wiosennych zasiewach wystawił budynki i to na miejscu według porady dziedzica.

Pracował on pilnie, i zapobiegał starobliwie około całego gospodarstwa, a w wolnych dniach, szczególnie jesienią i zimą, prowadził handel bydłem i rzeźnictwo z pomyślnością, a tym sposobem zarabiał na gotowe pieniądze, które wkładał w gospodarstwo.

Z każdym dniem polepszało się położenie Piętaków i z czasem całe gospodarstwo przy ich niezmordowanej i pilnej pracy przyszło znowu do pomyślności i porządku.

Żniwa wypadały dla Piotra Piętaka bardzo pomyślnie. Grzędy w ogrodzie rodziły przecudnie. Łąka wydawała siana pożywne i obfite. Sad bujał i rodził owoce smaczne. Pszczoły brzęczały około domu i przyrajały się. Bydełko chowało się wesoło. Synek rósł i uczył się dobrze, a oprócz tego pobłogosławił ich Pan Bóg nowem potomstwem.

Jednakowoż to braterskie współczucie i zapomoga sąsiadów, ta szczera pomoc od xiędza proboszcza i od pana dziedzica, te różne sposoby wesołości mądrej żony i uczciwego Jaśka, to oczywiste błogosławieństwo Boże, ta ogólna pomyślność w pracy i w zapobieganiu, nakoniec ta powiększona liczba pięknych, lubych dziatek nie mogły ze wszystkiem ukoić smutku zanadto czułego i tkliwego Piotra. Chociaż się na chwilę rozruszał i rozweselił, to znowu wpadał w jakąś zadumę i tęsknotę. Zawsze mu coś brakowało.

Żona rozweselała go, jak mogła, ale bez dobrego skutku. Na koniec tak poważnie przemawia do niego:

— Kochany mężu! Pan Bóg łaskawy dał nam się z niczego dorobić pięknego majątku, odebrał nam cząstkę tego, zasmucił i utrapił nas srodze, ale znowu pocieszył. Majątek i dobry byt wrócił, a ty twoim smutkiem, twoją tęsknotą okazujesz, że tak jasnych dobrodziejstw opatrznego Boga nie uznajesz, jemu się za nie nie wywdzięczasz, i z wesołością nie używasz. Nie jest to naszą rzeczą rozsądzać co? — ile? — kiedy? — nam ten dobry Ojciec niebieski udziela, ale to co nam udzieli po-

winniśmy z wesołością i wdzięcznością pożywać. Sam nie potrzebnie się smucisz i tym smutkiem wszystkich nas w domu niepokoisz, że się ani wesoło pomodlić, ani wesoło pożywić, ani wesoło pracować nie możemy. Twoim nierozumnym smutkiem sam sobie i nam życie zatruwasz.

Piotr: Dobrze i rozumnie moja żono przemawiasz. Ale musisz wiedzieć, że gdyby nas nieszczęśliwa powódź nie zniszczyła, tobyśmy dzisiaj dwa razy większy majątek mieli.

Żona: Jeżeli się mój mężu! tak mocno duszą i sercem do majątku przywiązujesz, racz z uwagą posłuchać co ci dalej powiem. Pszczoła pracuje i znosi miód, nim żyje, a jak sobie skrzydełka tym miodem zamacza, to się w powietrze nie wzniesie, to już więcej nie będzie miodu zbierać i nosić i w tym miodzie, który sama nazbierała, ginie. To twój obraz. Zebrałeś majątek, a jeżeli duszę i serce twe w nim zatopisz, zginiesz, bo w katechizmie stoi napisano: Że prędzej wielbłąd przeciśnie się przez ucho igielne niżeli bogacz do królestwa niebieskiego.

Piotr: Dobrze! moja żono! dobrze! to już będę wesołym.

Żona: Kiedy mię chwalisz posłuchaj mojej rady!

Piotr: Ponieważ bardzo roztropnie przemawiasz, to cię chętnie posłucham.

Żona: Na drugi tydzień wypada odpust w Kobylance. Chodźmy na odpust. Ofiarujmy się kobylańskiemu Panu Jezusowi. On cię pocieszy i w wierze utwierdzi.

Piotr: Dobrze! pójdziemy, moja Basiu!

Odpustowe nabożeństwo, kazanie i spowiedź pocieszyła i uspokoiła tęsknotę Piotra. Odtąd powrócił do pierwotnej wesołości.

Przy nieprzerwanej pracy i przy błogosławieństwie Bożem dorobili się Piętakowie jeszcze większego majątku, jak przed powodzią mieli. Wszędzie wszystkiego było podostatek i w komorze, i na strychu, i w stajni, i w stodole, i w ogrodzie, i w pasiece.

Piotr Piętak ożenił swego uczciwego, pracowitego i wiernego parobka Jaśka Rykałę w miejscowej wsi Załęgach z wdową Katarzyną Pazurkową, gospodynią gruntową. Sprawił mu sute i huczne wesele. Z wdzięczności za przywiązanie i wierną służbę dał mu piękną zapomogę i bogatą wyprawę na nowe gospodarstwo.

Piętakowie przez długie lata pożywali ze swemi dwoma synami i z dwiema córkami, wdzięcznem sercem, wesołym umysłem i w czerstwem zdrowiu dary boże. Pamiętali także o ubogich, których obfitą jałmużną obdarzali, o nieszczęśliwych, których już to chlebem, już to pieniędzmi wspierali. Ktokolwiek wstąpił w ich dom, nie odszedł bez pociechy.

Kochany czytelniku! pracuj i módl się — módl się pracuj, a zawsze z ufnością w Bogu, a zakosztujesz słodyczy z swej pracy.

Z pracy przyjść możesz do czci i pieniędzy,
A z próżnowania do wstydu i nędzy.
Nieme stworzenia: mrówki i pszczoła
Wstydzi próżniaka i do pracy woła.

Xiądz J. M.

Spiewka.

Zagraj mi mazura albo krakowiaka
Bo wszystko co swoje, miłe dla Polaka,
Albo Polonesa, tańca poważnego
Nie tam jakiegosik młynka niemieckiego!

Polskie nasze tańce wesołość sprawiają,
Całe kompanije mile zabawiają,
A gdy jeszcze chłopcy hożo zaspiewają
Sami państwo nawet radzi ich słuchają.

Boli jednak serce, że na nasze czasy
Tu i owdzie jakieś skaczą podrygasy,
Co więcej zalotne, niżeli uczciwe
Jakich nie zaznały prababki cnotliwe.

Dla tego też chłopcy, i wy też dziewczęta!
Niech z was każde na to dobrze se pamięta,
Swoje zachowywać, a strzedz się obczyzny,
I w tańcach zdaleka od cudzoziemczyzny!

Józef z Woli.

Dowcipny żyd.

Ucieszna historya.

Po naszej kochanej Wiśle, która jest jakby królową wszystkich rzek polskich, płyną wielkie i małe statki, bo to rzeka szeroka i głęboka i przydatna do takiej wodnej jazdy. Razu jednego wybrało się, zkąd już nie pomnę, dziesięciu bogatych panów do Warszawy i wsiedli sobie na statek. Wsiadł też razem z nimi jakiś biedny żyd i usiadł sobie w kąciku spokojnie i przyzwoicie. Ale gdy przed odjazdem właściciel statku od każdego żądał zapłaty, biedny żydek sięgnął do kieszeni, jakoś zabrzękło, wyciąga i pokazuje półzłotego i wielki mosiężny guzik, powiadając, że już więcej nic nie ma a prosząc, by go przecie wziął ze sobą. Zatem się zlitował nad nim on pan i zabrał go za onego ostatniego półzłotka. Jadą tedy a żydowi zrazu żal półzłotka, ale potem kiwnął głową, aż mu się długie pejsy o brodę odbiły i myśli sobie:

— Co się zwlecze, nie uciecze, toć Icek ten wielki bogacz na tej Wiśle z ubogiego żydka takim się zrobił panem!

Więc tedy jadą sobie dalej; z początku wesoło i gwarno, ten powiedział to a drugi owo, więc śmiech i hałas, co nic dziwnego w takiej kupie ludzi. Więc gdy ich tylu panów się bawi, jak może, żydek jak zając siedzi sobie w kąciku cichutko trzymając swój tłumoczek pod pachą a panowie raz po raz go zaczepiają i kpinki z niego robią, jak to zwyczajnie z biednego żyda, choć to grzech i obraza Boska, boć i żyd taki człowiek jak każdy inny. Ale jak już parę godzin płynęli i spory kawał ujechali, jeden po drugim jakoś zamilkł, ten i ów zaczął ziewać, innego jakieś cięgoty brały, inny się w wodę wpatrywał — i jakoś cichuteńko się zrobiło, jakby wszystkim usta pozamykał. Przecie po niejakiej chwili odzywa się jeden:

— Słuchajno Mośku, niewiesz tam co ucieszne go?

— W to mi graj, żyd sobie myśli, poczekajcie-no pankowie, może mi się uda wyciągnąć wam jaki grosz z kieszeni.

Tak sobie żyd myśli, ale panom tego z razu nie daje poznać i mówi:

— Ny, coby ja wiedział, z przeproszeniem państwa, ja nic nie wiedział.

Ale panowie odgadną:

— Powiedzże, Mośku, co zabawnego, powiedz, a zobaczysz, że nie pożałujesz. Znowu Mosiek pociągnął się za pejsy i mówi:

— Ny ja nic nie wiedział, biedny żydek, ale jeżeli łaska pański, to ja będę tak mówić: Niech każdy z panów zada jakie pytanie a kto nie odpowie na nie, zapłaci półzłotego temu, co będzie zadać pytanie. A ten co dobrze na pytanie odpowie, dostanie półzłotego. Jeśli łaska pańska, ja też będę chcieć należeć do tego, ny ja głupi żydek, abo ja co wiem?

— Dobrze, dobrze rzekli wszyscy panowie, bo im się okrutnie ta rada podobała i myśleli, że dopiero żyda wyszykują a choć im tam wiele o tego półzłotego nie chodziło, naśmiać się z niego dobrze chcieli. Tedy zaczął jeden po drugim zadawać pytania, co im właśnie przyszło do głowy. Rzecze zatem pierwszy:

— Ile jaj gotowanych mógł zjeść naczczo ów olbrzym Goliat?

Tak się pyta jednego, drugiego, dziewiątego a wszyscy odpowiadają:

— Kaci go tam wiedzą, ile mógł zjeść naczczo, może z parę mendli.

Zatem każdy zapłacił swego półzłotka. A żyd się odezwie:

— Goliat mógł tylko jedno jajo zjeść, bo drugie jadł już nie naczczo — i sięgnął po półzłotka.

Teraz kolej na drugiego:

— Czekaj, Mośku — myśli sobie — kiedyś ty taki biegły w starym testamencie, zajadę ja cię tu inaczej. Pyta się tedy:

— Żydzie, powiedz mi, dla czego Paweł św. napisał drugi swój list do Koryntian?

— Ny, odpowie żyd, napisał dla tego, bo u nich sam nie był. Gdyby tam był, toby im był sam ustnie powiedział, co napisał.

I znowu łaps za półzłotka.

Trzeci z panów, widząc, że żyd zna i nowy testament, pyta: Kto najbardziej przeciąga swą robotę a jednak ją na czas skończy? Odpowie żyd:

— Powroźnik — i znowu chwyta półzłotka.

Tymczasem nadjechali nasi podróżni do jednej wioski, co leżała nie daleko Wisły a jeden zawołał: Jużeśmy w Bielawach, boć to bodaj nie Bielawy!

Więc czwarty z kolei zadaje pytanie:

— W którym miesiącu Bielawianie najmniej jedzą? Żyd odpowie: W lutym, bo ma tylko 28 dni, i znowu ściąga półzłotka.

Piąty mówi:

— Jest dwóch rodzonych braci a tylko jeden jest moim stryjem, który z nich jest nim?

Żyd rzecze:

— Stryjem pańskim jest brat ojca wielmożnego pana, bo ojciec pański już nie może być stryjem.

Wtem pluśnie ryba we wodzie, więc się pyta szósty:

— Które ryby mają oczy najbliżej siebie?

Żyd odpowie: Najmniejsze — i sięga po półzłotka.

Zatem siódmy pytał:

— Jak można w lecie, choć słońce najbardziej piecze, jechać w cieniu z Warszawy do Modlina? Na to żyd: Gdzie nie ma cieniu, to trzeba zejść z konia i iść pieszo. A ósmy pyta:

— Jeśli kto w zimie jedzie z Warszawy do Modlina a zapomniał ze sobą rękawiczek, cóż ma zrobić, aby mu palce nie zmarzły?

— To musi je schować w pięści, wyrywa się żyd. Dziewiąty zaś pyta tak:

— Dla czego piwowar wchodzi do kadzi na kolanach?

— Gdyby kadzie miały drzwi, prawi żyd, toby wszedł na nogach.

Zaś dziesiąty dał pytanie:

— Jak się może pięć osób podzielić pięcioma jajami, co są na talerzu i wprawdzie tak, że każdy dostanie jedno jajo a jednak jedno pozostanie na talerzu?

Żyd odpowiada:

— Ostatni z nich musi wziąść talerz wraz z jajem.

Teraz na żyda przyszła kolej, by zadał pytanie. Zatem żyd znowu kłania się i przeprasza onych panów, że on niby taki głupi, ale gdy go ciekawi coraz więcej naglą, tak nareszcie pyta:

— Jakim sposobem można upiec dwa szczupaki na trzech rądlach, ale tak aby na każdym jeden się piekł całki?

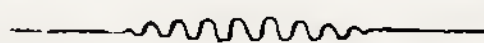
Wszyscy medytują i suszą sobie głowy, ale co nie idzie, to nie idzie; wszystko idzie na wiatr, bo żadna odpowiedź nie trafia. Zatem jeden po drugim daje żydkowi swego półzłotka a żyd nań chuchnie i schowa do kieszeni. Więc teraz mówią żydowi, by odpowiedział na swą zagadkę. Przecież ni prośby ni groźby nic nie pomagają. Żyd upiera się i droży, ogląda się na wszystkie strony, wzdryga ramionami, przewraca oczy i wykrzywia usta a nic nie odpowiada. A gdy się już tak naupierali, odezwie się pan jeden: Powiedzże, Mośku, my ci już nic nie zrobim. Na co zaraz żyd odpowie:

— Ny kiedy tak, to ja zaraz będzie wszystko dobrze zrobić. Zatem żyd wyjmuje jednego z wygranych półzłotków, kładzie go na stolik i mówi: Proszę państwa, ja też nie umiem odpowiedzieć! Tu płacę mego przeznaczonego półzłotka. Niech idzie z Bogiem.

— A niech cię też, niech! — zawołali razem wszyscy panowie.

Aleć nie było i co mówić i wiele się odgrażać, poczęli się wszyscy śmiać do rozpuku, bo i było z czego a byli to zresztą dobrzy i bogaci panowie a więc nie wiele im szło o te pare groszy. Nareszcie statek przypłynął do Warszawy, żydek wyszedł z tłumoczkiem pod pachą i z pieniędzmi w kieszeni, choć jak na statek wsiadł, tylko guzik w niej miał. Zaś tam wasz Bartoś lub Kachna niech wyrachują: ile też ten żydek swym dowcipem zarobił w tej wodnej podróży?

(Sz. N.) *Józef z Przedmieścia.*



RÓŻNOŚCI.

Cudowny środek, aby konie były mocne i tłuste. Wracał Maciej Rydz z lasu i wiózł furę pełną chrustu na płoty. Koniska Macieja były nędzne i zgłodniałe a suche jak trzaska, że wszystkie żebra jak szczeble na drabinie możnaby było porachować, a reszta kości jeno skórą była powleczona. Maciej popędzał konie biczem z całej siły, ale to nie wiele pomagało, chabety co kilka kroków zrobią, to ustaną i jeno im się oczy świecą. Koło chaty Łukasza Włody już ani rusz nie mógł Maciej napędzić koni z miejsca. Krzyczy tedy i bije biczyskiem szkapy aż Łukasz wyszedł z chaty i pyta:

— A wam się co stało Macieju!

— A ot ciężka mi bieda z koniskami — mówi Maciej — nie chcą iść i rady sobie dać nie mogę.

— Ba bo to wasze konie to jeno kość i skóra, takie zbiedzone — mówi na to Łukasz — a pono jeszcze nie stare.

— A nie stare — odpowiada Maciej — ale takie to już przeklęte zdechlaki, że nie wiem co z niemi robić.

— Ano Łukaszu — rzecze Maciej — jak mi pięknie podziękujecie, to wam dam taką radę cudowną, że konie wasze rychło będą takie mocne i tłuste, że i djabła by rozniosly.

— Aj Łukaszu! — woła Maciej — Bóg wam to wynagrodzi. Zlitujcie się a powiedzcie jeno, co mam robić.

— Posłuchajcie tedy — odpowiedział Łukasz — mam ja taki środek cudowny, że konie będą jak katy. Oto pamiętajcie: Weźcie jeno zawsze tego owsa, co go konie nie dojedzą i posmarujcie nim grzywę a powiadam wam, że miesiąc nie minie, a będą tłuste jak gałki a skore jak wiatr.

Maciej podziękował z wielką uciechą Łukaszowi, obiecał że tak zaraz zrobi i pojechał dalej, bo sobie już szkapięta trochę wypoczęły.

Otóż i patrzcie, jak Łukasz powiedział, tak się też stało. Zaledwie dwa miesiące minęło, a konie Macieja były tłuste i mocne i skore, aż miło było patrzeć. Idzie tedy do Łukasza i dziękuje mu za radę, a Łukasz go pyta:

— A więc się nadało moje lekarstwo?

— O powiadam wam, że teraz konie moje takie tęgie, jakich w całej wsi nie ma! — mówi z radością Maciej. Ale wystawcie sobie jeno, żem musiał im sypać całemi workami owsa, aby tyle zostawiły w żłobie, żeby im można niedojedzoną garścią grzbiet posmarować. Kilka dni to ani rusz nie chciały nic zostawić. Aż dopiero później, kiedym owsa nie żałował, jeno sypał jak plewy, to się trochę zostawało w żłobie, i wtedy począłem smarować, a teraz to moje konie takie piękne gdyby pańskie!

Wtedy Łukasz począł się śmiać okrutnie i mówi:

— Otóż widzicie, powiem wam teraz prawdę, że to nie są żadne czary! Każdy koń będzie tłusty jak go kto codziennie pocierać będzie niedojedzonym owsem. Bo jeżeli koń zostawi owies w żłobie, to znak, że się najadł do syta, a jak się naje do syta to będzie i tłusty i mocny. Nie dawaliście Macieju żreć szkapom, to spadały z nóg, a jak zaczęliście im sypać tyle owsa, że aż im w żłobie zostało, to się odpasły! Dawajcie jeno koniom zawsze dosyć jeść, a będą wam robiły każdy za trzy.

Dopiero to Maciej domyślał się wszystkiego i mówi:

— Mądry z was człowiek, nie ma co mówić! A ja głupi myślałem naprawdę, że to czary! — i od tego czasu już dawał koniom dobrze jeść i nie żałował tego, bo miał wielki z tego pożytek.

Bodaj jeno wszyscy byli tacy czarownicy, jak ten mądry Łnkasz!

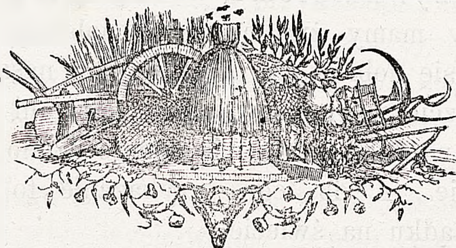
Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom XI. Nr. 15.

21. listopada 1864.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Czwarte przykazanie.

Bardzo często się to dziś zdarza niestety kochani ludkowie, że dzieci rodziców nie szanują. A grzech ten bardzo ciężki, dla którego nie ma i nie będzie błogosławieństwa Boskiego, najczęściej się zdarza między ludem wiejskim. Małe dzieciaki nie chcą słuchać matki, odpowiadają hardo: nie chcę! nie pójdę! nie potrzebuję! zróbcie sobie sami! i t. p. Gorszych i nieprzyzwoitszych odpowiedzi już nie wspomnę, bo strach ich słuchać a cóż dopiero pisać. Większe potem wyrostki ojca i matkę za nic mają, a dorośli synowie ząb za ząb z rodzicami się kłócą. Na tem nie koniec, bo ileż to razy się zdarza, że dzieci na rodziców rękę podnoszą, że starych poniewierają, że im żałują strawy, izdebki i przyodziewku, że ich żebrać zmuszają. A co się to dopiero dzieje, kiedy starzy rodzice synowi lub zięciowi zdadzą gospodarstwo, jakie kłótnie, przekleństwa, obraza Boska, bijatyki, procesa, a często i zabójstwa własnych rodziców. Aż strach pisać, strach pomyśleć, bo z tego kara na takie dzieci przeklęte i kara na cały naród!

Pan Bóg powiedział w czwartem przykazaniu: „Czcij ojca twego i matkę twoją, aby ci się dobrze powodziło i abyś długo żył na ziemi, którą dam tobie.“ Jeżeli więc my Polacy mamy żyć na ziemi polskiej jako na ziemi naszej, i jeżeli się dobrze ma dziać całemu naszemu narodowi, tedy rodziców czcić powinniśmy. Bez tego ani ziemia nie będzie naszą, ani nam się nie będzie dobrze działo, bo Bóg słowa swego nie łamie. A do tego przykazanie to jest podstawą wszelkiego porządku na świecie.

Dom rodzicielki jest dla dziecka pierwszym światem, tu ono się powinno nauczyć wszelkich cnót, których Bóg i ludzie wymagają, a które człowiekowi i narodowi do szczęścia potrzebne. Rodzice powinni od małości dziecko tak kierować, że ono ich wolę uznaje za świętą, że z uszanowaniem słucha ich rozkazów, ale te rozkazy nie powinny być takie, jakie dziś pożal się Boże, ojcowie dzieciom dają, to jest: większą częścią Boga obrażające a bliźnim krzywdę czyniące. Takich rozkazów to jest: grzesznych, niech one pochodzą od kogo chcą, nie powinien nikt wypełniać, rozkazy więc rodziców dla dziatek mają być takie, z których Bogu jest chwała, a samym rodzicom i ich bliźnim pomoc i pociecha a dziatkom pożytek, takie więc rozkazy powinny dziatki święcie wypełniać, a kiedy się takiego posłuszeństwa, uszanowania i wszystkiego dobrego nauczy dziecko w domu rodziców, wtedy i gdy dorośnie będzie umiało w świecie szanować prawa Boskie i ludzkie, będzie człowiekiem, który dla dobra całego narodu potrafi żyć według tego, co dla narodu będzie postanowione i potrzebne. Jeżeli zaś rodziców nie szanuje i nie słucha i w tem wzrośnie, kogoż więc będzie słuchało? Natenczas stanie się rozpustnikiem, nieczciwiarą i zdrajcą, siebie jedynie miłować będzie na świecie.

A więc dla dobra całego narodu i świata postanowione jest czwartem przykazaniem uszanowanie rodziców, jako pierwszy początek uległości wyższej woli, jako szkoła do uszanowania prawa i poskromienia siebie dla dobra narodowej całości. Słusznie więc powiedzieć można, że gdyby ludzie czwartego przykazania się wyrzekli, natenczas skończyłoby się wszystko, ustałby wszelki porządek, ludzie obok siebie i razem nie mo-

gliby żyć bespiecznie, lecz by było jak między zwierzętami drapieżnemi: kto mocniejszy, ten lepszy!

Bez zachowania czwartego przykazania, bez czci dla ojca i matki ludzie nie mogliby długo żyć, ani by im się nie mogło dobrze dziać, gdyż ani swego życia ani majątku żaden nie byłby pewien i żaden naród nie byłby narodem, bo by się kupy nie trzymał, nie szanując starszyzny swojej, nie szanując woli narodu i jego praw. Taki to wielki obowiązek spoczywa na rodzicach, a więc wychowujmy dziatki żeby nas szanowały, tak jak to ów dobry syn szanował ojca swego, o którym nie dawno w ósmym numerku Dzwonka czytaliśmy. Ja wam także na podobieństwo tamtego, o drugim takim dobrym synie w krótkości opowiem.

Otóż za dawnych czasów kiedy syn był nieposłuszny rodzicom, to go oddali do wojska i ztąd też bywało mawiano, że kto nie słucha ojca i matki, ten niechaj słucha skóry wojańskiego bębna, w ten czas więc nikt do wojska sam się nie stawił, ale łapano chłopaków nocą. Był też jeszcze inny sposób a ten się nazywał werbunek i był taki, że oficerowie jeździli po miastach i młodych ludzi sobie namawiali, podkupywali lub gwałtem z nienacka chwytali. I przytrafiło się, że do jednego takiego oficera który grube pieniądze obiecywał tym, którzy do niego przystaną, przyszedł pewien młodzieniec bardzo porządny, a drząc z wystraszenia jakiegoś, sam mu się ofiarował za żołnierza. Oficer jakoś mu nie dowierzał. Wypłaciwszy przecież obiecywane pieniędze szedł za nim z daleka i patrzał co ten z pieniądzmi zrobi, o które tak mu jakoś bardzo chodziło. Aż patrzy a on młodzieniec idzie prosto do więzienia i wykupuje z niego swego ojca, który tam siedział za dług.

Nie chciał ojcu powiedzieć, zkąd do grosza przyszedł, aż dopiero kiedy ojciec począł się obawiać, czy go niepoczciwym sposobem syn nie nabył, całą rzecz ojcu wyjawił. Dopiero ojciec w płacz i ani słuchać nie chciał o takiej wolności, za którą by się syn zaprzedał. Syn także w płacz i prożby.

— Ojcze kochany — powiada — toć na nas dzieci miałeś tyle wydatków, za nas siedzisz w więzieniu, więc pozwól, niech ja ci się odwdzięczę!

Byliby jeszcze długo płakali nad sobą, gdyby nie ów poczciwy oficer, który się też na taki piękny przykład miłości rozczulił i pieniądze darował a takiego syna ojcu wziąć nie chciał.

Czytamy także o Bolesławie, królu polskim, że on swego zmarłego ojca nosił obraz na piersiach swoich, a przed każdem ważnem przedsięwzięciem zwykł się był w niego wpatrywać, i całując go mawiał:

— Dalekiem niech będzie odemnie, mój ojcze drogi! abym miał cokolwiek przedsięwziąć albo wykonać, co by się sprzeciwiało czci imienia twego!

O! jakże pięknem musiało być wychowanie jego, a jak skuteczniejszy wpływ musiał na niego wywierać nad obraz przykład żyjącego jeszcze ojca!

A więc wychowujmy dziatki nasze tak, żeby się pomnażały w łasce i mądrości u Boga i ludzi, ażeby gdy urosną, żyły Bogu na chwałę, nam na pociechę a bliźnim na pożytek, żeby się strzegły drogi nieprawej a chodziły jedynie drogą sprawiedliwości, bo mówi pismo święte, że tylko „sprawiedliwość wywyższa naród a wszelki grzech czyni ludzi mizernymi.“

Nadesłał: *Juliusz Ligoń.*

Krwawe żniwo.

W pewnej wiosce przed laty,
Żył gospodarz bogaty,
Miał najlepsze i łąki i role.
Więc w ostatniej godzinie,
Gdy syn stanął przy synie,
Tak oznajmił ostatnią swą wolę:

— Nic nie wezmę do grobu,
Pragnę szczęścia dla obu,
Zaś spokoju wiecznego dla siebie
Nie szarpcie się chciwością,
Jako z jedną psy kością,
Ale każdy niech weźmie po glebie.

Za nic wola ojcowa,
Bo brat starszy te słowa
Rzekł do siebie: — Dość kurce na grzędzie,
Lecz na jednej ja glebie,
Kij dziadowski wygrzebię.
Lepiej jeden niech obie posiędzie. —

I gdy wyszli z pługami,
Odorać się miedzami,
Zabił brat młodszego kłonicą,
I pochował go w ziemi,
I rękami krwawemi
Pole zorał i zasiał pszenicą...

A przed ludźmi jak święty
Gorzkie płakał lamenty:
Że mu w nocy brat wlazł do komory,
Że skradł wszystkie dukaty,
I że uciekł gdzieś z chaty,
Gdzieś daleko, rozbijać, na bory...

Na te żale i skargi,
Ten, ów, bąknął przez wargi
Jakieś słówko, i główką coś kręci.
Ten, ów zęby zacina,
A młodszego wspomina,
Dopóki im nie wyszedł z pamięci...

Już i zboże zakwita,
Nikt o brata nie pyta,
Starszy z wielkiej radości aż skacze.
Jedna tylko pszenica
Straszy brata dziedzica...
Krwawym kłosem faluje po łanie...

Już nadeszło i żniwo,
Starszy młóci co żywo,
Krwawe ziarna padają z bijaka.
Poszło ziarno do młyna,
Sypie mąka się siwa,
Jak z krwi suchej djabelska tabaka.

Już i chleb się rumieni,
Krwawiej słońca w jesieni.

Bladeć ono przy takiem bochenku...
Starszy brat go rozkrawa,
Bucha para zeń krwawa,
Aż się krwawo zapocił nóż w ręku...

Padła bratu na lice,
Krwawa plama w źrenicę,
Przegryzła się przez skórę do serca...
Wnet strętwiały mu zęby,
I w wężowe się kłęby
Skurczył, zwinął, i skonał morderca.

Bo gdy w piersi otchłanie,
Krwi się kropla dostanie,
Z czarnej zbrodni owoców, choć jedna,
Sumienie się ocuca
I krew za krew wyrzuca
Jako morze czerwone beze dna...

Czarna dusza drży, wyje,
Fala krwawa w nią bije.
Chlusta w gardło, łaskocze i drażni,
Aż dopóki szatani,
Z ciemnych piekieł wysłani,
Nie wywloką tonącej z tej łaźni...

Mateusz Gralewski.

Raz kozie śmierć!

Opowiedział Janek z Bielca.

I.

We wsi Bolczyce, jesienią w niedzielny ranek, na ławeczce przed chałupą, siedział Janek Palczak, szepcząc pacierze. Obok niego leżała czapka, bo uszanowanie przynależy każdej modlitwie, a włos siwy, gęsty — spadający po obu stronach twarzy jaśniejącej dobrocią i rozumem, przy smagłości wzrostu, i mimo lat podeszłych czerstwości zdrowia Janka, nadawał mu postać jakby patryarchy, szanowanego i kochanego przez wszystkich. Na niebie rumieniły się obłoki od promieni wschodzącego słońca,

w powietrzu rozlegał się spiew ptaszyn, witających dzień Boży; po ziemi przesuwały się małe tumany mgły jesiennej, skroplając się w rosę na trawie i liściach; tu i owdzie odzywało się pianie koguta, a na dachu gruchały gołębie, ciekawie wychylając łepki ku Jankowi. Wszystko zapowiadało dzień ciepły i pogodny, co to raduje i cieszy każde stworzenie Boże, i mimowoli podnosi myśl i serce ku Stworzycielowi tych cudów, jakiemi otoczył grzesznego człowieka. Widok pięknej natury, widać że w Janku obudził podobne myśli, bo wzniosłszy oczy ku Niebu, westchnął pobożnie, ale w tej chwili skrzypnęły drzwi od pobliskiego domostwa, i wyskoczywszy z niej, jakby w tańcu, świątecznie przybrany włościanin, brzęknął podkówkami i ochrypłym zaśpiewał głosem:

Stalóweczki, podkóweczki,
Pobrzękujcie dla dzieweczki;
Bo dzieweczka — jako kwiat,
A kieliszek — cały świat!

Za nim wysunęła się kobieta, także z paradą przybrana, i klaszcząc w ręce, podrygała w takt spiewowi. Było to małżeństwo Marcinowie, gospodarze miejscowi, ludzie nie ostatnio się mający i lubiący niezmiernie wszelkie pohulanki. Wracali ze chrzcin i do dnia przeciągnąwszy zabawę, umyślnie z takim spiewem wyruszyli z izby, aby pokazać wsi całej, jak się wesoło bawili przez noc i jąka jest ich zamożność, że sobie mogą na takie zbytki pozwalać. Jak więc spiewał Marcin, to Marcinowa podrygała; jak Marcinowa spiew zawodziła, to Marcin pokrzykiwał hu-ha! — i taczając się tak i popychając, wlekli się przez błonie, zwracając oczy wszystkich na siebie. Chociaż niejeden patrząc na nich, odwracał się z niechęcią od takiego zbytku, co człowieka przemienia na dziwowisko, jednak byli i tacy, co zazdrośnem na nich spoglądali okiem, i jak to mówią, tylko łykali ślinkę. Do ostatnich należał Antek syn Janka Palczaka; usłyszawszy bowiem wesołe spiewy, szybko wyszedł z obory, gdzie się zaprzątał około bydła, posłuchał piosenki z uśmiechem, i potem jakby z żalem rzekł do ojca:

— Nie ma to jak bogaczom! naje się, napije, wytańczy, a potem spi aż znowu do drugiej uciechy. Marcinowie mają

rozum nie tak jak drudzy, co to w pracy dzień po dniu, w spoczynku ledwo w święto, a w uciesze raz albo dwa razy najwięcej w roku.

I rzekłszy to, westchnął smutnie i oczami pogonił za Marcinami.

— Moje dziecko — odezwał się po chwili Janek — we wszystkiem powinna być miara. Praca bez spoczynku wprędce zabija człowieka, lecz ciągła zabawa nudzi. Bóg przez sześć dni pracował nad stworzeniem świata, a siódmego dopiero odpoczął. Człowiek tak samo robić powinien. Marcin wszystko robi przeciwnie, i jak się nie odmieni, to musi źle z nim wypaść. Zabawa, moje dziecko, żyje tem, co praca przysporzy; jak zaś więcej zabawy niż pracy, czyli więcej wydatku jak przychodu, to w końcu muszą przyjść łachmany, a z niemi nędza, hultajstwo i pijaństwo. Zbytkowanie tak się zawsze kończy, i Marcinów to samo czeka, jeżeli się nie upamiętają. Przyjdą zapusty, to się wytańczysz i nacieszysz co sobota w karczmie, a dziś moje dziecko ogarnij się, bo pójdziemy do kościoła, a jutro pójdziemy z rydlem do roboty; dobrze że zarobisz na buty przed zimą. Zarobku, chociażby w największem bogactwie, zawsze szukać należy, bo praca młodości, ulga w starości. Staremu zaś wierz, moje dziecko, bo stare oczy wiele widziały, a stara głowa dużo pamięta.

— Ja wam wierzę, mój ojcze — odrzekł na to Antek, i rzuciwszy raz jeszcze okiem i uchem ku Marcinom, z szumem w głowie dochodzącym do chałupy, wszedł do obory, ukończyć w niej przerwaną robotę.

II.

Na drugi dzień u Janka wszyscy krzątali się w pracy, Antek z siostrą Marysią byli na zarobku, a Janek z kobietą opędzali się robocie w domu. U Marcinów działo się wszystko przeciwnie. Marcin siedział na skrzyni i trzymał się za głowę, Marcinowa postępując, skrzywiona jak nieszczęście wałęsała się od kąta do kąta; że zaś chłopak poszedł dowlec posiewu, w domu więc wszystko stało w zaniedbaniu. Ani ognia na kominie, ani wody w statkach, ani porządku w izbie, i we wszy-

stkiem takie widać było opuszczenie, że nawet kotowi naprzykrzyło się, bo siedząc na piecu darł się niemiłosiernie różnemi głosami.

— A bodajeś z kości opadł! — zawołał Marcin, rzucając wałkiem w kota; — drze się jak nieszczęście....

Wałek minął kota a uderzył w garnek pełen pierzy i pierzem i skorupami napełniła się cała izba.

— Marcin! a ty co dokazujesz? — zawołała Marcinowa — cały rok zbierała pierze, a teraz odrazu wszystko pójdzie z wiatrem....

— To niech idzie — odrzekł Marcin — miałbym też o co sobie głowę psować, ale o marne pióra... Ale wiesz Basiu, jakoś nudzi... żeby tak przepalanki...

— Tobie przepalanka, a mnie pierze w głowie; daj mi pokój, pijaku...

— Nie zadawaj mi Basiu pijaństwa — odrzekł urażony Marcin, — bom na czczo jeszcze.

— Ale ci szumi po wczorajszem, kiedy bez potrzeby tłuczesz garnki.

— Szumi bo szumi, alem przy rozumie i przytomności, i kiedy nie chcesz poratować, to sam pójdę do karczmy...

I rzekłszy to, Marcin dźwignął się ze skrzyni, ale zaledwie stanął na nogach, wnet stracił równowagę, zatoczył się i wpadł całem ramieniem na okno. Brzęknęły szyby, wyleciały ramy, a Marcin stuknąwszy porządnie głową, skulił ją ku ramionom, zatoczył się powtórnie w okno z takim pędem, że gdyby nie Marcinowa, co go przytrzymała za nogi, byłby pewnie z drugiej strony okna chlapnął w kałużę.

— A ty co dokazujesz! — zawołała Marcinowa, — siedź ot i nie ruszaj się, kiedy ci nogi nie statkują. Zmarnowałeś pierze, a teraz okno; jak tak pójdzie dalej, to się niczemu nie dasz ostać w chałupie.

— Co tam, moje dziecko, raz kozie śmierć! ani pierze, ani okno nie wieczność; człowiek na nie pracuje, a nie one na człowieka. Ale wygarnąłbym jaki kieliszek... tak mi zimno...

— Sięgnij za skrzynię, to znajdziesz flaszkę; tylko ostrożnie, żebyś łbem nie padł na ziemię.

— Nie bój się, — odrzekł Marcin, z takim pośpiechem nachylił się, że gdyby nie ściana, byłby pewnie cały wsunął się za skrzynię. Tym jednak razem wielkiej szkody nie zrobił, tylko zrzucił dwa obrazy ze ściany, i zdarł sobie skórę z policzka. Kiedy Marcinowa spojrzała na męża, jak do światła przyglądał się flaszce, klasnęła w ręce i zawołała z największem przerażeniem:

— A tobie co się z twarzą stało? cały krwią zbroczony... co ty dokazujesz?

— Co tam moja Basiu! raz kozie śmierć! pysk się zagoi i zawsze pyskiem będzie, a co się człowiek pokrzepi to popokrzepi. Daj ci Boże zdrowie!

— Pij z Bogiem — odrzekła Marcinowa, zakładając ręce — może ci się po gorzałce jako odmieni...

— Odmieni, moje dziecko, odmieni — odrzekł Marcin, podając żonie nalany kieliszek, i w tej samej chwili zatoczył się tak silnie, że grzmotnął w szafę, a ta z łoskotem zatrzęsła się i ze wszystkiemi garnkami, miskami, łyżkami runęła na ziemię, druzgocąc szafliki w kawałki.

— A to ci się dopiero odmieniło! — wrzasnęła Marcinowa, chwytając się za głowę. — A mój Boże, tyle szkody, tyle marnotrawstwa!...

— Moje dziecko, raz kozie śmierć! nie żałuj... nie żałuj... skorupa marność...

— Ale równie pieniądz kosztuje...

— Co tam, moje dziecko, powiadam ci, raz kozie śmierć i basta!... uściśnij mnie Basiu!...

I mówiąc to, podsunął się ku żonie, ale się zatoczył i padł ns łóżko.

— No! już leż tam — odezwała się Marcinowa, — bo jakoś zabawa tą razą nie poszła ci ręką.

— Urok, moja Basiu, urok ktoś na mnie rzucił, bo jakoś i rozum i język statkują, a nogi każda idzie inną drogą.

— A może być że to urzeczenie — odrzekła Marcinowa, — bo ludzie strasznie zazdrośni.

— A Palczakowie starzy najpierwsi, — dodał Marcin, — chciwe to, zazdrosne, za zarobkiem to by w ogień poszli. Ró-

wnie trzeba sobie wypocząć, bo na przyszłą niedzielę pójdziemy na poprawiny, a potem u Matusów szykuje się wesele i nas na pewno nie minie, bo wiedzą ludzie, że się mamy nie ostatnio i lubimy ludziom usłużyć.

— Dobra to uciecha — odrzekła Marcinowa wzdychając. — ale równie opuszczenie w domu...

— Co tam opuszczenie! czy to u nas pusto w stodole, albo w oborze, albo w komorze. Raz kozie śmierć, moje dziecko, a co człowiek się zabawi to zabawi. Jak braknie grosza, to jak się chwycę temi oto rękami pracy, to robota tylko furczyć będzie; o!. patrzaj...

I rzekłszy to Marcim zaczął machać rękami z takim zapałem, że zerwał ze ściany trzy obrazy ze świętemi.

— A dla Boga! czyś opętany? ustatkujże się — wrzasnęła Marcinowa.

— Co mam statkować? cóż to? czy ja pijany, czy co? Nie frasuj się, moje dziecko, na jarmarku kupimy nowe garczki i inne obrazy; stać na to; raz kozie śmierć, i juści!...

— Ja nie koza — szepnęła na wpół spiąca Marcinowa, i pochyliwszy głowę na łóżko, wkrótce głośno zachrapała. Marcin usłyszawszy to pobzdurzył jeszcze troszkę, zerwał resztę obrazów ze ściany, przewrócił się na bok, i począł takie chrapanie, że w izbie tylko burczało, jak grzmoty podczas burzy. W sieni zaś z głodu gęgały gęsi, kwiczały dwa wieprzki, ryczała krowa nie wypuszczona na paszę; a kiedy syn wrócił na południe do domu, nie zastał ani obroku przygotowanego, ani ugotowanego obiadu i zaledwie się rodziców dobudził.

III.

Jak Marcinowie uradzili, tak zrobili. Byli na poprawinach, potem na weselu jednem i drugiem, w zapusty zabawiali się jak tylko mogli, a w gospodarstwie szło wszystko w opuszcznie. Z głodu dobytek marniał, statki niszczały, budynki upadły, a Marcin ciągle powtarzał: raz kozie śmierć! i dalej z Marcinową do kieliszka, bo klin najlepiej klinem wybijać. A że tych klinów z gorzałki dosyć bywało często, a o pracy i o zarobku

żadne z nich nie pomyślało, więc przednowek, czego dawniej nigdy się nie zdarzyło, zajrzał do chałupy Marcinów.

— Mój Marcinie — odezwała się żona — ostatnią ćwiartkę zboża zaniosłam do młyna, a tu do nowego daleko. Nie wiem też co to znaczy, że nam się jakoś tego roku nie poszykowało.

— Urzeczenie, moja Basiu, urzeczenie, ale niechno się chwycę pracy, to...

— Tylko Marcinie z rozumem machaj rękami — przerwała Marcinowa, widząc, że mąż zatrząsł niemi jak z oparzenia — bo znowu zwalisz co na ziemię.

— Ej! nie o tem mowa. Oto Walkowie prosili nas na wesele, wymówić się nie wypada. Sprzedajmy więc wieprzka, a z pieniędzy za niego, kupiemy prosiaka i żyta na chleb. Wiśniocha także wielkie starzysko, to ją trzeba oddać w cudze ręce, zbierze się więc grosza i wystarczy na wszystko, a na weselu być wypada.

— Żawsze to jednak wydatek! — szepnęła Marcinowa, a Marcin odrzekł z wesołością:

— Co tam wydatek! raz kozie śmierć, i juścić, a we frasunku zabawa jedyną pociechą!

Sprzedali więc krowę i wieprzka, kupili żyta, ucieszyli się na weselu, że potem coś z tydzień do niczego się zabrać nie mogli, a gdy podchowali gęsi i przedali, Marcinowa zastawiła korale, dosyć, że zebrali coś przeszło sto złotych i postanowili kupić krowę i prosię. Zaczęli więc jarmarkować i z miasteczka ruszać do miasteczka, bo nigdzie jakoś bydlęcia nie mogli upatrzyć podług swego życzenia. Ta nie miała rogów, u innej znowu były bardzo kończaste, inna z sierści nie wyglądała ładnie, o inną znów rozeszli się o złotówkę albo o lidkup; dosyć, że zeszło ze cztery tygodnie, a krowy jak nie było, tak nie było. A tu każdy jarmark choć złotówkę to wyciągnął z mieszka, a mitręga także wiele znaczy, więc strata szła za stratą. Ale Marcinowie składali to wszystko nie na siebie, tylko na urzeczenie, albo na chciwość ludzką, że o marną rzecz nie przybili targu.

Ale raz w miasteczku na samem wyjezdnem, spotkali się z kumem Bartłomiejem, gajowym, z którym bardzo się dawno

nie widzieli. Więc stuknęli kieliszkami, kwaterka poszła za kwaterką, i niedługo tak się obąbali, że i kum i Marcinowie chwiali się na nogach, jak młoda topola, kiedy nią wiatr pomiata. Z rezonem, z pośpiewywaniem, wziąwszy kuma na wóz dla podwiezienia, wyruszyli wreszcie z miasteczka, ale że szkapska strasznie były zbiedzone, więc wlokły się jakby nie na swoich nogach. Marcin gniewał się, wykręcał batem, szarpał lejcami, walił biczyskiem że aż żebra chrobotały, wóz jednak wlókł się jak ze smołą.

— Jakoś konie mój kumie, strasznie wam falują — odezwał się Bartłomiej, — idą jak raki.

— Co? jak raki! — zabełkotał Marcin, — poczekajcie, przyjdzie z góry, to wam tylko warczyć będzie koło uszów.

— Tak, i wywalicie nas gdzie do rowu.

— Albo to prawda! czy to ja nie parobczak? — i Marcin zaspiewał:

Na polu, przy łące,
Konie się zbrykały;
I póty latały,
Aż się wybrykały.

Jak Marcin skończył, zawiodła zaraz Marcinowa:

Z przyjacielem sprawa,
Najlepsza zabawa:
Bo serce nacieszy,
I uszy pocieszy.

— Ot! już na górze jesteśmy, — zawołał w tej chwili Marcin; trzymajcie się kumie! — i nuż szkapy okładać batem co tylko wlazło. Wóz zaczął się spuszczać, a że góra dosyć była przykra, wię wkrótce i wóz i konie zaczęły pędzić na złamanie karku.

— Ostrożnie, kumie, — jąkając się, rzekł Bartłomiej, — bo wóz leci strasznie samopas.

— Nie bójcie się, nic wam nie będzie, — odrzekł Marcin, i smagając konie, zaczął spiewać! — oj! da dana dana, dana!

Marcinowa nie chcąc także w tyle zostać za mężem, również rozpoczęła spiewanie, ale zaledwie zawiodła:

Hejże moja po krakowsku,
Z sandomierska...

wóz latając to w prawo, to w lewo, nagle uderzył o kamień, wybiegł na grebę, nachylił się, Marcinowa wrzasnęła i w oka mgnieniu wóz cały z garnkami, z kaszą, końmi i ludźmi wpadł w dół wybrany na glinę, pełen deszczowej wody, porośnięty z drugiej strony kolącą tarniną.

— Hu! ha! z sandomierska! — wrzeszczał Marcin, lecąc powietrzem wprost łbem na tarninę. Za nim chlapnęła w wodę Marcinowa, za nią Bartłomiej, a potem garnki, kasza, słoma, kukiełki, sól, różne rupiecie, że tylko chlupło, stękło i chrobotnęło się. Ale w tym wywrocie oprócz szkody i bolu była i śmieszność, bo kiedy Marcin mruczał i przeklinał uwikłany włosami w tarninie, Marcinowa na przemian wrzeszczała i stękała, bo tak jej ciężał na plecach siedzący Bartłomiej.

— Basiu! pomóż-no — mruczał Marcin — bo się czupryną uwikłałem w tarninie i żadnej nie mogę dać rady.

— Marcinie! ratuj! — wrzeszczała Marcinowa — bo kum mnie chyba uduszą. Kumie, umykajcie, czyście nieżywi?

— Kiedy żadnym sposobem wstać nie mogę — odrzekł Bartłomiej, siedząc na plecach Marcinowej jak na koniu — co ruszę nogami, to mi się w glinie obślizgują; kumie poratujcie!

— Ale, poratujcie — odrzekł Marcin — kiedy tarnina tak mnie za łeb trzyma, że ani troszkę nie chce popuścić.

— Namknijcie się, kumie — stękała Marcinowa — już ani tchu złapać nie mogę.

— A gdzież się umknę, kiedy w koluśko woda? — zapytał Bartłomiej, zawsze siedząc na plecach Marcinowej, która sapiąc z ciężaru, rzekła z gniewem:

— Czyście wy oszaleli, czy co? siedzi na plecach moich jak na ławie, a ja się babrzę w wodzie jak nieboskie stworzenie. Umykajcie, bo was zaklnę...

— Klnijcie, nie klnijcie, to mi wszystko równo, a co się nie namknę, to się nie namknę; co mi za niewola!

— Marcin! chodź-no tu do tego pijaka.

— Co, ja pijak? — wrzasnął Bartłomiej z największą złością — to ty pijak... ty pijak!.. — i myśląc że siedzi przy stole, bęcnął raz i drugi w plecy Marcinową.

— Jezus, Marya! — wrzasnęła Marcinowa — Marcinie ratuj! bo ten pijak mnie zabije...

— Zaraz, zaraz, tylko czuprynę wydrę z tarniny — mruknął Marcin, gdy Bartłomiej nie marnował czasu i ciągle mówiąc: „ja nie pijak!" bębnił pięściami na plecach Marcinowej, jak dobosz pałkami na bębnie. Że zaś wszyscy troje byli tęgo spici, więc od słowa do słowa zaczęli się kłócić, Bartłomiej bębnił, a Marcin wyciągał głowę z tarniny. Wreszcie Bartłomiej odpowiadając na odgróżki Marcina, zachwiał się i zsunął z pleców Marcinowej. Marcin zaś w tej chwili wywikłał czuprynę z krzaku; że mu zaś kum jakąś przymówką strasznie przygryzł, więc ostro poskoczył ku niemu, i byłaby się niezawodnie zażarta rozpoczęła bitka, ale na szczęście Marcin zawadził o kamień i wpadł na ziemię jak długi. Wygrażali wprawdzie potem do siebie pięściami, wyrzucali w górę nogami, ale nie mogli siebie już dosięgnąć, i radzi nie radzi musieli poprzestać na wymysłach i odgróżkach Kiedy przy pomocy nareszcie Marcinowej i przechodzącego jakiegoś człowieka, wszystko wróciło do ładu, Marcinowie wgramolili się wreszcie na wóz, zostawiając w kałuży wszystkie garnki, kaszę, kukiełki i kuma na grębie, i potyrbali się ku domowi, obiecując pokrzepić się po wywrocie i frasunku w karczmie na Wygodzie.

Co się dalej z nimi działo, opowiemy wam w następującym numerku Dzwonka.

RÓŻNOŚCI.

Złamana podkowa. Powracał Michał z swoim synem Jaśkiem z miasta. Dzień był gorący a słońce doskwierało do żywego, więc się też obaj niemało strudzili. Kiedy tak idą powoli, patrzą, a tu na drodze leży pół złamanej podkowy.

— Jaśku, podejm-no podkowę, bo szkoda ją zostawić. I to się przyda na coś — mówi ojciec.

— Ej, co wam pan Bóg dał, tatusiu — mówi Jasiek — a przecież to kawałątko żelaziwa nie warta i grajcara. Szkoda się nawet chylać.

Ojciec na to nic nie odpowiedział, jeno nachylił się sam ku ziemi i podjął złamaną podkowę. Szli potem dalej, a na drodze przechodzili mimo chaty kowala. Ojciec wstąpił do kuźni i przedał kowalowi znalezioną podkowę za grajcar.

— O toście się zbogacili tatusiu! — mówi Jasiek ze śmiechem — toć to nawet podejmować i dźwigać tego, żelaziwa niewarto było za 1 grajcar.

Ale ojciec nic na to nie mówił jeno kupił po drodze za ten grajcar jagód Idą dalej, ojciec zajada jedną jagodę po drugiej, a Jaśkowi ślinka aż biegnie do gęby, jeno się wstydzi przymawiać. Zaś ojciec jedząc jagody, rzucił jedną umyślnie na ziemię.

Ledwo to ujrzał Jasiek, zaraz się pochylił i podjął jagodę. O kilka kroków rzucił ojciec drugą jagodę niby niechcący na ziemię, a Jasiek znowu schylił się, podjął i zjadł ze smakiem. I tak co kilkanaście kroków rzucał ojciec przez całą drogę po jednej jagodzie na ziemię, a Jasiek za każdym razem skwapliwie ją podnosił.

Kiedy już takim sposobem niestało jagód, wtedy rzecze ojciec do syna:

— Widzisz Jaśku! Po złamaną podkowę nie chciałeś się ani razu nachylić, mówiąc, że to niewarta, a po jagody, com je za podkowę kupił, chylałeś się do ziemi choć z jakie półkopy razy!

Jasiek się zawstydził bardzo, i skrobiąc się w głowę nic nie odpowiadał. Ojciec zaś mówił dalej:

— Nigdy to mój synu nie trza pogardzać małem, bo i najdrobniejsza rzecz ma swoją wartość i przyda się na coś człowiekowi! Mówią ludzie, *że ziarnko do ziarnka, będzie miarka* i świętą prawdę mają. Kto nie umie szanować drobnych rzeczy, ten wielkich nigdy mieć nie będzie! Przez lenistwo nie chciałeś się schylić po złamaną podkowę, jeno grajcar była warta, a jak kupiłem za ten grajcar jagód, to się każdą jagódkę kwapiłeś podjąć z ziemi. Pamiętaj sobie to zawsze:

Kto z małego robi żarty,
Ten i większego nie warty!

Pomyłka. Kiedym wam pisał o tym nowym pięknym kalendarzu dla ludu polskiego, co wydrukowany został w Warszawie, to wam powiedziałem, że kosztuje 40 grajcarów. Była to pomyłka. Kalendarzyk ten kosztuje troszkę więcej, bo o 5 grajcarków drożej, a więc nie 40 jeno 45 grajcarków. Dostać go zaś można we Lwowie u p. księgarza Wilda, albo też i w innych miastach w księgarniach za te pieniądze. A powtarzam wam to raz jeszcze, że kalendarz ten bardzo piękny i dużo w nim obrazków.

STARA PRZYPOWIEŚĆ.

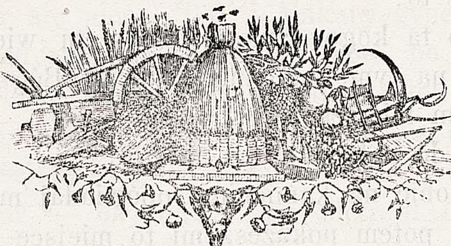
Gadać z głupim człowiekiem, mrugać na ślepego, pić z próżnego naczynia, w piecu suszyć lody, twardą skałę uprawiać, w lesie łowić ryby, wodą gasić słońce, kozła doić, łysego golić, cegłę myć, cygana bielić, wiatr do skrzyni chować, i starą babę do tańca napędzać, to daremna robota.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom XI. **Nr. 16.**

1. grudnia **1864.**





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Skała we wsi Spasie.

Każdy wie to dobrze i widzi na własne oczy, jakie góry wysokie porobił Pan Bóg między polskim krajem a Węgrami. Gdy się popatrzysz ku południowi, to widzisz góry na góry i sine lasy, a gdybyś chciał pójść do Węgier, gdzie to rośnie wino, to byś się dobrze zadychał, nim byś te góry przeszedł.

Otóż nie daleko Sambora leży między takiemi górami wieś jedna, co się zowie Spas, a w tej wsi stoi kamień wielki, gdyby jaka dzwonnica, dokoła porosły mchem, ni to trawą drobniutką, a jest on na samym wierzchołku równy i szeroki, że można tam sobie siedzieć i patrzyć daleko na świat boży. Otóż ja przejeżdżałem tamtędy i zebrała mię ciekawość wielka pójść i zobaczyć ten kamień.

Przychydzę tam i patrzę do góry, aż mi kapelusz zleciał z głowy i nuż ja na ten kamień leźć i leźć, aż za pomocą Boga wydrapałem się do góry i usiadłem sobie. Wtem wylazł tam także jeden chłopak i powitaliśmy się jako polacy i katolicy, a ja go zapytałem:

— A nie wiesz ty chłopaczku! czy tu nie ma we wsi pamiętnika jakiego o tym kamieniu?

A on mi na to:

— A na co ta kogo szukać, kiedy tu wie każdy, co to się porobiło raz na tym kamieniu, i jak tu Bóg pokarał kmiecego syna na tem miejscu.

A ja zaraz do chłopaka tak mówię:

— Siadaj sobie na kamieniu i opowiadaj mi to wszystko, co jeno wiesz, a potem pokażesz mi to miejsce kary ożej na tym kmiecym synu i jak to było.

Chłopak sobie usiadł i jął opowiadać:

— Tu w tej wsi, tam na górce w sadzie, był gazda Iwan Kocurek, a był to gazda co się zowie, bogaty i robotnik do wszystkiego, jak ulał. Co jeno wziął do ręki, to zrobił jakby jaki majster a orał i siał, jak we dworze jakim. To też miał chleba na stole i w stodole, na oborze i w komorze, a pieniędzy i w skrzyni i kieszeni, coby był zapłacił nie jednego pana z całym dworem i gumnami. Zwyczajnie był pobożnym i miłosiernym, pracowitym i nie pijakiem, to mu też Bóg sypał jak z wora jakiego wszystko. A żona jego to jeszcze lepsza, bo cała gromada nasza pamięta ją do dziś, a na jakie 3 mile gadają ludzie wszystko dobre o niej. Choć ta już pomarli dawno, to ich tu każdy pamięta i zmówi paciorek za nimi. A nawet ten kamień nie żywy pamięta ich synalka, co to był ladaco znowu, aż żal o tem gadać.

A ja ciekawy pytam zaraz:

— No! cóż on takiego zrobił? boć przecie dobry ojciec i dobra matka powinni wychować dobre dzieci, a ty mi gadasz, że tacy pobożni ojcowie mieli syna ostatniego draba. A to co znowu?

— Ha! — powiadał mi dalej, — jakoś się porobiło tak, że ojcowie byli miodem dla każdego, a chwałą dla Boga, syn znowu był paskudą i urwipołciem ni do Boga ni do ludzi.

A ja zagadałem na to:

— A co też stary Iwan na to i matka sama?

— A coby robili — rzecze chłopak — krzyczeli, bili, łajali, co jeno mogli, ale jegomość wiedzą, że z błota nie ulepi dobrego

pieca, jeno trza do tego dobrej gliny i plewy lub słomy i trza jeszcze nogami i rękami wymięszać na wszystkie boki, a dopiero wtedy uda się piec. Toż i Makary synek był już taki z rodu i chodu od stóp do głowy jak błoto, bo się walał i tałał za młodu po błocie, a prędzej napotkał go człek przy karczmie, niż przy robocie, prędzej u arendarza niż na nauce u bakałarza. A do kościoła to go trza było za łeb i to na powrozie dobrym prowadzić — on nigdy sam nietrafił do kościoła w biały dzień, ale do karczmy to trafił i o północy. Nie raz wołała matk: Makary! Makary! a na to ojciec stary do niej: Ta idź do arendarza, to on ci powie, gdzie twój synek.

A ja powiadam:

— A czyż to nie było już sposobu na takiego hultaja aby go poprawić, albo czy nie było już kija i kary na to, aby taki młodzik dał się nauczyć?

A ów chłopak mi gada:

— Na co tu było kary szukać daleko, kiedy ją Bóg sam miał przy sobie — a jak Bóg chce pokarać kogo, to drżyj nieboże, bo cię niestanie i marne twe panowanie, a wtedy i żal nie pomoże! Otóż co ojciec Iwan i sama matka i gromada nie poradzili, to poradził sam Bóg. Jak sobie głupi Makaruś brykał i brykał, to za niego stary ojciec robił w chałupie i jakoś trzymał się chleb domu — ale jak stary Iwan i Iwanowa pomarli, to Makaruś w arendzie spiewa, a w domu jego ani soli, ani chleba nie ma — Makaruś sobie tańcuje, a w domu bieda gazduje — Makaruś nic nie robi i nie sieje, a za to kąkol z pokrzywą się cieszy i śmieje. I tak widzi jegomość za 3 roczków, jak wyniósł z domu i z gruntu całego, ani tam krowiny, ani chleba odrobiny, ani łacha poczciwego, ani obuwia dobrego, jeno za to arendarz zbogacił się niezmiernie. A nasz panicz Makaruś zeszedł na ostatnią biedę i stał się łajdaczyną w gromadzie. Jeno zostawił stary Iwan testament gdzie było 50 talarków srebrnych przeznaczone na wieczne czasy do kościoła, aby się co rok odprawiało nabożeństwo za duszę Iwana i Iwanowej.

A ja przerwałem chłopakowi mówiąc:

— A któż to wziął te talarki, że je Makaruś zbijaez nie przemarnował?

A chłopak mówił:

— Te talarki, zaszyte w worku, wzięła gromada i miała kupić dom na szkołę, a z tego domu miał iść dochód na mszę św. co rok za tych Iwanów nieboszczyków — ale znowu porobiło się inaczej. Bo widzi jegomość! jakoś się upamiętał Makaruś i jakiś czas zaczynał się brać do roboty i chodził do xiędza i do wójta i musiał prosić i obiecywać poprawę, skoro xiądz i gromada pożyczyli mu połowę z tych talarków na pierwszy dorobek i obiecali mu dać i drugą połowę, jak zobaczą, że on się bierze na prawdę do roboty i poprawy.

Ja ciekawy i ucieszony poprawą Makarego, zapytałem prędziuśko:

— No! i cóż się też stało? Czy się poprawił i został gazdą pobożnym i porządnym?

— Ale gdzie tam — gadał chłopak — toć jegomość wiedzą, że pijacy, złodzieje i wszetecznicy nie wnijdą do królestwa niebieskiego, dla nich trudna poprawa. A jak nas uczą w szkole, to pono pijak każdy to tak, jak piasek — lej wodę i lej, a ona gdzieś w piasku ginie, a znowu niech piasek wyschnie, to ci się popada i masz znowu kurzawę z niego — a cóż ci z takiego piasku czy to w gruncie, czy na drodze? I pijak pije i nie ma w nim dna, a jak nie pije, to skurczony i głupi i nie ma z niego nigdy nic dobrego

A ja zadumałem się na to mądre gadanie tego chłopaka i pytałem go:

— A gdzie ty się wyuczył tak ładnie i mądrze gadać? Czy może od ojca?

A on mi odrzekł:

— A gdzieby indziej, jak nie w szkole u Ojców Bazylianów! Toć ukończyłem wszystkie klasy i siedziałem we wszystkich ławkach i mam zaświadczenie szkolne i dwie książki i obrazków 10, com dostał za naukę, a umiem każdy list odczytać i napisać, a numera wszystkie do razu zgadnę.

— No! to dobrze, mówiłem mu, toż widzisz, jak to nauka i szkoła potrzebna. I pewnie ten Makaruś nie cho-

dził do szkoły, bo by było inaczej z nim. Ale co się też stało dalej z nim?

— Wszystko źle, mówił mi chłopak. Dali mu 25 talarków na dorobek — on sobie kupił byczki do roboty i zaczął coś dłubać w ogrodzie i koło chałupy i coś rok jeden sfolgował w pijaństwie i prosił gromady, aby mu drugie 25 talarków pożyczyli na wóz i pług. I ci mu dali.

Jak też złapał do garści te pieniądze to wyprowadził byczki do miasta i gadał każdemu, że on sobie myśli kupić parę koni, aby mu prędzej szła robota. A ludziska wierzyli. Wtem nie ma Makarego cały tydzień, a ludzie gadali, że poszedł daleko za końmi na jarmark — ale gdzie on tam myślał o jarmarku, on na nowo zaczął pić i przepił 10 talarków przez tydzień z tych pieniędzy, które miały być na mszę św. za nieboszczyków ojców i potem powrócił do domu. Wytrzymał jakoś do niedzieli — aż rano zaraz nasz Mąkary sunie prosto do arendy i jak sobie podochocił, wtedy nie wiedział już co robić aż wylazł tu na ten kamień i zaczął gwałtować i spiewać. Ale widać czekał Bóg darmo rok poprawy, widać tu mu Bóg wyznaczył granicę, widać powiedział mu z nieba: Tu nieboże skończysz za twoje grzechy! i tak też zakręciło mu się w głowie i spadł tu z kamienia tak, że nogi i ręce połamał, nawet palce pokrzywiły się mu, oczy mu wylazły a głowa aż na 4 części się rozleciała. I nawet do człowieka nie było to podobne.

I pokazał mi potem ten chłopak to miejsce gdzie się zabił pijaczyna i hultaisko Makary, gdzie Bóg sprawiedliwy pokarał tak strasznie twardego i niepoprawnego grzesznika. A ja zlazłem z kamienia na dół i opatrzyłem to miejsce, gdzie leżał ten Makary, podumałem sobie, jacy to ludzie niektórzy nierozumni, że chcą być mocniejsi od Boga, westchnąłem sobie: Hej! hej! mocny Boże! do czego to prowadzą grzechy wszystkie?

A potem tak gadałem do chłopaka i do tych ludzi, co tam stali z nami:

— Otóż macie i tu między górami i lasami znowu dowód kary bożej dla niedobrych ludzi! Widzicie na żywe oczy, że Bóg karze ludzi prędzej czy później, jak się nie poprawią

— jednego zaraz za młodu, drugiego w starości, trzeciego przy śmierci, a znowu resztę kary chowa aż na tamten świat i tam dopiero oddaje każdemu, jak sobie zasłuży. Czyż nie lepiej to słuchać Boga za życia, a potem się z nim cieszyć na wieki? Czyż to warta aby za kilka lat życia grzesznego być potem karanym po śmierci?

I tak pogadaliśmy sobie o tym przytrafunku i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę, a ja spisałem to do Dzwonka, aby w całym polskim kraju wiedzieli ludzie, jak to Bóg karze grzeszników na całym świecie, i aby polscy chłopi wystrzegali się wszystkich grzechów.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Wieśniak polski.

Wieśniak nasz polski to od wszystkich inny,
Nad wszystkie ziemie kocha kraj rodzinny,
Do życia jego nie wiele potrzeba,
Na własnej skibie kęs własnego chleba.

Trudno go skusić, trudno na złe radzić,
Na kręte ścieszki nie da się sprowadzić,
Bo czy to w rządzie, czy to w sądzie stawa;
On naprzód pyta: czy to z Bogiem sprawa?

Wesoła praca to jego uciecha,
Świat: to wieś jego i domowa strzecha,
Tu się urodził, tu by rad umierać,
W nie swoje sprawy nie lubi się wdzierać.

Ni się zbyt smuci, ni się zbyt raduje,
Bo się przechodniem na tym świecie czuje,
Wierzy że człowiek jeśli jest uczciwym,
Za łaską Bożą może być szczęśliwym.

Pracujcież tedy w serdecznej miłości
Do swej ojczyzny, do tej polskiej ziemi,
Gdzie waszych ojców spoczywają kości,
Zostańcie zawsze kmiotkami polskiemi!

Raz kozie śmierć!

Opowiedział Janek z Bielca.

IV.

Przed karczmą zwaną na Wygodzie, stało coś z ośm wozów. Szkapska dzwoniły zębami, a z izby karczemnej wychodziły głosy wielu ludzi, rozmawiających, krzyczących i spiewających. Kiedy Marcinowie weszli do izby, zaraz poskoczyli do nich znajomi i przyjaciele, i dalej w witania, w całowania i w różne rozmowy. Z kieliszkiem więc na nowo zaczęła się robota, kwaterka szła za kwaterką, języki stawały się coraz mowniejsze, mowa głośniejszą, całowania częstsze, gdy nagle drzwi się otworzyły i wszedł Bartłomiej.

— Witajcie! — odezwało się kilka głosów, — gdzie się to chowacie, że was oko teraz nie postrzeże?

Marcinowie zobaczywszy kuma, ze złości aż pokraśnieli; sam zaś Marcin ścisnął pięści i kazał dać nową kwaterkę. Że jednak w karczmie było troszkę przyciemno, więc Bartłomiej zaczął się przyglądać ludziom. Wtem nagle rozjaśniło się w izbie, dwaj kumowie spojrzeli sobie w oczy, ale zamiast z pięściami, Bartłomiej przystąpił do Marcina z przyjaźnią i objąwszy za szyję, zaczął go ściskać i całować. Marcinowej to strasznie niepodobało się, bo przypomniała sobie w tej chwili bębnienie po plecach, przysunęła się więc do męża i szepnęła mu półgłosem:

— Marcin! ja ledwo plecami ruszam, a ty się przyjaźnisz. On cię tak sponiewierał słowami, przezywał jak ostatniego, odgrażał się! Marcin, nie bądź głupi, odtrąć nieprzyjaciela. Słyszałeś?

Bartłomiej tych podszeptów dosłyszał, więc pragnąc ułagodzić kumę, obrócił się ku niej i chciał ją ująć w przeprosinach za nogi; ale zawziętą kobietę nie łatwo przebłagasz, i łatwiej jej o uderzenie jak o przebaczenie. Zobaczywszy zatem, że Bartłomiej nachyła się, że teraz może wziąć nad nim górę, krzyknęła całem gardłem, jakby ją kto ze skóry obdzierał:

— Marcinie! ratuj! — i jakby w przewrocie nachyliwszy się nad Bartłomiejem, obaliła go na ziemię i zaczęła bić po twarzy, że tylko rozlegało się w izbie. Marcin na krzyk żony poskoczył, i dalej kuma drzeć za czupryne, i byliby go porządnie sponiewierali, bo niespodzianie tak napadnięty, nie mógł myśleć o obronie, ale niektórzy ujęli się za pokrzywdzonym i zaczęli Marcinów odciągać. Rozpoczęło się więc szarpanie, popychanie, a że wszyscy nie byli już z próżnemi głowami, więc wprędce od słów przyszło do odgróżek, do wymyślań, potem do pięści, do czupryny i cała izba karczemna zakotłowała się bijącymi, krzyczącymi i przeklinającymi. Że zaś w miarę przedłużania się bitwy, rosła zawziętość, pomału więc możeby przyszło do jakiego strasznego wypadku, ale szynkarka przyzwyczajona do podobnych zabijatyk, widząc że prośbą ani groźbą nic nie zrobi, złapała dwie konewki zimnej wody i zaczęła nią chlustać po bijących się. Sposób ten zawsze z wielkim pożytkiem na gryzących się psów używany, i tu poskutkował, bo bijący otrzepując się z wody, rozpierzchli się na wszystkie strony, a Bartłomieja porwali rozważniejsi i wyprowadzili z izby. Marcinowie więc sami z kilkoma sąsiadami zostali w karczmie i upiwszy się na nowo, wyruszyli dopiero w drogę późnym wieczorem.

Kiedy na drugi dzień Marcinowie już dobrze na dzień popodnosili się z posłania, oboje po wywrocie i bitce w karczmie wyglądali jak poczwary. On był pokrwawiony, zapuchnięty, ona unurzana w błocie, zabaćkana, zawalana. Stękał Marcin, Marcinowa jęczała, i byliby może nie prędko skończyli swoje żale, ale Marcinowa obszukując ciągle koło siebie, krzyknęła przeraźliwym głosem:

— Jezus Marya! Pieniądze nam zginęły!

Marcin skoczył jak oparzony, zaczął się kręcić, szukać to po kieszeniach, to po izbie, wybiegł na dwór, przeszukał na wozie, na podwórzu, na drodze, potem dojechał do miejsca gdzie przewrócili, do karczmy gdzie się bili, pytał tego i owego, prosił, zaklinał, obiecywał, ale wszystko napróżno, pieniądze przepadły, jak kamień rzucony w wodę. Przed wieczorem więc, Marcin zmartwiony, głodny, wybiedzony wczorajszą hu-

lanką, nocnym niewczasem i całodniowem szukaniem pieniędzy, siedział w izbie trzymając się za głowę, a Marcinowa łamiąc ręce, przechodziła od kąta do kąta i głośno wywodziła swoje żale:

— To mi dopiero zarobek! Przeszło sto złotych poszło na marność. A mówiłam, żeby nie przedawać dobytku, prosiłam nieraz ze łzami żeby przybić targu, ale ty zawsze lubisz się rządzić swoim głupim rozumem, ot! i cała chudoba poszła z wiatrem....

— Cicho Basiu, cicho, nie krzycz tak głośno...

— W bolu serca nie ma człek pomiarkowania — wrzasnęła jeszcze głośniej Marcinowa — teraz nasze gospodarstwo i torby sieczki nie warte. Ratować się nie ma czem, w domu ani grosza, w komorze ani ziarnka zboża, w oborze pusto, to samo w chlewie, więc i cóż poradzimy?

— Potem się o tem rozgadamy, a teraz nie krzycz, bo ludzie usłyszą....

— A to niech usłyszą — z jednym zawsze krzykiem odrzekła Marcinowa — wziąłeś mnie z bogactwa, nie z biedy, to teraz radź, żebym miała wszystko jak wypada. Ja do ubóstwa nie przyzwyczajona, tylko do dostatków, a tu gospodarstwo — Boże zmiłuj się....

— Ej Basiu, cicho! — krzyknął Marcin wysuwając pięście — bo jak cię uchwycę, to zobaczysz....

— Co zobaczę, co? twoje hultajstwo? Żebyś się na mnie odważył, to bym ci oczy wydrapała, ty pijaku, hultaju, nicponiu, próżniaku!...

— Ja pijak? ja próżniak? — wrzasnął Marcin i postąpiwszy parę kroków, już chciał żonę pięścią zamalować, gdy wtem drzwi się otworzyły i wszedł do izby Janek Palczak. Marcin odskoczył zaraz od żony, a Marcinowa rzekła z przekąsem:

— I czegóż nas nachodzicie? Czy przyszliście ze szpiegowaniem!

— Nie, Marcinowa — odrzekł poważnie Janek — przyszedłem nie z ciekawością, tylko z poczciwem słowem i z dobrą radą.

— Jeżeli rada wasza pieniędzy nam nie wróci, to ją schowajcie dla drugich.

— Wróci i z prowizyą, tylko hardość wyrzućcie z serca.

— A to jakim sposobem?

— Moi Marcinowie, nie macie co przedemną skrywać. Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Przez próżniactwo straciliście wszystko, przez statek i pracę odzyskacie to, coście roztrwonili. Zarobku wszędzie po uszy, tylko rąk nie ma do roboty, więc w imię Boże weźcie się do pracy, a Bóg pobłogosławi, ludzie dopomogą i znowu porośniecie w pierze.

— Taką radę to zna i malutkie dziecko — odezwała się na to Marcinowa — a jeżeli nie macie nic lepszego do powiedzenia, to idźcie z Bogiem i nami się nie frasujcie.

— Ha! to i pójdę — odrzekł Janek — ale pamiętajcie, że biorąc tylko po groszu, przebierze się największy majątek, a składając po groszu, nawet z nędzy przychodzi się do pieniędzy, a potem do majątku. Bo próżniactwo to grzech, a praca to błogosławieństwo Boskie; z grzechu zaś nigdy dobre nie wyrasta, tylko bieda, ucisk, kłótnia, zmartwienie i nieszczęście.

Po wyjściu Janka, Marcinowie nie przemówili do siebie i jednego już słowa, tylko Marcinowa parę razy mruknęła, zajrzawszy do garczków że próżne. Poszła potem do komory, ale i tam pustki zastała; zafrasowała się więc nie pomału, co zobaczywszy Marcin, w kilka dni rzekł do żony:

— Wiesz co Basiu, że Janek może ma i racyą, żeby wziąść się do roboty. Co tam! raz kozie śmierć! Chwycę się jakiej roboty, to przecie prędzej chałupa zapachnie jakimś groszem.

Nauka więc w las nie poszła. Za Marcinem poszła też Marcinowa, i jak dawniej próżnowali i balowali, tak dziś pracują i statkują. Do dawnej wprawdzie zamożności jeszcze im daleko, ale nie ma już biedy, i przy Boskiej pomocy jest nadzieja, że wprędce całe gospodarstwo nową zakwitnie pomyślnością. Wprawdzie Marcin nie oduczył się swego przysłowia: raz kozie śmierć! ale go używa w poczciwej myśli, kiedy przeprze lenistwo, a weźmie się do pracy.

(*Z kalendarza warszawskiego dla ludu.*)

Prawdziwe zdarzenie.

Pisanie do pana pisarza Dzwonka.

Panie pisarzu!

Moje pisanie może będzie ciekawością dla was, a znowu nauką dla wszystkich braci i sióstr po wsiach. Oto jadąc do Przemyśla wstąpiłem po znajomości do Medyki do xiędza Wojciecha, który nam nieraz pisuje różne ciekawości do Dzwonka. Powitaliśmy się po Bogu i po polsku, ale jakoś mi posmutniał xiądz Wojciech. Pytam co? jak? czy jaka choroba, czy przytrafunek? ale xiądz na to wszystko ani słówka, jeno siedzi zadumany, a czasem pokaże się w oku i łezka maleńka. Aż przecie rozgadał się i mówi mi:

— Źle na świecie! bardzo źle! mój panie ojcze! Ludzie okpiewają obłudą jeden drugiego, ale co gorzej, chcą oni okpiewać i Pana Boga udaną pobożnością. Nieraz klękają pod figurą, a mają czarta rogatego za skórą — udają baranka, a są wilkiem zjadliwym — są nito jabłonią słodką, a rodzą leśne płonki — są ni to polskimi katolikami, a w duszy to siarczyste faryzeusze. I na co się przyda nauka w kościele i szkole?

Zaczął biedny xiądz lamencić i płakać. Mnie samemu zrobiło się trochę ckliwo wedle serca, boć ta i ja miękki jak świeże masło, a jak jeno kto zabeczy, to ja z nim płakałbym i noc całą. Ale pytam xiędza:

— Ta cóż się jegomości stało takiego?

On mi na to:

— Mój panie ojcze! ot zmarnowała się znowu jedna dusza — pójdzie nieboga na potępienie, jeżeli się Bóg nie zmiłuje i nie przemieni.

A ja ciekawy, jakby mię warem gorącym oblał, pytam dalej:

— No cóż tam znowu nowego?

Xiądz Wojciech mówił rozżalony:

— Ot widzicie! znałem od kilku lat pobożną dziewczynkę, gdzieś tam od Brzezowa rodem; miała ona łachy żałobne na sobie, jakby zakonnica, u paska poświęconego wisiała koronka,

pod szyją wisiał szkaplerz i medalik Najświętszej Panny, na głowie miała zasłonę, aby nie patrzyć na pokusy świata, ale patrzyć ciągle na Boga w Niebie, za pazuchą miała książkę do modlenia — pościła ona ostro, chodziła boso na mrozie do kościoła, leżała krzyżem przed ołtarzem Pana Jezusa, po całych nocach spiewała pobożne pieśni, nie klęła i nie raz na gołej ziemi bez przykrycia spała — a szła wam z odpustu na odpust i znała po całej Galicyi wszystkie cudowne miejsca. I widzicie mój panie ojcze, że to była jeno obłuda czysta, jeno oszukaństwo ludzi, jeno obraza boska!

Ja rozciekawiony pytam:

— No! czy się dopuściła czego złego? Czy komu zrobiła jaką psotę albo co takiego?

A xiądz Wojciech powiada:

— O nie! ona zrobiła świętokradztwo wielkie! bo uważajcie sobie, jak to było. Szła w lecie tego roku z Milatyna na Kalwaryę i spoczywała na plebanii u mnie kilka dni. I któż się mógł spodziać, że w tej duszy nie było ani iskierki bojaźni bożej? Bo to widzicie wzięła z mej izby klucz od kościoła pokryjomu i poszła sobie do zakrystyi, tam wysunęła szufladę i ukradła bieliznę kościelną na jakie 50 reńskich. Jaka tam ręka bezbożna u niej, aby okradać kościół boży w biały dzień? Ale co jeszcze straszniejszego! Oto ściągnęła obrós z ołtarza Pana Jezusa, przed którym nie raz całe pół dnia klęczała i krzyżem leżała, a potem ściągnęła czarną firankę z samego Pana Jezusa — że to temu ręka nie zadrżała i serce nie zapukało na taką robotę grzeszną! I widzicie związała sobie węzełek i poszła na Kalwaryę, aby tam okpiewać ludzi, brać od nich jałmużnę i obrażać Boga dalej. Widać nie była tam do spowiedzi św., a może się spowiadała po świętokradzku; tak szła przez Przemyśl pono do Leżajska, a wtedy ją łap policaj jeden, i sam powiadał, że jakby mu coś gadało do ucha: Złap tę bezbożnicę i prowadź do rewizyi.

I zaprowadził ją na ratusz, rozwiązał węzełek, a tu aż go strach wielki ogarnął, gdy zobaczył bieliznę kościelną, firankę z ołtarza i tę śliczną chustkę, w której nosi xiądz monstrancyę za procesyą. I dopiero przy ostrej komisyi przyznała

się do kradzieży i to nie do jednej, a teraz pójdzie na całe życie do kryminału. Otóż to pobożność taka.

A ja zadumałem się na to strasznie i mówię do xiędza tak:

— Mój jegomość! Dziś bardzo dużo próżniaków włóczy się po odpustach! Jacy to dziady dziś to aż grzech mówić, bo to zdrów jak dąb, robić się temu nie chce, torby zawiesi i idzie w świat, ludzie dają jeść, a jak braknie, to trza i ukraść, bo sam chleb nie lezie nikomu do gęby. A ile to dziewek i bab takich po odpustach dziś? Toć Bóg karze za to i tych bezbożników i tych ludzi, co to dają darmo jeść tym próżniakom. I prawdę jegomość mówią, że dużo, dużo obłudy dziś na świecie bożym, ale niech Bóg każdego ochrania od tego grzechu, bo prędzej czy później wylezie oliwa na wierzch!

Otóż odjechałem z Medyki, markociłem się bardzo nad tym wypadkiem strasznym, a piszę też to samo do Dzwonka, aby o tem wiedzieli i drudzy i nie byli takimi bezbożnikami — a teraz oddaję was Bogu panie pisarzu.

Karol Szymek, kmieć z Lipówki.

Pogadanka gospodarska.

Piotr. Powiedzcie mi, kumotrze, jak wy też przezimujecie wasze bydło? Boćto tej paszy tak mało!

Wojciech. Prawda, że mało, ale ja sobie tak myślę, że i to mało wystarczy, bo przypominam sobie słowa mojego dziada, (świeć panie nad duszą jego) który tak mówił: Jak się jakie zboże nie uda, to nie bywa drogie.

Piotr. Ale Wojciechu! co wy też to gadacie, przecież to każdy wie, że jak się co nie uda, to musi być drogie, jak też widzimy, że się pasza nie udała i jest drogą.

Wojciech. Mój dziad jeszcze to dodał: Jak się co nie obrodzi, to każdy oszczędza i nic nie zmarnuje, a czego jest dość, to się też dość zmarnuje. Powiadacie, że tego roku pasza się nie udała, lepiej żebyście powiedzieli, że ludzie wiele paszy zmarnowali to na polu, to na łące. Co to siana pogniło, potrawu, słomy, bo mokro sprzątali, a w kopach zboże porosło, a słoma

pogniła, nie jestże to zmarnowanie? Powiadacie, że tego roku pasza droga. Tak jest, ale dla kogoż to jest droga? Oto dla tych co roli nie mają, tylko ją kupić muszą, ale nie dla rolnika, który może sobie przysposobić paszy podostatkiem.

Piotr. Prawdać to jest co mówicie, ale człowiek mizerny musi się na wolą Pana Boga spuścić, jak nam ześle deszcz, toć nie możemy sprzątać.

Wojciech. Tak jest, nie możemy sprzątać, bo nie chcemy od zastarzałego zwyczaju odstąpić. Ja od wielu lat zawsze sucho sprzątałem, bo skoro pogoda, to roboty na jutro nie odkładam. I tak mój kumotrze, wszakże w jeden dzień posiekliśmy nasze łąki, ja na trzeci dzień miałem moje siano w kupkach małych, a wasze leżało na pokosach, boście oto czekali, żeby wam uschło bez rozrzucania, (do czego przynajmniej cały tydzień potrzeba) a tu deszcz zaskoczył i padał przeszło tydzień. Wasze siano wymokło, poczerniało i straciło pożywne części. Gdybyście tak samo byli się wzięli do siana, bylibyście takie dobrze sprzątnęli, jak ja.

Piotr. A toć to prawda, jak na dłoni, ale już się szkoda nie wróci i tembardziej trapię się, jak bydło przezimować.

Wojciech. Otóż opowiem wam, jakeście mnie naprzód zapytali. Od wielu lat u mnie jest taki porządek: Jak mam dość słomy i siana, to każę słomę rzaną i pszeniczną ze sianem zmieszać i zakładać bydłu przez jeden tydzień, na drugi tydzień biorę jęczmionkę i owsiankę, mieszam też ze sianem i tak zadaję bydłu. Co tydzień zmieniam tę paszę, bo odmiana sprawia bydłu apetyt, a gdy się zawsze jednakowa zadaje, to bydłu się uprzykrzy i idzie wiele w gnój. Jednakowoż i przy takiem paszeniu idzie wiele słomy na ściółkę, a więc narobi się wiele gnoju. — Jeżeli mam mało paszy, jak w tym roku, to słomę rzaną, pszenną, jęczmiankę, prośniankę i owsiankę każę ze sianem razem na sieczkę rznąć i spasać. Na noc tylko długą słomę zakłada się, żeby sobie bydło sieczkę, która w gębie została, przetarło. Tym sposobem bydło regularnie pasione sieczkę taką smacznie wyjada i nietylko nic nie zepsuje, ale łatwiej trawi i dobrze wygląda. Jeżeli chcecie swoje bydło utrzymać dobrze przy szczupłej paszy, tedy każcie też sieczkę tak przyrządzoną zadawać.

Piotr. Bóg zapłać wam za dobrą radę, aż mi lżej na sercu i od dziś tak samo moje bydło będę karmił, ale to dopiero jeden kłopot z głowy, a drugi: skądże wezmę ściółkę pod bydło, kiedy słomy mało?

Wojciech. Mój kumotrze, już od dwóch lat widzieliście, że kazałem na mojej łące rowy bić, a na polu stare odnawiać i wszystką wyrzuconą ziemię, jakem tylko na wiosnę ukończył siewy, zwiozłem na podwórze, bom słyszał, że i ziemia może służyć za ściołkę pod bydło. Otoż w przeszłym roku taką próbę zrobiłem t. j. podrzucałem ziemię pod bydło, porzniętą słomę krótko słałem na wierzch ziemi, żeby się bydło nie walało. Bydło sucho leżało, a gnój zrobił się bardzo dobry, bo gnojówka wsiąkła w rozrzuconą ziemię, nie mogła odciekać i marnować się na podwórzu. Na tym gnoju udała mi się wyborna pszenica i żyto. Tej ziemi mam jak wiecie jeszcze dość na podwórzu, i bardzo mi się teraz przyda, bo słomy mało.

Piotr. Jest to wszystko ładnie, co wy mówicie, ale tyle roboty, ziemię z pola i łąki zwozić do domu i potem znowu na pole, ktoby tam wystarczył robotą.

Wojciech. Właśnie taka praca powinna nas samych napędzać, bo z pewnością możemy się spodziewać dobrych i pewnych urodzajów. W tym roku pognoiłem jeden morg łąki takim gnojem, co to była za gęsta i wielka trawa, więc przekonałem się, że i na łąki jest dobra. Koniec końcem ja odtąd, choćbym miał najwięcej słomy, to będę ziemię pod bydło podścielał, chociaż tylko mało. W tym roku zacząłem inaczej; że słomy mało, więc tak sobie postępuję: Każę pod bydło ziemię rozrzucić na jednę stopę grubo, a na wierzch codzień gnojem końskim ziemię pokryć. Otoż bydło leży sucho, gnój koński nie będzie się na kupie palił i marnował, ale tak zmieszany ze ziemią i odchodami bydlęcemi, będzie bardzo dobry, a im dłużej zostanie pod bydłem, tem lepszy będzie. Każę co 4 tygodnie go wyrzucać i zaraz na pole wywozić. Żeby bydłu było wygodnie leżeć, to trzeba od tyłu, ku korytom równo go rozłożyć.

Piotr. Jać sobie ziemi nie nawiozłem; bo mi się temu nie chciało wierzyć, a teraz już zapóźno, ale przynajmniej spróbuję jednej waszej rady t. j. końskiego gnoju będę używał za ściółkę pod bydło, żebym sobie słomy ochronił. *(Sz. N.)*

RÓŻNOŚCI.

Dalsza historya o dowcipnym żydzie. Nie dokończyliśmy wam jeszcze, ludkowie, w zupełności historyi o onym dowcipnym żydku, co to jadąc po Wiśle do Warszawy dowcipem swym tyle półzłotków nawyciągał panom z kieszeni. Otoż powiem wam jeszcze, że jak przyjechali do War-

szawy, tak zaraz każdy poszedł w swą stronę, pilnując swego interesu Na drugi czy na trzeci dzień idzie sobie mój Mosiek do jednej oberzy, a że to był dzień skwarny, każe sobie dać szklankę piwa na ochłodę. Zatem żydek sobie piwko popija, a oczyma strzela na wszystkie strony, aż naraz jak opętany pociągnął się za długie pejsy, zrywa się z swego miejsca i pędzi prosto do panów, co także przyszli do oberzy.

— A dobry wieczór wielmożnemu panu! Nu, to z przeproszeniem pańskiem my sobie jesteśmy znajomi, myśmy razem jechali na statku do Warszawy. — Nu jaśnie panie — jakże interesa? Zrobił pan dobry interes? Kiedy pan zrobił dobry interes — nu — co to wielkiego, zróbmy też ze sobą interes. Ja się będę założyć, że pan nie potrafi za mną powtórzyć trzy słowa, co ja będzie je wymówił. Niech będzie talar zakład!

— A bodajże cię, myśli sobie on pan, już mi tu znów chcesz zajrzeć do kieszeni. Wziąłeś mi prawda pare groszy, aleć to nic. Mam czy nie mam talara, to mi wszystko po równości, a zaś jeno też chciałbym wiedzieć, czy ja za tobą trz-ch słów nie potrafię powtórzyć. Gadaj żydzie, kiedyś taki mądral, rzecze tedy do niego a patrz, byś nie stracił talarka!

Wszyscy tam obecni panowie okrutnie ciekawi, co to będzie, patrzą wielkiemi oczami na żyda, który tak zaczyna:

— Widły — pan powtarza: widły.

— Olej — pan powtarza: olej.

Żyd milczy teraz chwilkę, wybałusza oczy na onego pana, kiwa głową, ciagnie się za loki, marszczy czoło i kwasi się, jakby kwaterkę octu wypił aż też mówi:

— Źle!

Pan zastanawia się, patrzy na żyda i myśli sobie;

— A co ma być źle! I mówi do żyda:

— Czyś zwaryował żydzie, wszakem ci wszystko odpowiedział dobrze. Żyd tymczasem wyciąga kawałek kredki z kieszeni i robi kreską znak na stole. I prawi: Nu, zacznijmy jeszcze raz:

— Pan — znów on pan powtarza: pan.

— Gawron — gawron. Żyd znowu coś mruczy pod nosem, kiwa głową i uśmiecha się złośliwie aż też mówi:

— Źle!

Pan tak samo dziwuje się, co to ma znaczyć, zastanawia się, czy gdzie nie zrobił jakiej pomylki i myśli sobie:

Ot głupstwo baje, zobaczę jakie będzie trzecie słowo, przecie do stu katów będę umiał je za nim popowtórzyć i zapłacisz żydku talarka. Żyd tymczasem znów robi kreskę na stole.

Ale cóż tam więcej gadania: Zaczynali te same sztuki i tak samo po sześć razy, — a kiedy żydek szóstą kreskę dopisał, podskoczył od stołu, zaciera ręce a oczy mu się błyszczą:

— Ny — proszę wielmożnego pana o sześć talarków.

— Czyś oszalał, żydzie, zawołał ów pan. Ty mi dać musisz sześć talarów a nie ja tobie!

— Uchowaj mnie Boże od takiego nieszczęścia! krzyknie żyd. — Toć są tu panowie jako świadki, żem ja wygrał od pana.

— A to jakiem prawem? pyta się pan.

— No, jakiem prawem, a czy pan mi powtórzył trzecie słowo?

— Jakie trzecie słowo? przecież mi go nie powiedziałeś?

— A gewałt, krzyczy żyd, trzecie słowo było: Źle! a pan go nie powtórzył.

Dopiero pan poznał, że go żyd znów wyprowadził w pole a kiedy i inni tam obecni panowie, śmiejąc się do rozpuku, przyznali, że żyd ma racyą, rad nie rad zapłacił mu sześć talarów. *Sz. N....*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: E. Winiarz. **Z drukarni E. Winiarza.**

Tom XI.

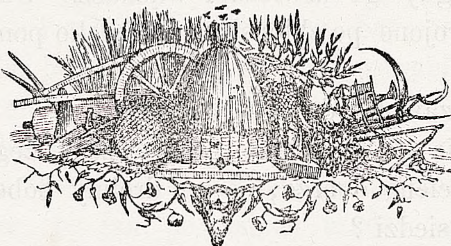
11. grudnia



Nr. 17.

1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dobry ojciec.

Bliziutko od Kańczugi stoi wieś Siedleczka. Ledwo zaczniesz pacierz na wychodzie z Kańczugi, a gdy kończysz „Wierzę w Boga“ jesteś we wsi Siedleczce.

Otóż razu jednego, a było to w niedzielę po nieszporach, wziąłem kij do ręki i idąc zaszedłem do tej wioski. Wieś to dobra, ludziska nie źli i byłoby tam błogosławieństwo boże, gdyby jeno gazdowie robili, jak Bóg przykazuje.

Osobliwie jest tam jeden gazda Szymon Sowa. Zabudowanie ma dobre, ogród, płoty i koło roli zrobione, jak się patrzy. A sam lubi bardzo zejść się z ludźmi piśmiennymi i gadać o mądrych rzeczach — bo co prawda, to gadać ni to, ni owo albo jakie bluźnierstwa i bzdury, to pono grzech wielki i na gazdę i na ojca nie przynależy bardzo. Otóż poznał się ten Sowa ze mną i bardzo się lubimy. Poszedłem też prosto do niego, pochwaliłem po polsku Pana Jezusa, on wystawił ławeczkę i tak siedliśmy i nuż gadać o świecie bożym, a broń Boże! obmawiać kogo albo co zmyślać.

Miał ci ten Sowa chłopaczka Stasia; dorodne było to dziecko, jak mak kwitnący w ogrodzie, a milutkie jak na wiosnę fiołek, gdy go urwiesz i wąchasz. Umyte, uczesane, ogarnione i ustrojone po chłopsku, jak cacko pomalowane i wystrugane.

Ojciec go zawołał do siebie i mówił mi:

— Spytajcie go też panie profesorze! czego on się chce uczyć i miarkujcieno dobrze, co ten drobny bobek gada, co to w jego główce siedzi?

Ja pogłaskałem Stasia, dałem mu obrazek patrona polskiego i pytam go:

— A co ty Stasio! umiesz już czytać druk i na katechizmie?

A on mi pali do razu jak po mydle:

— Ja to umię wszystko jak na pytlu i pójdę tam do pana profesora do Kańczugi do szkoły, abym czytał na każdej książce i pisał sobie tak:

Najświętsza Panno kieruj moją rękę,
Bym mógł opisać syna Twego mękę!

Ojciec rozpłakał się na to i mówił mu:

— No! to pójdziesz do Kańczugi, a jak się tam wyuczysz na książkach, to cóż potem zrobisz?

A Staś mu prawi śmiało:

— To mię dacie do Rzeszowa albo do Przemyśla a tam zostanę xiędzem albo panem jakim.

A ja mu powiadam:

— A kiedy tatusia twego nie stać na tyle, aby cię dał do szkoły tak daleko, to kosztuje wielkie pieniądze.

— No! to nic nie znaczy, to mi Pan Bóg dopomoże i dobrzy ludzie do nauki.

Ja pogłaskałem Stasia za takie gadanie i mówię do ojca:

— Trza dać do szkoły Stasia, mój Szymonie bo to szkoda wielka zmarnować swoje dziecko, za to najbardziej sądzi Bóg ojców!

Duszyczka w dziecku to waży więcej, niż cały świat, ona ma skrzydełka jak aniołek i leci na nich do nieba, a kościół i szkoła dobra pomagają jej lecieć do samego Boga.

Kto gardzi kościołem i szkołą, ten musi zalecieć do piekła. Nigdy Bóg nie odpuści ojcom, gdy marnują dzieci! Rozum i nauka to wiano, jakiego nikt nie daje na ziemi, jeno łaska boska, kościół i szkoła. Otóż i wy Szymonie nie marnujcie waszego Stasia, bobyście razem z nim zagubili i waszą duszę.

A Sowa słuchając tego powiada:

— Ta choćby proszę was panie profesorze i nie był xiędzem i panem, to mądry i pobożny chłop potrzebny i na wsi. Mnie się widzi, że jak po wsiach rządzą panowie piśmienni, tak po wsiach gazdują chłopi — miasto i wieś to pono jedno, jeno miasto murowane a wieś drewniana, ale ludzie jednacy; tak samo Polacy i katolicy w miastach jak na wsi. A gdzie ludziska nie mają poznania, tam idzie wszystko na opak, jak się wyuczyli za młodu, takimi są i na starość; bo to powiadają: „Jaki przód, taki zad, jaki chód taki zachód.“ I na wsi przyda się bardzo każdemu znać dobre i złe, znać prawdę i cygana, znać jakto robili dziadkowie a jak robią wnuki, i które jest lepsze czy gorsze? czy mamy robić jak bywało, czy słuchać tych, co na dobre z Bogiem ciągną. Bo to widzicie panie profesorze mnie się tak widzi i to pono święta prawda, że jak nas nie uczyli ojcowie po szkołach, tak my też mało co rozumiemy, a jak znowu i nasze dzieci nie pójdą do szkoły, to będą z nich opłakane głuptaki.

Na to gadanie Sowy nie miałem co dumać, bo Sowa to chłop nie lada jaki, a ojciec dla dzieci jakiego szukać siedm mil za Krakowem.

Jeno powiedziałem mu tyle:

— Nie koniecznie ma być Staś wasz xiędzem, choć to najładniej służyć przy ołtarzu Boga i uczyć w kościele i na plebanii cnoty swoich parafian, ale na świecie tyle szkół na różne rzeczy, żebyście za sto lat nie po kończyli tego i pono trudno znaleść takiego, aby wszystko dobrze umiał. Otóż bardzo dobrze by było, by każdy umiał swoje rzeczy dobrze, ja swoje wy swoje, xięża swoje, urzędnicy swoje — a wszyscy abyśmy byli pobożnymi i uczciwymi Polakami i katolikami, kochali jednako Boga i żyli jak dzieci jednego Ojca w zgodzie i miłości. Otóż dajcie waszego Stasia do Kańczugi do

szkoły, dopomóżcie co możecie, a resztę zrobi Bóg i dobrzy ludzie.

I dał Sowa swego Stasia do Kańczugi, potem do Rzeszowa do szkoły, a dziś jego duszyczka nabrała nauki, rozumu, poznania aż miło patrzyć na chłopaka, a ojciec się cieszy, bo ma i czem!

Staś mu odpłaci wydatki na starość, może mu dokupi grunt nowy, wyfunduje chałupę jak dwór jaki, a stary Sowa pożywi się pytlowanym chlebem kiedyś u syna, a Bóg zapłaci to jego duszy na sądzie.

I wy tak róbcie wszyscy gazdowie!

Karol Marciak, nauczyciel z Kańczugi.

Grób ułana.

Świeci miesiąc blado, jak w chacie łuczywo,
Po gwiaździstem niebie sunie się leniwo,
Tak wygląda smutnie, jakby w wielkim żalu,
Nad nim chmurka krwawa, jak gdyby z koralu....

Po rosie, po lesie,
Wietrzyk jęki niesie,
Listek z drzewa pada,
Coś żałośnie gada...

Na polu szerokiem mogiła kopana,
Pod mogiłą klęczy panna zapłakana,
Klęczy sama jedna między kwiatuszkami,
Rączki załomała, zalewa się łzami...

— Dzieweczko, dzieweczko, czemu łamiesz ręce,
I płaczesz żałośnie jakby w ciężkiej męce?...
Dzieweczko, dzieweczko, takaś jeszcze młoda
Na liczku jak róża kwitnie ci uroda!

— Głęboka mogiła Jasia mi ukryła,
Na piersiach mu leży czarnej ziemi bryła,
Skłonił swoją głowę w deski jesionowe,
Oparł białe czoło o łoże grobowe....

Pojechał na wojnę razem z ułanami,
Jechali kłuć wroga ostremi lancami.
Oj tu na tem polu nie jednego skłuli,
Oj tu na tem polu Jaś zginął od kuli....

I tu mu ułani grób ten wykopali,
Do trumny mu dali, szabelkę ze stali
Na wieki żegnając, pojechali dalej..

— Cyt! nie płacz dzieweczko, mówi chmurka mała,
Nad grób się ja spuszczę z nieba dalekiego,
I rosą srebrzystą będę tu płakała,
Jak siostra rodzona Jasieńka twojego....

— Cyt! nie płacz dzieweczko, mówi wietrzyk sobie,
Ja nucić żałośnie będę mu na grobie,
Jak dziecku w kołysce na słodkie zaspanie,
I żalić się będę po polskim ułanie....

— Cyt! nie płacz dzieweczko, biały miesiąc woła,
Ja światło rozrzucę na grobie dokoła,
I świecić mu będę z niebieskiej oddali,
Jak lampa w kościele, co wiecznie się pali!...

Stach Barwinek.

Rozwalona kaplica.

Opowiadanie Kuby z Kobła.

I.

Będzie temu kilkanaście latek, kiedy się nająłem do furmanki, wozić sól drohobycką aż do Przemyśla. Było nas kilku razem z jednej wsi, a w drodze trzymaliśmy się zawsze kupy, bo nieraz trzeba się było ratować pod górę lub na złych drogach. Właśnie nastała jesień, słota była okrutna, a koła aż się chowały w błocie.

Otóż o kilka mil przed Przemyślem jest wioska mała, co się zwie Gradówka. Już noc zapadała, kiedyśmy się dowlekali do tego sioła, a szło nam powoli jak po mazi, bo koniska się zmęczyły na nic, a błoto było niesłychane. O jakich kilkaset

kroków ode wsi stała maleńka kapliczka. Człowiek zawsze powinien mieć Boga w sercu i na myśli a tem bardziej w podróży, kiedy go to nikt inny jeno niebo najłaskawsze chroni od złego jakiego przypadku lub szkody.

Stanęliśmy więc pod kaplicą i pozdejmowali czapki, aby się pomodlić serdecznie do Pana Boga, co opieką swą najświętszą czuwa nad biednymi ludźmi. Ale kiedyśmy stanęli przy kaplicy, aliści widzimy, że była w bardzo złym stanie, bo się już na pół rozwaliła, cegły się popadały, mur oblazł ze wszystkiem, a dach był zerwany do szczętu. We środku też nie było lepiej, aż człeka serce zabolało na to opuszczenie. Bo to wystawcie sobie kochani ludkowie, we środku stała dawniej kamienna figura św. Antoniego, ale nie wiedzieć z jakiego przypadku spadła na dół, i leżała na ziemi. Głowa tej figury w.ś Antoniego była już połupana, a i reszta kamienia pokruszyła się tak bardzo, że już całego wizerunku trudno było poznać nawet.

Markotno nam się bardzo zrobiło, gdyśmy się tak patrzyli na figurę świętego patrona leżącego twarzą na ziemi, zmoczoną deszczem i śmieciem pokrytą. Chcieliśmy się lepiej jeszcze przypatrzyć temu spustoszeniu, i zapaliliśmy latarkę, a gdy przy świetle oglądaliśmy figurę, zawołał naraz jeden z naszych, Jacek Bunda:

— O na Jezusa! Patrzajcie no, patrzajcie!

— A cóżby tam? — zapytałem.

— A oto widać coś czerwonego, jakby krew, na głowie świętego Antoniego! — odpowiedział Jacek.

Przyklękliśmy na ziemi, przyświecili latarką i akuratnie jak Jacek mówił, zobaczyliśmy na głowie figury św. Antoniego duże plamy czerwone. Nie mogło to być nic innego jeno krew, co przyschła tak na kamieniu jak rdza.

Strach i lęk zebrał nas wielki na taki widok, i przeżegnaliśmy się, i mówiliśmy do siebie po cichu:

— Coś strasznego kiedyś stać się musiało w tej rozwalonej kaplicy! Jak będziemy przejeżdżać przez wieś, musimy się o tem wypytać.

I wróciliśmy do bryk z solą, zacięliśmy konie i pojechali dalej. Zaraz z samego początku wsi stała wielka karczma. Na dworze zciemniało się już na dobre, konie były pomęczone, deszcz lał jak najęty, a błoto aż po kolana — toć i uradziliśmy zanocować w karczmie.

Zajechaliśmy do środka, wyprzęgli konie, nasypali im owsa, a sami poszliśmy do gospody. W gospodzie palił się duży ogień na kominie, a koło ognia siedział żyd karczmarz i drzemał, kiwając brodą i odsapując od czasu do czasu.

Przy długim stole, co stał pod oknami, siedziało kilku gospodarzy i gawędziło przy fajeczce, bo było to w sobotę.

— Niech będzie pochwalony! — rzekliśmy wchodząc do izby.

— Na wieki wieków — odpowiedzieli gazdowie i pokłonili nam się uczciwie.

Zbudziliśmy żyda, kazaliśmy sobie uwarzyć piwa dla rozgrzania i zasiedliśmy sobie przy gospodarzach. Jak to bywa zawsze między poczciwymi ludźmi, zaraz gadu, gadu, to o tem, to o owem, o złej drodze, o deszczu, o zimie, co już za plecyma stała, aż nareszcie zgadało się i o owej rozwalonej kaplicy, cośmy ją pode wsią oglądali.

Ja też pierwszy, bom już taki z natury ciekawy, począłem się wypytywać, czemu ta kaplica w takiem opuszczeniu i czemu św. Antoni na zgorszenie ludzi kala się w śmieciu?

— Smutno nam było na taką obrazę boską patrzyć — mówiłem do kmieci — ale jeszcze okrutniejszy strach nas wziął za serce, kiedy zobaczyliśmy na głowie kamiennego świętego plamy jakby z krwi zastygłej....

Gospodarze na te moje słowa spojrzeli z jakimś lękiem po sobie, a jeden z nich siwy jak gołąb, przeżegnał się znakiem krzyża świętego i smutnie pokiwał bielutką głową.

Ja zaś mówię dalej:

— Widzę ja po waszych twarzach, że tam w tej kaplicy coś strasznego się przydarzyło. Ot panie gospodarzu, opowiedzielibyście nam po łaskawości, co też tam za przytrafunek zaszedł, boć to warto, aby i drudzy ludzie o tem wiedzieli dla postrachu i nauki.

Stary pokiwał głową, zadumał się czegoś a potem machnął ręką i odpowiedział:

— Ot dajmy pokój! Straszna to historya i długa, a człeka aż lęk bierze opowiadać o niej! Niech nas Bóg broni od takich wypadków!

A ja na to:

— Ej opowiedzcie dziadunio, opowiedzcie! Noc jeszcze nie późna a jutro święta niedziela, toć i pogwarzyć można spokojnie. A widzi mi się już naprzód, że historya ta będzie ciekawa i na naukę ludzką. A choć straszna, to nie rzecz temu, bo człowiekowi grzesznemu nieraz trzeba postrachu, aby o Bogu nie zapomniał i złego się wystrzegał.

Zawołałem więc na arendarza i kazałem dać kilka szklanek piwa dla gospodarzy, a staremu nałożyłem fajeczkę z mego kapczuszka.

Stary dał się namówić, pociągnął piwa, zakurzył lulkę, podumał trochę, jakby sobie chciał napomnieć dokumentnie całą historyę, i tak się odezwał:

— Ha! kiedyć już na upartego, to wam i opowiem, choć Bogiem a prawdą, już to przy tej okazyi i o naszej własnej gromadzie trzeba będzie nie dobrze napomnąć. Powiadają ludzie, że ostatni ten ptak, co swoje własne gniazdo kala, ale w tym przypadkn, ja sobie myślę, że właśnie najlepszy to znak ludzkiej poprawy, jeżeli człek przyzna się do własnego błędu, choć go się z całego serca sroma.

My pochwalili to rozumne gadanie staruszka i z wielką ciekawością przysunęliśmy się do niego, a on też począł taką opowiadać historyę:

II.

— Rok już cały minął, kiedy ten straszny wypadek, o którym wam opowiem, zaszedł w owej rozwalonej kaplicy. Zaś dla wyrozumienia muszę trochę sięgnąć dalej i opowiedzieć wam wszystko od początku.

Będzie temu jakich lat 12, kiedy w tej wsi żył kmieć bardzo zamożny, Antoni Borek. Na dziesięć mil do koła nie było takiego bogatego kmiecia, jak Antoni. Chatę miał piękną pod

gontem, niby dwór jaki, koło chaty były duże i piękne stajnie i stodoły z bydłem ślicznem i chlebem Bożym w obfitości.

Najczęściej tak bywa na świecie, że bogacze mają serce zatwardziałe, że zapominają o Bogu i o swych bliźnich, a całą duszą lgną do światowych marności. Ale miałby ten, jak mówią z przeproszeniem, psią gębę a nie uczciwy język ludzki, ktoby to powiedział o Antonim Borku.

Był to człowiek zacny i pobożny, ludzki i miłosierny, a rozumny przytem i obrotny, że jak gromada gromadą, nie było a może za naszego życia i nie będzie takiego człowieka. Antoni bywało każdego wspomoże, każdemu poradzi, każdego poratuje i nigdy się nie trafiało, aby kiedy żebrak odszedł od jego wrót bez kawałka chleba lub jakiego przyodziewku. Nie ma prawie nikogo w gromadzie, coby był od niego nie pożyczył grosza lub ziarna — a mówiąc po prawdzie najczęściej na nieoddane.

To też wszyscy się garnęli do Antoniego, jak muchy do miodu, wszyscy mu podchlebiali i na rękach go prawie nosili. A nie było to widzi Bóg po szczerości, jeno dla zysku własnego. Chociaż to naszej gromadzie na wstyd wielki wychodzi, to muszę powiedzieć szczerze, że wieś nie kochała samego Antoniego, jeno jego majątek.

Tu starowina przestał, westchnął i zmarszczył czoło.

— A czemuż go nie kochali? — poderwałem ciekawie — kiedy on majątek na dobro gromady i ubogich obracał?...

— Taka to ludzka natura niewdzięczna! — odpowiedział stary — póki Antoni był bogatym, to był dobrym, kochanym, to mu się wszystko lizało, to go wójtem obrali, a jak zeszedł na biedę, to nim pogardzili w opuszczeniu.

— A czemuż on zeszedł na biedę? — zapytałem.

— Ha! dziwnie Pan Bóg ludzi nawiedza! — odpowiedział stary — i nieraz nieszczęście na nich zsyła, czy to z gniewu czy łaski swej przynajświętszej! Tak się też stało i z Antonim. Pewnej nocy w jesieni zapaliła się jego chata. Wiatr był wielki, ogień się przerzucił jednej chwili na wszystkie budynki, i nie minęło godziny a z całego obejścia Antoniowego, z całego jego majątku, z chleba i bogatego dobytku została się tylko

kupa węgli i popiołu. Tak to Antoni w jednej małej chwili został z bogacza biedakiem!

— No toć go przecież gromada musiała poratować, bo przecież on ją przedtem ratował! — odezwałem się na to.

— Oj nie! nie! kochany człowieku — mówił dalej stary smutno — nikt sobie ani nie wspomniał na Antoniego. Nie poratował go nikt ani jednym szelągiem, ani ziarneczkiem, ani dobrem słowem nawet. A ci, co mu byli winni pieniądze lub inne zapomogi, to ani myśleli o tem, aby mu oddać. Oj strasznie za to nasi gazdowie odpowiedzą kiedyś przed Panem Bogiem! Ale cóż kiedy nawet szwagier jego, co go miał Antoni we wsi, nie poratował go w niczem! Antoni prosił szwagra a potem całą gromadę, aby go choć o tyle wspomogli, żeby sobie chałupinę postawił i znowu czego się dorobił, ale słowa jego były jak groch o ścianę. Nie tylko, że go poratować nie chcieli ale nawet strącili gó z wójta, mówiąc, że biedołacha na wójta nie potrzebują! Oj taka to niewdzięczność ludzka! aż strach pomyśleć.

Nam się wszystkim na to opowiadanie strasznie markotno zrobiło i chwilkę jedną siedzieliśmy jak mruki, a potem ja zapytałem znowu:

— I cóż zrobił ten biedny Antoni?

— Strasznie go to zabolało — mówił dalej stary — i mówił, że go tak i ogień i zniszczenie nie zmartwiły, jak ta niewdzięczność ludzi. Popłakał biedak gorzko, poskarzył się Panu Bogu a potem powiedział, że idzie w świat daleki, a jak mu Bóg pobłogosławi, i dorobi się znowu czego i powróci z majątkiem do domu, to już będzie wiedział, jak z ludźmi sobie poczynać. Wynajął jednemu gospodarzowi grunt cały za tanie pieniądze na lat 10, wziął kij do ręki i wybrał się w daleką drogę. A odchodząc pożegnał się z gromadą po dobremu i powiedział, że wszystkim przebacza i że kiedyś się przekonają, jak się źle z nim obeszli. I jak poszedł, tak przepadł jak kamień w wodzie. Kilka lat minęło, o Antonim z nikąd ani słychu, ludzie też zapomnieli o nim całkiem, jakby nigdy nie żył na świecie.

Co zaś dalej opowiadał stary, będzie aż w przyszłym numerku.

Pogadanka gospodarska.

Właśnie teraz czas ten nadszedł, kiedy krowy się cielą. Wielka z tego nieraz radość dla gospodyń, gdy się urodzi bydlątko piękne, bo któżby się nie cieszył z przybytku chudoby, co człeka żywi i na niego pracuje? Ale nie zawsze wiedzą nasze wiejskie gosposie, jak sobie poradzić z młodemi cielętami i nie jedno się zmarnuje z tej racyi, że ludziska nie wiedzą, jak sobie dobrze poradzić. Dla tego wam tu też wypisujemy niektóre rady jednego starego gospodarza, który się bardzo pięknego dobytku dochował. Otóż posłuchajcie:

Chcąc mieć dobre i jak największy użytek dające bydło, trzeba zaczynać od cieląt. Trzeba tedy przedewszystkiem mieć staranie, aby takie tylko odsadzać cielęta, o kórych pewni jesteśmy, że się człeku nadadzą. Przy wyborze cieląt do chowu, należy przeto zachować następujące reguły: Trzeba wybierać cielęta tylko po krowach które dużo mleka dają. Na chów zostawiać tylko takie cielęta, które równie jak i ich matka, zupełnie są zdrowe. Zdrowe cielę poznaje się po żwawości, po skokach, po chciwości z jaką je i pije, potem że dobrze wygląda, i że mu z każdym prawie dniem wagi przybywa. Także bacznie zważać należy na piękny kształt cielęcia. Powinno ono mieć: małą głowę, długą i cienką szyję, nie zbyt wysokie nogi, cienką skórę i sierść ładną.

Jak skoro cielę w żywocie matki rośnie, możemy cielę już w tym stanie pielęgnować. Dla tego dawać trzeba lepszej paszy matce; pasza ta pójdzie na pożytek i nienarodzonemu jeszcze cielęciu. Strzedz się jednak należy, aby się krowa nie zapasła. Dobrze jest dawać krowie na 40 dni przed ocieleniem polewkę przyrządzoną ze sparzonej suchej paszy, z mąki i otrąb, z ugotowanych korzeni i głąbi, i to dawanie przedłużać można, dopóki cielę ssie. — I pora też roku, w której się cielęta do odsadzenia wybiera, nie jest dla ich zdrowia jednaką. I tak musicie wiedzieć, że się te tylko cielęta korzystnie przychowywują, które się rodzą w czasie, kiedy dnia przybywa, a więc od stycznia do maja. Najsilniej rosną one w miesiącu marcu. Cielęta rodzące się między czerwcem a grudniem naj-

lepiej jest oddać na rzeź, wyjąwszy chyba, że z nich wyrobią się bydlęta bardzo piękne.

Cielęcia wiązać nie potrzeba, jak to ludzie robią, bo przez wiązanie cielęcia zdarzają się wypadki, że uwiązane cielę zadusi się, rwąc się gwałtem do cycka. Każdy gospodarz zauważał to zapewne, jak to trudno cielę od matki oderwać i jaką to boleść sprawia zarówno cielęciu jak i matce, gdy je od siebie rozdzielimy. Zresztą prawda to stara, iż pozostawienie cielęcia przy matce, na dobre cielęciu wychodzi. Ssie ono wtedy spokojniej, wedle potrzeby, a obessania się obawiać się nie trzeba.

Jeżeli zaś już koniecznie tak być musi, aby cielęcia nie dopuszczać do krowy, to trzeba cielę odłączyć zaraz po urodzeniu. Gdy jednak wtedy wyżywienie jego już na człowieka zupełnie spada, trzeba więc przytem największą staranność i czystość zachować. Zaraz po urodzeniu, nim jeszcze matka cielę obliże, przenosi je się na miejsce dobrze podesłane, wybiera mu się szluz z pyska i nozdrzy, i wyciera je się słomą lub sianem. Tak odsadzonemu cielęciu daje się mleko od jego własnej matki; pić nauczy ono się z łatwością. Zrazu przyciska mu się głowę ku mleku jedną ręką, drugą zaś rękę trzyma się w mleku, wystawiając zeń tylko wskazujący palec mlekiem zmaczany. Cielę zaczyna ssać palec, który się wtedy zwolna cofa aż do mleka. Pyszczek cielęcia posuwa się za palcem aż natrafi na mleko, poczem już takowe i bez palca chlipie. Naczynie z którego się cielęciu pić daje, winno być nadzwyczaj czysto utrzymywane. Im cielę starsze, tem więcej potrzebuje mleka.

Jak się powiedziało, dwa tylko są sposoby, albo cielę zupełnie przy matce zostawić, albo je zupełnie od niej odłączyć. Odłączone cielęta należy trzymać każde z osobna, aby się nie uczyły ssać jedno drugie, chwytając się jakiejkolwiek części ciała.

Czas ssania lub karmienia cielęcia mlekiem trzeba do sześciu tygodni przeciągnąć. Cielę w skutek dłuższego karmienia mlekiem matczynem staje się silniejszem i nie podpada tak prędko chorobie.

Odzwyczajanie cielęcia od mleka musi się dziać zwolna. Pierwszego zaraz albo drugiego dnia po urodzeniu, posypuje się cielęciu pyszczek kilku ziarnkami kuchennej soli, którą ono ze smakiem oblizuje. Trzeba to powtarzać często, aby sól stała się potrzebą cielęciu. Pożniej stawia mu się w nizkim żłobku cokolwiek wyborowego, słodkiego siana, posypanego miałką solą, a obok tego stawia się mały kubełek bardzo lekko osolonej wody. Cielę bawiąc się, zaczyna siano jeść i wodę pić. W kilka dni pożniej daje mu się odwaru z siana, zmieszanego z przegotowaną mąką owsianą, posoliwszy to wszystko nieco. Cielę zacznie taki pokarm także polizywać z razu, a potem i jeść. Zamiast solonej stawia się następnie cielęciu czysta zimna woda, którą ono już także pić będzie. W ten sposób to już przy cycku uczy się cielę jeść i pić, i dlatego nie masz potem z niem żadnego kłopotu.

Ujmowanie mleka powinno się dziać powoli. Obok tego trzeba dawać cielęciu chleb, makuchy, ziarno, dobre siano. Ziarno i makuchy muszą być starte a następnie naparzone i posolone. Obok suchych pokarmów trzeba dawać i płynne, a mianowicie pojłu z otrębami, z lnianem siemieniem, z makuchami, zupę z mąki grochowej i owsianej, odwar z siana, wreszcie maślankę i kwaśne mleko. Dopiero pożniej daje się rośliny bulwiaste, groch, soczewicę i coraz więcej siana.

Kto bydlęciu w jego młodości skąpi paszy, ten się z niego pięknego i silnego zwierzęcia nie dochowa, ten nie zdoła bydlęcia swego już w drugim roku do całkowitej wielkości doprowadzić. Niech taki gospodarz obliczy sobie, co lepiej wypadnie: czy dwa lata obficie i dobrze karmić i mieć doskonałe bydlę, czy też cztery lata licho karmić i mieć bydlę niedoskonałe.

Jak się już powiedziało, czystość jest główną rzeczą przy hodowli cieląt. Nie trzeba im też dawać dużo paszy naraz do żłobu, ale mało a często. Żłób i naczynia trzeba utrzymywać czysto. Również trzeba pamiętać o czystości legowiska. Dobrze też jest codziennie kazać cielęta zgrzebłować i szczotkować, przez to zapobieże się chorobom skórnym i wszom. Bieganie na wolnem powietrzu, kiedy jest pogoda, wielce jest dla cieląt, jak i dla wszystkich zwierząt korzystne.

Kto ma dobre pastwisko, niech na nie wygania zimowe cielęta w maju a najdalej w czerwcu. Pastwisko musi jednak być dobre, pokryte słodkiemi, soczystemi trawami i nie powinno wysychać podczas lata. Kto nie posiada dostatecznych pastwisk, niech trzyma cielęta przez cały pierwszy rok na stajennej paszy, wedle tego, jak się już wyżej powiedziało. Obok tego jednak zawsze należy je codziennie, kiedy pogoda sprzyja, choć trochę na trawę puszczać.

Na drugą zimę, kiedy cielęta mają dziewięć do dwanaście miesięcy, pasza ich winna być mniej silną. Daje się im więc tylko obficie, dobrego siana, marchwi, buraków, oraz nieco makuchów i soli. Obok tego daje się im pić letnią wodę z przymieszkami, o których wyżej mówiłem. Stajnia powinna być wysoka i ciepła. Podściółkę utrzymywać trzeba sucho i starać się o czystość bydląt. Na drugie lato cielęta muszą iść koniecznie na pastwisko, gdyż ich ciało musi nabierać siły, a do tego dojść może tylko na wolnem powietrzu. Jeżeli pastwisko nie jest wystarczające, trzeba brak paszy dopełnić w stajni koniczyną, trawą, zieloną kukurudzą lub mieszanką.

Przypowieści gospodarskie starego Jacka.

Znałem ja jednego starego gospodarza, co mu było Jacek na imię. Oj, gdyby tylko więcej takich Jacków na świecie, pewnikiem łepiej by było! Bo też to był gospodarz całą gębą, pracowity, baczny, obrotny, oszczędny — że jeno czapkę przed nim zdejmuj na poszanowanie. A znał ci ten Jacek mnóstwo wierszyków na pamięć, a bywało, jak go się kto radzi o co, albo się na biedę żali, to zaraz na to palnął mu wierszyk jakby z kantyczki. Oto opiszę wam, jak ten stary Jacek rozmawiał się raz z Frankiem leniuchem, co z niedbalstwa całe gospodarstwo zmarnował.

Franek: Dzień dobry wam Jacku! Otom dziś zaspał okrótnie!

Jacek: Nie ma się czem chwalić, bo to wstyd dla gospodarza.

Gospodarz długo spiący zrobi bardzo mało,
Spał dosyć gdy siedm godzin spanie mu zabrało.

Franek: Ot dajcie ta pokój! Nie miałem co robić, to się człek chciał wygrzać dobrze pod pierzyną.

Jacek: A mnie znowu nigdy jeszcze nie brakło roboty.

Nie kończym wszystkiego, pracując dzień cały,
Ma co robić gospodarz, byle chciał być dbały!

Franek: No wiem ja wiem, ale ta robota, co mi dziś wypadała, jeszcze i jutro nie ucieknie.

Jacek: Lenistwo traci, praca zyskuje ostrożnie,
Nie odkładaj do jutra, co dziś zrobić można.

Franek: Ja też ani robię, ani odkładam, bo mam na to parobków, aby za mnie robili.

Jacek: Nie polegaj we wszystkiem na innych usłudze,
Sam wszystkiego dozieraj, ślepe oczy cudze.

Franek: Ej gadanie, aby gadać, człek się spuszcza na sługi, bo sam wszystkiego robić nie może, a nikt się tam nie spodziewał, że sługa chudoby nie poszanuje!

Jacek: Ej zła to wymówka, Franku, taka na to rada:

Przewiduj i przypilnuj, byś straty nie miewał,
Głupi mówi po szkodzie, jam się nie spodziewał!

Franek (z gniewem): At dajcie mi pokój święty z waszemi radami, ja sobie gospodarz taki, jak wy, i sam sobie poradzić potrafię.

Jacek: Ej nie gniewajcie się za radę Franku, bo mówię wam, że
Komu praca nie miła, ani dobra rada,
Ten majątku postrada i zejdzie na dziada!

RÓŻNOŚCI.

Xiądz Wojciech z Medyki, wasz i Dzwonka serdeczny przyjaciel, co wam już tyle pięknych i pouczających gadek naopowiadał, napisał dla was kochani ludkowie książeczkę, co się zwać będzie *Czytanie świąteczne.* Będą w tej książeczce ewanielie święte, a do każdej ewanielii dodanych będzie kilka historyj albo z życia świętych albo z dawnych czasów polskich, a wszystko będzie pięknie spisane ku waszej nauce i zabawie, jak to xiądz Wojciech umie! Książeczkę tę da xiądz Wojciech niezadługo do druku, a jak ją panowie drukarze wyszykują, to wtedy pójdzie w świat, między ludek polski! My też wam tu o tem naprzód donosimy, a jak skoro to *Czytanie niedzielne* już będzie jak się patrzy

wydrukowane, to wam znowu o tem napiszemy, abyście sobie mogli kupić tę książeczkę.

Inną zaś książeczkę napisał dla was jeden pan, coby chciał z całego serca, aby się wam na ojcowskiej roli dobrze powodziło. Ten pan nazywa się Wincenty Darowski, a książeczka ta, co ją napisał, ma takie imię: *Katechizm rolniczy dla młodzieży wiejskiej.* W tym katechizmie jest wszystko dokumentnie rozpowiedziane, co tylko do dobrego gospodarstwa należy: o budowlach, o sadach, o gatunkach ziemi, o siewie, o nawozie, o łąkach i t. d. A wszystko to tak na rozum wypisane, że aż miło. Dla tego też, radziłbym wam, jak wam kiedy wypadnie czego zaglądnąć do miasta, to spytajcie się tam w księgarni za tą książeczką i kupcie ją dla waszych dziatek, aby się mogli z niej już naprzód czegoś pouczyć o gospodarstwie. Bo choć tam wy sami zaprawiacie dziatki do roli, to przecie nie zawadzi ale jeno pomoże, zaglądnąć osobno do książki, boć to i niejeden stary gospodarz mógłby się z niej wiele nauczyć.

Wielomowność zwykła się rodzić z trzech rzeczy: z próżnej chwały, z natkania brzucha i z przewrotnego zwyczaju. I tak jest zaiste: próżnochwałkowie wiele gadają tych rzeczy, które do ich próżnej chwały należą, aby się udali za takich, którzy wiele wiedzą, aby wszystek świat o nich wiedział, jakimi są albo byli. Bywa to często, im kto uboższy w chwałę prawdziwą, tem bardziej fałszywą łowi, próżna albowiem chwała jest jedna z córek hardości. A którzy półmiskami brzuch napełnią, prędko się porywają do słów uszczypliwych i nieuczciwych żartów; do zwad, do próżnej mowy tacy skłonni.

Trzeźwy trzeźwie mówi, wstrzyma się od żartów wszetecznych i od wszelakich słówek plugawych; pijaństwo wiele gada, trzeźwość pomilczenie miłuje. Pamiętajcie na owe zdanie: kędy słów wiele, tam najczęściej ubóstwo ducha; bo jako latorośle winne, które bogate są w liście, nie wiele wina rodzą, tak, którzy wiele o cnotach szczebiocą i nagadają, rzadko kiedy przyzwoite cnocie dzieła robią. Częstokroć bywa, że słowo jedno, lada jak wymówione, rozrywa przyjaźni bardzo dobrze i z dawna zawiązane. Nie wiecież tego, iż dla jednego słóweczka ciężkie wojny, rokosze w królestwach powstały? O języku! języku! w piśmie świętem strzale ostrej i brzytwie słusznie bywasz przyrównan; więcej albowiem i przeraźliwiej niż żelazna strzała zabijasz. Wymówi się słóweczko, które aby cofnąć nazad, dałby człowiek niewiem co. Jako ptaka, który się z rąk wydrze, zatrzymać, porwać nazad trudno; jako okrętu, który uciekł na morze, nie możesz zawściągnąć; tak i słowo raz wypuszczone, leci niepohamowane. Słowo odleci, ale trwa ból zadany, i gwałtownie umysł pobudza na gniewy i na pomstę wielką. To wam dla nauki wypisujemy z jednej starej książki.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

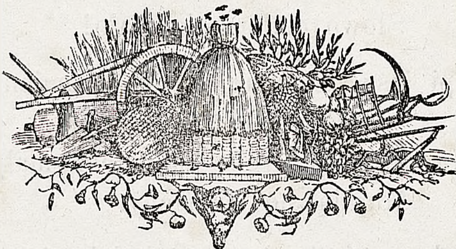
Tom XI. Nr. 18.

21. grudnia 1864.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Niechże będzie pochwalony Jezus narodzony!



Mizerna, cicha, stajenka licha,
Pełną niebieskiej chwały;
Oto leżący, przed nami spiący
W promieniach Jezus mały!

Nad nim Anieli w locie stanęli,
I pochyleni klęczą,
Z włosy złotemi, z skrzydły białemi,
Pod malowaną tęczą!

Wielkie zdziwienie; wszelkie stworzenie,
Cały świat orzeźwiony;
Mądrość mądrości, światłość światłości,
Jezus wcielony!

I oto mnodzy ludzie ubodzy
Radzi oglądać Pana,
Pełni natchnienia, pewni zbawienia,
Upadli na kolana.

Długo czekali, długo wzdychali,
Aż niebo rozgorzało,
Piekło zawarte, niebo otwarte,
Słowo ciałem się stało!

Spi jeszcze senne dziecię promienne
W ciszy ubogiej strzechy;
Na licach białych, na ustach małych
Migają się uśmiechy.

Jako w kościele choć ludzi wiele
Cisza pobożna wieje;
Oczy się roszą, dusze się wznoszą,
Płyną w serca nadzieje!

Lulaj dziecino, lulaj ptaszyno,
Nasze umiłowanie!
Gdy się rozbudzi w tej rzeszy ludzi
Zbawienie nam się stanie!

Oto Maryja czysta lilija,
Przy niej staruszek drżący
Stoją przed nami, przed pastuszkami
Tacy uśmiechający.

Hej ludzie prości! Bóg z wami gości,
Skończony czas niedoli,
On daje siebie, chwała na niebie,
Pokój ludziom dobrej woli!

Radość na ziemi, bo nad wszystkiemi
Roztacza blaski rumiane,
Przepaść zawarta, upadek czarta,
Zstępuje Pan nad pany!

Teofil Lenartowicz.

Kiedy ród ludzki popadł w grzechy i występki, kiedy zapomniał o prawdziwym Bogu i żył w plugawej bezbożności — wówczas Bóg najmiłosierniejszy zesłał na świat ten Syna swego jedynego, Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa, aby wydźwignął ludzi z fałszu i zbrodni. I zesłał nam Syna swego,

aby nauczył ludzi wiary świętej prawdziwej, zesłał go, aby oświecił ich rozum zawrócony, zesłał go, aby w sercach rozniecił miłość Boga i bliźniego, aby nauczył nas cnoty i dobrych uczynków, i aby w nagrodę za poczciwe życie dał nam nadzieję światłości wiekuistej w niebiosach!...

I narodziła się przenajświętsza dziecina w ubożuchnej stajence, między pastuszkami mizernymi, z daleka od bogactw i marności ziemskich — urodziła się w mieścinie Betleem, wśród nędzy ludzkiej, a to w znak wyraźny, że Ten, co wśród ubóstwa i biednych pastuszków na świat przyszedł, stanie się pociechą utrapionych, ratunkiem nieszczęśliwych, i że zarówno łaską swą świętą opatrzy bogatych i ubogich!

I z najświętszą dzieciną zstąpiło zlitowanie Boże na biedny ród ludzki. Skończyła się ciemnota grzechu i zbrodni i wiara fałszywa, ludzie za nauką Zbawiciela powstali z swego okropnego upadku, poznali prawdziwego Boga i nawrócili się do niego, a w sercach ich wzrosły trzy święte cnoty chrześciańskie: wiara, nadzieje i miłość!...

Dwa tysiące lat niezadługo ubiegnie, od kiedy świat obchodzi pamiątkę radośną dnia tego, kiedy ludziom zaświtało Boże zmiłowanie i kiedy Syn Stwórcy naszego, Chrystus, w mizernej stajence zstąpił na ziemię i przyniósł nam zbawienie wieczne. A w każdym dniu tej radośnej pamiątki wznosimy serca nasze do Boga i szczerą modlitwą dziękujemy mu za Jego łaskę i zlitowanie!

Otoż i teraz nastąpił czas, kiedy obchodzić mamy znowu tę pamiatkę Narodzenia Jezusowego! Obchodźmyż tę uroczystość wielką z wdzięcznością serdeczną, z nabożeństwem gorącem i chwalmy radośnie Zbawiciela naszego!

Niechaj pamiątka Jego narodzenia przypomni nam wszystkie cnoty i prawdy, jakich nauczał na ziemi, niechaj w nas wzbudza coraz silniejszą miłość do Boga i bliźnich naszych, niechaj nas zachęca do życia sprawiedliwego i bogobojnego, za które On, Zbawiciel nasz najświętszy, przyrzekł nam królestwo niebieskie.

Kto nieszczęśliwy, niechaj sobie przypomni, że Chrystus wstąpił między ludzi, aby im ulżyć w wszelkiej niedoli ziemskiej, że wstąpił między ludzi, aby im zostawić religię

świętą, która jest najlepszą pociechą dla strapionych i cierpiących...

Kto ubogi i nędzny, niechaj sobie przypomni, że i Syn Boży urodził się w ubóstwie i niedostatku, niechaj sobie przypomni, że dał nam przykład, jak w ufności ku Bogu i w cierpliwości chrześcijańskiej znosić mamy nędzę doczesną!...

Kto bogaty, niechaj sobie przypomni, że Pan Jezus nasz najukochańszy przyszedł na świat w ubogiej stajence, między nędznymi pastuszkami, niechaj sobie przypomni, że Zbawiciel dał nam tem przykład, że nie powinniśmy być dumnymi na marności doczesne, że nie powinniśmy pogardzać ubóstwem, bo ubóstwo to ukochał sam Chrystus Pan, Bóg wcielony!...

Kogo złość i przewrotność ludzka prześladuje, na czyją krzywdę i zgubę bezbożni ludzie dybią, niechaj sobie przypomni, że i Jezusa, kiedy był dzieciątkiem jeszcze, ścigał Herod okrótny, a przecież zbrodniczej swej woli dokonać nie mógł!...

O przypomnijmy sobie, że opieka ta niebieska, która strzegła dzieciątko Jezus przed katami Heroda, strzedz będzie nas wszystkich i całą krainę naszą ukochaną przed nienawiścią złych ludzi, przed krzywdą i przed złością tych, co czyhają na zagubę sprawiedliwych!...

Módlmy się do Narodzonego Boga za ziemię naszą, za braci naszych — niechaj własne nasze grzechy odpadną od nas na zawsze, niechaj cudze złości nie szkodzą nam i w niwec idą!

O dzieciątko Jezus! pobłogosław naszą ukochaną Polskę rączką Twą przenajświętszą, okryj ziemię ojców naszych opieką Twoją niebieską, strzeż ją od zguby łaską Twoją, oswobódź ją od cierpień i klęsk wszelkich, i daj jej dolę szczęśliwą!

O Przenajświętsza Marjo, Matko Boża, Przeczysta Panienko, módl się do Syna Twego ukochanego, módl się do Dzieciątka Jezus za nas Polaków i za naszą ojczyznę najdroższą!...

Dziadek po kolędzie.

Bóg z wami ludkowie! — przychodzę z daleka,
Bo gdzież to nie wodzi ta bieda człowieka!
O gnieździe rodzinnem i dziadek pamięta,
Więc do was ludkowie przychodzę na Święta.
Przeziąbłem, pozwólcie, pod piecem usiędę;
Gdy trochę odtaję, to z dziatwą kolędę
Zaśpiewam — bo warto, by ludzie słyszeli,
Co kiedyś nad szopką spiewali anieli.

Kolęda.

Nad Betleem zagrzmiało:
Słowo ciałem się stało!
Hej kolęda, kolęda!
Jasna gwiazda przyświeca,
Boga rodzi Dziewica,
Hej kolęda, kolęda!

Miłościwe posłanie
Głoszą światu niebianie:
Hej kolęda, kolęda!
Chwała Panu na niebie,
Pokój dobrym w potrzebie,
Hej kolęda, kolęda!

Wielu gwiazdę widziało,
Głos anielski słyszało,
Hej kolęda, kolęda!
Ale pierwsi pasterze
Nieśli serca w ofierze
Hej kolęda, kolęda!

O szczęśliwa prostoto!
Trzód odbiegłaś z ochotą,
Hej kolęda, kolęda!
Cóż się złego stać może,
Kiedy strzeżesz nas Boże,
Hej kolęda, kolęda!

Witaj złota jutrzenko
Nad ubogą stajenką,
Hej kolęda, kolęda!
Witaj Boże wcielony,
Przyjm radośne pokłony,
Hej kolęda, kolęda!

Szli od wschodu mędrcowie,
Szli za gwiazdą królowie,
Hej kolęda, kolęda!
Gnie kolana świat stary,
Składa Bóstwu ofiary,
Hej kolęda, kolęda!

Zadrżał Heród na tronie,
Szle na zwiady pogonie,
Hej kolęda, kolęda!
Niemowlęta wśród trwogi
Tępi jego miecz srogi,
Hej kolęda, kolęda!

Nie dosięgniesz Herodzie
Jasnej gwiazdy na wschodzie,
Hej kolęda, kolęda!
Słowo Ciałem się stało,
Aby wieki przetrwało,
Hej kolędą, kolęda!

Kuba z Zatora.

Rozwalona kaplica.

Opowiedział Kuba z Kobła.

III.

I minęło tak lat dziesięć — opowiadał nam dalej starowina — a o Antonim tylko jakieś dziwne zachodzą słychy. Jedni mówią, że się utopił z nędzy, drudzy, że zeszedł na dziada i żebrze gdzieś koło Pacławskiej Kalwaryi, inni znowu klęli się na czem świat stoi, że znalazł gdzieś skarb zakopany i do wielkiego majątku przyszedł.

Kiedy tak ludzie, jak ludzie zwyczajnie, to i owo bają o starym Antonim, aż tu naraz przed dwoma laty zajeżdża jakiś porządny wóz do wsi. Było to w lecie, w samą świętą niedzielę, kiedy własnie ludzie wychodzili z kościoła. Zaczęli się więc wszyscy bardzo ciekawie przypatrywać, co też to za gość zawitał do wsi. Wóz był nowy i setnie kuty, konie tęgie i tłuste jak gałki, a na wozie siedział jakiś staruszek, z białemi jak pióra u gołębia włosami i popędzał konie prosto przed karczmę.

Ludzie, jak to zazwyczaj bywa, ciekawi na wszystko, wysypali się całą hurmą przed karczmę, aby się napatrzeć na obcego człowieka. Kiedy tak wszyscy stanęli i wytrzeszczyli oczy jak gdyby na raroga, ów stary człowiek zlazł z woza, stanął przed ludźmi i popatrzył się na nich smutno, a ja co stałem najbliżej koło niego, widziałem dobrze, jak mu dwie łzy spłynęły po twarzy.

— Niech będzie pochwalony! — odezwał się cudzy człowiek do ludzi.

— Na wieki wieków! A zkądto droga prowadzi? — zapytał jeden z gromady.

Na to starzec ów już nie mógł wstrzymać się od płaczu, a łzy jak groch poczęły mu płynąć po zmarszczonem licu.

— Mocny Boże! to wy mnie nie poznali! — zawołał i począł sobie łzy obcierać rękami.

Wtedy, jakby się wszystkim oczy dopiero roztwarły, zawołali:
— A dla Boga! toć to Antoni!

Ale jakoś żaden nie śmiał mu popatrzyć w oczy, bo się wszyscy wstydzili jeszcze swej nielitościwości, kiedy to z biednym pogorzelcem tak nieludzko się obeszli. Tylko kilku poczciwszych przystąpiło do niego i z serca przemówili:

— A witajcież Antoni! witajcie, a kędyżeście to tak długo bywali?

Antoni uściskał wszystkich po szczerości, jakby im zapomniał już owej niewdzięczności, ale nic nie mówił, którędy się przez tak długi czas obracał, jeno prosił, aby go kto na jakie kilka miesięcy za gotówe pieniądze przyjął na komorne, dopóki sobie na swym gruncie nie wybuduje jakiej chałupiny.

Jak tylko ludziska usłyszeli o gotowych pieniądzach, zaraz i ten i ów napycha się i prosi, aby zamieszkał w jego chacie, aż stary Antoni nie wiedział, do kogo się ma sprowadzić. W końcu jakoś mu się najlepiej podobało u Łukasza Zagajnego pod młynem i siadł na wóz, aby zajechać pod jego chatę. Kiedy już pod próg zajechali, wtedy Antoni poprosił, aby pomogli zdjąć z wozu skrzynię, co ją z sobą przywiózł.

Podskoczył zaraz Maciek, syn Łukasza, i razem z ojcem biorą się do wielkiej skrzyni, co była na wozie. Ale choć jeden i drugi chłop jak rydz, ani ci ruszyć tej skrzyni nie mogli. Zawołali jeszcze dwóch parobków do pomocy, i dopiero z ciężką biedą skrzynię wnieśli do chaty.

— A cóż tam w tej skrzyni było? — zapytałem ciekawie.

— Nikt tego nie wiedział wtedy, jeno wszyscy łamali sobie głowę, coby to było — mówił dalej stary gospodarz. W końcu przyszli ludzie na tę myśl, że w tej okrutnej skrzyni nic innego być nie może, jeno same srebrne i złote pieniądze, bo i cóżby tak było ciężkiego? Zaraz ci się więc rozniosło po całej wsi, że Antoni przywiózł z sobą całą skrzynię pieniędzy — a kiedy na drugi dzień zaraz Antoni dał kilka karbowańców księdzu na mszę za szczęśliwy powrót do wsi, to już każdy temu uwierzył.

Tymczasem Antoni nie próżnował, jeno zabrał się tęgo do pracy. Wykupił zastawione grunta, sprowadził materyał i zaczął się budować. Nie minęło półtora miesiąca a Antoni miał już nową chatę na tem samem miejscu, gdzie mu była stara

zgorzała — a majstrom zapłacił samem srebrem i jeszcze im sutą zabawę wyprawił.

Duchem się to rozniosło po wsi, ba po całej okolicy, i już na pięć mil do koła nikt o niczem innem nie mówi, jeno o skarbach Antoniego i o tej ciężkiej skrzyni z talarami i cwancygierami, co ją z sobą przywiózł z dalekiego świata. Ten i ów klnie się na wszystko, że w tej skrzyni same dukaty z Matką Boską, a kumoszki rozpowiadały sobie za najświętszą prawdę, że widziały raz wieczorem przez okno, jak Antoni siedział nad skrzynią i rachował pieniądze, a z skrzyni od srebra i złota biło takie światło, jak od łuny jakiej czerwonej.

I taka to ludzka natura! Jak się tylko takie plotki rozeszły po wsi, jużci zaraz wszyscy leżą w oczy Antoniemu, już mu pochlebiają i kochają — a jak go w nieszczęściu nikt znać nie chciał, tak teraz przymawiają się wszyscy gwałtem do jego łaski. Bo najczęściej to tak bywa, że ani zacność, ani pobożność, ani cnoty inne nie znaczą tyle u ludzi, co pieniądze i dobytki.

Ale jak wszyscy łasili się z całej siły Antoniemu i lepli do niego jak pszczoły do miodu, tak znowu Antoni nie bardzo się wdawał z ludźmi, jeno wziął sobie do chaty córkę swojej siostry, a właśnie owego szwagra, co go to dawniej zapomódz nie chciał. I szwagier i siostra Antoniego zubożeli byli bardzo, wyraźnie, jakby ich Bóg karał za twarde serce dla krewnego, a niezadługo zmarli w nędzy. Została po nich tylko córka, Jagusia, hoże i dobre dziewczę, i tułała się pomiędzy ludźmi. Ale jak tylko Antoni wrócił, skończyła się jej bieda, bo jak już powiedziałem wam naprzód, wziął ją zaraz do siebie i pokochał jak własne swe dziecię.

Zaraz też do Jagusi poczęli smalić cholewki wszyscy parobcy ze wsi, a nawet synowie najbogatszych gazdów sunęli do niej w zaloty, bo każdy myślał, że stary choć połowę tego skarbu, co ma w skrzyni, da dziewce na wiano. Stary Antoni nic na to nie mówił, jeno się uśmiechał — ale dziewczyna zapatrzyła się na prawdę w Antku, synu leśnego Nikodema.

Antek był też sobie chłopiec jak malowany, ubierał się w piękne kapoty i sukmany, ale za to był leń wielki, nie pra-

cował na gruncie, jenoby chciał, aby bez pracy panować, szumieć i hulać. Ale młode dziewczęta zazwyczaj na to rozumu nie mają — tak też i siostrzenica Antoniego, Jagusia, o żadnym innym ani słyszeć nie chciała, jeno Antka pokochała z całej mocy.

— No i pobrali się? — zapytałem starego.

— Oj nie moiściewy — odpowiedział stary gospodarz. Antoni nie lubiał Antka, bo widział, że jemu tylko panować i bąki zbijać a do roboty tam nie ma ani za grosz woli i ochoty. Powiedział też prosto z mosta Antkowi, że nie wyda Jagusi za człowieka, co się pracy imać nie chce, jeno dobytek ojcowski marnuje. Jagusia płakała i zawodziła, ale Antoni jak nie tak nie, jeno wykłada na rozum dziewce, że nie dopuści, aby miała nicponia za męża, chyba że Antek się poprawi.

A ja zapytałem znowu:

— A cóż Antek na to?

Zaś stary tak mówił dalej:

— Okrótnie się tem rozzłościł i zmartwił, bo to hultaisko nic nie robił, jeno pił i hulał i pożyczał pieniądze od rudego Mendla, który mu borgował na dobre, bo myślał, że jak się Antek ożeni z Jagusią, to ogromne za nią weźmie pieniądze od Antoniego.

— A co to był za rudy Mendel? — zapytałem.

— Był on tu w tej karczmie arendarzem — odpowiedział stary. — Oj szubiennik to był okrótny, co szubiennik, to szubiennik. Trzymał on spółkę z złodziejami, co mu kradzione konie, kożuchy, korale i mnóstwo innych rzeczy sprowadzali, a on je kupował za psie pieniądze, i na dalekich jarmarkach sprzedawał z wielkim zyskiem. Rudy Mendel pożyczał przytem ludziom pieniądze, a potem ich ssał jak pijawka, grabił, zdzierał i Bóg wie co nie robił! Oj niejedna to łza gorzka spadła na jego rudą głowę! Otoż jak tylko Antek odszedł z kwitkiem ze swatów, zaraz poszedł do rudego Mendla po naradę.

— No jakże wam poszło Antku? — zapytał rudy Mendel.

— Niech tam piorun wszystko trzaśnie! — zawołał Antek i uderzył pięścią w stół, aż szyby w oknach zabrzęczały. Ten stary skąpiec Antoni, łotr co się zowie, nie chce mi dać córki,

bo powiada, że nie lubię pracować i że muszę się pierwej poprawić! Niech go nieszczęście ciężkie spotka!

Tak począł kląć i wydziwiać hultaj, a żyd aż pobladł z desperacyi, bo bał się, że mu teraz wszystkie pieniądze przepadną, które pożyczył Antkowi. Rudy Mendel począł myśleć, a od czasu do czasu bił się pięścią w czoło i podsuwał na tył jarmułkę z rudej głowy.

Nareszcie łypnął siwemi oczyma jak czart, i odezwał się do Antka:

— Słuchaj Antku! ty mi wielką krzywdę zrobił! Ja ci tyle pieniędzy pożyczył a zkąd ja teraz je odbiorę? Ale ja wiem, że ty dobry chłopiec i chcę cię poratować. Chodź ze mną do alkierza, bo tu by nas mógł kto podsłuchać, a ja ci dam dobrą radę.

I rudy Mendel jeszcze raz łypnął swemi oczyma, aż mu się zaczerwieniły jak łuna krwawa, i pociągnął za sobą Antka do alkierza. Tam długo, bardzo długo z sobą szeptali przy zapartych drzwiach, aż w końcu wybiegł Antek z karczmy, a był taki blady jak wapno, włosy najeżyły mu się na głowie, a oczy mu błyskały jak żar, i coś strasznego z nich patrzyło.

— I cóż oni tam z sobą mówili? — zapytałem z wielką ciekawością staruszka.

— Jak się poźniej okazało — odpowiedział stary — naradzali się, aby starego Antoniego zabić. Antek zrazu ani rusz o tem gadać sobie nie dał, bo się w chłopcu jeszcze reszta poczciwości obudziła, ale rudy Mendel tak mu mówił:

— Jagusia za tobą szaleje i za nikogo innego się nie wyda, jeno za ciebie. A kto ci temu przeszkodą? Nikt jeno stary. Jak więc zgładzimy ze świata starego, weźmiesz i dziewkę i wszystkie pieniądze, bo Jagusia jedyna krewna Antoniego i choć on umrze bez testamentu, to na nią cały majątek spadnie.

I tak namawiał i podjudzał rudy Mendel Antka, jakby prawdziwy szatan z piekła — że w końcu Antek zapomniał o Bogu i zgodził się na to, aby z żydem zamordować starego Antoniego, potem ożenić się z Jagusią, i pieniądzmi podzielić się z Mendlem.

Nam wszystkim aż włosy stanęli na głowie na to opowiawiadanie gospodarza, a ja zapytałem:

-- Dla Boga żywego! I zabili go na prawdę?

A gospodarz tak dalej opowiadał:

— Nieboszczyk Antoni był bardzo pobożnym człowiekiem i co wieczora, kiedy już wszystkie roboty koło domu pokończył, chodził się modlić do tej kaplicy, coście ją po drodze oglądali. W kaplicy tej stała figura św Antoniego z kamienia, ta sama, coście ją widzieli wywróconą na ziemię i poobijaną na wszystkie strony. Otoż Antoni miał ten zwyczaj modlić się co wieczora w kaplicy przed figurą swego patrona — i nigdy ani w słotę ani w zimę tego zwyczaju nie opuszczał.

Zmiarkował to sobie dobrze rudy Mendel, wziął z sobą Antka i poszli w nocy do kaplicy. Tu odbili figurę świętego od postumentu, do którego była przymocowaną, a to na to, aby ją można było wywrócić z łatwością. Zrobiwszy to wrócili do domu, a na drugi dzień wieczorem, kiedy już gruby mrok zapadł, poszli Mendel i Antek znowu do kaplicy i tam skulili się na ziemię i schowali się za figurę. Antoni tego dnia jakoś się spóźnił, jakby akuratnie na szczęście obu łotrów, i już ciemna noc zapadła, kiedy przyszedł na modlitwę. Kiedy już był w kaplicy, ukląkł Antoni z nabożeństwem pod figurą i schyliwszy głowę do stóp świętego, począł się z skruchą modlić.

Antkowi włosy stanęły na głowie i serce mu się w lód ścięło, taki go strach przejął, że ma tak okropną zbrodnię popełnić na świętem miejscu; omdlał i skośniał, i nie mógł się nawet z ziemi podźwignąć. Ale rudy Mendel, choć go z razu także mrowie pszeszło po ciele, wnet się opamiętał, podniósł się z ziemi, i całą mocą podsadził się pod kamienną figurę i popchnął ją rękami. Figura spadła prosto na głowę modlącemu się Antoniemu!...

— Mocny Boże!... — zawołaliśmy wszyscy i ażeśmy się porwali z ławy, taki nas lęk i zgroza zebrała.

A stary gazda opowiadał tymczasem dalej:

— Jak się już Mendel przekonał, że figura przywaliła Antoniego i zabiła go na śmierć, bo mu aż głowę potrzaskała i mózg rozsadziła, wybiegł co tchu z kaplicy, a za nim Antek

uciekał z ogromnym strachem, bo zdawało mu się, że go jakieś piekielne mary gonią, a w sercu mu coś świdrowało, jakby rozpalonem żelazem.

Rudy Mendel był pewny, że się to nie wykryje, i tak się z razu zdawało. Kiedy na płacz i krzyk Jagusi, która dziwiąc się, czemu wuj nie wraca, poszła za nim do kaplicy, zbiegli się ludzie, to wszyscy myśleli, że figura spadła sama z siebie i tak nieszczęśliwego Antoniego zabiła. I nikomu nawet na myśl nie przyszło, żeby to jaki człowiek dopuścił się tej zbrodni i strącił figurę na głowę Antoniego.

Ale prawda to święta, że wszelka zbrodnia, chociażby z największą chytrością była popełniona, wyjdzie na wierzch jak oliwa. Pan Bóg Najświętszy nie dopuści nigdy, aby morderca uszedł kary ciężkiej, i nie bywało prawie jeszcze takiego przypadku, aby się morderstwo ukryło przed sprawiedliwością i karą.

Zaraz na drugi dzień zjechali panowie z cyrkułu i doktor, i wszyscy myśleli na pewno, że figura upadła sama z siebie. Poszli tedy do chaty nieboszczyka, aby spisać majątek, co po nim został i przypilnować, aby wszystko było oddane temu, do kogo po śmierci Antoniego miało należeć. W chacie nie znaleźli wiele gratów, było tam wszystko ubogie — ale za to każdy myślał, że w skrzyni owej okutej i ciężkiej, co ją przywiózł Antoni, będą okrutne skarby. Kiedy urzędnicy przyszli do chaty, wcisnęło się za nimi wiele ludzi z ciekawości, a między nimi byli i obaj zbrodniarze, rudy Mendel i Antek. Urzędnicy kazali czterem chłopom wyciągnąć skrzynię na środek izby, a potem powiedzieli Jagusi, aby do niej klucze dała. Ale Jagusia odpowiedziała, że nieboszczyk Antoni klucz od tej skrzyni rzucił sam do studni, jak powiadał dla tego, że nie chce, aby skrzynia była otwarta prędzej, aż po jego śmierci. Zawołali kowala, który z wielką biedą porozbijał zamki u skrzyni. Wszyscy, co byli przy tem, wytrzeszczyli oczy z okrutną ciekawością i już naprzód wystawiali sobie, co też tam w tej skrzyni będzie złota i srebra. Urzędnik z cyrkułu podniósł wieko i aż krzyknął z zdziwienia!..

— No i cóż tam było w skrzyni? co? gadajcie! — zawołałem do starego gazdy.

— Oto widzicie, nie było tam ani złota, ani srebra, jeno same stare i pordzewiałe żelaziwo: łańcuchy, podkowy, obręcze i inne rupiecie grajcara nawet nie warte!...

Stary Antoni wielki miał rozum! Wiedział dobrze, że ludzie nie patrzą ani na zacność, ani na cnoty — jeno na pieniądze! Otóż zrobił tak na umyślnie na omamienie wszystkich, co jeno tego szanują, który ma dużo grosza. Nieboszczyk Antoni dorobił się tam wprawdzie jakiegoś maleńkiego grosza w świecie, ale to mu wystarczyło tylko na konieczne potrzeby. Kiedy miał powracać do wsi, kupił umyślnie starą, dużą skrzynię, napakował w nią starego żelaziwa i przywiózł ją do wsi, a wszyscy myśleli, że w tej skrzyni same talary i dukaty i dla tego też znowu go szanowali i prawie na rękach nosili.

A ja na to się odzywam:

— Nie ma co mówić, nie lada to był mądry człowiek, ten wasz Antoni. Dał on całej waszej gromadzie dobrą naukę i okrutnie ją zawstydził. Ale opowiadajcież dalej, moiściewy gospodarzu. Co też się stało z mordercą Mendlem i jego wspólnikiem Antkiem?

— W tej samej chwili — opowiadał dalej gazda — kiedy komisarz roztworzył skrzynię, wysunęli się Antek i rudy Mendel naprzód, aby zobaczyć, jakie też tam w niej skarby, za które stali się mordercami nieboszczyka. Otóż jak Mendel i Antek zobaczyli, że w skrzyni nie ma ani złamanego grajcara, jeno same żelaziwo i rupiecie, stanęli nieruchomi jak z kamienia. Morderstwo zawsze morderstwem, czy to o pieniądze czy o co innego — ale każdy morderca jeszcze bardziej traci rozum i gorzej go jeszcze potem czart szarpie, skoro ujrzy, że choć krwią zbroczył swe ręce, nie osiągnął przecie tego, czego chciał.

Tak też się stało z rudym Medlem i Antkiem, kiedy zobaczyli, co było w tej ciężkiej skrzyni nieboszczyka, o którejby byli przysięgli pierwej, że w niej same ruble, talary i dukaty. Rudy Mendel zbladł jak chusta, trząsł się jak listek na wietrze, bił się ciągle pięścią w czoło i jęczał z cicha.

Antek zaś, kiedy ujrzał, jak się oszukał, kiedy widząc płacz Jagusi, trupa Antoniego i komisyę, przypomniał sobie, jaką okropną zbrodnię popełnił, stracił do reszty przytomność. Popatrzył na rudego Mendla i jakaś wściekłość go porwała, bo Mendel go przecież namówił do strasznego grzechu! Ryknął jak zwierz dziki, skoczył na żyda, schwytał go obiema rękami za gardło i począł wołać strasznym głosem:

— To on, to on go zamordował! On go zamordował! A ja mu pomagałem!

I począł dusić żyda, że mu aż oczy razem z krwią na wierzch wylazły. Ludzie przelękli się okropnie, rzucili się na Antka i ledwo go z ciężką biedą od Mendla oderwali.

Wtedy zaraz kazał komisarz okuć Mendla i Antka, wsadzili ich na wóz i powieźli do miasta. Tam zaraz zrobili z nimi protokół, a Antek rozpowiedział wszystko.

— I cóż się z nimi stało? — zapytałem gazdę.

A on odpowiedział:

— Rudego Mendla, skazał sąd na śmierć i powiesili go zeszłego roku. Antka zaś za pomoc w morderstwie skazano na 20 lat kryminału. Zaś od tego czasu kaplica ta, o którą mnie pytaliście, stoi w takiem spustoszeniu, i nikt tam się nie ważył nic ruszyć, choć to już blisko dwa lata temu.

Taka to historya o tej rozwalonej kaplicy. Niechby sobie z niej brali ludzie strach przed zbrodnią i przed chciwością na cudzy majątek.

Stary gazda skończył opowiadać i zadumał się czegoś bardzo. Ja zaś powstałem z ławy i powiedziałem:

— Dziękujemy wam staruszku za gawędę. Nie ma co mówić, straszna to historya, ale niech będzie na naukę dla innych ludzi. Jak powrócimy z furmanki do domu, to rozpowiemy ją naszym ludziom, aby się strzegli przed pokusami szatana i nie miłowali majątków i marności, ale zacność i poczciwość swojej duszy.

A potem mówiłem do furmanów, co ze mną razem jechali:

— Biedni my wprawdzie, i tyle tylko mamy, co sobie krwawo zapracujemy. Ale właśnie to od ubogich ludzi najmilsza Bogu ofiara. Obaj ci mordercy, co taką straszną zbrodnię

popełnili w kaplicy, już zostali ukarani, sprawiedliwości tego świata już się stało zadość, a sprawiedliwości Bożej stanie się także zadość na ostatecznym sądzie. Dlaczegoż więc ta kaplica św. Antoniego ma być w spustoszeniu? Oto złóżmy się po jakich kilka groszy na naprawę i odnowienie tej kaplicy, a Bóg pewnie mile to przyjmie od nas ubogich prostaczków. Niech to będzie za nędzne dusze obu tych zbrodniarzy, aby Bóg był miłościw na nie!

I wyciągnąłem trochę pieniędzy, ile dać mogłem, a wszyscy inni furmani poszli za moim przykładem, i Jacek Bunda i Maciek Wybój i Jędrzej Płotek. Złożone pieniądze daliśmy staruszkowi, co nam tę całą historyę rozpowiedział, a on obiecał, że jeszcze z własnych dołoży i od gromady co zbierze. Potem pożegnaliśmy się, bo już noc była pożna, a my skoro świt mieli wyjeżdżać w dalszą drogę.

A kiedyśmy odstawili sól, gdzie się patrzyło, i wracaliśmy nazad przez Gradówkę, to już rozwalona kaplica była na pół odbudowaną, a figura świętego Antoniego już stała znowu na fundamencie.

Bardzośmy się tem radowali, a i Panu Bogu widać było to miłą ofiarą, bo nas widocznie przez całą drogę miał w opiece i pobłogosławił nam tak, że jeszcze nigdy, jak zapamiętam, nie nadała się nam tak dobrze furmanka i obeszła się tak bez wszelkich złych wypadków, jak wtedy.

Rachunek sumienia na końcu starego roku.

Przebaczyłżem urazę? nie niszczyłżem sądem?
Nie szkodziłżem sam sobie chciwstwem i nierządem?
Byłżem ciągle oszczędnym, używałżem miernie?
Dotrzymywałżem słowa, żyłżem Bogu wiernie?
Pamiętałżem na krew swą i swoich potomków?
Miałżem serce dla mojej ojczyzny i ziomków?
Nie upadałże kościół lub szkoła z mej winy?
Dałżem uczyć, gdy stało, na ludzi me syny?
Odłożyłżem choć grosik na biedę lub dzieci?
Może też moje imię jaki czyn zły szpeci?
A jak-żeż z tem i owem?.. Boże dodaj siły!
Już ci ja się poprawię Panie Boże miły!...



Na zakończenie.

☞ *Otóż za łaską Bożą kończymy znowu rok jeden. Już po raz szósty dzwoni wam DZWONEK na zakończenie roku. A przez te wszystkie lata był on wam wiernym przyjacielem, kochani bracia, i z serdecznem słowem zaglądał do chatek waszych. A bywało rozmaicie — nieraz to wam zadzwonił ten nasz papierowy DZWONEK wesoło, a nieraz znowu żałobnym i smutnym odzywał się głosem, bo to na świecie zawsze wesele z smutkiem się splata, a na naszej ukochanej ziemi polskiej więcej pono smutku niż szczęścia...*

Czy dobrą radą, czy nauką piękną, czy zabawną gawędą, czy piosenką od serca — DZWONEK zawsze rozweselał was i pouczał, a jeśli słowa jego trafią w serca wasze i jeśli porzucicie wady i grzechy, i pokochacie tę ziemię naszą drogą, jak matkę rodzoną, a wszystkich co na niej żyją jak braci — to za łaską Wszechmocnego lepiej będzie w naszej polskiej krainie i wnet dola szczęśliwsza nam zabłyśnie!

Tego wam życzymy z głębi serca na ten nowy rok, który niezadługo już do nas zawita. Daj Boże doczekać go w zdrowiu, a niechaj razem z starym rokiem zniknie między tobą, ludu kochany, wszelka nienawiść, wszelka złość i niewiara, a z Nowym rokiem niechaj wstąpi do serc twoich cnota, prawość i miłość ojczyzny!

Nas zaś i ten DZWONEK papierowy, cośmy wam dochowali zawsze przyjaźni szczerej i nieba wam przychylić byśmy radzi — zachowajcie w waszem sercu i pamięci, bo wam zawsze najlepiej życzymy i dla waszego dobra pracujemy. Jak i w zeszłych latach, tak i od nowego roku DZWONEK zachodzić będzie do was w gościnę, a przynosić wam będzie z sobą przeróżne opowiadania święte, gawędy z dawności i z historyi polskiej, powieści piękne, piosenki, rady i nauki na rozmaite wypadki i o rozmaitych rzeczach na świecie, a na koniec i inne różne różności w dodatku.

DZWONEK kosztować będzie jak zawsze jeno tyle, aby było za co kupić papieru i pocztę opłacić — to jest **2** *reńskie na* **cały rok** *a* **1** *reński na* **pół roku.** *W zeszłym numerku posłaliśmy wam karteczki, w których się do nas pieniądze posełają. Teraz zaś posełamy wam okładzinkę i spis rzeczy z tego półrocza.*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.